



INCREDIBLE
INSPIRATIONS

best of

Ma: Teemat



Best of
na:Temat

LUDZIE		5
MIEJSCA		43
PRZYSZŁOŚĆ		73
WYWIADY		99
PRACA I PASJA		129
ŚWIAT		155
ŻYCIE		193
PORTRETY POLSKI		219
HISTORIA		261



Autorem grafiki
na okładce jest artysta
Robert Szczebiot



Michał Mańkowski

redaktor naczelny
i dyrektor operacyjny
Grupy naTemat

Nie zliczę, ile razy w ośmioletniej już historii Grupy naTemat słyszałem na mieście ten sam argument – że w internecie nie ma jakościowych materiałów, a dziennikarze internetowi tylko po sobie przepisują. Magazyn premium, który trzymasz w ręku, dowodzi, jak nietrafiony to stereotyp.

Świat pędzi – i ani on, ani Czytelnicy nie poczekają. I właśnie dlatego tworzenie portalu internetowego to ciągły balans pomiędzy tempem a jakością. Połączenie dwóch światów: szybkich newsów, które zarówno dziennikarze, jak i czytelnicy chcą mieć najszybciej, z dużo dłuższymi premium realizacjami. O każdą z tych nóg trzeba dbać, jednocześnie nie zapominając o drugiej.

W naTemat staramy się robić to każdego dnia. Od 2012 roku codziennie rano spotykamy się przy tym samym dużym stole na kolegium redakcyjnym. To wtedy dyskutujemy o tematach, które zgłaszają nasi dziennikarze. Każdy z nich ma swoją działkę i ulubioną tematykę, ale zawsze jest wspólny mianownik. Ten mianownik to odpowiedź na pytanie, dlaczego chcemy na dany temat napisać i czego nowego dowiedzą się z tego tekstu Czytelnicy. Najlepsze z tych odpowiedzi znajdują się właśnie w Twoich rękach.

Wybór nie był łatwy, ale ostatecznie zdecydowaliśmy się na okrągłe 50 tekstów podzielonych na dziewięć tematycznych kategorii, w której każdy Czytelnik znajdzie coś dla siebie. Cała pięćdziesiątka ukazała się w serwisach Grupy naTemat na przestrzeni ostatnich kilku lat.

Pokażemy Wam wyjątkowych ludzi oraz ciekawe miejsca w Polsce i na świecie. Poczytacie o ich pasjach i życiu. Zajrzycie do historii, a także – a może przede wszystkim – spojrzycie w przyszłość dzięki artykułom, w których opisujemy postęp cywilizacyjny i wpływ technologii na kluczowe obszary naszego życia.

Z dumą oddajemy w Wasze ręce pierwszą i limitowaną edycję „Best of naTemat”, która powstała przy współpracy z Sebastianem Kulczykiem, twórcą programu InCredible Inspirations. Po więcej zapraszamy codziennie na naTemat.pl.

na:Temat.pl

Inn:Poland.pl

mama:Du.pl

ASZ:dziennik.pl



L U D Z I E



Best of naTemat

Ma 69 lat, jest byłym górnikiem, a dziś studiuje na ASP. „To najwytrwalszy student”

Tekst: Włodzimierz Szczepański | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Stasiu Kwieciński trzyma pędzel w lewej dłoni. Po uderze prawa zbyt mocno drży. – 14 lat byłem górnikiem, bo chciałem się dorobić. Nie wydałem pieniędzy na nic mądrego. Może dlatego teraz studiuję malarstwo – mówi.



W szafie dziekanatu Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie przechowują listy od Stasia. Pisał je ze szpitala. Na kartce ledwie kilka zdań, litery są wielkie, na dwie kratki, koślawe. Widać, że pisane lewą ręką. – Odnaleźliśmy adres szpitala. Gdy studenci usłyszeli, że z dziekanem jedziemy do niego, zrobili zrzutkę. Wykładowcy także dali od siebie upominki – opowiada pani Jola z sekretariatu.

Czytam list z 24 grudnia 2016 roku: – Bardzo dziękuję za odwiedzinę. Świeczka, drzewo Chrystusa, pali się na czerwono, zielono i niebiesko. Bardzo dziękuję młodym ludziom, pani Joli, dziekanowi za kawę, szampana, ptasie mleczko. Życzę dużo zdrowia. Szczęść Boże.

Pani Jola uśmiecha się, przeglądając listy. To nie wiek Stasia jest zaskakujący. – Mieliśmy już starszych wiekiem studentów, ale Stasiu jest niepowtarzalny. Ktoś ostatnio się śmiał, że boi się chodzić korytarzem, aby Stasiu nie życzył mu po raz kolejny „miłego dnia” – mówi.

Oni pięknie tworzą

Jest już niemal wieczór, gdy otwierają się drzwi do pracowni w Akademii Sztuk Pięknych. Staje w nich starszy mężczyzna w fartuchu ubrudzonym od farb. Wygląda na wykładowcę, a nie studenta, ma 69 lat. Jest mocno przygarbiony. Mówi niewyraźnie. – Proszę wejść, zobaczyć – zachęca z uśmiechem. Podaje dłoń. – Stasiu jestem – mówi. Kończy szkicować kobietą postać. Zajęło mu to dwie godziny pracy.

Nie jest jednak zadowolony. Trudno jest przestawić się z praworęczności. – Lekarz się śmiał, że on nie



narysuje swoją prawą nic tak dobrze, jak ja lewą. Dla mnie przychodzenie na zajęcia to forma rehabilitacji – opowiada i śmieje się z opowieści o lekarzu. Na ASP studiuje trzeci rok, w tym miał roczną przerwę z powodu udaru. Odrywa się, aby pokazać prace innym. – Koledzy i koleżanki, oni to ładnie rysują. O, ten jest ładny. Dziewczyna go rysowała. Ma rękę – oprowadza po pracowni i cieszy się z cudzych prac.

Malarz stolarzy

Proponuje kawę, przeprosza, że nie ma ciastek, i wraca do swojej sztalugi. – Chodziłem na kurs przygotowawczy do Akademii, ale u takiego Wińskiego to za mało. Wymaga więcej. Trzeba dużo pracować – dodaje z zapalem. Tego mu nie brakuje. Z reguły jest pierwszy w pracowni. Pojawia się około 9 i wychodzi wieczorem o 20. Chodzi nawet na dodatkowe zajęcia z niemieckiego. – W przeciwieństwie do młodszych studentów, trudno mi zapamiętać. Muszę więcej się uczyć – tłumaczy.

– Mój wuj miał brodę, jak ty – mówi do mnie, nie przerywając pracy. – Wujek służył w carskim wojsku, charakterny był. A po wojsku sad założył pod Milanówkiem – opowiada. Niedaleko wujowego sadu na ziemi, która należała do jego mamy, Stasiu stawia domek. – Stolarzom obiecałem, że zrobię portret – śmieje się. Poważnieje, gdy pytam go, jacy malarze są dla niego inspiracją. Odpowiada, że Kosak, Chełmoński... – Ja chcę malować prawdę. Ludzi z niższych sfer. Nie tych w białych kołnierzykach, tylko tych, co nigdy nie mieliby portretu – dodaje.

Mama powiedziała

Dziś nie dokończy pracy, zbiera się do domu. Dłuższą chwilę mocuje się ze swetrem, który naciąga na głowę. Zabiera kije do nordic walking. – Gdy chodzę bez nich, to zataczam się jak pijany. Ludzie dziwnie na mnie patrzą – znów się śmieje. Idziemy na przystanek, którym dojeżdża z Ochoty. Nieoczekiwanie wyznaje, chyba nawet z lekkim smutkiem: – Wiem, że nie będę malarzem z pierwszego szeregu, ale przynajmniej swoją pracę wykonam fachowo.

Stasiu otwiera drzwi do swojego mieszkania, nad którymi kredą napisał K+M+B. Widok w środku mnie zaskakuje. Jest małe, ale nie powstydziliby się go młody hipster. Najpierw kawa, potem szukanie ciastek. Na ścianie wisi portret mamy. – Przed śmiercią powiedziała, abym uszył sobie garnitur



i miał na odebranie dyplomu – śmieje się, ale po chwili dodaje: – Pójdę do jakiegoś krawca.

Sztygar liczył łopaty

Mama w życiu Stasia odegrała ogromną rolę. Pochodziła spod Warszawy, a ojciec ze stolicy. Miał firmę, zatrudniał ludzi. Zmarł jednak, gdy mały Stasio kończył siedem lat. Jego starsze siostry szybko poszły do pracy. – Pamiętam, jak mnie siostra zaprowadziła na Pole Mokotowskie. Stał tam tabor cygański – wspomina. Ma dylemat, bo nasz fotoreporter już wychodzi i Staś chciałby go odprowadzić, ale drugi gość jest w domu. – Jak to się stało, że zdjęłem buty – zastanawia się chwilę. Ta myśl go męczy. Kilka razy idzie do drzwi pożegnać fotoreportera. W końcu wychodzi na balkon i krzyczy: – Dziękuję, Maciek. Do zobaczenia.

Na biurku stoi popiersie. Stasiu przyniósł je pod pachą ze Śródmieścia. – Miałem wtedy 20 lat to dałem radę. Dostałem je od Jana Podowskiego, do którego chodziłem na zajęcia z rysunku – wspomina. Przez



lata chodził te na zajęcia do centrum artystycznego na Nowolipkach. – No ale jeden malarz, chyba Żochowski, powiedział: „Stasiu do ASP chodzą dzieci lekarzy, profesorów. Nie nadajesz się do tego towarzystwa” – opowiada. To ostudziło jego zapał. Stasiu kończył wówczas szkołę techniki teatralnej i wkrótce dostał powołanie do wojska. – A potem 14 lat byłem górnikiem, bo chciałem się dorobić. Na samym dole byłem. Fajny sztygar Woźniak tam był. Gdy czyściłem pod taśmą, zawsze krzyczał, że liczy łopaty (po odgłosie odrzucanego węgla). Tak sprawdzał, czy oczyściłem maszynę. Nie zrobiłem ani nie wydałem tych pieniędzy na nic mądrego. Może dlatego teraz studuję malarstwo – kwituje.

Dwóch w imię Moje

W mieszkaniu jest kilka szczegółów, które zdradzają głęboką wiarę Stasia. – Moja żona była spowinowacana z Janem Pawłem II – mówi nieoczekiwanie. W mieszkaniu nie widać jednak żadnych śladów obecności drugiej osoby. – W Katowicach poznałem wdowę z dwójką dzieci. Nasze drogi się rozeszły. Wróciła do rodziców – wyjaśnia, ale widać, że nie chce mówić o szczegółach. On zaś wrócił do Warszawy w połowie lat 80. Pracował w różnych firmach, także na Okęciu.

– Córka żony była u mnie w szpitalu, gdy leżałem po udarze. Widziałem, jak siedziała obok na krześle – zapewnia. Udaru dostał w Szwajcarii w Roll. Doszedł tam pieszo z Warszawy. Od kilku lat Stasiu pielgrzymuje szlakiem św. Jakuba. Na razie przebył

połowę drogi do Santiago de Compostela. – W Roll po prostu rano wstałem i czułem, że coś ze mną jest nie tak. Nie mogłem normalnie chodzić, mówić. Chciałem po prostu przyjechać do kraju. Lekarze nie chcieli mnie wypuścić. Siostra załatwiła odpowiedni transport – wyjaśnia. Jego zdaniem czuwała nad nim opatrność. – Od 2011 roku maszeruję z dwójką Niemców poznanych w Zgorzelcu. Oni też mają problemy zdrowotne. Gdybym szedł samotnie, to może pomoc nie przyszłaby na czas. W swojej mądrości Chrystus powiedział: „Tam, gdzie dwóch albo trzech gromadzi się w imię Moje, tam jestem pośród nich”. Nie powiedział „jeden” – mówi z uznaniem.

Droga do marzenia

– To było rok temu, jakoś jesienią. Stasia przyprowadził jeden z profesorów. Wyjaśnił, że błakał się na korytarzu. Stasiu był roztrzęsiony. Opowiedział, co mu się przytrafiło na pielgrzymce. Strasznie się zdenerwował, bo bardzo nie chciał zawalić studiów. Przygotowałam wszystkie dokumenty, aby mógł spokojnie iść na leczenie, jakoś nabazgrał podanie – wyjaśnia pani Jola.

Poszedł na roczną przerwę na leczenie. Teraz stara się o powrót na uczelnię. Lekarze nie chcą wydać mu zaświadczenia o zdolności do studiów. Uczelnia podpytała nawet prawnika, co ich student może zrobić. Stasiu czeka na komisję lekarską, która orzeknie o jego niepełnosprawności. Niecierpliwi się, ma być wezwany lada dzień. – Ile ja już przeszedłem, aby zostać malarzem! Teraz muszę zostać jeszcze niepełnosprawnym, aby malować – łapie się za głowę z niedowierzania.





Za brak światła mógł kiedyś stracić głowę. Wiemy, jak wygląda praca współczesnego latarnika

Tekst: Adam Nowiński | **Zdjęcia:** Stefan Ronisz

Jadąc trasą z Władysławowa w kierunku Karwi, mniej więcej w połowie drogi wjeżdżamy na brukowany trakt, a po prawej stronie zza drzew wyłaniają się dwie strzeliste budowle. To znak, że jesteśmy w Rozewiu, a wspomniane budynki to dwie latarnie morskie. Jedną z nich postanowiliśmy odwiedzić.

Skoro latarnia morska, to najlepiej będzie dotrzeć do niej od strony plaży. Oczywiście od głównej trasy także odchodzi droga do tego budynku, ale zdecydowaliśmy wybrać drogę „widokową”. Jak to dobrze, że wzdłuż brzegu wybudowano falochron i deptak, bo w innym wypadku morskie fale nie pozwoliłyby nam przejść tamtędy suchą stopą.

Nad Bałtykiem spotkało nas pierwsze rozczarowanie. Gdy wyobrażamy sobie latarnię morską, widzimy nieco stereotypowo czerwoną wysoką wieżę nad brzegiem morza. W przypadku latarni Rozewie jest podobnie, ale... nie widać jej z poziomu plaży. Między morzem a budynkiem jest ściana drzew i strome kamienne schody.

Widmo wspinaczki było nam trochę nie w smak, ale nie daliśmy za wygraną „mieszczuchowym” kaprysom i przystąpiliśmy do zdobycia klifu. Trzeba przyznać, że okoliczności przyrody w tym miejscu są nie do opisania.

Po kilkudziesięciu kamiennych stopniach i paru głębokich oddechach zmęczenia później w blasku słońca wyłoniła się przed nami latarnia.

Ale nie sama latarnia, tylko cały kompleks budynków: wyremontowana stodoła, w której teraz jest galeria sztuki, maszynownia, która pełni funkcję muzeum, dom latarnika, dyżurka i kilka innych budyneczków gospodarczych. Spokojnie można nazwać to małym folwarkiem.

Przyjście gospodarza

Po całym kompleksie kręcą się turyści, chociaż sezon już jakiś czas temu się skończył. Jest ich kilkunastu. Z latarni wyłania się za to najważniejsza postać w charakterystycznym, niebieskim kombinezonie. To nasz gospodarz – latarnik Artur Krężałek. On razem z Adrianem Romanem i Andrzejem Sikorą pełnią na zmiany służbę w latarni.





– Dużo schodów przed nami? – pytam go przed wejściem do środka. – Jakies 150 stopni, niedużo
– odpowiada z uśmiechem mężczyzna. Pan Artur jest latarnikiem od 1997 roku. To rodzinny biznes. Pracował tu jego ojciec, a on sam wychował się w białym domu obok latarni.

– To taka rodzinna tradycja. Ojciec tu pracował. Przez 15 lat razem pełniliśmy na zmiany służbę. Potem też z sąsiadem, panem Ciechanowskim, bo wszyscy tu blisko siebie mieszkaliśmy. A teraz pracuję z moim szwagrem. Mój ojciec przeszedł na emeryturę, pan Ciechanowski zresztą też i co ciekawe – na jego miejsce przyszedł jego szwagier – opowiada latarnik.

Wchodzimy do najniższego pomieszczenia. Łącznie przed nami jeszcze cztery. W każdym z nich jest wystawa dotycząca latarni. Tuż obok wejścia wisi tablica z nazwiskami latarników od samego początku jej istnienia do teraz. Łącznie 34 osoby.

– Jest mało latarni w Polsce, to nie jest popularny zawód, żeby ludzie pchali się do niego drzwiami i oknami. Tu trzeba liczyć się z tym, że to służba w ściśle określonym trybie: dzień, noc, dwa dni wolnego i znowu dzień, noc itd. Nie wszystkim to odpowiada. Ja wiem, że w tym roku mam sylwestra w pracy. Czasami nie wiem, jaki mamy dzień tygodnia, tylko to, że jestem przed służbą, albo po służbie – mówi pan Artur.

– Często ludzie się dziwią, jak im mówię, że z zawodu jestem latarnikiem. „Latarnik? Jaki latarnik?”. Nie mogą dopasować, o jaką latarnię chodzi:



uliczną, miejską? Mylą mnie z osobą, która kiedyś zapalała i gasiła w miastach latarnie gazowe na ulicach. A służba w latarni morskiej to zupełnie co innego – śmieje się mężczyzna.

Podróż w górę

Pierwsze kroki w latarni stawiamy w ceglanej podstawie latarni. W środku jest ciemno, bo światło słoneczne zabierają rosnące dookoła drzewa.

– Przez nie trzeba było przebudować latarnię i podnieść ją ponad ich korony – wyjaśnia latarnik. – Ta część, w której teraz jesteśmy, została wybudowana w 1822 roku. Najpierw rozpalano na niej ogień, potem palenisko zastąpiono lampą naftową. W 1910 roku została ona podwyższona i zmodernizowana. Zamontowano na niej już lampę elektryczną, a obok wybudowano elektrownię z maszyną parową – mówi.

– Wtedy też wygaszono latarnię, która znajduje się obok nas. A w 1978 roku naszą latarnię podwyższono drugi raz. Wszystko przez wspomniane drzewa. Ostatnią służbę w starej, niezmodernizowanej latarni pełnił mój ojciec. Miał wtedy służbę nocną. Latarnia świeciła bez dachu i bez szyb, bo wszystko zdemontowano. Rano wyłączono latarnię, zdemontowano optykę i nałożono stalową nadbudowę – wspomina Krężałek.

W drodze w górę na metalowych kręconych schodach mijamy turystów. Przyglądają się z zainteresowaniem naszej rozmowie. Jedna z turystek pyta nas: „A co to, dyrektor?”. – Nie, to latarnik, ale w sumie

można powiedzieć, że dyrektor – odpowiadam. Podchwycił to mój rozmówca.

– Mój ojciec zawsze tłumaczył mi, że: na służbie jesteś zawsze dyrektorem, kierownikiem i pracownikiem. Jako dyrektor masz pieczę nad wszystkim. Widzisz, co się dzieje, i wiesz, co jest do zrobienia. Przekazujesz to kierownikowi, a on pracownikowi. I to robisz. A tutaj praca zawsze się znajdzie. Jak pada deszcz, to myję szyby lub sprzątam, jak świeci słońce, to koszę trawę itd. Dzisiaj wymieniałem halogeny, bo przyjrzałem się i dwa były przepalone – opowiada pan Artur.

– A jak nie wypełni się swoich obowiązków?
– pytam.

– Wiemy z historii, że kiedyś takie niedopełnienie obowiązków przez latarnika było karane śmiercią. Jeśli latarnia nie zapaliła się na czas, to takie były tego konsekwencje. Teraz są kary, ale ja takiej nigdy nie otrzymałem i mam nadzieję, że nie otrzymam. Podstawą jest dmuchanie na zimne, dlatego cały czas kontroluje się wszystko, dogląda i po prostu dba o ten sprzęt – odpowiada latarnik.

Ale właściwie po co teraz jest latarnia w dobie Google Maps, GPS i innych technologicznych nowinek pomagających w nawigacji?

– Na takim statku zawsze może dojść do awarii. Pamiętam jakiś czas temu na jednej z łodzi siedła elektryka i mężczyzna, który nią płynął, nie mógł stwierdzić, w którym miejscu jest na morzu. Pomogliśmy mu. Dlatego to stałe światło na brzegu i osoba, która cały czas dozoruje i pilnuje, jest zawsze potrzebna – stwierdza Krężałek.

Pierwszy raz

Pan Artur zdradził mi, że najlepszym kandydatem na stanowisko latarnika jest osoba, która skończyła technikum lub studia o profilu elektrycznym. Musi znać się na komputerach, nawigacji satelitarnej i na maszynach. A co z odpornością na stres?

– Też ją musi mieć, zresztą jak w każdym tego typu zawodzie. Służbę pełni się samemu, co jest sporą odpowiedzialnością i stresem, chociaż czasami możemy skorzystać z pomocy z zewnątrz. W sytuacjach awaryjnych wzywamy służby czy serwis. Ale tak to samemu podejmuje się decyzje tu i teraz – mówi.

– Jestem przyzwyczajony do różnych sytuacji. Mój ojciec zabierał mnie ze sobą, jak miał służbę, tak że od dziecka nasłuchiwałem się w radio o różnych akcjach na morzu. Nieraz było tak, że ojciec na służbie był pośredniczącym w różnych działaniach ratunkowych, więc dla mnie stało się to normą i szybko się z tym oswoiłem – opowiada latarnik.

On miał trochę prościej, bo do służby wprowadzał go ojciec. To z nim pełnił swoją pierwszą oficjalną służbę. Ale chrzest bojowy nie obył się bez skoku adrenaliny.

– Była noc, sztormowa pogoda, wiał silny wiatr i wtedy właśnie pech chciał, że upalił się jeden z przewodów zasilających. Trzeba było szybko działać i dosztukować kawałek tego przewodu. Wyłączyliśmy zasilanie. Na szczęście latarnia ma akumulatory, dzięki którym świeci około 20 minut bez podłączenia do sieci. Wyrobiliśmy się i po tych 20 minutach mogliśmy włączyć normalne zasilanie. Ale nerwowo było – mówi mężczyzna.

Mijamy kolejnych turystów. Przechodzimy się między nimi i wspinamy dalej – jakieś 90 schodków za nami. Aż trudno uwierzyć, że rocznie przewija się tutaj około 100 tysięcy osób. To trochę zaprzeczenie Sienkiewiczowskiego obrazu latarnika samotnika. Tutaj nie można narzekać na brak towarzystwa. A co się jeszcze zmieniło od czasów latarnika Sienkiewicza?

– Przede wszystkim odeszło się od pieców i starych urządzeń komunikacyjnych. Chociaż niektóre z nich są jeszcze sprawne do tej pory. Na przykład taki buczonek mgłowy, który kiedyś wykorzystywany był podczas gęstej mgły. Nadawano nim sygnał dźwiękowy danej latarni. W przypadku Rozewia było to „RO”. Teraz dźwiękiem buczonek witamy Nowy Rok – opowiada latarnik.

– A z innymi latarnikami spotykacie się jakoś właśnie na tego sylwestra? – pytam.

– Na sylwestra to nie, ale generalnie spotykamy się przy różnych innych okazjach – czasami lepszych, np. na kursach, a czasami gorszych, jak na pogrzebach byłych latarników. Na towarzyskie spotkania nie ma czasu, bo każdy z nas ma służbę i trudno się zgrać – mówi.

– I siedząc tak sami w latarni, rozmawiacie z innymi latarnikami? Kontaktujecie się? Wymieniacie się



opiniami na temat żarówek czy jakichś nowych telefonów satelitarnych? – dopytuję.

– Nie, nie ma rozmów na naszym kanale. Kiedyś owszem było na nim więcej osób i więcej się działo. Ludzie pytali się np., co się dzieje na morzu. Teraz tego nie ma – odpowiada pan Artur.

Przystanek: balkon

Przed nami kolejny przystanek. Wychodzimy na zewnątrz na balkon. Znajdujemy się już ponad linią drzew. W tym miejscu kończyła się stara latarnia. Teraz służy jako taras widokowy. Dokładnie można zobaczyć, jak wygląda kompleks budynków dookoła latarni. Pamiątkowa fotka i dalej wspinamy się na szczyt.

– A z takiej pracy da się wyżyć? – pytam mojego kompana.

– Tak, to dobra praca państwowa, jesteśmy pracownikami urzędu morskiego. Da się wyżyć z mojej pensji. Owszem, raz jest lepiej, raz gorzej, jak u każdego. Ale zawsze można coś dodatkowo robić.

Kiedyś latarnicy hodowali zwierzęta, mieli swoje pola i zasiewy, wędzili ryby, mięso, piekli chleb. Teraz można co najwyżej iść z wędką i złowić rybę w czasie wolnym od służby – śmieje się.

Pan Artur jest także strażakiem ochotnikiem. Kiedy nie pełni służby w latarni, to zawsze spieszy z pomocą na wezwanie. Jak przyznaje, to, czego nie widział w swojej na ogół spokojnej pracy, nadrabia w terenie ze strażakami. Najgorsze jego zdaniem są obrazki z wypadków.

Docieramy do pomieszczenia, w którym kiedyś mieściła się dyżurka latarnika. W kącie stało biurko, krzesło, a z drugiej strony maszyna kontrolująca światło lampy. Teraz pokój jest pusty, a ściany pokryte są tysiącami tarcz pochodzących ze starych mundurków szkolnych. Są tu wszystkie zakątki kraju.

Oprócz pana Artura i jego dwóch zmienników w latarni pracują członkowie Towarzystwa Muzeum Morskiego, którzy zajmują się obsługą ruchu turystycznego. Pilnują też, żeby nic nie uległo uszkodzeniu. A awarie zdarzają się i są kosztowne.

– Jakiś czas temu ktoś uszkodził bulaj – pękła w nim szyba i trzeba było go wymienić – mówi mój rozmówca. Nie chce przyznać jednak, ile dokładnie kosztowała naprawa. Przecząco pokręcił, jedynie kiedy zapytałem, czy to było poniżej 1000 zł.

Finał

Dalsza część latarni przypomina bardziej łódź podwodną. Dookoła owalne stalowe ściany, nity i okrągłe okna (wspomniane bulaje). Kilkanaście stopni dalej jesteśmy już na szczycie, gdzie wita nas niesamowita instalacja kilkudziesięciu lamp oraz niesamowity widok na morze. Po prawej stronie zarysowuje się Półwysep Helski, a po lewej morze wchodzi w łód, opływając przylądek Rozewie.

– W naszej latarni kręcono odcinek jednego z seriali kryminalnych – chwali się pan Artur. Ale to nie jedyny epizod, w którym Rozewie pojawiło się na

małym ekranie. – Widać ją też przez dwie sekundy w jednej z reklam. To ciekawe, bo dla tych dwóch sekund zdjęcia tutaj trwały ze cztery godziny. No ale takie są realia tego zawodu – śmieje się latarnik.

Gdzieś w oddali widać sylwetki statków. Na wysokości Władysławowa udaje nam się dostrzec trzy okręty marynarki.

– Kiedyś sam tak pływałem. Dowódca śmiał się ze mnie, jak przepływaliśmy niedaleko Rozewia. Mówił: „Kręzałek, popatrz sobie teraz na swój dom” – mówi.

– To jaka jest najlepsza rzecz w byciu latarnikiem? – pytam.

– Po prostu, że jest się latarnikiem. Już samo to, że zawód ten był opisywany w wielu książkach i można nazwać się tym mianem, jest bardzo miłe.





„Cały dom robi we wiadra”. Sławojki i wychodki w środku polskiego miasta

Tekst: Aneta Olender | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

„Toalety są w takim stanie, że wolimy załatwiać się do wiaderek. Brud, szczury, robactwo... Strach tam wejść, bo można wpaść. A wiadereczko domostosem się wymyje i tyle. Już się do tego przyzwyczailiśmy”.



Barbara Dudaszek mieszka bez toalety od 1985 roku.

Ponad 1,2 miliona Polaków nie ma w domu toalety. Taka sytuacja wbrew pozorom nie dotyczy tylko wsi. My pojawiliśmy się w Łodzi, gdzie zaledwie kilka kilometrów od centrum miasta żyją ludzie, dla których toaleta jest luksusem.

Adres: Janiny

Kamienica przy ulicy Janiny w Łodzi. Pod ten adres trafiamy zupełnym przypadkiem. Szukaliśmy innego. – U nas nie ma toalet! Tą ścieżką trzeba iść – wskazuje nam drogę lekko wstawiona kobieta.

Skrzypiąca podłoga, odrapane ściany, powyrywane kable... przez korytarz w kamienicy przechodzimy na podwórko. Przez chwilę zastanawiamy się, czy to, co widzimy, rzeczywiście jest wychodkiem, czy po prostu zniszczonym budynkiem gospodarczym. Wątpliwości rozwiewa lokatorka, z którą rozmawialiśmy przed chwilą. Ona i jej partner przyszli za nami.

W tej kamienicy mieszka około 10 osób. Fekalia z wiader, do których się załatwiają, wylewają do

szamba. Choć, jak dowiemy się później, nie tylko tam. Jednak brak toalet nie jest tu chyba największym problemem.

W budynku nie ma bieżącej wody. Żeby coś ugotować, zrobić pranie, czy po prostu się umyć, trzeba iść po wodę jakieś 200 metrów dalej. Tam jest hydrant.

– To ile takich rund dziennie musicie robić? – pytam. – O Jezus! Niech pani nie pyta. My po 10, po 12 sześciolitrowych butli nosimy – mówią lokatorzy. Są wściekli, ale nie na warunki, jakie tu panują, raczej na właściciela kamienicy.

– Nic tu nie ma! Powyłączał światło na korytarzu. Powyrywał kable. Poodcinał wszystko, żeby pozbyć się ludzi. Na nic się nie zgadza. Chce, żeby ludzie stąd out! – krzyczą.

W tym momencie na schodach pojawia się kolejna lokatorka. Mamy wrażenie, że nie jest zadowolona z naszej wizyty. Okazuje się jednak, że jest wręcz przeciwnie. – Wspaniale, że tu jesteście – komentuje.

Bożena Koźbiał. Od tego momentu to właśnie ona jest naszą „przewodniczką”. Koniecznie chce nam opowiedzieć, z czym muszą borykać się lokatorzy tej kamienicy. Chce, żeby usłyszało o tym jak najwięcej osób.

– Tu są bardzo trudne warunki. Właściciel nie interesuje się nami. Chyba z siedem lat już minęło, jak przejął kamienicę. Powyrywał kable z góry na dół. Powiedział, że nie będzie płacił za prąd. Chodzimy po ciemku. Sąsiadka rękę złamała w grudniu. Szła po schodach. Jest ordynarny i wulgarny. Nie ma wody i nie ma niczego – opowiada.



Bożena Koźbiał walczy o mieszkańców.

Chce nam też pokazać, którędy chodzą po wodę.
– Ta ścieżka jest przez nas wydeptana. Trzeba chodzić tędy dwa, trzy razy dziennie. Najwięcej wiader to trzeba nosić na pranie, a najgorzej jest zimą – mówi i zatrzymuje się na chwilę, wskazując na studzienkę przed wejściem. – Tu wylewamy nieczystości. Nie powinniśmy, bo to jest burzowa studzienka, ale nic innego nie ma – przyznaje i idzie dalej.

Kiedy spadnie deszcz, musi być trudno pokonać tę ukrytą między drzewami i krzakami drogę. – Jak pada, to tu jest jedno wielkie bagno – opowiada,



Urszula Hołys mieszka w tej kamienicy prawie od urodzenia.



Lokatorzy kamienicy przy ul. Janiny mieszkają w trudnych warunkach.

jakby czytając nam w myślach. – Dżungla, po prostu dżungla. Tam dalej często siedzą i popijają. Jest głośno. Nie do przejścia – komentuje. Wracamy do kamienicy.

Bożena Koźbiał mieszka tu od pięciu lat, ale w kamienicach od 1984 roku. Wspomina, że kiedy wprowadziła się na Janiny, wzięła miskę i poszła na korytarz szukać kranu. – Ludzie się ze mnie śmiali, a ja byłam zdziwiona. Właściciel nie powiedział, że tu nie ma nawet wody. Oszukał mnie – wspomina.

– Chodzimy po ciemku albo z latarkami, a toaleta to jest „patrz na mnie, ale mnie nie ruszaj”. Płacimy komorne. Co miesiąc za 15 metrów 170 zł, bez wody, toalety, bez niczego – wylicza.

W trakcie rozmowy z panią Bożeną drzwi do swojego mieszkania otwiera Urszula Hołys. Kobieta wychowała się w tej kamienicy. Kiedy była mała, jak i przez wiele lat później było tu po prostu ładnie. Zadbana klatka, woda w studni, ogród i... święty spokój.

– Teraz to jest wstyd kogoś z rodziny nawet przyprowadzić. Meta jest za ścianą, piją, nie można spać w nocy, a właściciela to nie interesuje. Zimą woda zamarza w studni. Człowiek nieraz ma doła i nic się nie chce. Tu jak się wchodzi, to tak, jakby się wchodziło w ciemną otchłań. Z latarkami trzeba chodzić, a najgorzej jak policja i pogotowie przyjeżdżają – kwituje i dodaje, że czeka na mieszkanie socjalne, ale pierwszeństwo mają matki z dzieckiem.

O szczęściu może mówić Bożena Koźbiał. W grudniu przenosi się do mieszkania komunalnego. Tam



Mieszkańcy nie korzystają z toalety, która jest na podwórku.

będzie toaleta. Mimo wszystko nadal chce walczyć o poprawę sytuacji mieszkańców tej kamienicy. To ona najczęściej interweniuje w ich sprawach.

– Skoro pani się wyprowadza, to dlaczego już pani nie odpuści? – pytam naszą rozmówczynię. – Chcę trochę uczciwości dla ludzi. Właściciel trochę osób już stąd wyprowadził. Większość lokatorów albo nie ma umów, albo ma tymczasowe i boją się, że ich wyrzuci – wyjaśnia i dodaje, że tu chodzi o godność człowieka.

– Bywają ciężkie dni. W mieszkaniach jest zimno. Ja nie mam pieca. Jak są wichury, to okna trzaskają i szyby wypadają – wzdycha. – Jakoś jeszcze chwilę się przemęczę. Sąsiadom powiedziałam, że nawet jak się wyprowadzę stąd, to samych ich nie zostawię. Zaczęłam to i to zakończę. Muszę mieć siłę, żeby z tym walczyć. Oni pokładają we mnie nadzieję.

Adres: Krośnieńska

Na podwórku kamienicy przy ulicy Krośnieńskiej stoi toaleta. To lepsze niż dziura w rozpadającej się ślawojce, ale w przypadku pana Andrzeja, którego tu poznajemy, nie ma to najmniejszego znaczenia.

Jest niepełnosprawny. Jeździ na wózku inwalidzkim i... mieszka na drugim piętrze kamienicy. Mieszka sam. Tak jest od wiosny tego roku. Wcześniej był tu jeszcze jego syn. W kwietniu zmarł. Na szczęście jest jeszcze jego żona, która czasami go odwiedza. To ogromne wsparcie.

Tylko kiedy kobieta się pojawia, pan Andrzej wychodzi na zewnątrz. Nieczystości też czekają, aż ktoś



Mieszkańcy kamienicy przy ul. Krośnieńskiej mogą korzystać z ustawionego na podwórku toaleta.



Nikt nie korzysta z toalet na zewnątrz.

je wyrzuci. – Cały dom tak robi we wiadra. Kąpać to się w misce kąpiej. Większość ludzi to się stąd wyprowadzała. Ja zostałem. Mieszkam tu już 18 lat. Mówiłem administratorowi, jak to wygląda, ale on powiedział: „Jak się da, to się zrobi, a jak się nie da, to się nie zrobi”. O toaletę też była walka... – mówi lokator, choć sprawia mu to trudność. Prawa strona jego ciała jest sparaliżowana. Przeszedł udar.

– On czeka na DPS, a wie pani, jak to się czeka, latami. On by chciał mieszkanie na parterze. Jak on tym wózkiem zjedzie? – włącza się do rozmowy dozorczytni. To ona przynosi mu wodę. Nie musi. Robi to z grzeczności. Czasami tu nocuje.

Budynek podobno jest do rozbiórki. Kiedy pytam, czy to prawda, pan Andrzej się denerwuje. – Niech pani nie wierzy, że rozbiorą takie coś. Z tego guzik wyjdzie. Ja od roku nie płacę. Za co płacić mam? Mam nadzieję, że do zimy mnie tu już nie będzie, bo zimy nie chcę tutaj spędzić.

Wychodzimy. Musimy uważać, żeby nie zatrzaskać drzwi do mieszkania. Gdyby tak się stało, trudno

byłoby je otworzyć. Dozorczytni na wszelki wypadek kładzie coś na progu.

Kamienica jest nieruchomością prywatną. Jak dowiadujemy się w łódzkim ratuszu, właściciele nie żyją, a w Urzędzie Miasta Łodzi jest prowadzone postępowanie w zakresie dziedziczenia po właścicielach przez Skarb Państwa.

Z informacji przesłanych nam przez urząd wynika także, że pod tym adresem mieszka 10 rodzin, ale tylko dwie mają umowy najmu. Pod koniec ubiegłego roku suma długów lokatorów budynku przy ulicy Krośnieńskiej wynosiła 437 tys. zł.

Adres: Krucza

– Tutaj na siebie uważajcie – mówi do nas taksówkarz, kiedy wysiadamy przy ulicy Kruczej. Stąd jest naprawdę blisko do centrum Łodzi. Kilka minut samochodem od ul. Piotrkowskiej. Jednak ten dystans, jak się okazuje, jest dużo większy, niż się spodziewaliśmy. Nie chodzi jednak o odległość. Chodzi o poziom i jakość życia.

W jednej z bram stoją kobieta i mężczyzna. Nie są zachwyceni, kiedy do nich zagadujemy. Są raczej podejrzliwi. Po tym, jak mężczyznę eksmitowano z jego mieszkania, trafił tutaj. Wcześniej miał i wodę, i toaletę.

– Załatwiamy się albo do wiaderka i tu wylewamy nieczystości – wskazują na odpływ na podwórku
– albo idziemy w krzaki. Tam były długie i o tę eksmisję nie mamy pretensji. Eksmisja eksmisją, ale każdy ma prawo żyć godnie. Jest XXI wiek – stwierdza kobieta.

Kamienica jest w prywatnych rękach. Mieszka tu 5, może 6 lokatorów. Pozostali dawno się wynieśli. Ci, którzy zostali, starają się dostosować do panujących tu warunków, ale w tym miejscu to zadanie nie należy do najłatwiejszych. Mają jednak przewagę nad naszymi poprzednimi rozmówcami... mają bieżącą wodę.

Para z bramy zabiera nas do środka. Odrapane ściany, brud, podłoga pokryta kilkoma rodzajami zniszczonego linoleum, zapach stęchlizny... Gdyby nie zapewnienia naszych rozmówców byłibyśmy skłonni przysiąc, że od lat nikogo tu nie ma.

– Pleśń, wilgoć, kurwa, wszystko... Ściana odpada, wszystko odpada. Temat jest krępujący. Ja też wychowałam się w starej kamienicy i też nie mieliśmy toalety, ale była na dole, na korytarzu. A tutaj nie wiem, gdzie mamy iść się załatwić – zastanawia się kobieta.

Oni są tu tylko na chwilę w przeciwieństwie do Barbary Dudaszek. Miała tu trafić na chwilę. Powiedzieli jej, że to mieszkanie zastępcze. I tak od 1985 roku.
– Ucieszyłam się i to mieszkanie wzięłam. Miałam płacone na książeczce na bloki, a teraz to na syna przepisałam. Żeby tak mieszkać w XXI wieku? Tutaj dziura, tutaj wszystko odpada. No wszystko się sypie – mówi zdenerwowana.

Jej mieszkanie to jeden pokój z wydzieloną przestrzenią na kuchnię. Niewiele w nim miejsca i widać, że dawno nie było remontowane. Trudno nam uwierzyć, kiedy dowiadujemy się, że pani Barbara mieszka tu z synem.

– Syn mieszka ze mną! Na materacu śpi! 40-letni mężczyzna. Żeby tak mieszkać... Mówię pani, że mi się płakać już chce. Jestem po zawale, siódmy prawie krzyżyk mam i takie warunki. Telewizor muszę zasłaniać, bo ze ścian na niego się sypie. Dlatego dwie miski kochana mam pod spodem podstawione. Tapety nie można przykleić, tylko na gwoździach

jest. Ja to bym jeszcze jakoś przeżyła, ale mi o syna chodzi – przyznaje zrezygnowana.

Zimą kobieta chodzi się kąpać do siostry, bo ta mieszka w bloku. Jednak zazwyczaj pani Barbara grzeje wodę w czajniku i myje się w misce. Pytam ją też o toaletę. Może przez lata przywykła i znalazła sposób na poradzenie sobie z takimi uciążliwościami.

– Siku to do wiadra. Toalety są na podwórku, ale nie będę zimą chodziła na zewnątrz. Na szczęście w nocy mi się nie chce – stara się żartować.

Nasza rozmówczyni jest gościnna, chce żebyśmy usiedli, choć zawstydzą ją fakt, że nie ma właściwie gdzie usiąść. Na fotelach i na wersalce zwinięta jest pościel.

– Zdenerwowałam się i mówię do syna, żeby nie płakał, bo płakać mi się chce. Prawie 250 zł za czynsz. A tu podłoga, o proszę! Tupnę, to niedługo do sąsiadów wlecę. Dobrze, że tam nikt nie mieszka – śmieje się.

Kiedy wyprowadziła się sąsiadka pani Barbary, lokatorka chciała przenieść się do jej mieszkania. Twierdzi, że tam jest ubikacja, dlatego dzwoniła do właściciela, żeby poprosić go o zmianę. Chciała dopłacić. – Ja bym zapłaciła za to, żeby mi udostępnił. Powiedzieli, że będą zasiedlać, ale do tej pory nikt tam nie mieszka. To jest podłość – stwierdza.

Po chwili jedna łagodnieje i zmienia temat rozmowy. Pani Basia jest fanką polskich piosenkarek. Na jednym z regałów ustawione są książki o Annie Jantar, Maryli Rodowicz i Irenie Jarockiej. – Jaka ona jest ładna – nasza rozmówczyni wskazuje na zdjęcie ostatniej. Zamyśla się. Pani Basia kiedyś była telefonistką w szpitalu.

Adres: Łódź

Jeszcze w 2014 roku bez kanalizacji w Łodzi musieli radzić sobie mieszkańcy prawie 600 budynków komunalnych. Dziś ten problem dotyczy około 200 budynków, z 10 000 zarządzanych przez miasto, w których mieszkają lokatorzy gminnych mieszkań. Nadrabianie wieloletnich zaległości w ich remontach trwa tu jednak od dekady.

Temu służyć ma choćby program „Mia100 kamienic”. Dzięki niemu od 2011 roku wyremontowano około 200 budynków, w których znajduje się 800 lokali. W mieszkaniach zbudowano łazienki, bo przed modernizacją po prostu ich nie było.

Polski hydraulik był twarzą wejścia do UE. Odnaleźliśmy go po 15 latach

Rozmawiała Katarzyna Zuchowicz



Fot. Tomasz Wiech/Agencja Gazeta

*Piotr Adamski był twarzą najświetniejszej reklamy po wejściu Polski do UE.
Jak potoczyło się jego życie?*

Gdy Polska weszła do UE, stał się najbardziej znaną polską twarzą za granicą. On, polski hydraulik z reklamy, zrobił furorę. Francuzi oszaleli na jego punkcie. Hasło „Je reste en Pologne, venez nombreux”, czyli „Zostaję w Polsce, przyjeżdżajcie licznie” stało się hitem. Dziś Piotr Adamski ma swój biznes. O kredytach potrafi rozmawiać tak, że nawet laika zaciekawi. Ale z modelingu też nie zrezygnował.

Odczuł pan zawodowo, że ta akcja miała duży wpływ na pana życie?

Nie.

Nie? Przy takim szaleństwie, które tej kampanii towarzyszyło?

Na początku było zaszufadkowanie. Wszystko krążyło wokół hydraulika. Wziąłem udział w reklamie Kreta, ale ona była oparta na tym, że przychodzi hydraulik. Były okładki czasopism, np. „Men’s Health”, ale też na zasadzie: tak wygląda polski hydraulik. Wszystko opierało się o hydraulika. Również mój udział w „Tańcu z Gwiazdami”.

Oczywiście kilka rzeczy się zmieniło, dobrze oceniam ten okres i bardzo dobrze go wspominam. To były niesamowite przeżycia. Nie da się, nawet mając ogromne pieniądze, przeżyć takich chwil.

Ale nie wyglądało to tak, że bardzo przełożyło się to na moje życie. Może gdybym zdecydował się na wyjazd do Francji? Ale na tamte czasy nie chciałem wyjeżdżać. Tu się zakorzeniłem, tu miałem już swoje mieszkanie. Chciałem zostać.

To mieszkanie kupione za pieniądze z hydraulika?

Nie, zupełnie nie. Pani chyba nie wie, ile ja dostałem za tamtą reklamę.

Nie mam pojęcia.

400 zł.

Wow.

Sukces był bardziej medialny niż finansowy. To była reklama Polskiej Organizacji Turystycznej, instytucji budżetowej, która miała być na jej stronie internetowej. Oni w ogóle nie mieli na nią budżetu.

Dlaczego zgodził się Pan wziąć w niej udział?

Miałem w tamtym czasie stałą umowę z inną firmą, w której – za bycie jej twarzą – otrzymywałem stałe miesięczne wynagrodzenie, oprócz tego robiłem różne pokazy, sesje. Nie mogłem narzekać, zarabiałem



Fot. Archiwum prywatne

przyzwyczajenie. Ale to miała być reklama Polski. A ja miałem poczucie, że skoro mi się coś udało, to fajnie byłoby zrobić coś patriotycznego. I tak zrobiłem.

No ale potem posypały się inne reklamy.

Trochę tak. Ale nie na tyle, by starczyło nawet na jakąkolwiek kawalerkę.

**„Proszę państwa,
to nie David Beckham,
to nasz polski hydraulik”**

Przypomnijmy tamto szaleństwo. Plakat z hydraulikiem zrobił furorę we Francji.

Pana pierwsze wspomnienie z tamtego czasu?

Polska Izba Turystyczna zrobiła konferencję w Paryżu. Jak wysiadłem z samolotu, to na płycie lotniska czekała już TVP1 i francuska M6. A potem w Teleexpressie podano: „Proszę państwa, to nie David Beckham, to nasz polski hydraulik wysiada z samolotu na lotnisku Charles’a de Gaulle’a”.

Organizatorzy mówili, że będzie czterech, sześciu fotoreporterów. Przyjeżdżamy do hotelu, a tam okazuje się, że musieli drugą salę otworzyć, bo reporterów było z 60 i 11 stacji telewizyjnych z całego świata. A gdy wyszedłem przed hotel, to tak mnie obiegali, że przepychali się, żeby się do mnie dobić. Chcieli, żebym stanął na jakimś rondzie, potem, byśmy poszli na Pola Elizejskie. Cztery pasy z jednej, cztery z drugiej, a ja stoję na podwójnej ciągłej, za mną stacje telewizyjne, bo chcą, żeby było widać Łuk Triumfalny.

A potem we francuskiej telewizji mówiono, że gdyby tacy hydraulicy przyjechali do Francji, to kobiety ślimakami zapychałyby zlewy. Trafiłem też do show francuskiej telewizji, coś jak „Kuba Wojewódzki”.

A to był dopiero początek.

Jedna z agencji turystycznych zaprosiła mnie do Krakowa. Promowali swój produkt – zwiedzanie Polski. Przyjechali przedstawiciele kilkunastu biur podróży z Francji. Byłem zaproszony na konferencję prasową, na ich powitanie w Krakowie. Robili sobie ze mną zdjęcia. Chcieli mieć zdjęcia z „tym” hydraulikiem.

A z firmą Vabbi Factory Outlet jeździłem po Polsce na otwarcia nowych sklepów. Przecinałem wstęgę z burmistrzem czy prezydentem miasta, a potem klienci przez cały dzień robili sobie ze mną zdjęcia. Były autografy, firma wypuściła też koszulki z moim wizerunkiem.

Kiedyś zaprosił mnie też Skok Stefczyka. Wynajęli cały hotel, a nawet cały pociąg dla pracowników. Było 1200 osób. Mi zapłacili tylko za to, żebym wyszedł na scenę i wręczył kwiaty kobiecie, która została uznana za najlepszego pracownika.

Sporo tego było.

Jak pan się w tym wszystkim odnajdywał?

Starałem się nie dać plamy, żeby nie wypaść głupio. Trochę to było stresujące. Traktowałem to jednak jako fajną przygodę.

Zostałem nawet zaproszony do europarlamentu na rocznicę reklamy, w 2006 roku. Na konferencji prasowej wystąpiłem w stroju hydraulika. Na oficjalnej kolacji przebrałem się już w garnitur.

Kto pana zaprosił?

Europosłanka Małgorzata Handzlik. Ale wcześniej francuska firma, która była właścicielem supermarketów Geant i Real, zaprosiła mnie do Cannes, żebym był na ich stoisku na targach MIPIM, największych targach developerskich w Europie.

I też wystąpił pan w stroju hydraulika?

Też. Było większe zainteresowanie tym stoiskiem, nie tylko ze strony Francuzów. A potem był bankiet z zarządem na jachcie. Ponieważ przez zbieg okoliczności linie lotnicze anulowały mi bilet powrotny do Polski, firma, choć nie było tego w umowie, wykupiła mi bilet. A z Parlamentu Europejskiego do Cannes zawiozła mnie taksówka. 900 km.

Obchodzono się z panem jak z gwiazdą.

Nie, nigdy tak się nie czułem. Było miło i tyle.

Był pan rozpoznawany we Francji?

Tak. Zdecydowanie. Ze dwa czy trzy lata później polecałem do Paryża. Trafiłem do hotelu, w którym mieszkałem w czasie kampanii hydraulika. Na recepcji była ta sama kobieta, co wtedy. Rozpoznała mnie. Powiedziała, że plakat, który wcześniej zostawiłem, zabrała do domu. Dostałem pokój z ogromną zniżką.

Ile czasu trwało to szaleństwo?

Okolo roku.

Zostały panu jakieś kontakty z tamtego czasu?

Raczej się pozacierali.

„O! Hydraulik. Dużo ludzi tak reagowało”

Cofnijmy się jeszcze do pierwszego dnia. Polska jest już w UE, Francuzi boją się polskiej siły roboczej. Plakat pojawia się na stronie Polskiej Organizacji Turystycznej.

To był szok, jak rozdzwoniły się telefony. Nikt nie przypuszczał, że taki będzie odzew. Wszystkie stacje telewizyjne dzwoniły. Gazety, radia, nie tylko z Polski. Rozmowy telefoniczne zajmowały mi 10–12 godzin dziennie. Siedziałem z telefonem przy ładowarce. Dzwonili z Hiszpanii, z Francji, z Londynu, z „New York Timesa”.

Setki pytań, w większości to samo. Skąd to się wzięło, czy umiem coś zrobić w hydraulice?

A umie pan?

Prawie wszystko. Zanim przyjechałem do Warszawy, zajmowałem się różnymi rzeczami. Układałem podłogi, pracowałem przy wycince lasu, jako pomocnik murarza. Wiele spraw remontowych robię sam.

Ale przed akcją hydraulika już pan działał w modelingu?

Od 15.–16. roku życia miałem pierwsze sesje w Bydgoszczy. Później dostałem się do finału Mister Poland 2003. Chodziłem w regionalnych pokazach. Aż poznałem pewnego fotografa, zacząłem przyjeżdżać na zdjęcia do Warszawy, np. robiłem zdjęcia do gazetek Tesco, Real, Macro. Kiedyś były z tego bardzo dobre pieniądze.

W końcu pojawiła się możliwość wynajęcia pokoju w Warszawie. Przyjechałem stopem i w nocy od Galerii Mokotów na Imielin szedłem na piechotę. Tak zaczęła się moja przygoda z modelingiem. Robiłem pokazy w centrach handlowych, chodziłem w Warsaw Fashion Week w 2004 roku. Podpisałem umowę z firmą Sunset Suits, która miała ponad 130 sklepów w Polsce. Byłem ich twarzą. A potem był hydraulik.

I w którymś momencie wszystko się załamało.

Zniknął pan z mediów.

Sam się wycofałem. Mniej więcej po dwóch latach. Zająłem się finansami. Jako doradca.

Dlaczego?

Modeling jest fajny, ale jest też mocno ryzykowny. Cokolwiek się stanie, wypadek, złamana ręka, przewróć się, rozetną twarz, to w tym momencie nie mam nic. A jeśli nie mam doświadczenia w innej pracy, to co?

Zaczynam od zera? Tak wtedy myślałem. Bardzo lubię modeling, ale to miał być etap przejściowy. Taki był plan.

Ten świat nie pochłonął mnie całkowicie. Raz, że chciałem być niezależny. Dwa, że nie chciałem ciągle słyszeć: „O! Hydraulik”. Dużo ludzi tak reagowało.

Ale całkowicie nie zrezygnował pan z modelingu.

On był cały czas, ale przestałem pojawiać się na castingach. Dostawałem konkretne oferty. Dziś robię reklamy dla jednej z sieciówek. Na Europę, nie na polski rynek, m.in. Czechy, Słowacja, Słowenia, Bułgaria, Grecja, Chorwacja. Współpracujemy już około pięciu lat. W międzyczasie reklama Milki i Fiordy, jako wiking, na rynki europejskie.

Za granicą?

Nie, w Polsce. Wszystkie reklamy kręcone są w Poznaniu. Zawsze to są jakieś koszulki, dzinsy, krótkie spodenki, buty. Czasem jest to reklama na rynek czeski, czasem za miesiąc podobne ubrania, ale na rynek grecki. Bywały stroje robocze. Zdarzyło mi się robić reklamę w stroju z Oktoberfest.

„Przepraszam, czy to ty byłeś tym hydraulikiem?”

Kiedy ostatni raz miał pan na sobie strój hydraulika?

Dwa lata temu, w czerwcu, znajomi zorganizowali dla mnie urodziny. Czworo znajomych, dwa małżeństwa, przyjechało w strojach hydraulika. W kartonie mieli strój dla mnie. Dokładnie taki sam, jak ten ze zdjęcia. Koszulka, te same przybory. Poprosili, żebym się przebrał, zrobiliśmy wspólne zdjęcie. Było wesoło.

To nieprawdopodobne, jak ten hydraulik cały czas się za panem ciągnie.

Tak, to cały czas żyje. Po tej reklamie wielu znajomych zaczęło do mnie mówić „Hydro”. Niektórzy pewnie do dziś tak mają mnie wpisanego w telefonie. Nie mam z tym żadnego problemu.

A zawodowo? Dziś trudno pana rozpoznać.

Krótkie włosy, broda.

Też się czasem zdarza. Teraz miałem taką sytuację. Zaczynam z kimś współpracę biznesową, mamy kontakt telefoniczny, rozmawiamy o kredytach, potem spotykamy się, by doprecyzować warunki współpracy, i pojawia się pytanie: Przepraszam, czy to ty byłeś tym hydraulikiem? To są zabawne sytuacje. Ale nie mają wpływu na moją pracę.

Ma pan ciągle ten strój?

Cały czas. I ten, który dostałem na urodziny, i ten oryginalny też. I jeszcze jeden, który dostałem podczas późniejszej kampanii, trochę fajniejszy niż ten oryginalny, bo był wygodniejszy.

Kiedy ostatni raz wkładał go pan jako model?

O, nie mam pojęcia. Na pewno 2010 rok. To była kampania Valvexu, firmy produkującej armaturę łazienkową, która wydłużyła się do 8 lat i skończyła we wrześniu ubiegłego roku. Szczerze to nawet nie wiem, być może jeszcze gdzieś w Polsce są jej billboardy widoczne, bo było ich kilkaset. Chyba wtedy ostatni raz byłem hydraulikiem.

Banki, kredyty, setki milionów

Od 15 lat jesteśmy w UE. Pana życie też dziś zupełnie inaczej wygląda. Co się zmieniło?

Zajmuję się finansami. Wcześniej było to pośrednictwo kredytowe przy kredytach hipotecznych, teraz wszelkie kredyty – gotówkowe, leasingi, firmowe, hipoteczne. Zaczynałem od doradcy, który dopiero się uczy. Studiowałem na SGH finanse i bankowość, w 2006 roku założyłem swoją działalność. Szybko zobaczyłem, że to mi się podoba. Ja to naprawdę lubię.

Kim są pana klienci?

Większość to firmy. Zdarzało mi się obsługiwać takie, które miały po kilkadziesiąt milionów złotych obrotów, nawet kilkaset milionów. Miałem też klienta, współwłaściciela spółki, w której obroty szły w miliardy. Ale klienci indywidualni też są. Wśród nich byli np. przedstawiciele mediów, ale osoby te trafiły do mnie przypadkowo, nie przez moją pracę modela. Chodziło o kredyty hipoteczne.

Wcześniej nie zajmowałem się kredytami poniżej 100, 200 tys. zł, ale teraz robię wszystko. Nie ma czegoś takiego, że jak ktoś potrzebuje 15 tys., to nie chce mi się do tego siadać. Czasami nie mam z tego nic lub tylko jakieś drobne, choć pracy jest tyle samo, co przy dużo większych zleceniach. Ale taka osoba za rok, dwa, może rozwinąć firmę i potrzebować dużo większego finansowania.

Nie znalazłam pana ogłoszeń, żadnej reklamy firmy.

Klienci najczęściej przychodzą z polecenia, nie z ulicy. A potem wracają.

A te firmy, to znane nazwy w Polsce? Duże spółki?

Tak. Ale nie mogę mówić o moich klientach. Niektóre np. zajmują się dużymi eventami. A ja analizuję, co np. bardziej im się opłaca. Czy korzystać ze środków własnych przy organizacji eventów, czy z banku, co przyniesie większy zysk. Czasem układam cały plan.

Co najbardziej lubi pan w tej pracy?

Rozwiązywać skomplikowane sytuacje, gdy wydaje się, że nie ma już rozwiązania. Gdy ktoś np. ma problem w jednym, drugim, trzecim banku. Ma problemy z płynnością w firmie. Nie bardzo wie, co zrobić.

Albo, co teraz jest częste, firma dobrze prosperuje, ale ktoś jej nie płaci. Mamy firmę, która wystawiła faktury na 200–300 tys. zł, ale nie dostaje zapłaty miesiąc czy dwa po terminie. Musi jednak zapłacić swoim wykonawcom, bo jeśli nie zapłaci, zaraz wpiszą ją do biura informacji gospodarczej, do KRD. A to utrudnia kolejne przetargi, bo żeby w nich startować, firma musi mieć czyste konto. Dlatego musi się zapożyczać.

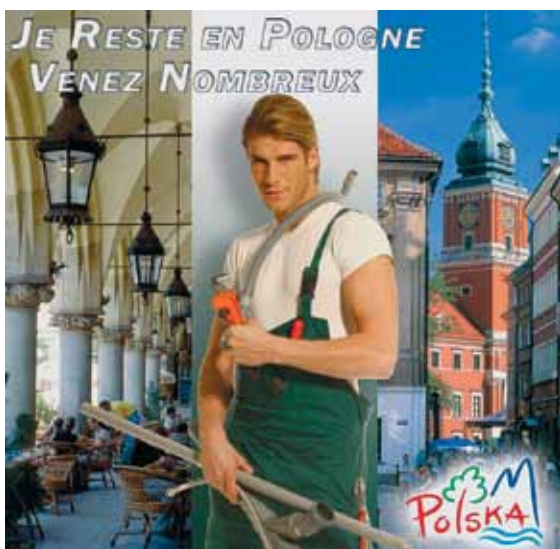
A czasem są sytuacje rodzinne, np. ktoś zachoruje, pojawia się nieplanowany duży wydatek. W finansach firmy powstaje luka, właściciel żyje w ciągłym stresie, bo ta sytuacja powoduje lawinę kolejnych zdarzeń. Jeśli ktoś z zewnątrz nie wzięłby tego w swoje ręce, to firma by padła.

Brzmi jak wyzwanie.

Bardzo lubię, jak coś takiego mi się uda. Bo ktoś ma świetny biznes, który świetnie się rozwija, a wystarczy kilka miesięcy i firma może upaść. Albo na przykład dzwoni klient, potrzebuje tyle i tyle pieniędzy do końca tygodnia. Do przetargu albo do zrealizowania ważnego projektu. Zaczynamy analizować. Co możemy zrobić, jakiś leasing, pożyczka? Bank? Inna instytucja finansowa? To są takie łamigłówki.

Teraz rozumiem, dlaczego w czasie naszych rozmów ciągle musiał pan sprawdzać nieodebrane połączenia.

Czekam na bardzo ważny telefon w sprawie klienta. Dla kogoś może to być albo nie być. Klient siedzi jak na szpilkach. A jak ktoś dzwoni o 13, a ja oddzwonię o 15, to już nic nie zrobimy. Mamy cały dzień stracony. Dlatego reaguję natychmiast.



Hejt mnie przeraża

Brakuje panu tego szaleństwa, które wtedy działo się wokół pana?

Nie. Nie jestem osobą nastawioną na tzw. fame. Nie mam Instagrama, nie prowadzę żadnego profilu.

Facebook?

Mam, ale bardzo długo nie miałem. Nigdy nie chciałem za bardzo uzewnętrzniać swojego życia prywatnego, nie chciałem robić ze swojego życia „Big Brothera”. Zawsze starałem się oddzielić pracę i pozostawić sobie strefę komfortu prywatności. Takiej, gdzie spotykam się ze znajomymi i mogę wyluzować bez zastanawiania się, czy za chwilę ktoś tego nie wrzuci do sieci.

Mam tak samo, więc dobrze rozumiem. Choć to niedzisiejsze.

Dla moich znajomych Facebook nie ma znaczenia. My mamy kontakt dosłownie codzienny. Rozmawiamy, spotykamy się prawie co weekend czy co dwa. Lubimy pograć w planszówki i inne gry. Wolę jechać do znajomych na działkę, zrobić ognisko, przejść się wieczorem wokół jeziora. Tak spędzamy czas.

Nie mam silnej potrzeby uzewnętrzniania tego, co jest u mnie, bo to niesie ze sobą zarówno dobre rzeczy, jak i złe. Wszechobecny hejt mnie przeraża, to powinno być karalne. Nie można kogoś uderzyć

na ulicy, to naruszenie nietykalności cielesnej. Ale naruszenie prywatności osobistej słowami już jest dozwolone. Tego nie mogę zrozumieć.

Po akcji z hydraulikiem spotkał się pan z hejtem?

Nie. Zdarzały się negatywne komentarze pod artykułami, ale do mnie nie docierały. Jakie to ma znaczenie, kto co powie?

Dziś dzięki mediom społecznościowym ta reklama mogłaby mieć dużo silniejszy odzew.

Zdaję sobie sprawę. Wtedy internet był jeszcze mało powszechny. Zdjęcie miało iść tylko na stronę Polskiej Organizacji Turystycznej. Najpierw było na nią około 100 wejść dziennie. To była era przed Facebookiem, Instagramem. Po trzech dniach był taki boom, że wejść na stronę było chyba ze trzy miliony. Informacja musiała być przekazywana pocztą pantoflową.

Nie było smartfonów. Wtedy były jeszcze kafejki internetowe, modemy i prędkość taka, że jakbym dziś miał taką w telefonie, tobym się załamał. Nie byłbym w stanie zrobić połowy tego, co dziś robię. Gdzie tam połowy. Jednej dziesiątej. Mam chyba największego smartfona, jaki jest, i on mi w pracy zastępuje laptopa. Piszę na nim, jestem połączony z komputerem, wszystkie dokumenty mogę otwierać, przysyłać. Jest to dla mnie dużo wygodniejsze. Obojętnie, gdzie jestem, biuro, drukarka – wszystko mam podłączone do smartfona.

Myślał pan o tym, że wszystko mogło potoczyć się inaczej?

Być może gdybym został we Francji. Niewykluczone, że również dzięki mediom społecznościowym. Przypuszczalnie dużo więcej kampanii mógłbym dzięki nim zrobić. Z tego, co dziś słyszę, mogłoby się to przełożyć 10 razy lepiej na moje finanse niż 15 lat temu.

W tym czasie zająłem się pracą, która mnie pochłonęła. Ale być może zrobię mały powrót, bo słyszę z różnych stron, że jest zapotrzebowanie na facetów w moim wieku. Gdzieś wewnątrz siedzi to we mnie. Trochę bym chciał, ale trochę też nie wiem, czy jest mi to potrzebne. Nie chcę, żeby miało to wpływ na powagę tego, czym zajmuję się zawodowo, żeby ktoś odbierał mnie mniej profesjonalnie.

A tak się zdarzało?

Nie, to siedzi w mojej głowie, że tak może być.



Halinka gotuje dla prezesa PiS

Tekst: Daria Różańska | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

– To bardzo wielki zaszczyt. Cieszę się, że prezesowi smakuje. Ale dla wszystkich robię tak samo – zarzeka się zestresowana, ale i dumna 70-latka. Kaczyńskiego na żywo nie widziała. A chciałaby, żeby kiedyś odwiedził ich lokal.



Smażony na smalcu schabowy z zasmażaną kapustą już został nazwany schabowym prezesa.

Kotlet prezesa

Centrum Warszawy. Z wielkiego billboardu uśmiecha się Patryk Jaki. Kawałek dalej przy Alejach Jerozolimskich 121 mieści się niewielki bar „Farszem nadziane”. Z siedziby Prawa i Sprawiedliwości przy Nowogrodzkiej 84 mają tu rzut beretem. Najwyżej pięć minut spacerem. To tu stołuje się prezes Jarosław Kaczyński. Gotuje dla niego Halinka. A ulubione danie – kotlet z zasmażaną kapustą i ziemniakami – na jego cześć niedawno nazwano schabowym prezesa.

– Bardzo duży ten kotlet – zaglądam przez ramię Halinki, która właśnie smaży schabowego prezesa. Tym razem nie dla Jarosława Kaczyńskiego.

– No duży, duży, w końcu to kotlet prezesa – śmieje się 70-latka. W dłoniach trzyma szczypce, którymi sprawnie obraca schab na drugą stronę. Oleju nie pożałowała. Ogień podkręciła. I pach: schabowy już wylądował na białym talerzu. Dłużej jej schodzi

z kapustą. Miesza i miesza, ale boi się, że będzie zimna. Wreszcie bierze widelec i kosztuje. Okazuje się, że kapustka potrzebuje jeszcze trochę czasu.

Zwykle Halinka to danie podaje z ziemniakami. – Ale jeszcze nie mamy, obierają się – rozkłada ręce. W końcu mamy dopiero 9 rano. W porze śniadaniowej na patelniach królują głównie jajka. Co rusz kelnerki schodzą do kuchni i wołają: – Pani Halinko, jajecznicę z trzech jaj na boczku poproszę.

Halinka smaży więc prędko, wie, że wszystko musi być na już, bo warszawiakom zawsze się spieszy. W międzyczasie drewnianą łyżką miesza mięso, które zaserwuje klientom na obiad.

Smażona kapusta albo buraczki

Kucharką targają różne emocje: od radości i dumy, że to jej dania je prezes, aż po stres, że coś się nie uda. Choć Halinka sama przyznaje, że „wszystko

ma w jednym paluszku”. Od kiedy „Super Express” opisał, że to ona gotuje dla prezesa, do baru przybývają wręcz pielgrzymki dziennikarzy.

Zaglądają do garnków, chcą, by zdradzić im przepis na słynnego schabowego prezesa. A w środę jedna z telewizji będzie się z nią „łączyć na żywo”.

Halinka tłumaczy, że dla wszystkich tak samo przygotowuje tego schabowego. – Normalnie rozbijam, przyprawiam pieprzem, solą, przyprawą do mięsa wieprzowego. Potem jajko, panierka, smalec i na patelnię. I smażymy, i przewracamy. Ważne, żeby był chrupiący, żeby nie był spalony, no i przede wszystkim, żeby smakował – wylicza.

Przerywa jej wokalista zespołu Weekend. „Dla ciebie żyję, teraz to wiem” – śpiewa Radek Liszewski, którego piosenkę Halinka ustawiła sobie na dzwonek. Szybko odbiera telefon i informuje, że nie może teraz rozmawiać.

– Telefony się rozdzwoniły. Wczoraj było to samo, mówiłam więc, żeby dali mi spać, bo rano do pracy wstaję. Gratulowali mi, synowa nazwała mnie gwiazdą. No jest mi miło – mówi Halinka, wracając do garnka z kapustą.

Schabowy nie zawsze podawany jest z zasmażaną kapustą. – Na przykład dzisiaj będą buraczki na gorąco. Różne surówki też do niego robimy, żeby się nie znudziło towarzyszom, którzy u nas jedzą i konsumują – rzuca Halinka.



Dalej będzie u nas jadł?

– Skąd właściwie wiadomo, że u was stołuje się prezes Kaczyński? – pytam właściciela restauracji. Media donosiły, że sam szef Prawa i Sprawiedliwości w knajpie się nie pojawia.

– Nie byłem świadkiem, że to nasze jedzenie ląduje na talerzu prezesa. Ale można się domyślić, bo przychodzą do nas jego ochroniarze albo kierowcy – bardzo mili faceci. Biorą jedzenie na wynos. Kiedyś zapytałem dla kogo to danie, to usłyszałem tylko, że nie mogą powiedzieć. Jesteśmy praktycznie po sąsiedzku – opowiada Mariusz, właściciel lokalu, który otworzył kilka miesięcy wcześniej.

Wtedy miał zostać zamknięty inny bar, w którym stołował się Jarosław Kaczyński. – Ta pani podobno mu nawet garmaż na święta robiła – dopowiada.

Mariusz jest zadowolony z każdego klienta, któremu tak posmakuje jedzenie, że postanawia wrócić do jego baru. – To bardzo miłe, że i prezes u nas je – przyznaje.

Ale są i obawy. – Pytanie tylko, czy dalej będą do nas przychodzić. Nie wiadomo, czy prezesowi się taka reklama spodoba. Przecież też nie jest tak, że prezes codziennie je schabowego – zapewnia.

W menu restauracji znajdują się tradycyjne polskie dania: pierogi, kotlet schabowy, wątróbka



Schabowy prezesa z zasmażaną kapustą kosztuje 20 złotych. Fot. Maciej Stanik/naTemat

drobiowa, żurek staropolski. Na śniadanie można zjeść na przykład jajecznicę.

– Prezes jadł od nas rybę, golonkę. Ale rybę to nie za mojej kadencji, może moja by mu bardziej smakowała? – zastanawia się Halinka.

Ona w „Farszem nadziane” pracuje dopiero od miesiąca. Na początku miała lepić pierogi, ale szef szybko się na niej poznał i mianował ją kucharką.

Halinka w gastronomii całe życie pracuje, dokładnie 36 lat. Jest samoukiem, nie skończyła żadnej szkoły kucharskiej. Zaczynała na Stadionie Dziesięciolecia, później było Corso, pierogarnia na Mokotowie czy bar mleczny „Średnicowy”.

Mimo 70 lat na karku nie brakuje jej sił i zapału do pracy. – Uwielbiam to, co robię – przyznaje szczęśliwa. – Dla mnie siedzenie w domu to jest choroba. Ja lubię pracować. Wstaję rano, ubieram się i wychodzę z zadowoleniem do swojej pracy.

Największą radość sprawiają jej zadowoleni klienci. – Często gotuje pani dla prezesa? – pytam. – Oni przychodzą tu codziennie i coś biorą. Ale wie pani, ja jestem na dole i nie wiem, co dokładnie. Prezesowi może akurat smakuje nasze jedzenie – dodaje.

Halinka chciałaby, żeby Jarosław Kaczyński zaszczycił ich swoją obecnością i zwiedził ich lokal. – No niechby zobaczył, jaka stara kucharka dla niego gotuje – żartuje.



„Farszem nadziane” – to tu czasami stołuje się prezes Jarosław Kaczyński. Po obiady wysyła ochroniarzy albo kierowcę.

– Jak prezes przyjedzie, oświadczy mi, żeby dla niego gotować, to oczywiście będę to robić – mówi z dumą. Jej się podoba polityka Kaczyńskiego i to, że „dał dzieciom 500+”.

Spróbować

Od kiedy gruchnęła wieść, że prezes jada w barze przy Alejach Jerozolimskich 121, wiele osób nabrało apetytu na schabowego. Pewien młody mężczyzna przyjechał aż z Bródna (dzielnica Warszawy – red.). Wysłała go 80-letnia mama.

Po schabowego prezesa najczęściej przychodzą ludzie starsi. Niektórzy wpadają tylko po to, żeby się rozejrzeć i zobaczyć, jak jest w środku.

Inni dzwonią i chcą, by podać im przepis na schabowego prezesa, ale pojawiają się też złośliwe komentarze.

Zainteresowanie niewątpliwie jest dla lokalu niezłą reklamą, choć można ten rozgłos uznać też za anty-reklamę.

– Nie jesteśmy lokalem żadnej opcji politycznej. Czy jak jakaś restauracja robi catering dla Putina, to znaczy, że się na nich obrażają? – pyta mnie właściciel lokalu. Dla równowagi wspomina, jak lata temu w jego restauracji stołował się Donald Tusk.

Halinka jest już zmęczona pozowaniem do kolejnych zdjęć. Dziwi się, kiedy fotograf odsuwa kwiatki, które ustawiono na stoliku.

– Pani Halinko, dzwonił z „Top Model” – żartuje właściciel lokalu.

– Mój syn jest fotografem w agencji i mówi, że od maluszków aż do starszych ludzi się fotografuje – mówi, kończąc jajecznicę, jedna z klientek.

– Słyszała pani, że tu się prezes Kaczyński stołuje? – zagaduję.

– Tu? Powiem szczerze, że mnie to nie cieszy. Ale każdy musi gdzieś jeść. Wyobrażam sobie, że jak Kaczyński przyjeżdża, to ta restauracja zamykana jest na cztery spusty. A Tusk po Brukseli bez ochrony chodzi – wytyka. I daje znać o swoich sympatiach politycznych, ale zapewnia, że do lokalu jeszcze wpadnie.



Pozują do aktów na ASP. Wiele godzin bez ruchu, ale nie za darmo

Tekst: Włodzimierz Szczepański | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Anna zsuwa sukienkę i kładzie się na sofie. Ma rubensowskie kształty. Po czwórce dzieci trudno wrócić do dawnej wagi. – Miałam podkurczoną lewą czy prawą nogę? – pyta malującego ją studenta Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

– Moja pierwsza pozycja była chrystusowa. Siedziałam oparta o sofę, ramiona rozłożone jak na krzyżu i złączone nogi. A studenci? Byli zadowoleni, że wreszcie model, który nie jest chudzielcem – śmieje się Anna. Pozowanie zaczyna o 9 rano, kończy po godzinie 12.

Po południu zaczyna kolejną sesję od godziny 14 do 18. – Siedzenie w bezruchu to wysiłek. Nierzadko schodzę na przerwę oblana potem. Na początku czuje się ból, potem odrętwienie, a potem już nic. Nauczyłam się sobie radzić. Koncentruję się na widoku za oknem.



Wyrównuję oddech. To dobra forma powrotu do sprawności – zapewnia. Dziś ma zajęcia ze studentami trzeciego roku. Jeszcze raz przeprasza za spóźnienie. – Aby ogarnąć czwórkę dzieci, w tym dwójkę bliźniąt, dom, to doba musiałyby mieć stanowczo więcej godzin. Poranki to walka – komentuje.

– Pochodzę z katolickiej, tradycyjnej rodziny. Jako grzeczne dziecko poszłam za głosem rodziców i wybrałam zawód przyszłości. Skończyłam informatykę – opowiada. 15 lat pracowała w korporacji. Firma przechodziła restrukturyzację, ona w kolejnej ciąży... – A do tego nie potrafiłam trzymać języka za zębami, gdy coś mnie irytowało w sztywno trzymającej się procedur korporacji. Nie kryłam również frustracji macierzyńskich – wyznaje.

Ciało tylko tworzywem

Znalazła się bez pracy. Przynajmniej na początku był to stan pozytywny, miała dość roboty przy czwórce dzieci. – Siedzenie w domu odbijało się na mnie. Do zawodu nie mogłam wrócić. 10 lat przerwy w informatyce to cała epoka, wypadłam z rynku

– tłumaczy. Próbowała zaczepić się w McDonald's, a potem w sklepie. – Przechodziłam kiedyś Krakowskim Przedmieściem i tak przyszło mi do głowy, że może pozować. Nie siedziałabym w domu, miała wreszcie do czynienia ze sztuką, a przy tym dostawała pieniądze – śmieje się i zaraz dodaje: – Choć nie o pieniądze chodzi. Nikt nie utrzyma z tego rodziny.

Model pozujący do aktu dostaje 12 złotych za godzinę. Trochę obawiała się reakcji męża na jej pomysł. – Ale stwierdziłam, jeśli kocha, to zrozumie. Dzieciom też powiedziałam. Odpowiednio do ich wieku – wyjaśnia. Tłumaczyła im, że robi to, aby studenci mogli dobrze nauczyć się swojego zawodu. – Ciało jest tylko tworzywem – dodaje Anna.

Nie dla pieniędzy

– Ktoś pytał mnie, czy nie podnieca mnie widok tych młodych studentek. Nie. Ja wykonuję swoją pracę. Jestem obiektem. Dlatego też nie miałem problemu z rozebraniem się – tłumaczy Adam. Przypomina sobie, że oficjalnie modelem został 9 kwietnia 2014 roku. Wówczas pozował z modelką. – Stałem pochylony nad nią,

a ona opierała głowę o kolano – opisuje. Ten 65-latek ma uszkodzony kręgosłup. Mimo to wytrzymuje godzinami w jednej pozycji. – Najgorsze dla mnie są te pozy stojące. Dziś będzie trudna, gdyż stoję na wąskim parapecie w pozycji, jakbym przepychał ścianę – wyjaśnia i wstaje, aby pokazać. Na każdą godzinę ma 15 minut przerwy. – Oczywiście, jak już nie wytrzymuję i drżą mięśnie, to mogę zrobić sobie chwilę oddechu – dodaje.

Jest bardzo drobnej budowy. Może to z powodu urazu, jaki przeszedł w dzieciństwie. Siedem lat spędził w szpitalu. – Przeszedłem przez piekło. Nigdy mamy nie zapytałem, co się wydarzyło, że miałem uszkodzone sześć kręgów. Nie chciałem wiedzieć – mówi. Przez lata pracował jako nauczyciel. Zapewnia, że także w sądzie, jako kurator. Od ponad roku pozuje dla studentów ASP. Jak twierdzi, w mury uczelni sprowadziło go zamiłowanie do sztuki.

– Chodziłem na zajęcia z grafiki do Instytutu Edukacji Artystycznej. Jestem człowiekiem licznych talentów, ale okazało się, że malarskiego jednak nie. Tam zaproponowano mi pozowanie. Wkrótce któryś z wykładowców mnie wypatrzył i przez Facebooka

zaprosił. Przychodząc tutaj, mam kontakt ze sztuką – mówi. Na rozmowę zabrał ważne dla siebie dokumenty. Legitymację Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, instruktora ju-jitsu, uprawnienia z ratownictwa.

Otwierają się drzwi do pracowni. – Proszę przejść dalej, bo na korytarzu omawiamy prace – mówi jeden z prowadzących zajęcia. Jego student ustawia obrazy pod ścianą. To pierwszoroczny adept malarstwa. Prowadzący dłuższą chwilę przygląda się pracom. – Powiedz mi kilka słów o sobie? Co cię tutaj sprowadziło? – zaskakuje żaka nieoczekiwanym pytaniem. – Studenci pierwszego roku mają większy problem z nagim ciałem. Nie wiedzą, jak reagować. Starsi studenci podchodzą już z pełnym profesjonalizmem – wracamy z modelem Adamem do rozmowy.

Lubi oglądać prace studentów, na których został uwieczniony. – Mam kilka w domu – dodaje. Najbardziej podoba mu się obraz, do którego pozował na drabinie. Siedział na niej nagi i trzymał flagę Unii Europejskiej. No i rzeźba, wówczas pozował tylko w płaszczu przewieszonym przez ramię. – To czasem zaskakujące, jak studenci potrafią interpretować



tę samą pozę modela – mówi z uznaniem. Ostatnio zaproponował, że może przychodzić wcześniej, aby studenci mogli dłużej pracować.

Prowadzący zajęcia tłumaczył jednak, że nie ma dodatkowych środków na nadgodziny. – Odparłem, że przecież i tak nie z powodu pieniędzy tutaj przychodzi – wzrusza ramionami. Jak zareagowali bliscy na jego pozowanie na ASP? Tłumaczy, że nie musiał przejmować się opinią bliskich. Jest rozwiedziony. – A syna po prostu poinformowałem o pozwaniu – dodaje. Adam musi wracać na zajęcia. Sala jest pełna, to typowe na zajęciach dla pierwszaków. Zdejmuje kimono, którym okrywa się podczas przerw w pozwaniu. Powoli wchodzi na parapet. Opiera się o ścianę. Nieruchomieje.

Mamie się podobały

– Jestem aktorką, fotomodelką – Adrianna gdy mówi, potrząsa włosami. Ma się wrażenie, że rozmawia się ze znacznie młodszą niż 40-letnią kobietą. W kącie pracowni stoją jej buty połyskujące cekinami. – Startowałam w wyborach Miss Warszawy w 2001 roku – wylicza. W domu ma kilka obrazów, na których została uwieczniona. – Mamie podobały się obrazy ze mną. Nie miała nic przeciw mojemu pozwaniu. Moja chrzestna jest malarką i podobał się jej pomysł, abym chodziła do Akademii – dodaje. Adrianna musi wcześnie wstać, aby dojechać na uczelnię. Do Warszawy ma ponad 150 km. – Dzisiaj pozuję 12 godzin. Tutaj i w szkole Lindy – wyjaśnia. Wytrzymuje tyle godzin, bo jak zapewnia, chodzi na zajęcia taneczne i fitness. Do ASP trafiła dość nietypowo, bo z planu teledysku. – Nagrywałam dla grupy popowej. Nazywała się... Nie pamiętam już. Tam występował model, który pozował na uczelni i zaproponował, abym przyszła – dodaje.

W Akademii Sztuk Pięknych pozuje od 2013 r. – Jest fajnie. Pani Elwira bardzo fajną pozę wymyśliła – pokazuje, jak siedzi wygięta. Często pozuje nago do aktu. Nie przeszkadza jej, że na zajęciach tyle osób patrzy na nią. – Lubię tutaj przychodzić, bo jest tu dobra atmosfera. Wykładowcy niezwykle uprzejmi – opowiada i po chwili zastanowienia dodaje: – Niech pan napisze, że zachęcam do studiowania na ASP. Niezwykła uczelnia.

Musi mieć coś

Student Staś kończy szkic, do którego pozowała Adriana. Siedziała na krześle z podkurczoną nogą. – Kiedyś rysowałem modela Grzesia. On się ciągle ruszał – śmieje

się Stasiu. Na szkicu odzwierciedlił sylwetkę modelki z przodu. – Ale koledzy to robią piękne rzeczy – pokazuje prace innych studentów z grupy. Ta sama modelka, ale ujęcie sylwetki i wykonanie zupełnie inne.

Jest przerwa. Na korytarzu Adam rozmawia z asystentem o swojej pozie. Pokazuje mu, jak skręca stopę. Po chwili z pracowni wychodzi Jacek, student trzeciego roku. – Myślę, że malarstwo wciąż ma siłę i głęboki wyraz – przekonuje. Zakradam się za nim do pracowni. Jacek na płótno nakłada podkład. Naszkicował twarz Anny i ramiona.

Przed laty w tej pracowni sztuki uczył się obecny dziekan Wydziału Malarstwa ASP, Tomasz Milanowski. – W latach 90., gdy tych środków na zapłacenie było mniej, to zdarzało się, że trafiały tutaj osoby przypadkowe. A potem znikwały na przykład w połowie roku czy nawet w trakcie zajęć dostawały ataku schizofrenicznego słowotoku – wspomina dziekan. Teraz selekcja jest większa, ale odbywa się w sposób naturalny. To studenci wybierają. – Jeśli model będzie osobą nieodpowiednią, to powolutku studenci wykruszają się z takich zajęć, aby malować innego pozującego. Mamy wieloletnich modeli, których studenci uwielbiają. Dobry model musi coś w sobie mieć, jakiś charakter, aby to można było wydobywać – podkreśla Tomasz Milanowski.

Droga ku wolności

Anna zsuwa sukienkę i kładzie się na sofie. Ma rubensowskie kształty. Po czwórce dzieci trudno wrócić do dawnej wagi. – Miałam podkurczoną lewą czy prawą nogę? – pyta malującego ją Jacka. Student przygotowuje kolejną partię farby. Decyzja o pozwaniu była dla niej przełomem w życiu.

– Miałam zawsze niski próg bólu. Rezygnowałam z wysiłku w obawie przed bólem. Teraz mogę wszystko – zapewnia. Propozycja pozwania pojawiła się też w odpowiednim momencie życia. – Znowu stałam się kobietą. Nagle moje ciało nabrało cech. Usłyszałam o nadgarstku. Że mam szyję, udo. Zawsze byłam krytyczna wobec siebie, teraz się zaakceptowałam – przyznaje. Zdobywa się na głębsze wyznanie, Anna od lat pisze wiersze i być może prace studentów warszawskiej ASP, do których pozowała, staną się oprawą cyklu zatytułowanego... – „Obnażenie”. – To cykl wierszy pisanych przez lata o dojrzewaniu i trwającej ciągle przemianie człowieka. Zrzucam w nich kolejne warstwy, które mnie kształtowały, a zarazem krępowały, jak ubranie na zajęciach z malarstwa – tłumaczy Anna.



„Jestem ostatnim krewnym i obrońcą Adolfa Hitlera”

Tekst: Daria Różańska i Mateusz Marchwicki (współpraca) | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Antyfaszysta, „wojownik wolności”, który nie chce wstąpić do partii nacjonalistycznej – tak o sobie mówi Romano Lukas Hitler, który uparcie twierdzi, że Hitler był jego wujem. I nie popełnił zbrodni przeciw ludzkości.

– Musicie minąć most graniczny w Zgorzelcu. Nie pomylicie z tym na autostradzie. Jak już będziecie, to na domofonie trzeba wcisnąć guzik z nazwiskiem Mucha – instruuje Romano Lukas Hitler. Kilka dni wcześniej szczylił się swoim nazwiskiem i nie krył dumy, mówiąc, że jest krewnym Führera. – Nie chcę, żeby sąsiedzi wiedzieli, że mieszka tu Hitler, wie pani, jak jest – tłumaczy się przez telefon.

Nie ma lekkiego życia ze swoim nazwiskiem. – Ludzie sobie nie zdają sprawy, że to jest takie dźwiganie krzyża. Gdy mówię komuś, jak się nazywam, to od razu muszę pokazywać dowód osobisty. Najgorzej, jak rozmawiam z kimś przez telefon, to myślą, że jestem stuknięty albo że sobie żarty robię – żali się. Szczęścia nie ma też do przyjaciół, kobiet, pracy. – Ja nie umiem mieć przyjaciół. Nigdy nie miałem, od dziecka. I tak

samo z kobietami – mówi Romano. – Nie prościej byłoby zmienić nazwisko? – pytam wreszcie. – Nie chcę tego zrobić. Adolf jest jedynym krewnym z rodziny, który mi pozostał. Czułbym się jak zdrajca, że tak swojego wujka potraktowałem. Właściwie wszyscy są przeciwko niemu, a ja jeden go bronię. Jestem takim ostatnim jego obrońcą – upiera się.

Z Warszawy do Görlitz mamy ponad 500 kilometrów. Po drodze mijamy polski Zgorzelec. To tutaj na spacer czy zakupy udaje się Romano. Jest taniej. Poza tym może zabić czas. W przygranicznym polskim miasteczku jesień już pełną gębą: leje deszcz, a na szybę co chwilę opadają kolorowe liście.

10 minut później jesteśmy już po niemieckiej stronie. 67-letni Romano Lukas Hitler mieszka przy samym wjeździe do miasta. Przedwojenna, ale zadbane kamienica przy Am Standstrasse dumnie się prezentuje. W środku są mieszkania socjalne. Sąsiadami Romano są głównie studenci i uchodźcy. Ale jemu to nie przeszkadza, popiera przecież Angelę Merkel. Zgodnie z instrukcją na domofonie szukamy nazwiska Mucha. Nikt nie odpowiada, choć okna w mieszkaniu Romano Hitlera są uchylone. Parę minut później przed nami stoi niewysoki, krępy mężczyzna. Ani trochę nie przypomina Adolfa Hitlera. Na pierwszy rzut oka ich jedyną wspólną cechą są niebieskie oczy. Zmęczyły go te schody. Kaszle i szeroko się uśmiecha. Wykonuje obie te czynności jednocześnie. Wita nas i zaprasza na górę. Jest zaferowany i podekscytowany.

Adolf i Adolfina

Mieszkanie jest skromne, choć Romano chwali się, że to ponad 100 metrów kwadratowych. Dwa pomieszczenia, łazienka i niewielka kuchnia. Przygotował się do naszej wizyty. W gabinecie czeka suto zastawiony stół i cztery krzesła. Na blacie starannie rozłożył słodycze: babeczki, pierniki, wafle. W równym rzędzie postawił napoje: wodę, colę i wódkę. Od razu zaznaczył, że kierowca tej ostatniej pić nie może. Prawie wszystkie produkty kupił w polskim markecie. Taniej wychodzi, a jemu przecież wcale się nie przelewa. Zapalił też świecę. Przygotował popielniczkę. I wyciągnął cygara. – Kto chce papierosa, niech próbuje – rzucił. Każe nam się czuć, jak u siebie. Na początek proponuje kawę. Wreszcie siadamy do stołu. Romano prosi, by mówić do niego głośno i powoli.

Nasza czterogodzinna rozmowa ma pewien rytm. Zaczynamy od błahostek, kończymy na tematach, które

powodują, że Romano wstaje z krzesła. Ożywia się, kiedy pytam o tatuaż, który ukrył pod czarną chustką. Na czubku łysej głowy ma wytatuowanego lwa. To dzieło znajomego nauczyciela. Romano opowiada, że wszystkie włosy stracił jednego dnia. Na dowód, że nie od zawsze jest łysy, pokazuje zdjęcia z bujną czupryną. Ale oprócz tych włosów to na zdrowie nie ma co narzekać. – Bóle finansowe tylko przeżywam – śmieje się. Nie sprzedaje się jego książka „Chochliki w Uhlerborn”. A sam zapłacił wydawnictwu Poligraf za jej wydanie.

– On w tej publikacji twierdzi, że odwiedziły go osoby z innej planety – mówi Klaudia Drózdź, która odpowiadała za opiekę redakcyjną. Odebrała od Hitlera wiele maili, w których nie omieszkiał jej poinformować o swoim krewnym. Braki w słownictwie i ortografii tłumaczył brakiem szkoły, do której nie mógł chodzić z powodu nazwiska. – Rzeczywiście ta książka jest źle napisana – słyszę. Choć do samego Romano Drózdź nie ma najmniejszych zastrzeżeń. – Był bardzo miły i bezproblemowy w kontakcie. Musiałam tylko czekać na odpowiedź, gdy był w rejsie (Romano jest sternikiem – red.) – dodaje. Na wydanie wciąż czeka kilka innych książek, które zalegają w szufladzie jego biurka. Ustawił je pod ścianą.

Na pobielonych ścianach wiszą portrety. Z prawej strony, tuż nad łóżkiem Romano, patrzy na nas Adolf Hitler i Angela Merkel (Romano nazywa ją Adolfiną), tuż pod nimi odwrócona niemiecka flaga. Na wprost Osama bin Laden. Po lewej stronie znajoma twarz generała Wojciecha Jaruzelskiego, kilka plakatów Władimira Putina (którego zresztą listownie zaprosił do Görlitz) i Joseph Ratzinger. – Wszystkie te postacie mają związek z historią świata. Ja ochraniam je przed zapomnieniem – stwierdza z dumą, kiedy zaskoczona pytam, dlaczego ci wszyscy ludzie zajmują jego ściany. Romano patrzy im prosto w oczy i opowiada: – Adolf ma związek ze mną, Adolfina jako taki. Znam ją, od kiedy miała 13 lat. Osama bin Laden zrobił blamaż dla Ameryki. Jaruzelski był kolegą – wylicza. Za moment stwierdza, że widzi podobieństwo między sobą a Angelą Merkel. – Ona przeżyła to samo, co ja, tylko że miała rodziców – mówi.

Porzucony

Wyciągam zeszyt i proszę siedzącego przy czarnym drewnianym stole Romano, by rozrysował swoje drzewo genealogiczne. Ostatecznie na kartce sama zapisuję i na głos odczytuję: ojciec Adolfa, czyli Alois, plus Klara, jego matka. Potem gałąź w postaci strzałki, czyli Adolf i jego rodzeństwo. Oddaję głos



Romano, chcę by wskazał swoje miejsce. – Informacja, że jestem krewnym Adolfa, sama do mnie przyszła – zastrzega. – Mój dziadek był młodszym bratem Aloisa. Potem mój ojciec Paul (ur. się w 1926 roku w Austrii) i matka Martha (ur. się w 1926 roku w Thüringen). To wszystko wiem z klasztoru – precyzuje. W książce „Geil Hitler” Raimund Pousset pisze, że dziadek Romano miał być przyrodnim bratem Aloisa. „Jego dziadek miał mieć tę samą matkę, ale innego ojca. Jego babką miała być Fanny Matzelsberger” – informuje Pousset. Piszę do niego. Radzi, by skontaktować się z polskimi urzędami, czego jemu nie udało się zrobić. Prosi, by po wizycie u Romano podzielić się wrażeniami.

Romano Lukas Hitler recytuje, że urodził się 6 września 1950 roku w Sorau, czyli w Żarach. To niewielka miejscowość w okolicy Zielonej Góry, na mocy postanowień konferencji w Poczdamie w 1945 roku została przyłączona do Polski. Tak też zapisano w jego niemieckim dowodzie osobistym. Ale ani w Urzędzie Stanu Cywilnego w Żarach, ani w Państwowym Archiwum w Zielonej Górze nie ma śladu po Romano Hitlerze i jego przodkach. Być może zmienił nazwisko. To wymagałoby dokumentów poświadczających jego pokrewieństwo z Adolfem Hitlerem.

Adwokat specjalizujący się w niemieckim prawie tłumaczy nam, że niełatwo zmienić nazwisko w tym kraju. Musi istnieć „ważny powód”. – Pojęcie to nie jest przy tym ustawowo zdefiniowane, lecz pozostawione

do oceny właściwego urzędu. Praktyka urzędów jest w tym zakresie raczej restrykcyjna – mówi Jacek Franek. A samo postępowanie zmiany nazwiska – skomplikowane. – Osoba wnioskująca jest sprawdzana w różnych urzędach i instytucjach, np. rejestrze dłużników, sądzie właściwym dla miejsca zamieszkania, prokuraturze, policji, by ustalić, czy chęć zmiany nazwiska nie jest podyktowana innymi powodami niż jego niewłaściwe brzmienie – rozwija adwokat Jacek Franek.

67-letni Romano Hitler powtarza, że jego rodzice zostali zamordowani, gdy miał zaledwie 6 lat. Wszystkie dokumenty poświadczające, że Adolf jest jego wujem, zostały w klasztorze, a potem miały zginąć. – Wojna rozrzuciła wszystkich. Moja mama pochodziła z Weimaru, tam mieszkała cała jej rodzina. Ludzie nie wiedzieli, że jest inne państwo niż DDR. Nagle uświadomili sobie, że są w klatce i nie mogą się ruszyć. A jeszcze moi rodzice nazywali się Hitler, dlatego żyli pod pseudonimem. Nie pamiętam jakim – mówi Romano.

Czekali sześć lat po wojnie, by ktoś z rodziny matki się z nimi skontaktował. Ale cisza. Ruszyli więc dalej. – Ojciec chciał jechać do Austrii, ale granice były szczelnie zamknięte. Mama dogadała się z Rosjanami, którzy przewieźli nas ciężarówką do Czechosłowacji. Doszliśmy do Bratysławy – opowiada.

Droga była niebezpieczna, dlatego postanowili, że Romano zostanie w międzynarodowym klasztorze

franciszkanów w Bratysławie. Rodzice mieli pojechać do Austrii, wyrobić papiery i wrócić po syna. Ale nigdy więcej ich nie widział. Jest przekonany, że zginęli. Nie widzi innego wytłumaczenia, dlaczego mieliby go porzucić.

Romano nie może przypomnieć sobie twarzy rodziców. Ale szczególnie dobrze zapamiętał dwa wydarzenia z dzieciństwa. Kiedy bezpiecznie zasypiał w środku dużego drewnianego łóżka. Po jednej stronie miał mamę, po drugiej – tatę. Później z sentymentem wracał do tego miejsca, ale zamiast jego domu stał budynek straży pożarnej. Drugie wspomnienie, które wryło się w pamięć, ma związek z futrem z królika, które mama uszyła mu na zimę. Ojciec był palaczem w domu starców albo szpitalu. Matka – pielęgniarką. – Byłem u taty w pracy. Bawiłem się węglem i wróciłem cały czarny. Była o to wielka awantura.

Hitler – syn Żydówki

Miał 6 lat, gdy zamieszkał w klasztorze w Bratysławie. Był jedną z 15 sierot wojennych, ale jako jedyny musiał się ukrywać. – W końcu byłem Niemcem z nazwiskiem Hitler – wtrąca. Zasywał się w wieży klasztoru. – Przesiedziałem tak rok. Uczyłem się pisać, poznałem trochę czeski. Musiałem służyć do mszy. Miałem przyjaciół – zawieszają głos. I po chwili precyzuje, że chodzi mu o gołębie. Wspomina, że rozpoznawał je już w locie. Po roku zjawili się rodzice zastępczy: Polka żydowskiego pochodzenia i Niemiec (Romano twierdzi, że Czech). – Mieli 15 dzieci do wyboru. Dokładnie wiedzieli, kim jestem, i proszę sobie wyobrazić, że ona – Żydówka, która straciła całą rodzinę podczas wojny, wzięła właśnie mnie. Zapamiętał, że ojciec był architektem budowy maszyn, a matka prawniczką. W książce Pousseta jest nieco inaczej: Janina miała kierować szkołą dla sekretarek.

Mówił na nią ciocia. Ona też miała być sierotą. – To moja najlepsza przyjaciółka, więcej niż mama – mówi. Grała na skrzypcach i bardzo chciała, żeby został prawnikiem. Ale kiedy Romano miał 18 lat, kobieta miała popełnić samobójstwo. A on udał się w dalszą podróż. Tym razem do NRD. – Jan zapytał, co dalej. Odpowiedziałem, że jedyne, co mi pozostało, to wrócić do DDR (Romano uparcie używa nazwy DDR, nawet w odniesieniu do obecnych Niemiec – red.). Był 1968 rok. Ojczym zawiózł mnie do Berlina. A tam szok, że nagle przyjeżdża Hitler. To jakby do Watykanu przyszedł diabeł Lucyfer. W Niemczech odbyła się sprawa sądowa. Z klasztoru wysłano moje dokumenty do Rostocku. Tam były ruskie koszary, a w nich służba bezpieczeństwa. Od razu ochrztili mnie na chłopaka okrętowego – mówi radośnie.

– Popłynęliśmy dookoła Antarktydy, by szpiegować amerykańskie statki podwodne – opowiada z pasją w głosie. Pokazuje nam papiery sternika. – Wtedy każdy klasztor był dla mnie otwarty, oprócz tego pływałem – chwali się.

„Adolf był marionetką”

Kiedy z tematu życia Romano przechodzimy do Adolfa, zaczyna robić się nieco nerwowo. A to dlatego, że bez ogródek mówię, że Adolf Hitler był zbrodniarzem wojennym, odpowiedzialnym za śmierć wielu ludzi, przywódcą NSDAP, autorem „Mein Kampf”. Nie podoba mu się także rewelacja, że – według danych z zeszłego roku – na świecie żyje 39 osób spokrewnionych z Adolfem Hitlerem. Paweł Łepkowski na łamach „Rzeczpospolitej” opisał, że najbliżsi krewni lidera NSDAP mieszkają w Stanach Zjednoczonych. To synowie Williama Patricka Hitlera, bratanka Hitlera: Louis,



Brian i Alexander Stuart-Houston. Wszyscy trzej lata temu postanowili, że nigdy nie będą mieć dzieci, by nie „rozmnążyć” genów stryjecznego dziadka.

Romano absolutnie się z tym nie zgadza. A sprzeciwu nie lubi. Gdy odpieram jego argumenty, zaczyna podnosić głos. Co chwilę przerywa i popija wodę. Wstaje i żywo gestykuluje. – Jak słyszę, że Adolf jest autorem „Mein Kampf”, to no nic tylko walnąć się w łeb. Przecież on był analfabetą. Nie umiał ani pisać, ani czytać. To jest po prostu praca zbiorowa NSDAP. Wiem to od profesorów historii – utrzymuje.

Kiedy dopytuję o ich nazwiska, krótko ucina, że pracują w muzeum regionalnym. Na tym nie kończy. Nadal głosi swoją prawdę, której przeczą fakty historyczne. Twierdzi na przykład, że Adolf Hitler został pochowany w Polsce, a w 2000 roku jego grób przeniesiono do Niemiec. Poza tym Romano upiera się, że jego wuj miał wcale nie popełnić samobójstwa i nie wziąć ślubu z Ewą Braun.

– Skończyła się II wojna światowa. Każdy obwinia za nią Adolfa. Ja jestem Niemcem, pani jest Polką. II wojny światowej nie da się zapomnieć i trzeba o niej mówić. Adolf stał się symbolem tego zła. Mówi się hitlerowskie wojska, hitlerowska wojna. To już nie Niemcy, a Hitler. A na Adolfa nie było żadnego wyroku. NPD (Narodowodemokratyczna Partia Niemiec) bardzo zależy na tym, żebym do nich wstąpił. Czy pani wierzy w to, że oni daliby mi rządzić swoją organizacją? Oni potrzebują faceta, na którego nazwisko będą to wszystko robić. A ja nie miałbym tam nawet nic do powiedzenia. Tak samo nie miał Adolf – zawile tłumaczy.

Nie dopuszcza mnie do głosu. Wymachuje rękoma. Instynktownie odsuwam się. Pytam więc wprost, kto – jego zdaniem – ponosi odpowiedzialność za II wojnę światową. – A czy pani wierzy, że gdyby Adolfa nie było, to nie byłoby II wojny światowej? – zagaduje Romano.

67-latek za cel postawił sobie jedno: by do mediów przedostała się jego prawda o Adolfie Hitlerze. – Adolf żyje jako druga strona Jezusa, jako diabeł. Zawsze jak mówi się o II wojnie światowej, to najpierw mówi się o Adolfie. Jeśli się okaże, że on nie miał z tym nic wspólnego, to on przestanie ludzi interesować. To jakby zabić pamięć o nim. Jeden z dziennikarzy zapytał mnie, dlaczego tym, co mówię o Adolfie, chcę zabić swojego wujka – rzuca.

Nie przerywa swojego słowotoku. – Na pierwszym miejscu jest Jezus, drugi jest Adolf. No, a kogo pani widzi bardziej sławnego i znanego na całym świecie? – pyta oburzony Romano. – Chociażby Jan Paweł II – rzucam. – Na trzeciej pozycji – poprawia mnie Romano. – Jan Paweł II jest ważny, ale Adolf sławniejszy. Tego papieża już się nie da wyrzucić z historii. A Adolfa się da. I to jest moim marzeniem, żeby jak najszybciej zszedł z kart historii – mówi Romano.

Nie jestem „hobby Hitler”

Proszę Romano, by powściągnął emocje i przestał krzyknąć. Uspokaja się i znów ma twarz uprzejmego starszego pana. – Tak po prostu mówię – tłumaczy się. Adolf jest dla niego bardzo bliską osobą, bo „tylko jego tak naprawdę ma”. – Po drugie, on po prostu cierpi za grzechy innych. On był marionetką, nie miał nic do powiedzenia – powtarza swoje.

Romano oburza się, kiedy sugeruję, że nie ma wystarczających dokumentów poświadczających, że jest krewnym Adolfa. – Nie jestem „hobby Hitler”, proszę panią – tryska złością. – Od 17 lat mówię, że Adolf był moim wujkiem. I nikt nie stwierdził, że się mylę. Nie mam interesu kłamać. Niech ktoś przyjdzie i mi powie, że się mylę, będę mu za to wdzięczny – zapewnia.

Na drogę powrotną Romano wciska nam słodycze. Fotograf dostaje pamiątkowe zdjęcie Romano. Mnie przekazuje folder z fragmentami swojej książki, której nikt nie chciał wydać. Ma nadzieję, że ten reportaż pomoże mu znaleźć wydawcę i sprawi, że sprzedaż „Chochlików...” wzrośnie. Ma jeszcze jeden niecny plan. – Tylko proszę pamiętać i napisać w tekście, że szukam dziewczycy, która urodzi mi Adolfa – krzyczy, wychylając się z wielkich drzwi. – Na pewno wiele pań się do mnie zgłosi – rechocze, widząc moją minę.

* Po powrocie poprosiliśmy Romano o wysłanie aktu chrztu, nazwy zakonów, w których miał przebywać. Ale szybko odpisał, że byliśmy ostatnią redakcją z Polski, którą u siebie przyjął. I rzucił w mailu, że temat jest dla niego zamknięty i na żadne kolejne pytania nie odpowie.

** O Romano Lukasa Hitlera zapytaliśmy także w urzędach w Görlitz. Odpowiedzi do czasu publikacji tekstu nie otrzymaliśmy.

*** Co oczywiste, ani redakcja, ani autorzy tekstu nie utożsamiają się z poglądami bohatera. To jedynie opis historii człowieka.



M I E J S C A

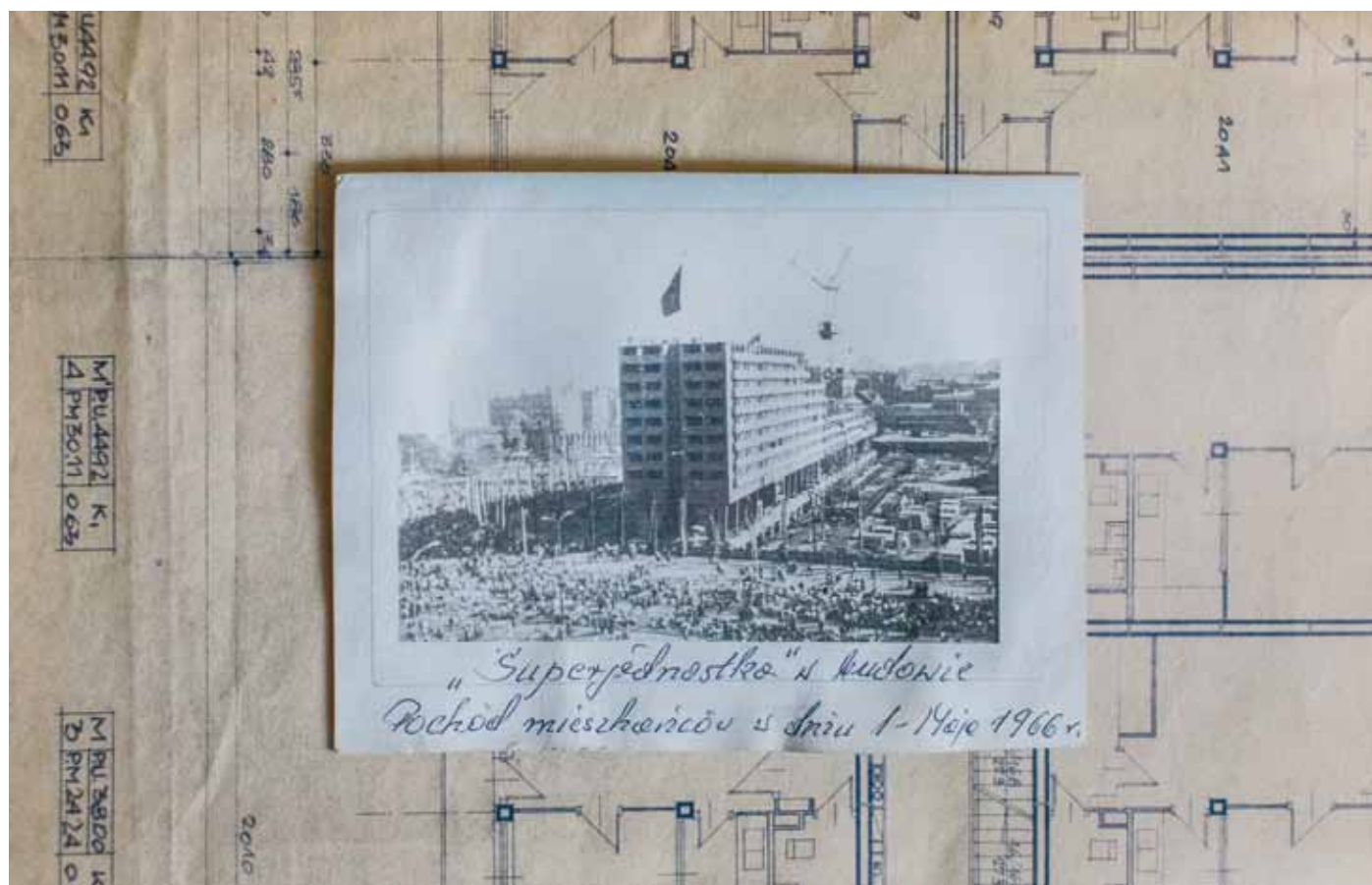


Best of naTemat

To miał być blok bez kuchni w mieszkaniach. Tak się żyje w Superjednostce

Tekst: Tomasz Ławnicki | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

„Mieszkam na 3. piętrze, więc windą jadę na 2. i potem dalej schodami. A tak w ogóle to to jest 5. kondygnacja”.



Na 14. piętrze miała być wielka stołówka dla wszystkich mieszkańców. Więc po co komu kuchnia? To miały być mieszkania do mieszkania. Nie po to, by w nich gotować i jeść. Socjalistyczne państwo miało zadbać o to, by nikt nie musiał stać nad garami. I by każdy na talerzu dostał to samo. Po równo.

Właśnie mija pół wieku, odkąd w centrum Katowic do użytku oddano Superjednostkę – potężny blok na blisko 800 mieszkań, czyli parę tysięcy mieszkańców. Nazwa ogromnego budynku to niejako skrót wymyślony od określenia „skomasowana jednostka mieszkaniowa”, jaki można znaleźć w starej dokumentacji wielkiego klocka. Klucze wręczano stopniowo, bo i stopniowo kończono budowę poszczególnych segmentów. Część mieszkańców sprowadziła się jeszcze w 1968 r., część w roku następnym.

Tu wszystko było socjalistyczne, poczynawszy od adresu. Blok stanął u zbiegu Dzierżyńskiego i Armii Czerwonej. Na dachu miał ogromny napis:

„Nasze serca, myśli, czyny tobie socjalistyczna ojczyzno”.

No i mieszkańcy w znacznej mierze nie byli raczej przypadkowi. Nie jest tajemnicą, że wiele osób dostało tu swoje wymarzone M według klucza partyjnego. Niektórzy jeszcze długo żyli tak, jakby się nie zmienił ustrój.

– To się działo 10 lat temu, gdy podczas docieplania budynku zmieniano kafelki na balkonach. Był jeden taki mieszkaniec, który jeszcze wtedy stawiał opór, powołując się na koneksje w PZPR. Mówił, że on był u Jerzego Ziętka i towarzysza Ziętka osobiście pozwolił mu na położenie kafelków innych, niż mają pozostali mieszkańcy. Więc on się nie zgadza na to, by mieć inne kafelki i koniec – opowiada kierownik administracji osiedla Weronika Sikora.

Wszyscy znali też samotną panią Jadzię, która zmarła parę lat temu. Ludzie nazywali ją „Czerwonym Kapturkiem”. Nie tylko dlatego, że lubiła nosić czerwony kapelusz i czerwony szalik. Ona naprawdę gorliwie wierzyła w socjalizm i tą ideą „ewangelizowała” otoczenie. Na stare lata było z nią trochę kłopotów, bo w tym swoim czerwonym stroju lubiła wyjść na główne rondo w mieście nieopodal Superjednostki i tam kierować ruchem samochodów.



Mrówkowiec, termitiera – tak nazywana jest często Superjednostka. Wewnątrz prawdziwe labirynty korytarzy.



Balkon przy balkonie, przy balkonie balkon. I tak w sumie prawie 800 mieszkań.

– W tym bloku mieszkało i mieszka wiele ciekawych osób, w tym całkiem sporo z jakimś upośledzeniem intelektualnym. Może to dlatego, że mieszkańców jest aż tylu, więc w takiej dużej populacji musi wystąpić więcej osób z jakimiś dysfunkcjami. Niby wynika to po prostu z rachunku prawdopodobieństwa, ale to oznacza, że pod jednym dachem mieszka znacznie więcej schizofreników czy autystyków niż w innych blokach – mówi pani Grażyna, która przymierza się do napisania książki o Superjednostce. Ale nie o samym budynku i o tym, co w nim faktycznie jest super, ale właśnie o niezwykłych ludziach, którzy tu mieszkają.

– To zawsze był taki trochę ekskluzywny budynek. Tu mieszkało wielu lekarzy, pisarzy, dziennikarzy. Z czasem to się jednak zmieniało, bo – co tu kryć – te mieszkania to klatki. Gdy rodzina się rozrastała, wiele osób decydowało się na sprzedaż i przeprowadzkę – opowiada pani Grażyna, która sama za-

mieszkała przy Armii Czerwonej (dziś Korfantego) w 1982 r. I zdecydowanie zaprzecza, jakoby mieszkali tu sami czerwoni, wspominając choćby słynną śląską opozycjonistkę Teresę Baranowską.

W 1981 r. na 1 maja na swoim balkonie na 5. piętrze Baranowska wywiesiła ogromny transparent z napisem „Wolność dla więźniów politycznych”. Wszyscy, którzy przechodzili dołem w pierwszomajowym pochodzie, musieli widzieć ten napis. Bezpieka się wściekła, latali tu wszędzie po korytarzach, próbując się dostać do jej mieszkania.

To usytuowanie mieszkania opozycjonistki mocno wówczas utrudniło robotę SB-kom. Balkon przylegał do takiego korytarza, do którego nie było dostępu. Obok zaś mieszkała sąsiadka, która akurat wyjechała do Niemiec.

Pani Grażyna, gdy zaczyna opowiadać, jak trafić do jej mieszkania, ma kłopot z objaśnieniem.

Dlatego, jak ktoś do niej przychodzi pierwszy raz, sama schodzi na dół, by zaprowadzić do celu. – Mieszkam na 3. piętrze, więc windą jadę na 2. i potem dalej idę schodami. Ale tak w ogóle to to jest 5. kondygnacja – tłumaczy. Jak to możliwe? W tym bloku de facto nie ma ani parteru, ani 1. i 2. piętra. Na zwykłej wysokości piętra 3. w Superjednostce jest piętro techniczne i dopiero potem zaczynają się kondygnacje z mieszkaniami.

Niemal na każdym kroku w budynku natrafia się na coś zadziwiającego. Na przykład – ściana grzewcza. Bo w Superjednostce kaloryfery są tylko na niektórych korytarzach. No, czasami można je spotkać w mieszkaniach tuż nad piętrem technicznym, bo tam jest chłodniej. Ale w pozostałych mieszkaniach kaloryferów żadnych nie ma – jest tylko jedna dwustronna ściana grzewcza.

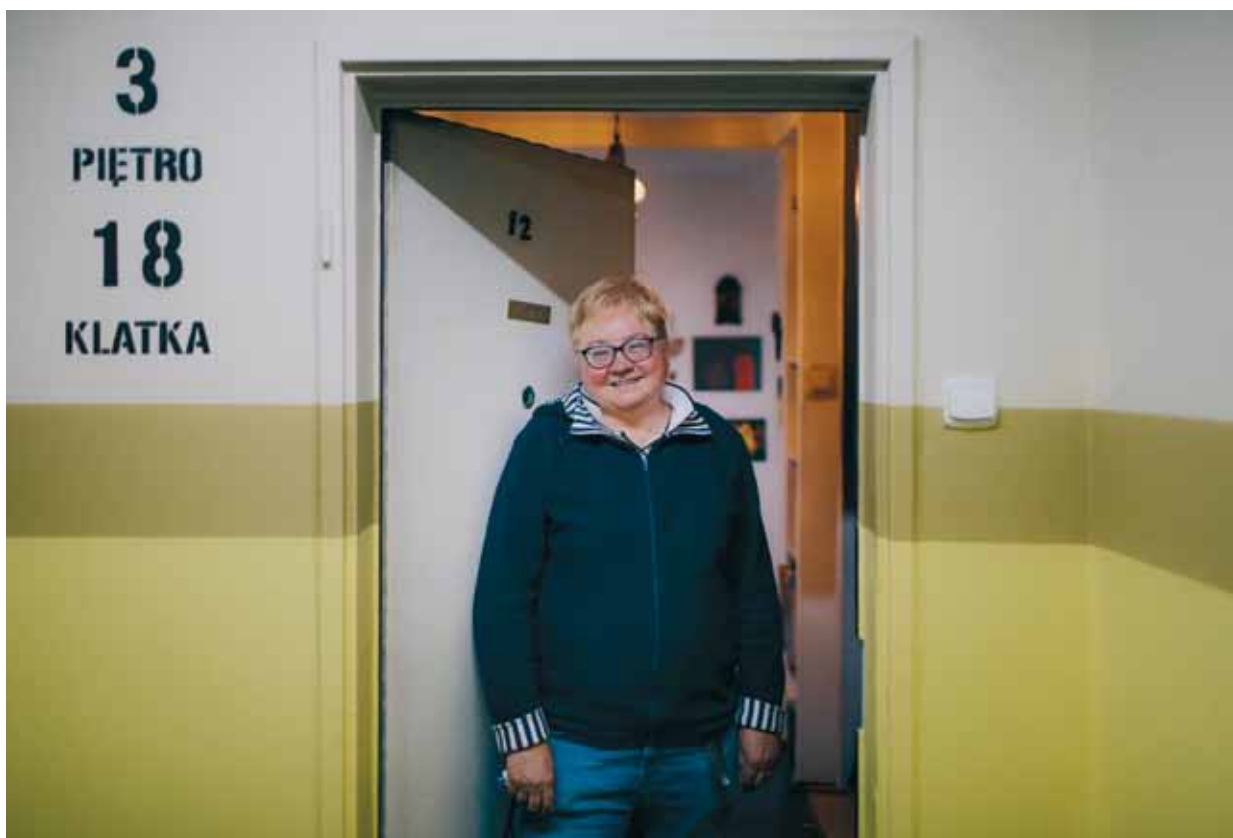
– Ona działa jak stary piec kaflowy. Taka ściana wystarcza do ogrzania całego mieszkania – przekonuje Weronika Sikora. A komu za ciepło, to pół wieku temu pomyślano i o tym – do ściany przymocowany jest regulator.

– W pierwotnym projekcie Mieczysława Króla kaloryfery były. Tylko że na pewnym etapie budowy nie dowieziono na czas jakichś elementów do tych kaloryferów. Dowieziono natomiast inne rurki i on to przeprojektował, i to się cały czas sprawdza – mówi kierownik administracji osiedla. Zastrzega przy tym, że trzeba pamiętać, aby w tę ścianę nie wbijać gwoździ, „bo będzie fontanna”.

– Ciągłe ktoś nowy się sprowadza i wierci. To jest główny minus – narzeka jeden ze starszych mieszkańców napotkany na klatce schodowej. Mówi, że tych dawnych lokatorów, którzy sprowadzili się do



Mieszkańcy Superjednostki obawiają się, że tuż przed ich oknami powstanie budynek, który zasłoni im widok na Katowice.



Pani Grażyna przymierza się do napisania książki o Superjednostce i jej mieszkańcach.

Superjednostki na samym początku, jest już tylko garstka. – Tylko takie niedobitki jak ja pozostały. Większość powymierała – konstatuje. Z jego obserwacji wynika, że spadkobiercy raczej nie wracają do bloku swego dzieciństwa – zazwyczaj sprzedają mieszkanie lub je wynajmują. Bo to samo centrum i ceny są niezłe.

Łatwo poznać, czy w danym mieszkaniu są nowi lokatorzy, czy też starzy mieszkańcy. Na drzwiach tych, którzy wprowadzili się do Superjednostki wiele lat temu, wciąż wiszą tabliczki z nazwiskami.

Młodzi tego zwyczaju nie przejęli. Ale mieszkania w tym bloku kupują lub wynajmują chętnie. To wciąż prestiż, cały czas uważa się, że to lokalizacja dla elity.

Żaden ze starszych mieszkańców nie powie, że mieszkania w Superjednostce dostawało się według zasług

dla partii. – Istniały przydziały. Na przykład Ministerstwo Górnictwa miało zagwarantowanych ileś tam mieszkań w tym bloku. I jak ktoś miał szczęście, że jego kolejka wypadła akurat wtedy, gdy dawano klucze w tym bloku, to tak się akurat składało – wyjaśnia mi mężczyzna napotkany na klatce.

– Może te większe mieszkania dostawali jakoś po znajomości. Ja mam najmniejsze z możliwych, choć podanie składałam o większy metraż. Ale jak dali przydział, to brałam – mówi pani Irena, która w Superjednostce mieszka od samego początku.

Zaznacza, że nigdzie się już stąd nie wyprowadzi, ale minusów przez pół wieku mieszkania w jednym ze słynniejszych bloków w Polsce dostrzega wiele: w ślepej kuchni bez światła nic się nie ugotuje, kuchnia jest tak malutka, że ciężko w niej cokolwiek zrobić, no i zapachy rurami wędrują – jak sąsiadka kapusty nagotuje, to czuć w całym domu.

No i jeszcze jeden minus – dwa domy publiczne. Były trzy, ale jakoś udało się przekonać właściciela i cofnął wynajem pani, która rozkręciła w mieszkaniu wcale nie taki cichy interes. Pozostałe działają. Ci, co wiedzą, dokąd idą, trafią. Choć czasem z trudem.

– Byłem świadkiem takiej sytuacji, jak mój rów nolegalek próbował przekupić ochroniarza, żeby powiedział mu, jak dotrzeć do tego przybytku – opowiada mi ponadsiemdziesięcioletni elegancki mężczyzna. – Klient najwyraźniej był bardzo zadowolony z tego, jak został obsłużony poprzednim razem, bo koniecznie chciał trafić w to samo miejsce, gdzie kiedyś już był, ale zapomniał, jak tam się idzie – mówi mieszkaniec. Ochroniarz pozostał nieugięty, za piątaka nic nie powiedział.

Weronika Sikora liczbami opisuje ten ogromny budynek. Bo choć to jeden potężny blok, to adresów wiele: od Korfantego 16 po Korfantego 32.



Widok z Superjednostki na samo centrum Katowic. Przy idealnej pogodzie z wyższych pięter wieżowca widać szczyty Tatr.

Widok na Superjednostkę z 27. piętra Courtyard by Marriott



– Blok składa się z 3 segmentów. W każdym segmencie są 3 klatki schodowe. Do tego 12 wind. Każda winda zatrzymuje się tylko na piętrach: 2., 5., 8., 11. i 14. Na trzech poziomach: 2., 8. i 14. można przejść przez cały budynek od prawa do lewa, prawie 200 m. Na pozostałych piętrach, gdzie zatrzymuje się winda, można się poruszać tylko w obrębie jednego z trzech segmentów. Na pozostałych natomiast tylko schodami w górę i w dół – opowiada kierownik administracji.

Po co to wszystko? Dla oszczędności powierzchni. Tam, gdzie winda się nie zatrzymuje, tam przestrzeń wykorzystano na to, by zbudować większe mieszkania. Choć większe to nie znaczy duże. Największe w bloku M-5 liczy zaledwie 57 m kw.

Wielki blok przypomina w środku labirynt w kolonii termitów. Do wielu mieszkań nie sposób trafić za pierwszym razem. Jedzie się windą w górę, potem idzie schodami w dół, potem korytarzem w bok...

– Piętra przechodnie są użytkowane częściej, więc tam częściej trzeba zamieść i umyć – co trzy dni. Tam, gdzie są dojścia tylko do paru mieszkań, wystarczy umyć podłogę raz na tydzień. Hole wejściowe natomiast trzeba myć codziennie – opowiada Weronika Sikora.

Tych korytarzy jest naprawdę cała masa. Przyznać trzeba, że wszystko utrzymane jest w czystości. Do sprzątania są trzy panie. Każda odpowiada za swój segment.

Dziś blok wewnątrz jest zadbane, ale był czas, że było tu fatalnie. Gdy jeszcze nie było domofonów i ochrony, labirynty korytarzy Superjednostki były noclegownią dla licznych pijaków i narkomanów, którzy zjeżdżali tu z całego Śląska i nie tylko. – W latach 80. narkomani tu leżeli pokotem. Kilka trupów tu widziałam, po prostu przedawkowali – opowiada pani Grażyna.

Najgorzej było, gdy w Spodku odbywały się jakieś koncerty. Dziś już nikt z uczestników imprez w stojącym naprzeciwko Spodku już się do bloku nie wdziera, ale mieszkańcy za tymi koncertami nie przepadają. Mówią, że jak w Spodku dudnią basy, to w mieszkaniu od tego łomotu aż wszystko drży. A niektóre imprezy trwają nawet i do 5.00 nad ranem.

I choć hałasu ze Spodka wielu mieszkańców ma dość, to z drugiej strony obawiają się, że wkrótce powstanie coś, co ich od tej charakterystycznej budowli osłoni i zabierze cały piękny widok na miasto. Tuż przed blokiem jest całkiem spory wolny plac, gdzie jeszcze niedawno stał niewysoki Pałac Ślubów. Budynek ten został zburzony i możliwe, że w jego miejscu powstanie jakiś nowoczesny wieżowiec, który zakryje Superjednostkę.

To samo stało się po drugiej stronie budynku. Tam też kiedyś nawet z niższych pięter widać było przestrzeń het, het, daleko. Dziś tuż przed oknami stoi biurowiec Unilevera. I chociaż z tej strony aż tak nie słychać koncertów w Spodku, dokucza za to co innego.

– Odkąd jest tu Drogowa Trasa Średnicowa, to nie sposób wytrzymać. Motory ścigają się tu jak szalone, szczególnie nocą – narzeka pan Aleksy.

Gdy się sprowadził do potężnego bloku, wielu znajomych mu mówiło, że w takim kołchozie nie chciałoby mieszkać. Choć fakt, niektórzy zazdrościli. Wielu zazdrości i dziś. Choćby niesamowitego widoku z najwyższego piętra.

Kierownik administracji osiedla pytana, co takiego jest super w Superjednostce, z uśmiechem odpowiada, że wszystko. – Na pewno super jest lokalizacja. Samo centrum, wszystko pod ręką, miejsce doskonale skomunikowane – wymienia.

A co do samego budynku? Superwyjątkowe jest to, że cały ten kolos obsługiwany jest z jednej instalacji. Odprowadzenie ścieków, doprowadzenie wody, gazu, instalacje hydrantowe – to wszystko łączy się na 1. piętrze, które jest poziomem technicznym.

No i charakterystyczne jest to, że budynek nie został ciężko osadzony na ziemi, lecz stoi na przyporach. A pod nim – to w socjalizmie się praktycznie nie zdarzało – podziemny parking. Początkowo był przewidziany na 160 samochodów, dziś mieści się tu 175 garaży dla aut.

Co niezwykle, przy wejściu na klatkę schodową w ciągu dnia panuje niesamowity ruch. Drzwi zamykają się i otwierają non stop. I każdy, naprawdę każdy mówi sąsiadowi „dzień dobry”.

Wielu mieszkańców to samotne starsze panie. Sąsiedzi je odwiedzają, pomagają. Zdarzało się, że

panie ze sklepu Społem na dole przynosiły nawet zakupy do mieszkania, jak ktoś zaniemógł. A było i tak, że pogrzeb zorganizowali ludzie z administracji i sąsiedzi.

Wśród takiej dużej liczby mieszkańców można spotkać bardzo różnych ludzi. Są miłośnicy gołębi, którzy – wbrew administracyjnym zakazom – karmią te ptaki, a te potem odwiedzają się, pstrząc sąsiadom okna i balkony. Są też tacy, którym daleko do zsypu (tak, tak – tu jeszcze są zsypy!) i wyrzucają śmieci przez okno.

„Wyrzucanie przez balkony przyległe do mieszkań niedopałków papierosów, zapalonych zapalek, papierów, starych zabrudzonych ubrań, butelek, resztek żywności i tym podobnych śmieci stanowi zagrożenie życia i zdrowia dla przechodniów oraz Mieszkańców przebywających na balkonach” – grzmi na czerwono jedno z ogłoszeń zawieszonych przy wejściu na każdą z klatek.

W innej gablocie zaś wiszą ogłoszenia o koncercie z okazji Dnia Matki. Co jakiś czas administracja organizuje też dofinansowane wyjście do teatru lub nawet wyjazd w Bieszczady czy do Zamościa. Jak w minionej epoce. – Spółdzielnia się bawi za nasze pieniądze – podsumowuje jedna z mieszkanek, narzekając na wysoki czynsz. Ale mimo wszystko sporo osób, głównie starszych, korzysta z kulturalnej i turystycznej rozrywki, jaką organizuje administracja. – Autokar przyjedzie, zawiezie na miejsce, odwiezie, dadzą jeść. Wszystko jak dawniej – wymienia plusy jedna z pań.

I gdyby nie widok z okna na Katowice, które w ostatnich latach zmieniły się znacznie, można pomyśleć, że w Superjednostce zatrzymał się czas.

Blisko 800 mieszkań. Więc i skrzynek pocztowych na każdej z klatek są setki. A kaloryfery – tylko na korytarzach. W mieszkaniach zaś ma wystarczyć jedna ściana grzewcza.



Zobaczyłem stadion Legii od kulis. Od teraz inaczej będę oglądać mecze

Tekst: Rafał Madajczak | **Zdjęcia:** Maciej Stanik, Rafał Madajczak

Kiedy wszyscy patrzą na boisko, równie ciekawe rzeczy dzieją się tam, gdzie nikt nie patrzy.

Na Stadionie Miejskim Legii Warszawa im. Marszałka Józefa Piłsudskiego pojawia się na cztery godziny przed meczem, ale czuję się jak gość mocno spóźniony na imprezę. Tym bardziej że jest już na niej 1000 osób. Osób, które zadbają, żeby dzisiejszy mecz był dla ponad 20 tysięcy kibiców najlepszym wspomnieniem weekendu.

Po drodze na stadion mijam już pełen kibiców oficjalny sklep klubu. Kupić tu można wszystko, od śpiochów dla dzieci po warte grubo powyżej tysiąca złotych zegarki ze słynną „ELką” w logo. To będzie najdłużej otwarty sklep z ubraniami w stolicy. Ostatni klient wyjdzie stąd po 23.00.

Nie mamy jednak czasu na zakupy. Mamy dziś tylko sześć godzin. Tylko, bo to bardzo mało, żeby zobaczyć to, co mamy tego wieczora w planach.

Choć żaden kibic nie zajął jeszcze miejsca na trybunach, na stadionie jest już mała armia – od ludzi od cateringu przez serwis sprzątający po strażaków, którzy będą dziś robić wiele rzeczy, ale oglądanie meczu nie będzie jedną z nich. Pierwszych widzimy w grupie otaczającej koordynatora stewardów – właśnie dowiadują się o swoich zadaniach na dzisiejsze spotkanie.

To nie ochroniarze. Do ich obowiązków należy dziś pomaganie kibicom: odczytywanie miejsc z biletów, udzielanie informacji czy przypomnienie dziennikarzom na materiale, żeby nie wychodzili ze szklanką coli na trybunę.

Swoją odprawę mają w najbardziej ruchliwej i niedostępnej dla widzów strefie stadionu. To wielka,



przechodząca w tunel przestrzeń w północno-zachodnim rogu obiektu, która w dniu meczu wygląda jak pole bitwy, gdzie każdy wie, co ma robić. To tu stoją wozy transmisyjne Ekstraklasy. Tu swoją bazę mają chłopcy do podawania piłek, tu składowane są gigantyczne płachty z logo Ekstraklasy, które przed meczem trafią na boisko, tędy wbiegnie dziś kilkaset dzieci ze szkółek Legii, żeby w przerwie dać pokaz swoich umiejętności, stąd też wreszcie – oby tylko – obejrzą mecz ratownicy medyczni zabezpieczający mecz.

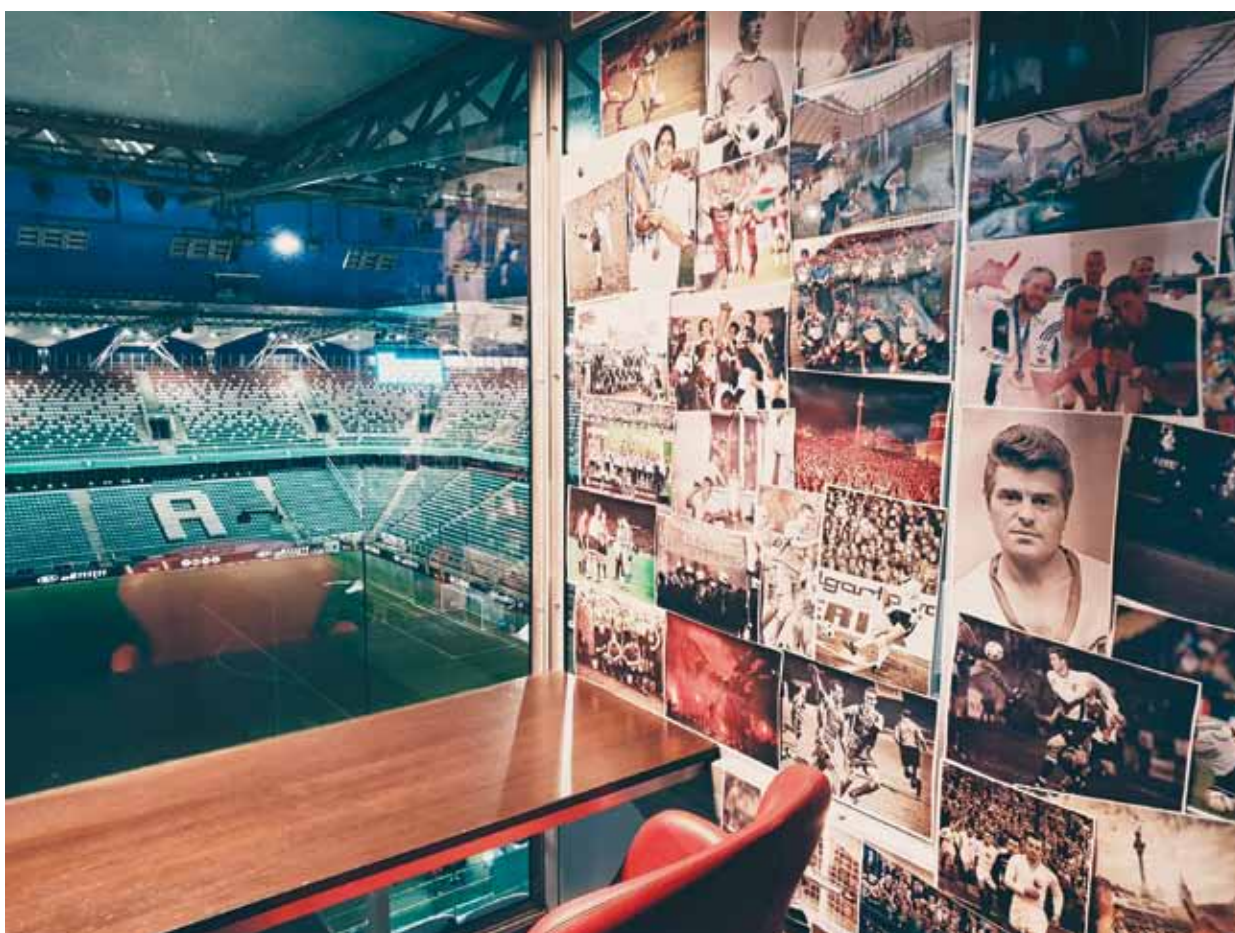
Na stadionie są już ludzie z biura prasowego. Oni zostaną dziś tutaj prawdopodobnie najdłużej. Przed wyjściem o północy do domu załatwią tysiąc spraw: od wydrukowania składów drużyn dla dziennikarzy, przez wydanie fotoreporterom kamizelek „foto”, tłumaczenie zagranicznych trenerów na pomeczowej konferencji prasowej po dopilnowanie, żeby konkretni piłkarze pojawili się na wywiadach czy pokoju, w którym zostanie stworzony ich hologram widoczny potem w studiu Canal Plus.

Kiedy w piątej godzinie obchodu po stadionie apka w telefonie mówi mi, że pobiłem swój rekord 11 tysięcy kroków w tym miesiącu, pytam Magdę Żarską z biura prasowego o jej stadionowy rekord.

– 18 tysięcy kroków w dniu meczu fazy grupowej Ligi Mistrzów UEFA z Borussią Dortmund. To jakieś 14 kilometrów – odpowiada, ale widząc mój opad szczęki, dodaje, że tego samego dnia pracowała także przy meczu drużyny juniorów (UEFA Youth League) i musiała wtedy też trochę tych kilometrów zrobić. Na razie jednak jesteśmy na początku dzisiejszej podróży.

Tak jak Kuba Jeleński, który ma najlepszą miejscówkę na całym stadionie. Choć do pierwszego gwizdka pozostały jeszcze trzy godziny, Jakub jest już w eLkabinie, stanowisku komentatorów klubu, którzy przeprowadzą relację na żywo z meczu. Pokazuje mi kilkunastostronicową rozpiskę, którą sobie przygotował, łącznie z wynikami 50 meczów Legii z przyjeżdżającym dziś do Warszawy Śląskiem.





Ale ja wtedy rozglądałem się jak dziecko zabrane po raz pierwszy do sklepu z zabawkami. Z jednej strony mam imponujący widok na boisko – oświetlona reflektorami zieleń trawy to chyba najweselszy kolor świata – z drugiej mam przed oczami największe stężenie miłości do klubu na metr kwadratowy. Cała dosłownie kabina wyklejona jest zdjęciami dokumentującymi kamienie milowe w historii klubu. Jest pierwszy gol ikony klubu, Pana – nikt na Legii nie ośmielił się użyć tylko imienia i nazwiska – Lucjana Brychczego, są zdjęcia celebrujących kolejne mistrzostwa Jerzego Podbroźnego, Kazimierza Deyny czy Mirosława Radovicia.

– Zwykle jestem jakieś sześć godzin przed meczem – mówi Jeleński, rocznik 1996 – Lubię się przygotować na spokojnie, wypić spokojnie kawę.

Rytuałem meczowym jest też redakcyjny mecz w Fifę. – Gracie drużynami, które grają tego dnia z Legią? – pytam. – Nie, nie, uważam, że to przynosi pecha. W żadnej grze nie gram z tego powodu Legią – tłumaczy i zdradza jeszcze jedną konsolową wróżbę. – Jak idzie mi za dobrze, to Legii idzie gorzej – śmieje się. – Dzisiaj jeden mecz ledwo wygrałem, dwa przegrałem, więc na boisku będzie dobrze.

I ma rację: zanim skończy transmisję z komentarzem – rekord wyświetleń to 100 tys. osób – Legia strzeli dwie bramki, nie tracąc ani jednej.

Kilka pięter niżej w sali przypominającej skrzyżowanie świetlicy z szatnią piłkarzy kilkadziesiąt osób zakłada zielone kurtki z napisem „Legia Warszawa” na plecach. To wolontariusze, którzy od czterech lat działają przy klubie, a w dniu meczu są bezcenni.

To odpowiednio dobrani, nie zawsze młodzi ludzie, których miłość do klubu pcha do pracy na stadionie, nieważne, czy jest święto, czy środek tygodnia, a temperatura odczuwalna nie zachęca do wychodzenia na miasto.

– Na stadionie jestem pięć godzin przed meczem – opowiada Marta Matczak, koordynatorka wolontariuszy, w klubie od ośmiu lat, która dziś skończy dzień pracy około północy.

W tym czasie ogarnie zadania grupki 45 wolontariuszy, którzy dla wielu osób na stadionie będą pierwszym kontaktem. To oni pomogą znaleźć miejsce czy pokierują ruchem w przerwie. W czasie meczu będzie na stadionie razem ze swoimi ludźmi. Najważniejsze zostawi jednak na koniec.

– Podziękuję im za to, że przyszli, że widać, jak kochają klub, skoro tu dziś byli.

Wolontariusze to też kuźnia kadr dla klubowego personelu. Taką drogę przeszedł Adam Pawlak, dziś koordynator i przewodnik wycieczek, z popisowym numerem w postaci sprowadzenia grupy zwiedzających na poziom murawy i posadzenia ich na ławce rezerwowych, co zawsze gwarantuje opad szczęki. Kiedy rozmawiamy w pomieszczeniu dla mediów, obok trwa mecz, stadion huczy, ale mój rozmówca mimo skończonej pracy, jeszcze nie wychodzi do domu.

– Dlaczego Legia? Tu trzeba się cofnąć do 1985 roku, kiedy pierwszy raz przyszedłem na stadion. „Elka” jest w moim sercu i to się nigdy nie zmienia – odpowiada w podobnym tonie, jak kilka jeszcze spotkanych dziś osób. Jest w nim i miłość do klubu, i realizowanie marzenia o pracy dla Legii. Ale też i coś więcej.

– Jestem człowiekiem ciekawym świata – uśmiecha się. – Do Gdyni pojechałem nie tylko na mecz i wspierać drużynę, ale też obejrzeć stadion. Zobaczyć różnice w budowie, pojemności, infrastrukturze. Nie nazwałbym tego turystyką stadionową, ale jest blisko.

Adam, jak rasowy przewodnik, w skondensowanej formie przedstawia wszystko, co się dzieje wokół turystyki na Legii: wycieczki historyczno-stadionowe, zwiedzanie Legii z piłkarzem pierwszego zespołu lub legendami klubu, jak Marek Saganowski, mówi

mi też o wycieczce śladami Kazimierza Deyny na stadionie Legii. – Chcemy budować więź między kibicami, a naszym klubem, nie tylko na płaszczyźnie sportowej, ale także mentalnej.

Kilka pięter wyżej na trybunie mecz ogląda też Krzysztof Szumowski, venue manager stadionu. To jedna z najważniejszych dla organizacji meczu osób, która dziś... nie ma za wiele do roboty. Szumowski jest jak generał na wojnie: opracowuje tak zwany zegar meczowy, czyli dokładny minutowy rozkład jazdy w dniu meczu. Obejmująca kilkadziesiąt pozycji lista drobiazgowo określa, co i kiedy ma się wydarzyć.

W rozmowie równie zajmująco opowiada o organizacji stadionu, inspiracjach z robotczej wycieczki do Juventus Turyn, jak i o planach stworzenia nowatorskiej w Polsce apki, która sprawi, że menedżer taki jak on będzie miał wgląd na bieżąco w to, co się za kulisami stadionu dzieje.

W sieci istnieją dziesiątki aplikacji do śledzenia wyników, Szumowski potrzebuje jednej, która pokaże mu cały pozaboiskowy świat stadionu.

Świat, na który patrzę teraz z bliska, choć o jego istnieniu przez 30 lat bycia kibicem nic nie wiedziałem. Właśnie sędzia zagwizdał na przerwę. Dla piłkarzy oznacza to zejście do szatni, dla reszty legijnej ekipy to sygnał do wyjścia na boisko.

Wyrwane korkami fragmenty murawy same nie wrócą na miejsce.





Biedaszyby w Wałbrzychu. Udało nam się wejść do miejsca, które nie powinno istnieć

Tekst: Włodzimierz Szczepański | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Nie włączają latarek, aby policjanci i strażnicy miejscy ich nie wypatrzyli. Ekipy są trzy, w każdej po dwóch ludzi. Po chwili kopania słychać zgrzytanie łopaty o skałę. To już węgiel.

Biedaszybów być nie powinno, bo przecież biedy, jak w latach 90., nie ma. Tymczasem w Wałbrzychu wciąż kopią nielegalnie węgiel. Niedawno przysypało tam jednego biedaszybnika.

Czym dokładnie są biedaszyby? To nielegalne szyby górnicze, w których wydobywa się węgiel. Bez profesjonalnych zabezpieczeń i zezwoleń. Najwięcej było ich na Górnym Śląsku na przełomie lat 20. i 30. ubiegłego wieku. Z tego „biznesu” potrafiły utrzymywać się całe rodziny, bo i surowiec, który wydobywano, sprzedawano dużo taniej. Dziś biedaszyby znajdują się w Wałbrzychu i korzystają z nich bezdomni lub osoby, które zrobiły sobie z tego nielegalny, ale dochodowy interes. To właśnie tam pojechalśmy, a łatwo ich znaleźć nie było.

Nie chcą tej legendy

Gdyby nie śnieg, trudno byłoby zauważyć różnicę między ziemią a niebem. Wszystko otula głęboki mrok. Tam, gdzie są ciemniejsze plamy na śniegu, trzeba uważać, bo może to być wykop. Zatrzymujemy się przy jednym z nich. Ludzie stojący przy szefie ekipy, Krzysztofie (imiona kopiących zostały zmienione – red.), zamierają na chwilę. Spoglądają ku ulicy, czy nie jedzie patrol. – Dziś jeździli dwoma autami. Białym volkswagenem i zielonym lublinem – komentuje najwyższy. – Najpierw pewnie pojechaliby do Maćka. Zadzwoniliby do nas jakby co – odpowiada Krzysiek. Za nielegalne wydobycie węgla grozi mandat 500 złotych, o ile sprawa nie trafi do sądu. Stoimy nad niepozorną dziurą. Jakiś metr dwadzieścia długości i tyle samo szerokości. Mróz utwardził brzegi wykopu.

W dole słychać stęknienie amatorskiego górnika, gdy z siłą uderza kilofem w ścianę przodka. Na dół na linie wędruje wiadro. Kopiący rozświetla dół wykopu. Teraz widać, że od szybu odchodzi boczny chodnik. To nie jest zwykły dół, to niemal kopalnia. – Tam jest z osiem metrów głębokości, a zejdziemy jeszcze niżej – wyjaśnia Krzysiek.

Biedaszybnicy to legenda Wałbrzycha. Trochę wstydliva, bo narodziła się z biedy. W czasach, gdy górnicy zostali rzućeni na kolana. Tak mówią miejscowi. Z najlepiej zarabiającej w państwie grupy musieli iść nielegalnie kopać węgiel. W latach 90. zamknięto w Wałbrzychu kopalnie. Wszystkie. Kilka tysięcy ludzi znalazło się na bruku. Z ko-

palniami padły inne zakłady. Lasy na wzgórzach na wałbrzyskim Sobięcinie to świadkowie tych wydarzeń. Skrywają księżycowy krajobraz, a usiane są takimi wykopami.

Trzysta metrów od miejsca, gdzie kopie ekipa Krzysztofa, zwały ziemi przysypały biedaszybnika. Gdy byliśmy w Wałbrzychu, wciąż leżał w miejscowym szpitalu. – To był idiota. Pracowali bez zabezpieczeń. Z nami jest górnik z 20-letnim stażem. On kieruje pracami – zapewnia Patryk. Przysypany należał do konkurencyjnej grupy. Tymczasem w zespole Krzyśka jest Jacek, którego dwukrotnie przysypało. – Myślałem, że już koniec z nami. Miałem szczęście, że wykop się złożył, a koledzy odkopali mi głowę. Mogłem oddychać – wspomina. Jacek pokazuje blizny na dłoni. To pamiątka po zasypaniu.

Jacek wraca do pracy przy swoim wykopie. Poprawia latarkę czołówkę i szpadlem przebija płytę, którą zakamuflowali tunel. Jeszcze kilka ruchów i już wydobywa węgiel. To dobry pokład, czysty, a jest ledwie dwa metry pod ziemią.

Janosiki z łopatom

Biedaszyby powinny zniknąć, bo biedy nie ma. – Nie robimy tego z biedy. Nie jesteśmy „patusami”, jak się o nas mówi, którzy kopią trochę węgla na flaszkę. My robimy dla zarobku. Miesięcznie zarabiam „siódemkę” (7 tys. – red.) – zapewnia Patryk. Słychać warkot samochodu. To Krzysiek podjeżdża autem terenowym, w którym ma wyłączone światła. Przywiózł kilka stempli do podparcia chodnika. – My nie robimy nic złego. Pracujemy, tylko my nie chcemy ochłapu. Możemy iść do zakładu w strefie ekonomicznej za 1500 złotych, pracować po godzinach i jeszcze nasłuchać się od brygadzysty. Wiem, bo moi bliscy tam pracują – komentuje szef grupy.

Najmłodszy z ekipy wbija przy wykopie dwie metalowe rury. – To na worek. Zaczepię za rury i łatwiej wtedy go zapełnić – wyjaśnia. Czasem, kopiąc szyby, trafiają na stare kopalniane sztolnie. Zapuszczają się w nie, aby wydobywać resztki pokładów. – Są miejsca, że mógłby ciężarówką wjechać i nawrócić – dodaje Patryk. – Miara! – słychać wołanie z dołu. Po chwili na dół wędruje kawałek listwy, którą odmierzają szerokość chodników. Po chwili Krzysiek przycina świerkowy bal przywieziony z lasu. – Na kapę – krzyczy do kopiącego. Na



kapę, czyli na poziomą belkę, która wzmocni strop. Będzie podparta stemplami.

Zemsta biedaszybnika

Dla Jacka kąpiącego węgiel w płytkim wykopie to ostatnie dni pracy z kolegami. Wyjeżdża do pracy za granicę. Reszta ekipy wybucha śmiechem. – Krzysiek też będzie musiał uciekać za granicę. Wszyscy już o nim słyszeli – śmieje się Patryk. Całkiem możliwe, bo działania policji i straży miejskiej przynoszą skutek. Zdaniem Krzysztofa zostało tylko kilka stałych ekip kąpiących węgiel. Siedzący w kucki przy wykopie chłopak niespodziewanie się odzywa: – Najędziłem się po świecie. Wszędzie jest tak samo, tylko tam po prostu państwo zostawia ludziom większy kawałek tortu.

Krzysiek znów się wtrąca do rozmowy: – Nie robimy niczego złego. Nikomu. Niech politycy odpowiedzą za to wszystko, za Wałbrzych. Zamknęli budowany za miliony szyb „Kopernik”. Miał usprawnić wydobywanie, spiąć wszystkie kopalnie. Jeszcze pokolenia by tam pracowały. My też.

Trauma miasta

W Wałbrzychu nie mogą zapomnieć o traumie lat 90. – „Solidarność” rzuciła nas na kolana! Nie mogę jej tego wybaczyć. A teraz chcą nazwać jej imieniem rondo – komentuje z emocją Sławomir Kaczmarek, prezes Stowarzyszenia Gwarków Kopalni Węgla Kamiennego Victoria i Kopalni Wałbrzyskich. Spotykamy się w Starej Kopalni, która przed laty była kopalnią Julia. Teraz miasto rewitalizuje obiekt na centrum. Kaczmarek „zgasił w niej światło”. – Na dole przepracowałem 27 lat i 8 miesięcy. Na dole umarł też mój ojciec – wspomina. Doskonale pamięta pierwszą szychtę i ostatnią. – Po pierwszej usnąłem na stojąco pod windą. Starzy górnicy zrobili sobie ze mnie żarty i zostawili na dole. A ostatnia? To był koszmar – macha ręką.

On był w dobrej sytuacji, bo już dawno mógł pójść na emeryturę. – To miasto żyje dzięki górniczym emeryturom. Kiedyś miało ponad 100 tys. mieszkańców, a po zamknięciu kopalni masa ludzi musiała wyjechać. Jak jeszcze byłem radnym, to w mieście zostało trochę ponad 95 tys. – opowiada.

Andrzej Partyka kiwa głową na potwierdzenie słów Kaczmarka. Jest jednym z tych, którzy się przekwalifikowali i dostosowali do nowych czasów. Część górników odebrała odprawy, podpisała „cyrograf”, że nie wróci do kopalni. – Pieniądze szybko wydano. Remont mieszkania, samochód, inni na alkohol i panienki. Rok po otrzymaniu odpraw okazało się, że trzeba zapłacić 40-procentowy podatek. Niejeden się powiesił wówczas – dodaje Kaczmarek.

Gdyby PRL wytrzymał rok

– Mnie uratowała kopalnia w Nowej Rudzie. Jeździłem do pracy, a potem różnie bywało. Poszedłem na urlop górniczy. Z 3,5 tysiąca zarobków spadłem do 958 złotych. Tak wegetowałem pięć lat – opowiada Andrzej Partyka. Pomagał przy tworzeniu podziemnej trasy turystycznej w Lisiej Sztolni. Niestety powódź ją zalała. Gdy w ratuszu narodził się pomysł Starej Kopalni, zadzwonił do niego prezydent miasta i zaprosił na spotkanie. – Tak zostałem przewodnikiem po moim dawnym miejscu pracy – żartuje. To już kolejna pochwała o obecnym prezydencie. – Za niego, dzięki pieniądzom Unii, miasto się zmienia – wtrąca Kaczmarek.

Prezes wałbrzyskich gwarków podkreśla, że gdyby Polska Ludowa wytrwała rok dłużej, to górnicy w Wałbrzychu dalej mieliby pracę. – Budowany był szyb „Kopernik”. Miał usprawnić wydobywanie i idealnie trafił w pokłady antracytu. To najlepszy węgiel dla przemysłu. Skąd ten smog? Bo ściągany jest gorszy węgiel z zagranicy. Nas po prostu zamknięto z powodów politycznych. Z dnia na dzień, a szyb zasypano – tłumaczy.

Palestyna – ziemia wyklęta

Zjeżdżamy uliczką za Starą Kopalnią. Parę zakrętów, dziur i jesteśmy na Palestynie. Miejscowi wyjaśnili nam, skąd wzięła się nazwa. Po II wojnie światowej w kamienicach przy ul. Średniej zamieszkali Żydzi. Wyjechali później. Obecni mieszkańcy też chcieliby wyjechać. W wielu budynkach widać opuszczone mieszkania. – W mojej kamienicy jest tylko czterech lokatorów. Daj Boże, aby nas wysiedlili – opowiada kobieta, która wyprowadziła na spacer pitbulla.

Wizytę na Palestynie, zwłaszcza wieczorem, odradzało nam kilka osób. Tutaj mieli jednak mieszkać biedaszybnicy. Tymczasem większość

z tutejszych nie żyje. – Zapili się – dodaje mieszkanka kamienicy.

Jej „były” także kopał węgiel. – Oj, to były konkretne pieniądze. Tirami przyjeżdżali z różnych zakątków Polski po węgiel. Osobno brali miał i oddzielnie grubszy – wspomina z nutką nostalgii. Teraz ona do pracy dojeżdża do Wrocławia.

Radzi, aby podejść pod sklep, przed którym zawsze stoją ci „w potrzebie”. Jak na zawołanie pojawia się miejscowy. Mężczyzna ma spłaszczony nos, pewnie po uderzeniu, bo pośrodku nosa widać niewielką bliznę. Na dłoniach tatuaże i wzrok, po którym nie wiadomo, czy cokolwiek widzi. – Mamy konkretny materiał. Płyta z nagraniami biedaszybników – zapewnia, ale oczywiście nagrania nie ma jak sprawdzić. – Damy za symboliczną kwotę – zapewnia.

Druga strona biedaszybu

– Tutaj przychodzi bezdomny, który kopie węgiel. Głównie dla siebie – inspektor wałbrzyskiej straży miejskiej, Tomasz Sakowski pokazuje niewielką jamę. Pokład węgla jest kilka centymetrów pod powierzchnią ziemi. Jama wykopana jest pod ceglany murem, to pewnie nagrobek. Jesteśmy na opuszczonym poewangelickim cmentarzu na Białym Kamieniu. Wybraliśmy się na patrol straży miejskiej, aby poznać drugą stronę zjawiska biedaszybów. W Wałbrzychu działa specjalny zespół, który zwalcza nielegalne wydobywanie. – Tu wczoraj byli jacyś goście i okłádali tego faceta, co kopał. Aż jęczał, tak go tłukli. Pewnie konkurencja – krzyczy pan z pieskiem. Cmentarz to wybieg dla okolicznych psów. Jest przeorany wykopem, który okoliczni zasypali śmieciami.

Idziemy kawałek dalej. – W tym miejscu była dziura wielkości sporej sali. Mieszkańcy często nas informują o biedaszybnikach, bo ci potrafią podkopać budynek, czy też działkę – dodaje specjalista Wiesław Jędruszko. Były przypadki, że biedaszybnicy podkopali ulicę. – Zaglądamy w miejsca, które na nasze polecenie zasypano. Potrafią zaraz po odjeździe koparki wrócić i rozkopać, póki ziemia jest jeszcze miękka. Ooo... tutaj widać, że się osunęła – Sakowski pochyla się. Jest specjalna procedura dotycząca zasypywania biedaszybów. Strażnicy przed zasypaniem

wzywają strażaków, aby sprawdzili, czy nikogo nie ma w środku. – Raz ukrył się w nim biedaszybnik. Nie dał znaku życia, nawet gdy nadjeżdżała koparka. Musiał siedzieć tam długo, bo wyciągnęliśmy go zziębniętego – wspomina.

W pobliskich krzakach odkrywa worki na węgiel. Biedaszybnicy maskują wejścia do szybów. Niektóre wykopy idą tuż pod powierzchnią. Nie rozkopują wierzchniej warstwy, aby nie były widoczne. Kopia „zygzakiem”, aby nie używać zabezpieczeń. W ciągu godziny potrafią zappełnić kilka worków urobku. Najlepiej jednak zarabiają nie biedaszybnicy, tylko paserzy sprzedający nielegalny towar. – Kopiający degradują środowisko. W wielu miejscach drzewa stoją, opierając się o sąsiednie, korzenie są odsłonięte – dodaje Jedryszko.

Członkowie zespołu wiedzą, że są obserwowani. Pod komendą straży miejskiej parkował auto jeden z biedaszybników, był na czujce. Dlatego patrole są w różnych porach i tzw. nieoznakowanymi pojazdami.

Zmienić wizerunek

– Teraz zjawisko biedaszybów jest znacznie mniejsze niż przed laty. Wtedy na jednym patrolu napotykaliśmy sto osób kopiających na jednej łące. Nasze działania są skuteczne – dodaje Sakowski. Ale... nawet w rozmowach ze strażnikami można wyczuć, że blizna po likwidacji kopalń jest głęboko w świadomości wałbrzyszan. – O, tutaj miał być szyb „Kopernik” – Sakowski wskazuje na niewielkie wzgórze, gdy przejeżdżamy przy koksowni „Victoria”.

Przecinamy las na Chełmcu i docieramy na obrzeża miejscowości Boguszów-Gorce. Na malowniczej łące pod Chełmcem widać ciąg jam. Śnieg nie zdradza żadnych świeżych śladów. – Wałbrzych kojarzony jest z biedaszybami. Wystarczy gdzieś na wyjeździe w Polsce powiedzieć, że jesteś z tego miasta, a pierwsza reakcja, że to miejsce, gdzie są biedaszyby – opowiada inspektor. To niewygodny dla miasta wizerunek, zniechęcający inwestorów. Zdaniem strażników obecnie, kiedy jest już dostęp do pracy, biedaszyby nie mają żadnego usprawiedliwienia. – U nas dużo się zmieniło. Wałbrzych zmienia wizerunek – podkreśla Tomasz Sakowski.



Odwiedziliśmy najbardziej niedostępny cmentarz Warszawy

Tekst: Tomasz Lawnicki | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Trudno uwierzyć, że na tej małej powierzchni leżą szczątki blisko pół tysiąca osób. Jeszcze chwila i po tym miejscu pamięci nie byłoby śladu.



Aby nikt nie rozgrzebywał kości zmarłych, niedużą nekropolię zalano betonem. To stało się kilkanaście lat temu. Wtedy ruina na pograniczu Targówka i Pragi-Północ nie przypominała już cmentarza.

Teren tuż przy torach linii kolejowej z Warszawy do Gdańska był przez długie lata miejscem spotkań miłośników trunków, złomiarzy i poszukiwaczy przeróżnych skarbów. Zabezpieczenie szczątków ludzi było więc najważniejsze. Nie tylko z szacunku dla zmarłych. Bo cholera wie, ile lat mogą przetrwać te bakterie.

Na położonym w środku trójkąta torów cmentarzu spoczywają bowiem ofiary epidemii cholery z lat 1872-1873. To zaledwie 90 lat po tym, jak Praga została włączona do Warszawy. I tylko kilkanaście lat przed tym, jak na prawy brzeg Wisły z lewego dotarła kanalizacja. Dopiero potem skończyły się nieustanne epidemie.

Wtedy jednak był to czas gór gnojowych w środku miasta, cuchnących, głębokich rynsztoków ciągnących się wzdłuż ulic oraz wody pobieranej z Wisły tam, gdzie trafiały wszelkie ścieki. Choroby dziesiątkowały miasto po obu stronach rzeki.

Słowem mrozącym krew w żyłach był wtedy „mór”. W ten sposób określano wszelkie choroby zakaźne – dżumę, ospę, dur. Przecinkowiec cholery, przeno-

„Środki ratunku od morowego powietrza były następujące: osady jedne od drugich oddzielano kordonem zdrowia, a do przekraczającego tę granicę zaraz strzelano. Po karczmach zamykano zamtuzy (nierządne domy), łaźnie publiczne i szynki; po wsiach wszystkie karczmy. W miejsce napojów gorących pijano ziółka; gmin używał senesu z kwiatem burakowym i kminem, nadto warzył bzoWE i kruszynowe skórki, a precedziwszy, popijał. Odmawianie pospołem modlitw po domach, uczęszczanie liczne do spowiedzi, odczytywanie dzieł medycznych były środkami duchowymi, używanymi dla odwrócenia tej klęski”.

A. Wejnert „Wiadomość historyczno-statystyczna o morowym powietrzu w Warszawie w latach 1624 i 1625 panującym”, Warszawa 1852 r.

szony przez wodę zanieczyszczoną ściekami, raz po raz zbierał śmiertelne żniwo.

O cholery jednak wówczas wiedziiano niewiele – zaledwie 20 lat wcześniej bakteria wywołująca tę chorobę została wyizolowana. Wcześniej walka z epidemią przypominała walkę z wiatrakami, na czas pomoru w Warszawie powoływany był specjalny „burmistrz powietrzny”.

Do historii przeszedł aptekarz Łukasz Drewno, który zarządzał miastem w czasie epidemii w XVI w. Ale sposoby na walkę z chorobami zakaźnymi były nader skromne.

W wieku XIX, choć oczywiście postęp medycyny nastąpił, lekarze nadal często byli bezsilni wobec cholery. A ta wracała co parę lat. W 1852 r. na choleryę zachorowało w Warszawie ponad 11 tys. osób, niemal 5 tys. z nich zmarło. W 1855 r. odnotowano trochę ponad 4 tys. zachorowań, a zgonów ponad 1700. Widać zatem, że śmiertelność wynosiła ok. 40 proc. Loteria. Prawie pół na pół. A wszystko działo się błyskawicznie – zazwyczaj fala zgonów trwała tydzień-dwa.

W latach 1872-73 tylko na samej Pradze na choleryę zmarło co najmniej blisko pół tysiąca osób. Tyle bowiem szczątków ekshumowano kilkadziesiąt lat później.

Cmentarz dla zmarłych na choleryę został założony tak, by jednocześnie był w miarę daleko od zabudowań miasta, ale i w miarę blisko Szpitala Praskiego, gdzie wówczas działał Komitet Choleryczny.

Wiadomo też, że prócz zmarłych na choleryę kilka lat po otwarciu cmentarza zostało tam pochowanych siedmiu żołnierzy bałwochwalców. Carskie władze okazały w ten sposób swoją dezaprobatę wobec innowierców. Najprawdopodobniej byli to Rosjanie z dalekiej Syberii wyznający buddyzm, ale pewności co do ich religii brak.

Nekropolia powstała na tyłach Fortu Śliwickiego, za terenami wojskowymi. Zgodnie z carskimi przepisami zmarłych na choleryę chowano na głębokości ośmiu stóp – o jedną stopę głębiej niż zwykle.

Cmentarz Choleryczny w tym miejscu jednak został bardzo szybko zapomniany. W 1908 r., gdy rozpoczęła się budowa kolejowej trasy z Mławy (wówczas



478 ofiar epidemii cholery – to nie wszystkie osoby spoczywające na tym niedużym cmentarzu.

Art. 171. Ciała zmarłych z chorób zaraźliwych, żadnym sposobem, nawet w przypadkach wyjątkowych, nie mogą być ani grzebane w grobach kościelnych, ani przepuszczone przez miasto, (...) ani exhumowane na żądanie familiji.

Art. 172. W razie znaczniejszego grasowania choroby zaraźliwej lub epidemicznej, która zagraża przejściem w zaraźliwą, oddzielny cmentarz ma być założony.

Rozporządzenie Inspektora Głównego Służby Zdrowia, październik 1846 r.

na granicy z Prusami) przez Warszawę do Lublina i dalej do Kowla, robotnicy zaczęli natrafiać na ludzkie kości czy nawet jeszcze na wieka trumien.

Pierwsze piszczele poszły na wał nasypowy pod torowiskiem, ale potem – gdy zorientowano się, ile tego jest – zaczęto skrupulatnie, kostka po kostce, zbierać wszystkie szczątki, by je potem pochować w innym miejscu. A ponieważ cmentarz musiał się przeprowadzić ze względu na kolejową inwestycję, to i kolej się nim zaopiekowała – nową lokalizację wyznaczono w trójkącie torowisk na pograniczu Pragi-Północ i Targówka.

W 1910 r. gotowa była nieduża nekropolia, w której złożono znalezione szczątki ofiar cholery. Wokół stanął niewysoki ceglany mur, a pośrodku – krzyż upamiętniający zmarłych.

„Polskie Koleje, działające pod carskim zaborem, starannie ekshumując do zbiorowej mogiły szczątki zmarłych na cholera z likwidowanego i już w 1908 r. całkowicie nieczynnego oraz coraz częściej zapomnianego przez społeczeństwo Warszawy cmentarza, uchroniły pamięć o pochowanych na nim Zmarłych od wiecznego zapomnienia” – podkreślał Andrzej Pasternak w książce napisanej wspólnie z Waldemarem Matejakiem „Praski Cmentarz Choleryczny w Warszawie”.

Utworzony ponad 100 lat temu cmentarz niestety ponownie został całkowicie zapomniany. Nekropolia przez lata niszczała, była plądrowana. Ceglany mur prawie zniknął. Po krzyżu nie został ślad. Czasem ktoś dokopywał się do szczątków ofiar epidemii.

Zalanie terenu betonem to był pierwszy konieczny krok, ale niewystarczający. Kilka osób ze środowiska kolejowego rozpoczęło więc starania, by uratować cmentarzyk. Łatwo nie było.

– W jednym z urzędów spotkaliśmy pana, który przekonywał, żeby cmentarz pozostawić w stanie trwałej ruiny, jeszcze tylko parę lat i nie będzie po nim śladu – wspomina emerytowany kolejarz, inż. Waldemar Matejak, który podczas modernizacji linii kolejowej z Warszawy do Gdańska koordynował odbudowę Cmentarza Cholerycznego.

Ustalenia z właścicielem terenu, czyli PKP Polskie Linie Kolejowe, z prawnym opiekunem miejsca pamięci, czyli Urzędem Dzielnicy Praga-Północ, z nadzorem konserwatorskim oraz z ekspertami z warszawskich muzeów zaczęły się w 2008 r.

Potem ruszyły starania, by pozyskać sponsorów. Później prace związane z rekonstrukcją muru czy pomnika z krzyżem – koniec końców w 2010 r., równo 100 lat po zbudowaniu pierwszej nekropolii w tym miejscu, nowy cmentarz można było otworzyć.

Postawiono lampy solarne, by choć trochę było widać cmentarz po zmroku z przejeżdżających nieopodal pociągów. Jest monitoring, by odstraszał tych, którzy mieliby zamiar nekropolię dewastować. Ale nie zmieniło się jedno – wciąż nie ma tu jak dotrzeć.

Nekropolia jest z każdej strony otoczona torami kolejowymi. Jedyne przejście prowadzi tu na dziko i – co tu kryć – ani legalne, ani bezpieczne nie jest.

Za przekroczenie torów w miejscu niedozwolonym grozić może mandat w wysokości do 500 zł.

Pociągi zaś tędy przejeżdżają raz po raz – i super-szybkie pendolino, i składy lokalnych Kolei Mazowieckich czy SKM-ki. Tłumów na cmentarzu zatem (pewnie na szczęście) nie ma i nowy znicz pojawia się raczej rzadko.

Inż. Matejak jest przekonany, że Cmentarz Choleryczny stanie się o wiele bardziej dostępny już w przyszłym roku. – Środki są zagwarantowane, umowy podpisane, musi się udać – przekonuje.

W ramach przebudowy linii kolejowej między stacjami Warszawa Gdańska i Warszawa–Rembertów ma zostać wykonany prowadzący pod torem tunel i dalej chodnik do samego cmentarza. Umowa na przebudowę została podpisana w ubiegłym roku. Są pieniądze przeznaczone konkretnie na ten cel.

A na razie do najbardziej niedostępnego i tajemniczego cmentarza w Warszawie można się dostać ścieżką – najprościej wejść na nią bezpośrednio z przystanku tramwajowego Namysłowska przy ul. Starzyńskiego. Tylko ostrożnie!

Przygotowując tekst, korzystałem z książek Waldemara Matejaka i Andrzeja Pasternaka „Praski Cmentarz Choleryczny w Warszawie” oraz „Praski Cmentarz Choleryczny w Warszawie – suplement”.

Cmentarz Choleryczny
leży tuż przy torach
prowadzących z Warszawy
do Gdańska.





To stąd Sowieci planowali nuklearny atak na Zachód

Tekst: Piotr Rodzik | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Eksplorujemy opuszczone radzieckie bazy na Pomorzu.

Borne Sulinowo, Kłomino, Brzeźnica-Kolonia. Te trzy niewielkie miejscowości w północno-zachodniej Polsce stanowiły jeden z kluczowych elementów w radzieckiej wojennej układance. Tutaj mieszkali radzieccy żołnierze i tutaj składowano broń jądrową, która miała być wydana Ludowemu Wojsku Polskiemu. Wydana w razie wybuchu czegoś, co zostałyby zapamiętane jako trzecia wojna światowa.

Już sam wjazd do Bornego Sulinowa dobitnie pokazuje, dlaczego Rosjanie zdecydowali się na założenie tutaj bazy. Droga od strony Warszawy prowadzi przez gęste lasy, wzdłuż licznych stawów. To oczywiście żaden przypadek – takie miejsce nie przyciąga przypadkowych osób, a do tego utrudnia szpiegowskie działania z powietrza.

Dodajmy jeszcze, że szosa pomiędzy nielicznymi dobrze utrzymanymi fragmentami jest – przynajmniej w 2018 roku – totalnie zdewastowana. Stanowi gigantyczne wyzwanie dla nieterenowego auta.

I nagle w środku tej pustki wyrasta opuszczony blok. Wybite szyby, wyrwane ościeżnice, wszystko, co dało się z niego wyciągnąć, już dawno zmieniło swojego właściciela. Tak wita mnie właśnie Borne Sulinowo. Blok kontrastuje z nowiutkim rondem. W Bornym Sulinowie jest zresztą cała masa takich kontrastów.

Wszystko bierze się z dramatycznej historii tego miejsca. W okresie międzywojennym tutejsze tereny wykupił od miejscowej ludności rząd III Rzeszy. W Groß Born – bo tak nazywano wtedy Borne Sulinowo – naziści zbudowali garnizon wojskowy. Dwukrotnie był tu zresztą sam Adolf Hitler. Raz w 1938 roku na otwarciu szkoły artylerii Wehrmachtu, a raz już w trakcie kampanii wrześniowej w 1939 roku.

M.in. właśnie w Bornym Sulinowie ćwiczyły słynne oddziały Afrika Korps. Obrazu dopełnia obóz jeniecki – tutaj trafili choćby pojmani powstańcy warszawscy.

Sowieci zamknęli to miejsce przed światem

W 1945 z Groß Born uciekli Niemcy. Na ich miejsce przyszli Rosjanie i postanowili wykorzystać istniejącą infrastrukturę w tym samym celu. Borne Sulinowo było idealne na bazę wojskową – po Niemcach został bowiem szereg budynków mieszkalnych. Wszystkie są takie same – trzypiętrowe, z czego ostatni poziom stanowi poddasze utrzymane w modernistycznym szyku.

Dla Związku Radzieckiego Borne Sulinowo miało jednak znacznie większą wartość. Położona na totalnym odludziu miejscowość cieszyła się jednocześnie strategicznym położeniem – w linii prostej jest stąd raptem 230 kilometrów do Berlina.

– Tu wszędzie byli Ruscy. Polaków nie było wcale – mówi nam napotkany na ulicy przechodzień. W Bornym Sulinowie może mieszkać co najwyżej od 1993 roku, bo wtedy miasto przekazano polskim władzom i rozpoczęto proces zasiedlania. Wcześniej była tylko radziecka armia. Powstała tu baza Północnej Grupy Wojsk nawet nie figurowała na mapach Polski. Znajdowały się tu „teren leśny”.

Dzisiaj w Bornym Sulinowie o zamierzonych czasach już nie przypomina wiele. Na skraju miejscowości stoją cztery zdewastowane poniemieckie silosy zbożowe. Grożą zawaleniem, więc zamurowano wszystkie wejścia. Oczywiście do środka i tak się da wejść, ale z powodu prac zabezpieczających panuje tam kompletna ciemność. Więcej światła jest na piętrze, ale rozpadające się żelbetowe schody nie sprawiają wrażenia bezpiecznych, i to nawet w najmniejszym stopniu.

Wyglądają zupełnie tak, jakby stały gdzieś na końcu świata, prawda? Wystarczy się odwrócić w drugą stronę, żeby zrozumieć, że nie do końca tak jest. Dwieście metrów dalej widać już zabudowania mieszkalne. Jeżdżą samochody. Ludzie widzą to ze swoich balkonów.

Więcej dzieje się po drugiej stronie miejscowości. Tam widać, jak Borne Sulinowo się zmienia. Poniemieckie budynki i poradzieckie bloki (typu Leningrad, są jak żywcem wyniesione ze Związku



Radzieckiego) są już w dużej mierze wyremontowane. Przy kolejnych trwają prace.

Nad samym jeziorem Pile wciąż stoi jednak totalnie zdewastowany Dom Oficera. Wybudowali go w okresie międzywojennym Niemcy – służył jako kasyno dla oficerów, mieściły się tam elegancka restauracja oraz sala koncertowa na tysiąc osób.

Rosjanie z szykownego budynku też chętnie korzystali. Było to kulturalne centrum miasta. Radzieccy żołnierze mieli tam do dyspozycji kino, teatr, dyskotekę, transmitowano programy telewizyjne z Moskwy.

Po odejściu Rosjan budynek popadł w ruinę i przeszedł w prywatne ręce. Na dodatek kilka lat temu spłonął. Ogień strawił salę koncertową. Dzisiaj to ogromna przestrzeń pod gołym niebem. Na podłodze leżą dosłownie tony połamanej dachówki.

W środku niewiele przypomina o dawnej glorii. Elegancką muzykę zastąpiła przejmująca cisza. Zdewastowane ściany nie przypominają o zabawowym rodowodzie tego miejsca – nie wspominając o napisach zbyt wulgarnych, żeby je tu pokazać. Co ciekawe, obiekt jest na sprzedaż. Właściciel życzy sobie za niego dwa miliony złotych.

Poza czołgami na cokołach i porozstawianymi wozami militarnymi, które mają wabić turystów, o przeszłości Bornego Sulinowa przypomina jeszcze niewielka izba muzealna w centrum miasteczka. Prowadzi ją pan Andrzej, który jednocześnie organizuje wycieczki po okolicy dla turystów.

W środku są głównie stare mapy, plakaty propagandowe, mundury, ale jest też broń. Pytany, co warto zobaczyć w Bornym Sulinowie, odpowiada wprost: – Tu już niewiele zostało.

I jednocześnie wysłał nas do Brzeźnicy-Kolonii. Tam zgodnie z jego relacją mamy znaleźć znacznie więcej, a nawet stanowisko do pionowego startu rakiet. – Macie latarki? – pyta nas jeszcze. – W tym roku było już tam kilka wypadków. Łatwo tam złać nogę – mówi.

Latarki rzeczywiście kupiliśmy. Ale najpierw udaliśmy się do Kłomina.

Polska Prypeć

Kłomino to – przynajmniej obecnie – osada leśna 12 kilometrów od Bornego Sulinowa. Tak naprawdę to jednak najprawdziwsze polskie miasteczko. W 2012 roku Kłomino zamieszkiwało podobno 12 osób. Tak, 12.

W drodze do Kłomina dziwię się, że nawet te 12 osób tam mieszka. Droga dojazdowa – przynajmniej oznakowana – jest tylko jedna.

To nie jest żart, to jest główna droga do miejscowości. Od 1992 roku, kiedy wyjechali stąd rosyjscy żołnierze, stopniowo pochłania ją las. Usypana z tłuczni droga sama w sobie zresztą jest już w coraz gorszym stanie.

Kłomino – tak jak Borne Sulinowo – stworzyli Niemcy. I tutaj także znajdował się obóz jeniecki. Niemcy więzili tam m.in. Polaków, Francuzów i Rosjan. Sowieci, gdy przejęli to miejsce, więzili z kolei niemieckich żołnierzy. Po zakończeniu wojny rozebrano ponemieckie budynki. Co ciekawe, cegła z nich trafiła na budowę Pałacu Kultury.

Kłomino jednak nie zniknęło z powierzchni ziemi. Rosjanie dla tego miejsca przewidzieli taką samą funkcję jak dla Bornego Sulinowa. I ponownie – powstały bloki, świetlice, szkoły, sklepy. Kłomina po 1992 roku jednak nigdy nie zasiedlono.

Do dzisiaj ostały się tam cztery budynki, z czego dwa bloki są totalną ruiną. Klimat rodem z gier z serii „Stalker”. Kto eksplorował tereny Prypeci i okolice w wirtualnym świecie, ten poczuje się tu... „jak w domu”.

Miejsce sprawia przedziwne wrażenie. Jest siatka całkowicie zapuszczonych ulic, a zdewastowane bloki sąsiadują z siedzibą nadleśnictwa, prywatnym budynkiem czy jednym częściowo zamieszkanym blokiem. Bo może pamiętacie – kilka osób tu mimo wszystko mieszka. Są płoty, widziałem dwa psy. Raz ktoś przejechał na równie starej jak Kłomino motorynce. Ktoś też prowadzi tam... agroturystykę.

Wchodzimy do bloków. Pierwsze, co się rzuca w oczy, to perfekcja w... szabrowaniu. Nie zostało w nich absolutnie nic. Złodzieje wyrwali nawet instalacje elektryczne – pionys są całkowicie puste.



Zostały tylko szczeliny po gniazdkach. Uchowały się natomiast szarobure płytki PCV na podłogach – podobne do tych, które były w wielu PRL-owskich blokach.

Drugie, co zwraca uwagę, to niewielki metraż mieszkań. Dwu- i trzypokojowe, ale każde pomieszczenie to absolutna klitka. A przecież żołnierze mieszkali tam razem ze swoimi rodzinami. Łazienki na oko nie mają nawet pięciu metrów kwadratowych. Podejrzewam, że wanna była zbędnym luksusem.

Przechadzam się po kolejnych mieszkaniach. Pod butem co chwilę słyszę trzask szkła. Czasem pochodzącego z szyb budynków, czasem z butelek osób, które tutaj przyszły pić. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze na początku lat 90. mieszkali tu rosyjscy żołnierze. A z nimi całe rodziny. Rodziły się dzieci.

Jeszcze kilka kilometrów od Kłomina znajduje się Brzeźnica-Kolonia. Z drogi prowadzącej z Sypniewa do Szwecji trzeba skręcić w lewo, żeby dotrzeć do tej osady. Ale jeśli ktoś chce zobaczyć potęgę Związku Radzieckiego, powinien skręcić w nieoznakowaną drogę w prawo. Prosto w gęsty las.

Po około dwóch kilometrach droga się kończy i dalej trzeba iść pieszo. Kiedyś w tym miejscu znajdowały się budynki mieszkalne dla obsługi bazy, do dzisiaj je rozebrano. W gęstym gaju zostało jednak to, czego Rosjanie strzegli jak największej tajemnicy.

Bomby niszczące całe miasta

Żeby w Brzeźnicy-Kolonii cokolwiek znaleźć, trzeba się naprawdę... nachodzić. Rosjanie chcieli bazę w tym miejscu dobrze zakamuflować. I o ile jednostkę w Bornym Sulinowie po prostu usunięto z map i zamknięto przed Polakami, o tyle instalacje w Brzeźnicy-Kolonii ukryto tak dobrze, że podobno nie zdawali sobie z nich sprawy nawet polscy piloci wojskowi startujący z nieodległych Nadarzac. O zbudowanej w latach 70. bazie mieszkańcy okolicznych wiosek nie mieli bladego pojęcia.

Co było w Brzeźnicy-Kolonii? Oficjalnie wiadomo dopiero od... 2008 roku. To wtedy ówczesny szef MON Radosław Sikorski odtajnił teczkę dotyczącą akcji o kryptonimie Wisła. Okazało się, że na mocy porozumienia pomiędzy rządami PRL i ZSRR z 1956 roku w Polsce wybudowano trzy tajne instalacje, w których miała być składowana broń jądrowa.

Jedną z tych lokalizacji była właśnie Brzeźnica-Kolonia. Miejsce otoczone potrójnym płotem kolczastym pod napięciem, patrolowane przez żołnierzy z ostrą amunicją. Trudno wyrokować dzisiaj, ile broni jądrowej było rzeczywiście tam składowane. Bardziej znane są ogólne dane dla wszystkich jednostek.

Wynika z nich, że w Polsce znajdował się arsenał jądrowy o mocy prawie 16 tys. kiloton. W kraju było choćby 14 głowic o mocy 500 kt. Dla porównania bomba, która zniszczyła Hiroszimę, miała 15 kiloton. W Polsce były więc bomby zdolne do spopielenia Europy Zachodniej. Abstrahując oczywiście od możliwości przetransportowania tych głowic na teren wroga.

Tego wszystkiego pilnowała względnie niewielka liczba żołnierzy. Na terenie jednostki miało ich stacjonować około 300 i sprawować pieczę nad bronią. A w razie potrzeby wydać ją Ludowemu Wojsku Polskiemu.

Tą „potrzebą” była właśnie akcja o kryptonimie Wisła. Radziecka doktryna wojenna długo zakładała, że trzecia wojna światowa tak naprawdę będzie na początku starciem jądrowym. Plan zakładał zmasowany atak jądrowy na cele zachodnie. Tak wrytymi „korytarzami” miały posunąć się wojska, w tym armia polska.

Oczywiście nikt nie zwracał sobie głowy tym, że w istocie rzeczą była to misja samobójcza. Nawet ukryci w czołgach żołnierze wytrzymaliby tylko kilka dni, zanim wykończyłaby ich choroba popromienna. W tym czasie radzieckie siły – w tym Polacy – miały jednak zająć Zachód.

Do realizacji planu na szczęście nie doszło – tym bardziej, że NATO miało swoją wizję odpowiedzi na agresję. A ta zakładała m.in. zrównanie z ziemią 43 polskich miast po kontruderzeniu jądrowym w celu zatrzymania pochodu wojsk z głębi ZSRR.

Dzisiaj w okolicy panuje ogłuszająca cisza, a bunkry w Brzeźnicy-Kolonii są jeszcze lepiej ukryte niż w przeszłości. Zarasta je gęsty las, łatwo je pominąć. Także wejścia zostały zasypane – polskie wojsko strzegło tych obiektów tylko do 1995 roku. Co się stało później – łatwo się domyślić. W środku nie ma już absolutnie nic. Łatwo tylko złamać nogę, dlatego eksplorowanie tych miejsc bez uprzedniego zgłoszenia i zorganizowania licznej wyprawy jest zakazane.

W środku panuje absolutna ciemność (co uniemożliwia wykonanie zdjęć w warunkach partyzanckich), a zaraz po wejściu znajduje się uskok na cztery metry. To tam składowano głowice. Dziś to wygląda bardziej jak opuszczony basen, a wewnątrz upodobały sobie... nietoperze.

Większość tych głowic miała być użyta w boju przy pomocy samobieżnych wyrzutni czy myśliwców – polska armia miała na stanie takie maszyny jak MiG-21 czy później Su-20.

Kilkadziesiąt metrów na południowy wschód ukryty w gęstwinie leśnej znajduje się jednak najprawdziwszy silos raketowy. Do środka można zajrzeć, choć trudno stwierdzić, jaką ma głębokość – od lat jest zalany wodą deszczową.

To jednak niezbity dowód na to, że jednostka w Brzeźnicy-Kolonii służyła nie tylko jako zwykły

„magazyn”. Znajduje się tam najprawdziwsze stanowisko dla rakiet pionowego startu.

Broń jądrowa zaczęła znikać z Polski znacznie wcześniej niż radzieccy żołnierze, bo już pod koniec lat 80. Najwyraźniej ktoś się zorientował, że pozostawienie w zmieniającej się Polsce (i w obliczu sypiącego się ZSRR) arsenału wystarczającego do zniszczenia ogromnych terytoriów Rosji to decyzja mało strategiczna.

Bazy w Bornym Sulinowie i Kłominie opustoszały w 1992 roku. Jednostka w Brzeźnicy-Kolonii była już wtedy pusta. Rosjanie po prostu ją porzucili. Bo przecież oficjalnie jej tam nigdy nie było.

Borne Sulinowo to najmłodsze polskie miasto. Prawa miejskie nadano mu w 1993 roku.





PRZYSZŁOŚĆ



Powered by
INCREDIBLE
INSPIRATIONS

InCredible Inspirations to wielowymiarowa platforma skupiająca pozabiznesowe inicjatywy i projekty Sebastiana Kulczyka. To inspirujące książki, badania i analizy, raporty, warsztaty, programy akceleracyjne, debaty i szkolenia zaprojektowane z myślą o budowaniu kompetencji młodych polskich przedsiębiorców. Kluczowym elementem InCredible Inspirations jest wszechstronny, szyty na miarę program akceleracyjno-mentoringowy InCredibles zainicjowany przez Sebastiana Kulczyka w 2017 roku, wspierający młode polskie firmy z obszaru nowych technologii.

Best of naTemat

Ray Kurzweil – człowiek, który lata temu przewidział czasy, w których żyjemy dzisiaj. Patrzyli na niego jak na dziwaka

Tekst: Rafał Badowski

Przed prawie 20 laty był wyśmiewany. Ray Kurzweil mówił wówczas o autonomicznych samochodach, bionicznych protezach i bezprzewodowym dostępie do internetu. Współcześni mu ludzie uważali go za niegroźnego świra. Dziś Kurzweil ma opinię twórcy najtrafniejszych prognoz dotyczących przyszłości. Poznajcie twórcę Singularity University, który przygotowuje najzdolniejszych światowych liderów do sprostania najważniejszym wyzwaniom świata.

Zawód futurolog. Niejeden z nas machnie ręką z lekceważeniem i powie: to bzdury rodem z literatury science fiction. Na przykład mój ojciec nigdy nie dał mi się przekonać do przeczytania choć jednej książki z tego gatunku. Na bzdury nie ma czasu, taki typ. Poza jednym jedynym wyjątkiem. Chodzi o Stanisława Lema, którego szanuje i którego twórczość uważa za wybitną.

Jeden z najpopularniejszych polskich pisarzy wszech czasów jest również najbardziej znanym polskim futurologiem. Sprzedał około 30 milionów książek przetłumaczonych na 41 języków. Choć złoty okres jego twórczości przypada na lata 60. XX wieku, przewidział między innymi wirtualną rzeczywistość. A w latach

50. pisał o komputerach połączonych w sieci... I w Polsce internet pojawił się w 1991 roku! Dziś, choć od jego śmierci minęło już ponad 10 lat, Lem dalej święci triumfy. Tyle o polskim podwórku.

I to właśnie w literaturze science fiction zaczytywał się kilkunastoletni Ray Kurzweil. Podstaw informatyki nauczył go wujek, który był inżynierem. Kurzweil swój pierwszy program komputerowy napisał w wieku 15 lat. Kolejny stworzył w szkole średniej. Analizował utwory wybitnych twórców muzyki poważnej i przetwarzał je w elektronicznym stylu. Muzyczna tematyka to wpływ ojca, który był kompozytorem. Dalsze lata to błyskotliwa kariera nowatorskiego infor-



Ray Kurzweil to twórca Singularity University, w którym zajęcia nie przypominają tych w tradycyjnych uczelniach.

Fot. Weinberg-Clark Photography

matyka Kurzweila. Wynalazł skaner i syntezytor, był też pionierem w cyfrowym rozpoznawaniu ludzkiej mowy. Dziś na świecie furorę robią jego prognozy sprzed niespełna 20 lat.

Samochody bez kierowcy?

Mówisz, masz!

Kurzweil w 1999 roku pisał na blogu, że mniej więcej za 10 lat pojawią się samosterujące samochody. I nie pomylił się, bo już po dekadzie powstały prototypy samochodów autonomicznych. W 2013 roku zostały oficjalnie dopuszczone do ruchu w trzech stanach USA: w Nevadzie, na Florydzie i w Kalifornii. Auta bez kierowcy od lat testuje Google, a Elon Musk zapowiedział, że wszystkie nowe modele tesli będą mogły jeździć z Los Angeles do Nowego Jorku bez żadnej pomocy kierowcy.

Również w 1999 roku Kurzweil napisał, że ludzie będą w swoim naturalnym języku zadawać pytania urządzeniom i dostawać na nie odpowiedzi. A jak doskonale wiemy, smartfony czy tablety głosowo możemy obsługiwać już od wielu lat, a technologia poszła od tego czasu do przodu o przysłowiowe lata świetlne.

Ray Kurzweil przewidział także, iż ludzie będą mogli używać bionicznych protez. Bionicznych, czyli doskonale naśladowujących ruchy żywych organizmów. Taką protezę otrzymał choćby Duńczyk Dennis Aabo Sørensen. Przekazywała ona bodźce wystarczająco czułe, by bezpiecznie obchodzić się z jajkiem. Tego typu wynalazki dotarły już nawet na polskie podwórko. Pisał o 22-latku z Podlasia, Piotrze Psyllosie, który zachwyca świat swoim sztucznym okiem. Nie ukończył studiów, a wynalazków ma więcej niż wpisów w indeksie. Stworzył już urządzenie Matia, pomagające niewidomym, a wcześniej „gadającą rękawicę”, syntezytor mowy zamieniający gesty na dźwięk.

Prognozy Kurzweila na tyle zachwyciły Google'a, że firma dała mu etat w 2012 roku i zatrudnia go obok innych futurologów. Gigant przejął też firmę Boston Dynamics, która produkuje dwu- i czworonożne maszyny. Pomaga Google'owi w tworzeniu „prawdziwych robotów” do celów komercyjnych. Kurzweil w Google'u zajmuje się właśnie uczącymi się maszynami i sztuczną inteligencją.

Życie wieczne już za 12 lat?!

Kurzweil dalej też przewiduje. I dalej znajdują się śmiałkowie, którzy mają go za dziwaka. Twierdzi, że możemy jako gatunek ludzki osiągnąć nieśmiertelność już w 2029 roku. Do 2045 roku nasza ludzka inteligencja połączy się z niebiologiczną. Ta ma być miliard razy bardziej wydajna od naszej. Nanoboty już w 2020 roku udoskonaliły system odpornościowy człowieka, bo nasz był genialny, ale tyjące lat temu.

Coż to takiego te nanoboty? To roboty o wielkości krwinek, które będą pełnić w naszym organizmie rolę limfocytów T, odpowiedzialnych za odporność organizmu. Kurzweil twierdzi, że zostanieemy przez nie odciążeni. I to właśnie gwałtownie rozwijająca się biotechnologia ma pomóc nam żyć wiecznie. Ale nie tylko.

Już niedługo mamy osiągnąć jako ludzkość taki poziom, że będziemy w stanie włamać się do naszych organizmów i wydłużyć życie nawet do nieskończoności. Kurzweil jest autorem tezy, że ludzkość czeka niebawem przekroczenie punktu „osobliwości”. Po prostu będziemy mogli przenieść naszą osobowość do komputera. To oznaczałoby de facto naszą nieśmiertelność. Kurzweil uważa, że będziemy zdolni do zhakowania naszego organizmu i pozbycia się balastu w postaci niepotrzebnych genów mających tysiące lat.

Ale futurologia by Kurzweil to tylko jedna strona medalu. Druga to dieta nieśmiertelności, którą niedawno się pochwalił. Jest bardzo prosta, choć kosztuje milion dolarów rocznie.

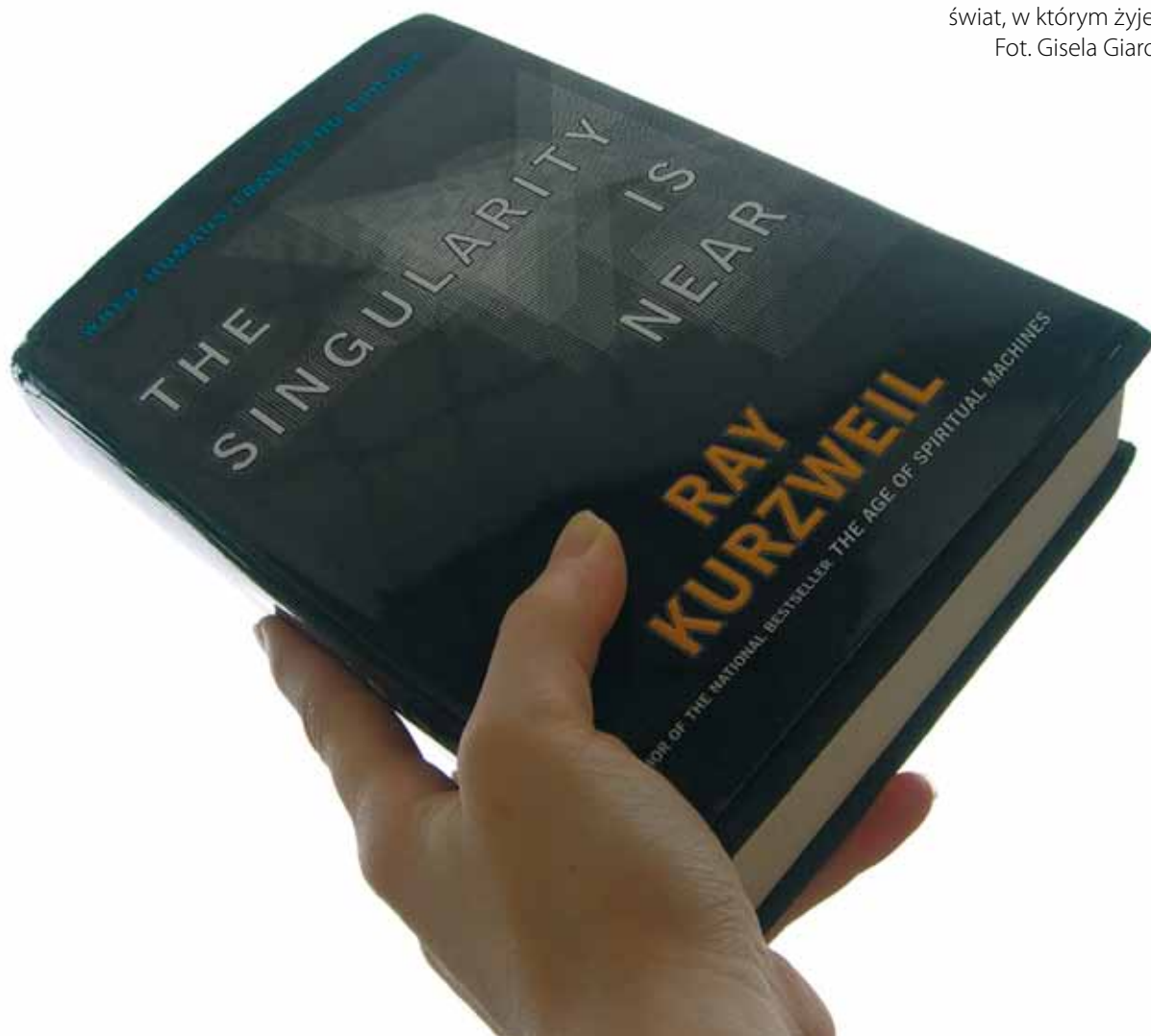
Ale futurologia by Kurzweil to tylko jedna strona medalu. Druga to dieta nieśmiertelności, którą niedawno się pochwalili. Jest bardzo prosta, choć kosztuje milion dolarów rocznie. Jagody, wędzony łosoś i makrela, gorzka czekolada espresso, mleko sojowe waniliowe, stewia, owsianka, zielona herbata, wszystko w odpowiednich proporcjach. Na śniadanie Kurzweil zjada 700 kalorii. Ale nie tylko, bo dziennie połyka 100 tabletek.

Niegroźny dziwak? Oczywiście, możecie tak myśleć. Ale przypomnijcie sobie, co Kurzweil

mówił niespełna 20 lat temu. Wtedy też niektórzy uśmiechali się pobłaźliwie.

Jeśli zaciekała was ta wizja, o tym i wielu innych aspektach można posłuchać w Polsce na eventach sygnowanych marką Singularity. To „Masters and Robots”, w których biorą udział ludzie zainteresowani najnowszymi trendami.

Ray Kurzweil to guru dla milionów ludzi na świecie, którzy szukają odpowiedzi na pytanie, jak będzie wyglądał w przyszłości świat, w którym żyjemy.
Fot. Gisela Giardino



Sztuczna inteligencja to obietnica nieśmiertelności. Ale co będziemy robić, gdy z pracy wykopią nas roboty

Tekst: Adam Sieńko

Wizje przyszłości obok obietnic wirtualnego i w pewnym sensie nieśmiertelnego człowieka pełne są niepokojących zapowiedzi sugerujących, że za chwilę wszyscy stracimy zatrudnienie na rzecz inteligentnych robotów. Ich ekspansji nie wymknie się żadna specjalizacja – prawnicy, lekarze, dziennikarze, taksówkarze, sprzątaczkę ani magazynierzy. – Zaraz, zaraz, to nie tak – oponuje jednak Tomasz Gibas, ekspert w dziedzinie sztucznej inteligencji. W rozmowie z INN:Poland współzałożyciel Coders Center przekonuje, że ratunkiem przed bezrobociem jest założenie własnego biznesu. I przekucie potencjału robotów w zyski.

W przyszłości przyda się wymiana doświadczeń, co może być o tyle prostsze, że – jak twierdzisz – dzięki robotyzacji naszego życia dostaniemy coś w rodzaju... nieśmiertelności.

Tak, choć to raczej kwestia kolejnych 15-20 lat.

Na czym ta nieśmiertelność ma polegać?

Mówimy tutaj o dwóch aspektach: naszej fizyczności i osobowości. W przypadku tej pierwszej ważnego odkrycia dokonali naukowcy z Uniwersytetu w Wiedniu. Zmapowali oni system nerwowy nicienia (mały, około 1-milimetrowy bezkręgowiec) i odtworzyli jako komputerową sieć neuronową. Jak się okazało, dzięki temu „wirtualny” nicien wiernie odtwarzał zachowanie prawdziwego bez żadnej ingerencji ze strony badaczy.

A potem w to ciało wlejemy swój charakter?

To już zadanie dla sztucznej inteligencji. Dziś coraz częściej możemy odnaleźć ją w domach pod postacią głosowych asystentów, którzy pomagają nam w codziennych czynnościach – od zapalania i gaszenia światła przez zamawianie jedzenia i zakupy online, po asystowanie jako personalny trener czy sekretarka.

I w jaki sposób SI ma potem odwzorować nasze zachowanie?

Dzięki podłączeniu do internetu ma dostęp do praktycznie nieograniczonych zasobów wiedzy. Z drugiej strony – pozyskuje dane, które sami mu przekazujemy, czyli terminy naszych spotkań, listę zakupów do zrobienia czy drogę do pracy. Obecnie inteligentni asystenci działają na rynku dopiero kilka lat, ale

w dłuższej perspektywie należy przyjąć, że dzieląc się z nimi coraz większą ilością informacji, damy im dostęp do dużego wycinka, a może nawet całości naszego życia.

Taki inteligentny asystent będzie w stanie naśladować nasz sposób wysławiania się?

Każdy użytkownik jest inny, dlatego dąży się do tego, by sztuczna inteligencja bardziej niż na zaprogramowane komendy stawiała na naukę sposobu komunikacji osoby, z którą rozmawia. Perfekcyjny asystent głosowy powinien wiedzieć, jak jego użytkownik formułuje myśli, aby zawsze poprawnie je interpretować. Nawet wtedy, gdy część informacji, tak jak w naturalnej rozmowie, przekazywana jest w domyśle.

I w końcu maszyna stanie się mną?

W dużej mierze tak. Rys charakterologiczny zostanie po stronie maszyny nawet po twojej śmierci. Robot stanie się twoją kopią zapasową. Przeniesie cię w świat nieśmiertelności. Pozwoli twoim prawnikom porozmawiać z „tobą”, kiedy nie będziesz miał swojej fizycznej powłoki.

I do kogo ta kopia będzie należała po mojej śmierci? Zagarnie ją korporacja, z której urządzeń korzystałem?

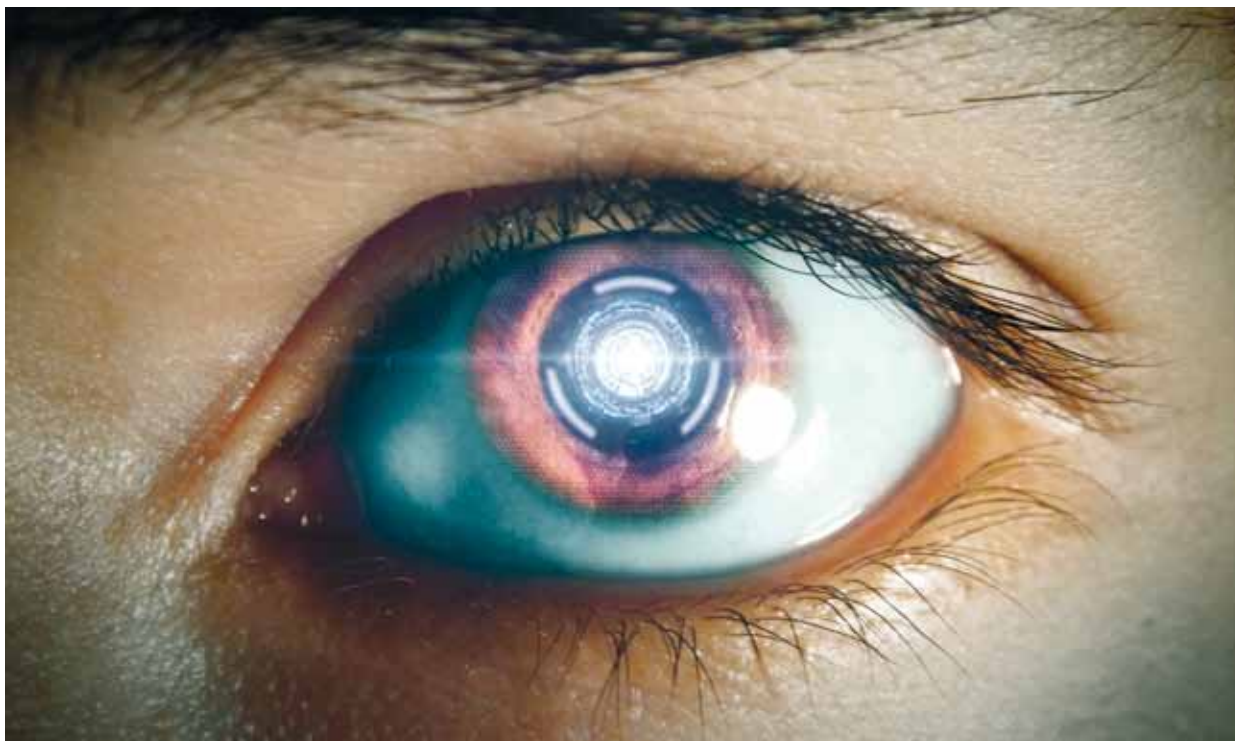
Nie ma tutaj jak na razie żadnych uregulowań prawnych, ale logika nakazywałaby stwierdzić, że do rodziny. Nie ma więc ryzyka, że twoja nieśmiertelna wersja zostanie zaprzęgnięta do pracy po godzinach. (śmiech)

Teraz pytanie z gatunku „tak albo nie”. Roboty pozbawią nas pracy?

Zdecydowanie nie. Te zawody, które znikną, zostaną zastąpione nowymi. Każda rewolucja przebiegała w ten sposób.

To samo mówią przedstawiciele technologicznych korporacji. Ale na pytanie, gdzie te nowe miejsca pracy miałyby się pojawić, zaczynają kluczyć.

Pokażę to na swoim przykładzie. U mnie w domu jest ponad 180 końcówek interaktywnych, które odpowiadają za sterowanie jego funkcjami. Do tego dochodzą roboty czyszczące i wiele innych



Fot. pxhere.com

urządzeń elektronicznych. Opieka nad nimi wymaga – wbrew pozorom – dużo czasu. Ktoś musi wyczyścić pojemniki na śmieci, ktoś naładować baterie albo pomóc znaleźć bazę, gdy urządzenie zgubi drogę. Już za moment będę potrzebował etatowego konserwatora.

Ale to tylko jedna osoba. Tak jak w marketach, gdzie już dzisiaj jeden pracownik może nadzorować kilka samoobsługowych kas. Reszta personelu staje się zbędna.

Ale kasy się psują, zacinają, nie wydają paragonów. Kiedy chcemy zrezygnować z jednej z zakupionych pozycji często kończy się na wzywaniu obsługi. Poza tym nie wszyscy ludzie będą na tyle otwarci, żeby robić zakupy samodzielnie, i będą potrzebowali asysty. Proces, o którym mówisz, to kwestia kolejnych 15-20 lat, czyli momentu, w którym konsumentami będą głównie osoby, które urodziły się z tabletem w ręku.

A sklep Amazon Go? Ten jest już w całości autonomiczny. Cała praca sprowadza się do ściągnięcia aplikacji, która potem śledzi nasze ruchy, a na koniec – pobiera pieniądze.

W Europie takiego formatu jeszcze nie ma.

Ale jeśli sprawdzi się w USA, to zapewne powstanie. W Polsce mamy już za to automatyczną fabrykę AGD. W magazynie mieszczącym 220 000 sztuk sprzętu pracuje tylko jeden człowiek.

A jeżeli roboty, których prace nadzoruje, się zepsują?

To w środku zjawi się kilku techników i je naprawi.

To nie takie proste. Taka awaria to dla firmy ogromne straty finansowe, musi zostać usunięta praktycznie od ręki. Pod telefonem siedzi sztab ludzi, którzy tylko czekają na sygnał do wyjazdu, bo wiedzą, że będą musieli dokonać naprawy w określonym czasie. Tak samo wygląda dzisiaj praca z serwerami wykonywana przez pracowników działu IT. W przyszłości jeden robot będzie potrafił naprawić drugiego robota, ale to jeszcze dość odległa przyszłość.

Czyli roboty nie pozbawią nas całkowicie zatrudnienia. Zamiast pracować, będziemy zajmować się urządzeniami, które będą wykonywały tę pracę za nas. Na czym będziemy więc zarabiać?

Najprościej byłoby powiedzieć, że właśnie na pracy tych maszyn. Jeżeli roboty będą własnością ludzi, problem sam się rozwiąże.



Fot. pxhere.com

Będziemy je produkować i sprzedawać?

Raczej wypożyczać je firmom. Wyobraźmy sobie, że pan Janek kupuje sobie robota do czyszczenia podłóg. Skrzykuje się ze swoimi wspólnikami, razem mają tych urządzeń kilkanaście i tworzą coś w rodzaju spółdzielni. Następnie podpisują umowę z fabryką i dostarczają je do firmy. A za zyski z tej umowy kupują sobie kolejne roboty.

Firma może równie dobrze sama kupić te urządzenia i wtedy cały plan bierze w łeb.

Tak jest dzisiaj. A jeżeli właśnie rządy, broniąc miejsc pracy, umożliwią zastąpienie człowieka maszyną, która będzie należała do tego pierwszego? Koszt zakupu, serwisu i inwestycji będzie leżał po stronie Kowalskiego. Ten będzie musiał z kolei dbać o to, by maszyna była jak najmniej awaryjna, bo inaczej zacznie tracić pieniądze, których będzie potrzebował m.in. do zwiększania produktywności kolejnych urządzeń. Rodzina Kowalskich będzie czerpać korzyści z pracy swojego technicznego sobowtóra, który będzie częścią większej linii produkcyjnej, mieszalnika ciasta na chleb, maszyny vendingowej i innych.

To oznacza, że wszyscy zostaniemy biznesmenami?

W pewnym sensie tak. Będziemy myśleć nad rozwiązaniami, które jeszcze nie powstały, oraz zajmujemy się optymalizacją obecnych rozwiązań, tak jak większość dzisiejszych start-upów. Miejsce pracy człowieka zastąpimy maszyną, nic nowego, ale teraz monetyzując jej czas pracy na korzyść właściciela, nie firmy produkującej samochody, ale Kowalskiego. Czy mam rację?

Najlepsza szkoła na świecie jest... pod Warszawą. Nie mają ławek, a o podręcznikach nie słyszeli

Tekst: Konrad Bagiński

Konkurs Edumission jest z założenia elitarny – do udziału w nim zaproszono jedynie 20 najlepszych szkół z całego świata. Zwyciężyła polska placówka No Bell z Konstancina-Jeziorny. Jej program – bez dzwonek, ławek i podręczników – zdobył serca jurorów.

Jak działa szkoła bez wszystkiego, co ze szkołą się kojarzy?

– Szkoła tradycyjna jest reżimem kontrolowanej powtarzalności. Powtarza się określone lekcje, schematy postępowania i rozwiązania. Podsuwane są w podręcznikach, które są dostosowane do nieistniejącego w rzeczywistości statystycznego, uśrednionego ucznia. Nie ma tam żadnej personalizacji i indywidualizacji. Takie lekcje prowadzą do automatyzacji – mówi w filmie zgłoszonym do Edumission jeden z nauczycieli.

Konkurs, który wygrała No Bell, był oparty na ocenie filmów prezentujących działania i dokonania szkół. Nauczyciele z Konstancina podkreślają, że ich placówka porzuciła wszelkie zasady obowiązujące w tradycyjnych podstawówkach i gimnazjach.

Jak to działa w praktyce?

– Nie ma dzwonek, nie ma podręczników. Są oczywiście lekcje i podział na klasy, ale wygląda on inaczej niż w tradycyjnej szkole. Klasy młodsze uczą się ze starszymi. Dzięki temu młodszy uczeń ma inspirację do tego, żeby się rozwijać i gonić starszych. Ci drudzy mają możliwość spraw-



Fot. No Bell/Michał Przeździec-Buczkowski

dzenia swojej wiedzy, tłumaczenia jej młodszemu – wyjaśnia Magda Nabiałek, odpowiadająca za komunikację szkoły, w rozmowie z INN:Poland.

Dodaje, że nauczyciele wychodzą z założenia, że uczeń nie musi realizować tego, co akurat zakłada program. Może postawić na zajęcia, które go bardziej interesują, w których czuje się lepszy.

– Nie chcemy hamować jego rozwoju. Dzieciaki mają pakiet przedmiotów obowiązkowych, ale poza tym mogą rozwijać swoje zainteresowania.

Nie muszą biernie realizować wiedzy z podręcznika, więc nie mamy podręczników, które ograniczają zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Do wiedzy można dochodzić różnymi ścieżkami i oznacza to też wolność dla nauczyciela, który może przygotować indywidualne, kreatywne zajęcia – mówi nam Magda Nabiałek.

Pod specjalnym nadzorem

Okazuje się, że to działa w praktyce. Przedstawicielka szkoły mówi, że placówka jest regularnie wizytowana przez kuratorium oświaty.

– To nie jest tak, że nad nami nikt nie stoi i możemy sobie pozwolić na propagowanie abstrakcyjnej edukacji wbrew podstawom programowym – mówi nam. Dodaje, że program jest realizowany, i to z reguły z rocznym wyprzedzeniem.

– Przekraczanie granic i ograniczeń, które narzucają podręczniki i schemat lekcji, wbrew pozorom pomaga zrealizować podstawy programowe dużo szybciej niż normalnie – zapewnia Magdalena Nabiałek.

Władza dla ucznia

Zasady, jakimi kieruje się szkoła, zyskały najwyższe uznanie międzynarodowego jury oceniającego placówki zgłoszone do konkursu. Udało się jej przekonać 3000 głosujących osób do tego, że szkoła oddaje część władzy samym uczniom.

– Mowa o części władzy nad lekcją, swoją edukacją i przyszłością. Jak uczeń chce się uczyć na podłodze, bo tak mu wygodniej, to nie ma problemu. Ale to się wiąże z poczuciem naturalnej odpowiedzialności za siebie – twierdzi Nabiałek.

Dodaje, że szkoła trochę broni się przed takimi kategorycznymi określeniami, jak „najlepsi na świecie”. Bo to mogłoby oznaczać, że można spocząć na laurach.

– Naszym celem nie są najbardziej kreatywne (choć to też) ani najmądrzejsze (choć to też), ale przede wszystkim szczęśliwe dzieci, które rozwijają się zgodnie z tym, kim są, jaki rodzaj wiedzy chcą zgłębiać – mówi.



Dlaczego słońce chce w tym roku usmażyć Polakom mózgi?! Ekspert wyjaśnia jak dziecku, co się wyprawia z pogodą

Tekst: Katarzyna Zuchowicz

Żar leje się z nieba już kolejny tydzień, w ciągu dnia nie da się wytrzymać na słońcu, wieczorem temperatury też sięgają 30 stopni C. Taką niespodziankę zrobiło nam ciepłe powietrze z Afryki. Skąd tyle słońca? Co to za zmiany? I czego się po nich spodziewać? Prof. dr hab. Rajmund Przybylak z Katedry Meteorologii i Klimatologii na UMK w Toruniu, który zajmuje się zmianami klimatu, wyjaśnia – o co właściwie chodzi.

Dlaczego to słońce tak grzeje? Życ się nie da w ostatnich dniach.

Naświeciło go faktycznie i świeci coraz więcej w ostatnich latach. To efekt tego, co już w zasadzie jest widoczne gołym okiem. Nie zrobiłem jeszcze badań na ten temat, ale to widać i nie tylko ja to zauważam. Na jednej z konferencji też o tym mówiłem. Zmieniła się cyrkulacja atmosferyczna. Kiedyś w lecie przeważała cyrkulacja zachodnia. Ona wciąż przeważa, ale dużo mniej. I to jest ta sytuacja, którą mamy teraz – że jest coraz częściej napływ gorącego powietrza z południa.

Na czym polega różnica? Wyjaśnijmy jak dziecku.

Przy strefowej cyrkulacji (zachód-wschód) latem napływały do nas masy powietrza z południa z Atlantyku. Co oznaczało, że lato było deszczowe, było chłodniej i mniej słońca. Natomiast gdy cyrkulacja zmieniła się teraz na południkową i jeszcze na dodatek częściej napływa z południa niż z północy, to mamy mniejsze zachmurzenie (w tym inny rodzaj chmur), w konsekwencji jest cieplej i bardziej słonecznie.

Skąd dokładnie napływa to powietrze?

Konkretnie z północnej Afryki. Co powoduje, że w Polsce jest cieplej niż w Hiszpanii i innych krajach Europy Zachodniej, bo tam jest wręcz chłód. Do nas cyrkulacja leci z południa, z południa, z południa, gdzie jest 40 stopni, więc jest gorąco. A do nich z północy, z północy, gdzie jest 0 stopni, więc jest chłodno. Tak jest akurat teraz. Ale za jakiś czas może do nas napłynąć powietrze także z północy i wtedy poczujemy kilka dni ulgi.

To upały. A samo słońce, które jest tak ostre?

Usłonecznienie, czyli czas dopływu promieniowania słonecznego bezpośrednio do powierzchni ziemi, też się zwiększyło. To również jest związane z cyrkulacją. Zachodnia cyrkulacja niesie z reguły niskie chmury, typu stratocumulus i nimbostratus. To takie ciemne chmury, które absolutnie nie przepuszczają promieniowania słonecznego i często dają opady.

Natomiast południkowa cyrkulacja niesie piękne chmury, cumulusy, które mamy teraz. Jak się rozbudują do większych rozmiarów (najczęściej po

południu), to nazywają się cumulonimbusami, czyli chmurami burzowymi. To są pojedyncze chmury, które także ze względu na swoją budowę zawierają z reguły przestrzenie otwarte, szczególnie dużo błękitnego nieba jest na początku dnia.

To zupełnie inny rodzaj zachmurzenia i dlatego mamy tyle słońca. Od jakiegoś czasu obserwujemy większe usłonecznienie i ewidentnie ma to związek ze zmianą cyrkulacji, która powoduje z kolei zmianę rodzaju zachmurzenia. Nikt tych zmian jeszcze nie badał, choć dane są.

Co jeszcze ma wpływ na tę większą ilość słońca w Polsce?

O samej intensywności promieniowania słonecznego decyduje zanieczyszczenie powietrza, które u nas polepszyło się po 1990 roku. Przemysł upadł i z tego powodu atmosfera się znacząco oczyściła. Ale tu chodzi tylko o jej wpływ na intensywność, nie ma ono wpływu natomiast na czas dopływu promieniowania słonecznego. W tym względzie najważniejsza jest cyrkulacja i zachmurzenie.

Zaskakuje pana to, co teraz mamy w pogodzie? Mamy czerwiec, a wieczorem temperatura sięga 30 stopni.

To nic nadzwyczajnego, jeśli chodzi o wysokość temperatury. Ale chodzi o to, że takie dni występują coraz częściej. Niezwykła jest także ich długotrwałość. Fale upałów są zatem coraz częstsze i dłuższe.

Od kiedy obserwuje pan zmiany w cyrkulacji i klimacie w Polsce?

W ostatnich latach. Szczególnie widać to w XXI wieku. Wyraźnie zauważa się np. większą liczbę dni gorących, z temperaturą maksymalną powyżej 25 stopni i upalnych, tak jak mamy teraz – z temperaturą powyżej 30 stopni. Na wykresach, które robimy, to czerwone kolory, które ilustrują ciepło, pojawiają się szczególnie w ostatnich 20 latach. To należy wiązać ze zmianą cyrkulacji. Nie ma już tak, jak kiedyś, że deszcz mógł padać przez tydzień. Choć były lata, że było nawet goręcej niż teraz. Ale teraz zdarza się to bardzo często.

Cyrkulacja zwariowała?

Staje się bardziej dynamiczna, bo jest więcej energii, pary wody, ciepła w atmosferze. Stąd groźne zjawiska. Przewidujemy, że w przyszłości będzie więcej trąb powietrznych czy cyklonów tropikalnych, burze będą intensywniejsze. W Polsce również. Stąd noce tropikalne, które też ostatnio mieliśmy.

Skąd te zmiany cyrkulacji?

Nie można wykluczyć, że ma to związek z globalnym ociepleniem. Cyrkulacja atmosferyczna kiedyś była zaliczana jako czysto naturalny czynnik. Ale teraz z pewnością nie można jej już tak traktować. Efekt cieplarniany zmienia bilans radiacyjny atmosfery, a to ma wpływ na zmianę temperatury i ciśnienia.

Być może ocieplenie Arktyki też znacząco na to wpływa. Właśnie to badamy, bo tam też następuje zmiana cyrkulacji, wir polarny się rozpada i to ma wpływ na cyrkulację w naszej strefie. To wszystko jest skomplikowane. Polska ociepla się, podobnie jak cała kula ziemiska.

Jeśli tak się ocieplamy, to czy już dziś w ciemno można założyć, jaka będzie pogoda np. latem 2020?

W 2018 roku kwiecień i maj były bardzo gorące, w tym roku maj był chłodny. Trudno to przewidzieć, natomiast przy takim ociepleniu jest duże prawdopodobieństwo, że lata w Polsce będą cieplejsze. Mamy też wyliczenia, że lato w Polsce się wydłuży. Zaczynało się 1 czerwca i trwało do końca sierpnia. A teraz zaczyna się wcześniej i kończy we wrześniu.

Przy tym, co obserwujemy, te zmiany będą korzystne dla ruchu turystycznego w Polsce.

Dziś żar leje się z nieba, ale ci, co planują urlop w lipcu, mogą jednak obawiać się, że jak wyjadą nad morze, zaraz spadnie deszcz.

Mniejsze jest takie prawdopodobieństwo w porównaniu do poprzednich lat. Kiedyś lipiec, który jest najbardziej deszczowym miesiącem w Polsce, nie był często najlepszy dla wypoczynku, szczególnie nad morzem. Ale jeśli taka cyrkulacja, jaką mamy teraz, będzie się utrzymywała, to częściej polskie lato będzie ciepłe niż chłodne.

Niewykluczone, że kiedyś będą u nas tylko ciepłe lata. Mówi się, że z powodu ocieplenia Riwiiera Francuska przeniesie się nad Bałtyk – do Polski, ale też do Szwecji, Finlandii. Bo nad Morzem Śródziemnym (np. południowa Francja, Włochy, Hiszpania) będzie za gorąco i nikt nie będzie chciał tam jechać. I może wtedy u nas nad morzem też wyrosną takie wielkie hotele jak tam.

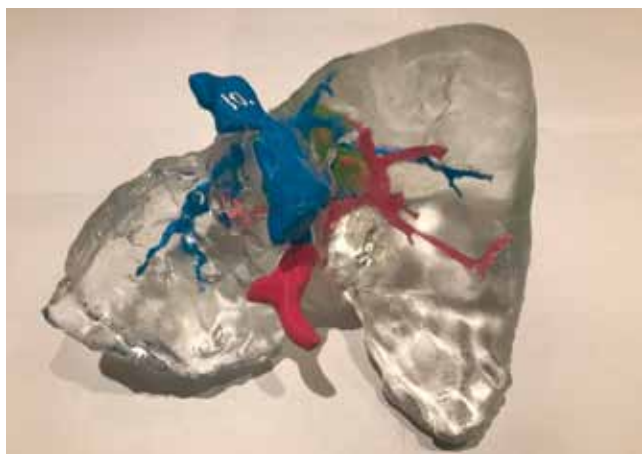
Myśli pan, że to możliwe?

Strefy klimatyczne przesuwają się na północ. Kto wie? Może w drugiej połowie tego wieku tak będzie.

Chirurdzy ustawiają się w kolejce po jego wątroby. Student z Krakowa po cichu rewolucjonizuje polską medycynę

Tekst: Mariusz Janik | **Zdjęcia:** Archiwum prywatne

Jan Witowski nie jest po prostu studentem, jak piszą skrótowo media. Owszem, kończy powoli IV rok medycyny na Wydziale Lekarskim Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, rychło będzie wybierać przyszłą specjalizację. Ale jest też synem znanego chemika dydaktyka, stypendystą premiera i ministra edukacji narodowej. Ba, na początku tego roku wystąpił na szacownym Uniwersytecie Stanforda jako... prelegent. A stworzony przez niego na drukarce trójwymiarowej model wątroby to dopiero początek rewolucji w krakowskiej chirurgii.



Wydrukowany w 3D model wątroby według pomysłu krakowskiego studenta

Chemii w rodzinnym domu Jana Witowskiego zapewne nie brakuje. Jego ojciec, Dariusz, jest autorem Banku Zadań Maturalnych z chemii, przygotowywał licealistów do olimpiad, a maturzystów – do studiów medycznych. – Ale pomysł na drukowanie modeli wątroby narodził się bardziej z moich wcześniejszych zainteresowań: programowania, nowych technologii. Gdy poszedłem na medycynę, bo to jednak najważniejsza z moich pasji, informatyka pozostała moim hobby – mówi nam Jan Witowski.

– Chciałem to jakoś połączyć – dodaje. – Półtora roku temu usłyszałem o problemie, z którym borykali się specjaliści z naszej II Katedry Chirurgii Ogólnej w Krakowie. Jak opowiedział mi mój opiekun naukowy dr hab. n. med. Michał Pędziwiatr, tamtejsi chirurdzy słyszeli, że w medycynie stosuje się druk



Jan Witowski, twórca plastikowo-silikonowego modelu wątroby

Fot. Archiwum Jana Witowskiego



trójwymiarowy, ale nie wiedzieli dokładnie, co i jak. A chcieli wykorzystać to rozwiązanie w chirurgii wątroby, co w ogóle nie jest popularnym zastosowaniem tej technologii. Podjąłem wyzwanie – kwituje.

Podstawową barierą w modelowaniu wątroby były dotychczas pieniądze. Funkcjonujące modele tego organu powstawały na bazie drogich żywic i potrafiły kosztować po kilkanaście tysięcy złotych. Biorąc pod uwagę, że dla każdego pacjenta trzeba byłoby wykonywać indywidualny „odlew” – poprzeczka jest pod względem finansowym zawieszona zbyt wysoko jak na możliwości polskich szpitali.

Model zrobiony w końcu przez Witowskiego opiera się na plastikowych elementach, które zostały „zalané” silikonem umodelowanym w kształcie konkretnego organu danej osoby. „Zdjęcie miary” następuje w trakcie badania tomograficznego – które i tak trzeba wykonać przed operacją, więc nie ponosi się z tego tytułu dodatkowych kosztów. Z kolei plastikowo-silikonowy odlew kosztuje „zaledwie” kilkaset złotych, w granicach pół tysiąca. Różnica w cenie jest więc trzydziestokrotna.

– Bazując na danych z tomografu, drukuję model i dostarczam chirurgom z Katedry – mówi nam Witowski junior. – Oni natomiast wykorzystują go do planowania operacji, gdyż operacje wątroby to zabiegi trudne, trwające wiele godzin. Trzeba się do nich specjalnie przygotowywać, zwłaszcza że chodzi głównie o pacjentów ze szczególnie skomplikowaną anatomią. Model pozwala przygotować się do operacji, nawigować w jej trakcie, a wreszcie może być wykorzystywany do edukacji pacjentów czy studentów medycyny – dorzuca.

Pierwszy model trafił w ręce specjalistów z krakowskiej katedry chirurgii we wrześniu ubiegłego roku. Od tamtej pory przy użyciu podobnych modeli odbyło się około dziesięciu operacji, a więc są one wykorzystywane mniej więcej raz na trzy-cztery tygodnie. – Specjaliści są zadowoleni – podkreśla pomysłodawca rozwiązania. – Najlepszym dowodem jest to, że chcą dalej robić takie modele. Zaglądają do mnie i mówią: jest wątroba za dwa tygodnie, fajnie byłoby mieć następny model. Wiadę też, że w dyżurce lub na sali operacyjnej leżą te

modele, chirurdzy je analizują i omawiają – kwituje. Namacalna, fizyczna forma modelu w skali 1:1 przemawia do nich znacznie bardziej niż jakikolwiek wirtualny model.

Można by się spodziewać, że rozwiązanie, które jest praktyczne i nieporównywalnie tańsze od używanych na świecie alternatyw, mogłoby się stać jedną z wizytówek polskiej nauki. Niestety, takie proste to nie jest. Witowski nie ma co liczyć na patent.

– Z dwóch powodów – tłumaczy INN:Poland młody wynalazca. – Rozmawiałem z ekspertami w dziedzinie prawa patentowego i wygląda na to, że w tym momencie patentowanie czegoś związanego z drukiem trójwymiarowym jest bardzo trudne, zwłaszcza gdy w grę nie wchodzi jakieś nowe urządzenie czy materiał. A na dodatek w tym przypadku trudno liczyć na jakąś ścieżkę komercjalizacji – kwituje. Potencjalnym rozwiązaniem nadającym się do komercjalizacji byłoby połączenie technologii: druku 3D, wirtualnej rzeczywistości czy innych technologii.

Do takiej kompleksowej technologii jednak długa droga. Póki co Witowski koncentruje się raczej na zastosowaniu swojego pomysłu w odniesieniu do innych tkanek, np. do operacji serca czy tętniaka. – Zaczęliśmy również drukować podobne modele tętniaków – zaznacza. – Pole do wykorzystywania druku trójwymiarowego w medycynie jest naprawdę ogromne. Równie wielkie jest zainteresowanie nim chirurgów. Dostaję mnóstwo maili od osób z rozmaitych uniwersytetów, dopytujących się o tę technikę i sygnalizujących, że też chcą robić coś takiego. Pewien radiolog z Turcji napisał, że też robi modele, dokładnie tą samą techniką – kwituje.

Póki co jednak krakowski żak ma na głowie inne zmartwienia. Kończy IV rok studiów, do decyzji o specjalizacji pozostało mu niewiele czasu.

– W tym momencie waham się jeszcze między radiologią a chirurgią. To dwie dziedziny, w których odbija się moje zainteresowanie technologiami, w tym 3D – śmieje się. Cóż, na patenty przyjdzie jeszcze czas. Ale mamy przecucie, że niedługo.





Jakim naprawdę pracodawcą jest startup? Pokazał to raport InCredible Inspirations „Niepoważne kariery za poważne pieniądze? Blaski i cienie kariery w startupach”.

Fot. pxhere.com

Oto, jak naprawdę wygląda praca w startupach. Ten raport to gorzka pigułka prawdy

Tekst: Patrycja Wszeborowska

Polska cierpi na plagę startupów. Startupują wszyscy – od świeżo upieczonych absolwentów przez znudzonych pracą w korporacji yuppies na staruszkach kończąc. Wydawałoby się, że każda nowo powstała firma, która w jakiś sposób nawiązuje do nowoczesnych technologii i zatrudnia dwie osoby na umowę cywilnoprawną, rości sobie prawa do nazywania się startupem.

Brzmi to bowiem dumnie, modnie, nowocześnie. O tym, czym w rzeczywistości startup jest i czy w istocie jest tak wspaniałym pracodawcą, jak go malują, mówi najnowszy raport „Niepoważne kariery za poważne pieniądze? Blaski i cienie kariery w startupach”.

Moda na startupowanie

Polacy zachłysłeni się startupowaniem – taki wniosek można wysnuć z przygotowanego na zlecenie InCredible Inspirations raportu „Niepoważne kariery za poważne pieniądze? Blaski i cienie kariery w startupach”. Wydaje się, że podążając za swoistą modą na prowadzenie takiej działalności, z dodatkową zachętą w postaci programów rządowych i atrakcyjnych przepisów prawnych, każda nowo powstała firma nazywa siebie samą startupem.

– Pojęcie startupu jest dziś tak wypromowane, że każdy, jeśli zechce, może być startupem. A chce wielu – mówi Kamil Matuszczyk z Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego, autor raportu. – Dziś praktycznie każdy podmiot gospodarczy zakładany przez młode osoby, który niesie za sobą dozę ryzyka i działa w obszarze nowych technologii, jest uznawany za startup – tłumaczy.

Według szacunków instytucji Startup Poland w Polsce w rzeczywistości jest około tysiąca lub dwóch tysięcy startupów z prawdziwego zdarzenia.. Tymczasem, jak wskazuje Matuszczyk, swoista moda na przyjmowanie kultury startupowej sprawia, że mianem startupu określa się w naszym kraju nawet do kilkudziesięciu tysięcy podmiotów.

Brak definicji

Trudno się temu dziwić, ponieważ pojęcie „startup” jest bardzo rozmyte i na tyle szerokie, że ujęcie go w konkretne ramy jest sporym wyzwaniem. Orzech jest tym trudniejszy do zgryzienia, że tak naprawdę nie wiadomo, czym startup tak właściwie jest. Jak czytamy w raporcie, w Polsce brak ujednoczonego sposobu definiowania działalności gospodarczej typu startup.

Ogromna popularność startupów, a może raczej zjawiska „startupowania”, niestety nieczęsto idzie w parze z sukcesem. Raport wyszczególnia szacunki amerykańskich badaczy, którzy twierdzą, że 92 proc. startupów znika z rynku w ciągu trzech pierwszych lat działalności.

– Środowisko biznesowe dość sceptycznie podchodzi do idei „startupowania”, czyli promowania górnolotnych idei czy perspektywicznego spojrzenia na rozwiązywanie problemów globalnych. Patrząc obiektywnie, wydaje się, że ten zasyp pomysłów nie ma szansy, by mieć realny wpływ na zmienianie rzeczywistości. Często potrzeba więcej czynników niż jeden „innovacyjny” startup, by coś zmienić – dodaje Matuszczyk.

To wszystko sprawia, że startupy postrzegane są jako „gałąź przedsiębiorczości, w której wydaje się zdumiewającą ilość pieniędzy na jakieś mętne i często nieprzynoszące owoców pomysły”, jak zauważyli przywołani w raporcie Iam MacRae oraz Adrian Furnham, autorzy książki „Dlaczego twoja firma stoi w miejscu”.

Fragment raportu

Wśród wielu definicji startupów do najważniejszych cech konstytuujących ten typ aktywności biznesowej należą m.in. krótki okres funkcjonowania (kilka lat), duży stopień niepewności, alternatywne źródła finansowania, jak również dążenie do wypracowania innowacyjnych rozwiązań technologicznych.



Sukces startupu zależy od ludzi w nim pracujących – wynika z raportu.

Fot. MaxPixel.net

Wizja wzbogacenia się

Choć idea start-upowania i coraz bardziej negatywne opinie na temat takich przedsięwzięć zniechęcają potencjalnych inwestorów, jednocześnie nie wpływają na atrakcyjność pracy w startupie. Wprost przeciwnie – jak wynika z raportu, zainteresowanie pracą w startupie rośnie. Często jest to spowodowane wizją „szybkiego dorobienia się w przypadku powodzenia danego przedsięwzięcia”. To z kolei przesłania minusy, jakimi są ciężka i nisko płatna praca.

Bo nie ma co ukrywać – praca w startupie to nie przelewki. Choć, jak zauważa Matuszczak, w mediach jest ona często kreowana jako „zabawa”, w istocie wymaga o wiele większych poświęceń niż praca w korporacji.

– W trakcie rozwijania firmy dzieje się bardzo dużo, dlatego musisz mieć najlepszych zawodników i zawodniczki. Nie ma czasu na to, żeby kogoś prowadzić za rękę. Jest też mnóstwo skrajnych emocji – od sukcesów po mocne tąpnięcia. Do tego często jest duży szum informacyjny – informacje od klientów, nowe dane o użytkownikach, pomysły pracowników czy też sugestie inwestorów – przyznaje w rozmowie z INNPoland.pl Filip Goździewicz, COO startupu DobryMechanik.pl.

– Jeżeli w korporacji zajmujemy się sprzedażą, to prawdopodobnie będziemy zajmować się właśnie sprzedażą. Z kolei w startupie oprócz sprzedaży będziemy odpowiadać również za szereg innych kwestii, które będą wychodzić na bieżąco w ramach potrzeb – dodaje prof. Paweł Korzyński, ekspert

z zakresu zarządzania zasobami ludzkimi z Akademii Leona Koźmińskiego.

Zbyt przyjazna atmosfera

Takich wniosków dostarcza też raport „Niepoważne kariery...”. Okazuje się, że choć wylansowana idea startupu jako miejsca pełnego „kumpelskiej” atmosfery, elastyczności i niezliczonych burz mózgow nad wizjonerskimi pomysłami jest bliska prawdy, w rzeczywistości ma też wiele minusów.

„Najczęściej pojawiającą się cechą startupu jest niepewność czy ryzyko, które najtrafniej oddają charakter i istotę tego typu przedsięwzięcia” – czytamy w raporcie. Startup nie może zagwarantować pracownikom stabilizacji, poczucia bezpieczeństwa na rynku pracy ani wysokich zarobków. Do tego płaska struktura zarządzania i elastyczność w wykonywaniu obowiązków nie wszystkim leży.

Matuszczyk wspomina historię jednego z młodych pracowników startupu, który bardzo negatywnie odnosił się do startupowej swobody w kwestii zarządzania. – Opowiadał, że przychodzi do pracy i nie wie, czym się zająć. Krytykował startupy za brak kontroli nad obowiązkami i rozmytą odpowiedzialność. To mi pokazało, że nie każdy młody pracownik, który trafia do startupu, będzie ze swojej pracy zadowolony – mówi autor raportu.

Z powodu braku hierarchii i osoby bezpośrednio nadzorującej, w startupie może pojawić się również problem z wykonywaniem obowiązków w ogóle. – Kumpelska atmosfera jest fajna, lecz problem pojawia się, gdy mamy dobre relacje i nie chcemy ich popsuć, a ktoś nie do końca wywiązuje się z tego, czego od niego oczekujemy – zauważa nasz czytelnik Rafał, który pracował w kilku startupach.

Dodaje jednak, że bliskie relacje znacznie poprawiają komfort pracy, a mały zespół daje poczucie jedności oraz wsparcia.

Liczą się ludzie

– Startup nie jest miejscem pracy dla wszystkich. Dlatego zatrudnienie ludzi, którzy potrafią współkreować środowisko swojej pracy, to jedno z największych wyzwań młodych firm – komentuje w rozmowie z INN:Poland Sebastian Kulczyk, inicjator programu akceleracyjnego Incredibles, CEO Kulczyk Investments.

Taki też obraz wyłania się z badania Matuszczyka. Okazuje się, że przeważająca większość rozmówców jako główną siłę napędową startupu wskazywała odpowiednio dobranych pracowników.

– Bez zgranego i zmotywowanego zespołu ciężko o sukces w tak trudnym i nieprzewidywalnym procesie jak budowanie startupu. Dlatego uważam, że to właśnie ludzie, którzy tworzą startup w znaczącej części przyczyniają się do sukcesu bądź porażki przedsięwzięcia – twierdzi Paweł Łapiński, Senior Software Engineer ze startupu DobryMechanik.pl.

To samo podkreślał Rafał. – W startupie, w którym pracuję dziś, cechy charakteru zostały postawione nawet wyżej niż umiejętności, których w teorii potrzeba na start. W finalnym rozrachunku firmie się to opłaciło, bo wtedy stawialiśmy się takimi „one man army”, zaś komplementarność i umiejętności ogarniania wielu spraw pomogło rozwojowi startupu – wspomina.

Elastyczność w podejmowaniu decyzji

Mimo stresującego, niepewnego środowiska nie sposób odmówić pracy w startupie szeregu zalet. Jednak jak zauważa prof. Korzyński, to, jakim startup jest pracodawcą, w dużej mierze zależy od tego, kto jest jego liderem.

– Typowe wyobrażenie startupu jako miejsca pracy to elastyczna, innowacyjna przestrzeń, w której można się realizować i wdrażać swoje pomysły. Jeśli mamy pomysł, w jaki sposób poprawić efektywność działania firmy, mamy szansę szybko go wdrożyć. W korporacji procedowanie naszego rozwiązania może trwać miesiącami, albo nawet w ogóle nie trafić do organów decyzyjnych z powodu skomplikowanej struktury organizacyjnej – wyjaśnia.

Jedno jest pewne – praca w startupie nie jest dla każdego, co jest jednym z głównych wniosków płynących z raportu Matuszczyka. Potwierdza to sam autor badania.

– Przyznam, że po swoich wynikach badań chyba nie byłbym zainteresowany pracą w startupie. Samo środowisko startupów wydaje się atrakcyjne dla osób młodych, które poszukują swojej pierwszej przygody zawodowej w życiu i nie oczekują jeszcze stabilizacji finansowej czy bezpieczeństwa na rynku pracy. W startupie pracuje się dla pewnej misji, idei. Mnie taka wizja do końca nie zaraża – wyznaje.



Już w niedalekiej przyszłości sztuczna inteligencja diametralnie zmieni wiele obszarów naszego codziennego życia.
Fot. Dawid Żuchowicz/Agencja Gazeta

Taka będzie Polska za 50 lat. „Sztuczna inteligencja zintegruje się z człowiekiem”

Tekst: Patrycja Wszeborowska

Jak będzie wyglądał świat za 50 lat? W dobie szaleńczo pędzącego postępu technologicznego, zmian cywilizacyjnych, a także groźby wiszącej nad naszymi głowami katastrofy ekologicznej, trudno gdybać. Jeśli jednak nic nie stanie na przeszkodzie, nasze marzenia o sztucznej inteligencji mają szansę się spełnić, a otaczającą nas rzeczywistość zmienić nie do poznania.

Wizja świata pełnego sztucznej inteligencji

Zaledwie 34 lata temu twórcy filmu „Powrót do przyszłości”, wyobrażali sobie, jak będzie wyglądał świat w 2015 r. Wizja była porywająca, jednak większość wynalazków okazała się zupełnie nietrafiona – latające samochody czy samozawijające się sznurówki wciąż możemy podziwiać tylko na ekranie. Nie ma w tym nic dziwnego – niezwykle trudno przewidzieć odległą przyszłość, a już szczególnie w czasach, w których zmiany zachodzą błyskawicznie i nieustannie.

Jednak pofantazjować nie zaszkodzi. A kto najlepiej mógłby puścić wodze fantazji w obszarze rozwoju

sztucznej inteligencji, jeśli nie osoby, które zajmują się tym na co dzień?

O odważną, bo odległą aż o 50 lat wizję zapytaliśmy Krzysztofa Kudryńskiego, inżyniera ds. Deep Learning Software w Nvidia oraz prof. dr hab. Dariusza Jemielniaka z Akademii Leona Koźmińskiego, opiekuna kierunku studiów z zakresu sztucznej inteligencji w biznesie.

AI w życiu codziennym

Mężczyźni zgodnie twierdzą, że konkretne zmiany w zakresie rozwoju sztucznej inteligencji są niemożliwe do przewidzenia, a jedyne, o czym można

mówić, to kierunki rozwoju. Mimo to malowany przez nich obraz przedstawia futurystyczny świat rodem z produkcji Netflix'a.

– Wyobrażam sobie, że za 50 lat sztuczna inteligencja będzie w bardzo dużym stopniu zintegrowana z człowiekiem. Ludzie będą w stanie poszerzać swoje mózgi o różnego rodzaju ulepszcza, np. okulary zintegrowane z ich interfejsem białkowym – opowiada prof. Jemielniak.

Sztuczna inteligencja diametralnie zmieni wiele obszarów życia, których dziś jesteśmy aktywnymi uczestnikami. Jednym z nich jest giełda. Według naukowca po upływie połowy wieku gra na giełdzie nie będzie miała sensu.

– Komputery będą tak zaawansowane, że ludzie nie będą mieli z nimi najmniejszych szans. Już teraz high speed trading w dużej mierze opiera się na

algorytmach. Jeśli ten system będzie się utrzymywał, spowoduje istotne zachwiania dla gospodarki i możemy się spodziewać, że koniec końców niewiele z niego zostanie – przewiduje.

Doktor robot

Wyjątkowy wpływ AI będzie miała również na medycynę. Jak zauważa Krzysztof Kudryński, sztuczna inteligencja stworzy możliwość błyskawicznej diagnozy w każdym zakątku świata.

– Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w jakimś ubogim rejonie kraju trzeciego świata, nie mamy dostępu do sprzętu i grona specjalistów, a zachorowaliśmy. AI nas diagnozuje i wpuszcza informację o naszym stanie zdrowia w internet. Jeśli silnik treningowy jest dobrze napisany, to algorytmy są w stanie zebrać doświadczenia wszystkich lekarzy z całego świata i powiedzieć nam, na co chorujemy, jakie leki należy nam podać i jakie kroki podjąć – opowiada developer.



Fot. Jakub Orzechowski/Agencja Gazeta

Kolejną zmianą, jaką przyniesie sztuczna inteligencja, jest asystent głosowy, który – jak przewidyje specjalista – w niedługim czasie stanie się powszechną technologią umieszczaną w domach. Brzmiący jak naturalna osoba i z wiedzą całej sieci będzie naszym najmądrzejszym i najbardziej zorganizowanym „znajomym”.

Ważną i niewątpliwie postępującą innowacją są również autonomiczne pojazdy, które według prof. Jemielniaka potrzebują nawet mniej niż 50 lat, żeby stać się powszechnością.

– Ktoś, kto zastanawia się nad kupnem nowego samochodu, powinien naprawdę przemyśleć, jaki on będzie, ponieważ jeszcze jeden, dwa modele i będziemy przechodzić w kierunku pojazdów autonomicznych. Najprawdopodobniej nie będą to auta na własność, tylko wynajmowane, jak taksówki, jako tańsze i bezpieczniejsze. Z powodu przewagi maszyny nad człowiekiem w tej kwestii zastanawiam się tylko, kiedy zakażemy ludziom siadać za kółko – mówi profesor.

Badania Infoshare

O własną wizję świata sztucznej inteligencji zapytał 305 polskich programistów zespół Infoshare. Wyniki przedstawił w swoim najnowszym raporcie „Jak sztuczną inteligencję i własną karierę widzą polscy developerzy?”. Developerzy skupili się m.in. na takich kwestiach, jak samochody autonomiczne, asystenci głosowi, AI w medycynie oraz zastąpienie dziennikarzy przez boty.

I tak prawie 50 proc. z nich uważa, że sztuczna inteligencja będzie kiedyś powszechnie diagnozować i operować ludzi, za 15 lat na polskie drogi wjadą autonomiczne samochody i za mniej więcej taki sam czas w każdym polskim domu pojawi się asystent głosowy.

Kto się tym zajmie?

Ciekawym zagadnieniem jest również sam rozwój sztucznej inteligencji i wizja pracy odpowiedzialnych za to developerów. Według Kudryńskiego zawód developera AI będzie dominujący, jednak diametralnie zmieni się względem tego, jak wygląda dziś.

– Odpowiedzią jest różnorodność. Podejrzewam, że nie będzie żadnego konkretnego języka programowania, a liczyć się będzie rozwiązanie problemu. Co więcej, osób na stanowiskach developerskich będzie najwięcej i większość mniej kreatywnych zawodów nie będzie już potrzebna, nie będą wykonywali ich ludzie. Będzie trzeba programować urządzenia, żeby to robiły – mówi developer.

– Spodziewam się, że będą języki umożliwiające wydawanie skomplikowanych i precyzyjnych dyspozycji językiem naturalnym, a być może myślami. Dobry programista to będzie osoba, która będzie w stanie klarownie coś przemyśleć i wyartykułować w sposób, który spowoduje małą ilość błędów w maszynie, tak by mogła od razu to zinterpretować i zrobić z tego program – twierdzi prof. Jemieliak.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z programowaniem w takim sensie, jak obecnie, czyli z pisanem po prostu linijek kodu – dodaje.

Zagrożenia rozwoju AI

Mówiąc o szansach, nie sposób nie wspomnieć o zagrożeniach. Jak zauważa Kudryński, dość niepokojące skutki mogą przynieść sieci generatywne, które potrafią tworzyć zdjęcia nigdy nieistniejących rzeczy i zmieniać style obrazów. W ten sposób można włożyć w czyjeś usta słowa, których nigdy nie wypowiedział. Gorzej, gdy są to usta charyzmatycznego przywódcy czy słynnego polityka.

– Dla ludzi świadomych postępu sztucznej inteligencji, czyli tego elitarnego grona, które rozumie, jak ta technologia działa, takie rzeczy są zabawne, bo oni widzą, że to fake. Jednak dla przeciętnego człowieka może to być niewyobrażalne, bo on wideo uznaje za nośnik faktu – mówi.

– Warto zastanowić się również nad możliwością AI w kwestii integracji świadomościowych – dodaje prof. Jemieliak. – Prawdopodobnie będziemy tworzyli kolektywy świadomościowe. I tu robi się ciekawie – czy nasza osobowość będzie miała wartość? Czy ktoś, kto jest unikatowy i wyjątkowy, będzie postrzegany jako zbędny, czy raczej właśnie pożądany? – pyta naukowiec.



W Y W I A D Y



Best of naTemat



„Mamy 10/10 punktów szczęścia, że żyjemy w Polsce”. O tej książce będziesz myślał przez tydzień

Tekst: Michał Mańkowski | **Zdjęcia:** Archiwum autora

Czytając tę książkę, parę razy w głos się zaśmiałem. Przeważnie jednak czułem się, jakbym dostał obuchem w łeb. „Chrobot” Tomasza Michniewicza to siedem historii życia najzwyczajniejszych ludzi świata z krajów rozsianych po całej Ziemi. Niby to samo, a jednocześnie tak skrajnie różne. Powiedzieć, że otwiera głowę, to jak nic nie powiedzieć. Dlatego postanowiłem spotkać się z jej autorem i porozmawiać o... Polsce i reszcie świata.



Uganda

W skali od 0 do 10, jakie mamy szczęście, że urodziliśmy się w Polsce?

Bez wahania: 10

Sporo Polaków by się z tobą pewnie nie zgodziło.

Pewnie, gdybyś zrobił sondaż na ulicy, ludzie powiedzieliby 6, może 6,5, ale to tylko dlatego, że nie mają porównania z innymi miejscami. Jeśli patrzysz na to z perspektywy nawet nie skrajnej biedy na końcu świata, ale tamtejszej klasy średniej, to nie mam najmniejszej wątpliwości, że w rozdaniu życia to my wyciągnęliśmy najdłuższe zapalki.

Mamy system, który będzie nas ratował w każdej sytuacji życiowej, jaka się pojawi. W Indiach dostaniesz emeryturę, tylko jeśli pracujesz dla państwa, a jeśli nie (jak większość), czeka cię roczna odprawa i tyle. Nie ma znaczenia, że pracujesz X lat, że płacisz podatki. Dostajesz odprawę, uścisk ręki i do widzenia. 70 proc. ludzi nie dostanie w ogóle

niczego. W wielu krajach ludzie mają dużo dzieci nie dlatego, że to dla nich idealny model rodziny, ale dlatego, że jedynie dzieci są na stare lata gwarancją przeżycia i zabezpieczenia.

O ile się tych „starych lat” dożyje.

Spójrz, w jaki sposób to determinuje twoje życie. Jesteś zdany sam na siebie lub na swoich najbliższych. Nie ma darmowej służby zdrowia, darmowej edukacji, zabezpieczeń socjalnych. Nic. Więc tak – w Polsce jesteśmy solidną „dziesiątką”.

Który z krajów, które opisałeś, jest najgorszy do życia? USA, Japonia, Uganda, Indie, Zimbabwe, Finlandia, Kolumbia?

Dzisiaj najbardziej nie chciałbym urodzić się w Zimbabwe. Jest tam 90 proc. bezrobocia, kraj stoi na granicy wojny domowej, jest totalnie zrujnowany. Tam już nawet nie ma czego ukrąść. Możesz jechać przez osiem godzin i nie zobaczyć nic oprócz

dwóch lepierek. Fizycznie skończyły się tam nawet pieniądze, które wywiózł reżim – gotówka zniknęła 1,5 roku temu.

Zamiast dolarów wprowadzono sztuczne twory w postaci weksli przypominających banknoty. Wydano je i powiedziano, że od teraz to będą pieniądze. One nie mają żadnej wartości. A jeśli kraj jest zrujnowany tak, że nie ma za co żyć, to prędej czy później mieszkańcy będą chcieli odebrać coś sąsiadom.

A czemu jedną z historii nie jest życie przeciętnego Kowalskiego z Polski?

A czy czytając książkę, zastanawiałeś się, co ty robiłeś w danym momencie swojego życia?

Pewnie.

No więc właśnie. Czytelnik staje się ósmym bohaterem. Idziesz z całą siódmką, zastanawiasz się, jak to wyglądało w twoim przypadku. Jak było w szkole, przedszkolu. Jak wyglądały pierwsze związki, jakie jest podejście do seksu i bliskości, jak traktowali cię rodzice. Co mówi się o edukacji, gdzie mogłeś pracować, co robić.

Uznałem, że nie ma sensu duplikować historii. Wolałem wybrać np. Finlandię, która geograficznie jest nam bliska, ale w praktyce strasznie odległa. Weźmy przykład języka fińskiego, w którym nie ma płci. Byłbym w stanie napisać po fińsku książkę, w której historia byłaby kompletna, a ty przez 500 stron nie wiedziałbyś, czy główny bohater to on, czy ona.

W kulturze fińskiej równość płci jest zakorzeniona tak głęboko, że ma odzwierciedlenie nawet w języku. I właśnie dlatego wolałem pokazać z jednej strony tak bliski nam geograficznie kraj, a jednocześnie tak kulturowo odległy.

Co było największym szokiem podczas poznawania poszczególnych krajów?

Chyba to, że w różnych miejscach na świecie na te same terminy mamy skrajnie różne definicje. Dajmy na to „bezpieczeństwo”. Siedzimy w restauracji i na to hasło mamy dość podobne skojarzenie, np. finansowe i fizyczne, że nikt nam tu zaraz nie zrobi krzywdy. I ta definicja jest bardzo odległa od definicji bezpieczeństwa np. w Zimbabwie, Kolumbii czy Japonii.

Albo spójrzmy na „wolność”. To jest wartość, która dla nas jest nad wyraz ważna, a dla innych może być

zupełnie nieistotna społecznie i nie widzą w tym nic złego. Gdybyś w Japonii zrobił na ulicy sondaż, to obstawiam, że na pierwszych dziesięciu miejscach nikt nie wskazałby wolności czy indywidualizmu jako wartości istotnych w życiu. Japończycy wolą kolektywizm i harmonię z innymi.

Jest takie japońskie powiedzenie, że każdy wystający gwóźdź trzeba po prostu wbić i wyrównać. Moim zdaniem to jest motto japońskiej kultury. To jest społeczeństwo na pierwszym miejscu stawiające grupę, niezależnie czym ta grupa by była: klasą w szkole, ludźmi w firmie, wioską – to jest ważniejsze niż jednostka. I masz społeczny obowiązek, by poświęcić siebie na rzecz takiego tworu.

W japońskich szkołach formy znęcania rzadko kiedy są fizyczne. To sytuacje ostracyzmu i wykluczenia z grupy – koledzy będą cię pomijać przy spotkaniach, obiadach, wspólnych zadaniach. To nie jest przemoc w naszym rozumieniu, dla Japończyków już tak.

A kulturowo co najbardziej ciebie zaskoczyło?

Jak bardzo ludzie są elastyczni i jak łatwo są w stanie przyzwyczaić się do warunków, które dla nas są nieakceptowalne, np. do ciągłej przemocy i zagrożenia. Życie z ciągłym zerem na koncie i strachem, że jutro przyjdą żołnierze i zabiorą mi dom, odstrzelą żonę... Nie wyobrażam sobie życia w takim miejscu i jak najszybciej bym stamtąd uciekał. Tymczasem oni odpowiadają, że „no co ty, u nas tak po prostu jest, to przecież normalne”.

Zaskoczeń miałem multum, to były prawie dwa lata pracy. Gdy rozmawiasz z ludźmi z tak skrajnych kultur, wśród których masz macyzm w Kolumbii, agresywny kapitalizm w USA, kolektywizm w Japonii, Ugandę, która w 20 lat przeskakuje setki lat rozwoju ekonomicznego, to widzisz, jak te kultury na jakimś etapie musiały rezygnować z różnych wartości. Japonia musiała porzucić indywidualność, żeby osiągnąć tak wysoki poziom organizacji społecznej. Jeśli kultura latino jest taka żwawa, wolna i wesoła, to co Latynosi musieli w zamian za to oddać?

A z czego my w Polsce zrezygnowaliśmy?

Wydaje mi się, że najbardziej musieliśmy zrezygnować z poczucia wspólnoty. Japończycy nie mają poczucia, że brakuje im wolności osobistej, bo to dla nich stan naturalny. Tak samo my nie

widzimy, że nie jesteśmy już częścią większych wspólnot i też nam ich nie brakuje. Tak zostaliśmy ukształtowani.

Jeśli miałbym plasować nas gdzieś na mapie świata pod tym względem, byłibyśmy bardzo blisko Stanów Zjednoczonych. Tam również najważniejsze są jednostki, każdy jest sam i samotnie biegnie w tym swoim wyścigu.

Ale w Japonii też przecież są samotni, nawet bardziej niż gdzie indziej.

Tak, ale Japończycy tego w ten sposób nie odczuwają. To ty, czytając o Japonii, czujesz, że oni tam muszą być samotni. Gdybyś teraz pojechał do Tokio i tam żył, pewnie faktycznie czułbyś się samotny, ale rodząc się tam, odbierasz to zupełnie inaczej. I my, jako Polacy, w ten sam sposób nie czujemy, jak samotni jesteśmy w tym naszym wyścigu. Do edukacji, kariery, pieniędzy, statusu, wakacji. Do tego wszystkiego, co składa się na sukces w naszym świecie.

Jaka jest najbardziej charakterystyczna cecha Polaków?

Niepokorność. Polacy nie dadzą sobie niczego narzucić. Wyobraź sobie, że mieszkasz na prowincji

w Finlandii – masz tam paletę raptem pięciu czy sześciu barw, na które możesz pomalować swój prywatny dom, bo Finowie uważają, że krajobrazowo wszystko w jednej tonacji będzie wyglądać ładniej niż różnorodna pstrokaczna. A teraz wyobraź sobie, że jedziesz do jakiejś gminy w Polsce i mówisz wójtowi: „Tu jest wasza paleta kolorów i wszystkie domki mają być pomalowane na jeden z nich”. I ten sołtys idzie do gospodarzy, żeby im to powiedzieć.

Spojrzeliby jak na idiotę.

I pogonili psami albo widłami. To wykracza poza naszą akceptowalność świata, że oto ktoś nam narzuca coś w naszym domu.

Gardzisz tradycyjnym przemysłem turystycznym i ludźmi, którzy myślą, że znają świat, a tak naprawdę nie mają o nim pojęcia?

Nie, na pewno nie. Ja niby o sobie też mogę powiedzieć, że niby znam świat, ale tak naprawdę rozumiem bardzo mało i każda kolejna książka mnie o tym przekonuje.

Znasz go na pewno lepiej niż 90 procent Polaków.

Okej, ale przy całym moim doświadczeniu dzisiaj nie napisałbym np. takiej książki jak „Samsara”,



Zimbabwe



Kolumbia

którą wydałem 10 lat temu. Jest zbyt naiwna. Skupia się za bardzo na walorze turystyki, egzotykuje kraje i wpisuje się w narrację przemysłu turystycznego.

Ale w pewnym stopniu te miejsca są od tego. Tajlandia, Malediwy, Bali, Sri Lanka, Kenia to miejsca, które żyją z turystów.

Podam ci przykład. Gdy mówię „Afryka”, znakomita większość ludzi widzi przed oczami sawannę i przechadzające się wszędzie dzikie zwierzęta. A to nie jest Afryka, a już na pewno nie jest to Afryka dla Afrykanów. To jest enklawa zachodniego kapitału przeznaczona dla zachodnich i chińskich turystów, do której wstęp kosztuje 150-250 dolarów za dzień.

95 procent Afrykanów nie zobaczy w życiu dzikich zwierząt. To tylko nam się wydaje, że mieszkając w Afryce, codziennie w drodze do szkoły czy pracy

mija się słonia czy żyrafę. Ta Afryka, którą mamy w głowach, to nie jest Afryka. To inkubator dla turystów, do którego nie wpuszcza się większości Afrykanów, bo ich na to nie stać.

To tak, jakby oczekiwać, że w Polsce codziennie mijamy typowego górala i żubra.

Dokładnie. U nas popularne są bigosy i zsiadłe mleko, których generalnie nigdzie indziej nie można znaleźć. I wyobraź sobie, że przylatuje do Polski reportażysta z Australii czy Afryki i chce opisać Polskę przez pryzmat górala w Zakopanem i bigosu. To nie jest to.

Z drugiej strony takie postrzeganie kraju przez bardzo wyraźny pryzmat czegoś jest potrzebne.

Zgadzam się. Mówisz flamenco, myślisz Hiszpania. Mówisz pizza, myślisz Włochy itd. – to jest okej. Rozumiem, marketingiem turystycznym kraje

i regiony się promują, ale w reportażu i próbie przedstawienia rzeczywistości nie można tego robić w tak uproszczony sposób.

„Chrobot” był próbą ucieczki od tego turystycznego spojrzenia na podróżę i świat. Chciałem oddać głos ludziom, którzy wiodą w tych miejscach życie. Nie są przedstawicielami skrajności, kimś bardzo biednym lub bogatym. Są po prostu kimś normalnie żyjącym w danym kraju. Normalnie jak na tamtejsze standardy.

Wszyscy bohaterowie mają dziś ok. 35 lat i reprezentują środek skali – ich skali, ale nie naszej, polskiej skali. Trzymając się porównania do Polski – nie jest to ktoś ani z Miasteczka Wilanów, ani z biedaszybów gdzieś na Śląsku. Gdyby bohaterem miał być Polak, wybrałbym kogoś z miasta do 50 tys. mieszkańców z przeciętnym poziomem dochodów.

Bohaterowie wiedzieli o sobie nawzajem?

Tak, im dłużej pracowaliśmy, tym więcej dopytywali. Pamiętam, jak kiedyś podczas rozmowy na Skypie, Marggie z Ugandy spytała, dlaczego u nas jest tak ciemno. Wyjaśniłem więc, że jest zima i o 16.30 słońce już zachodzi. Opowiadałem jej, czym jest śnieg i jak to jest, gdy za oknem jest -20 stopni. W teorii to rozumiała, ale tylko na poziomie teorii, nie doświadczenia. Dopytywała, jak jest w Tokio, co się dzieje w Finlandii itd.

Kanae, moja japońska bohaterka, gdy doszliśmy do tematu kwestii romantycznych, poprosiła mnie, żebym wyjaśnił, jak to jest możliwe, że w filmach ludzie patrzą sobie w oczy i nagle, tak bez pytania, się całują. Jej się nie mieściło w głowie, jak można pocałować kogoś bez pytania. Racjonalnie oczywiście zrozumiała to wyjaśnienie, ale potem pyta: „A co, jeśli jemu się tylko wydawało, że ona chciała tego pocałunku?. Przecież to niezręczna sytuacja”. Bardzo często bohaterowie pytali o siebie nawzajem i to, jak dana rzecz wygląda w innym kraju.

Czy oni widzieli już książkę?

Tak, właśnie lecą do nich egzemplarze. W trakcie pracy dostawali też robocze tłumaczenia w swoich językach.

Jest szansa, że oni kiedykolwiek się spotkają?

Nie sądzę.

A jak ty rozumiesz tytułowy chrobot? W książce tylko kilka razy pada to słowo.

Nie odpowiedziałem na to pytanie w książce, każdy powinien zrobić to sam. Ten wątek może być wieloznaczny.

Ale ty jako autor musisz mieć swoje rozumienie tytułu.

Im dłużej podróżujesz, zwłaszcza po krajach globalnego południa, tym bardziej widzisz, że ten system, w którym współcześnie trwamy... że coś w nim nie gra, nie działa. Widzisz, że prędzej czy później będzie musiał runąć, ale my tego nie dostrzegamy, widząc tylko jedną jego stronę.

Patrzmy na koniec biorczy, jesteśmy beneficjentami. Tymczasem gdy spojrzysz na jego drugą stronę, na perspektywę Indii, Wietnamu, Zimbabwe, Zambii, w sumie jakiegokolwiek innego kraju poza Europą, USA, Australią i Nową Zelandią, widzisz, że to nie może się obronić w dłuższej perspektywie.

To nie są nowe wnioski, bo ekonomiści przestrzegali przed tym już dekady temu. System, w którym w tak bardzo niewielkiej liczbie rąk koncentruje się znakomita większość światowych zasobów, w pewnym momencie padnie. Prędzej czy później ludzie „zza płotu” stwierdzą, że trzeba coś zabrać sąsiadowi, któremu wiedzie się lepiej.

Fin Mika w dzieciństwie dostawał 50 euro kieszonkowego miesięcznie. Matka Marggie nie mogła pozwolić sobie na wysłanie wszystkich dzieci do szkoły, bo roczna edukacja kosztuje 20 dolarów. Gdy czytam coś takiego, czuję, jakbym dostał obuchem przez łeb.

Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy, jak wielka jest ta przepaść. Rozumiemy, że są kraje biedne i bogate, ale nie wiemy, jakie to różnice. Marggie, dziś dyplomowana pielęgniarka w Ugandzie, pracowała 7 dni w tygodniu od 6 rano do 22, jeżdżąc z przenośnym zestawem do badania na obecność HIV i malarii.

Dziennie badała 200 osób w wioskach, w których nie ma prądu ani nie dociera do nich komunikacja. I wiesz, ile zarabiała? 50 dolarów miesięcznie, czyli niecałe 200 złotych.

Czy bohaterowie zarobili coś na książce?

To był etyczny dylemat, bo z zasady reportażysta nie płaci swoim bohaterom. Pieniądze mogą zafalszo-



Indie

wać obraz i opowieść. Ja mam relacjonować, a nie oczekiwać czegoś, bo zapłaciłem. Ale jeśli leciszy do Ugandy czy Kalkuty w Indiach i tam odwiedzasz kobietę, która ma na utrzymaniu trójkę dzieci, a zarabia 12-13 złotych dziennie, to kim jesteś, żeby zabierać jej dwa tygodnie z życia, by napisać książkę, w której będzie jedną z bohaterek?

Czy ja mam prawo odebrać jej pieniądze, które by w tym czasie zarobiła? Jestem bardziej reporterem czy człowiekiem? Uznałem, że człowiekiem, dlatego niektórym bohaterom zapłaciłem za ich czas i upewniłem się, że nie będą mieli z tytułu naszej pracy żadnych kłopotów.

Jak ich w ogóle znalazłeś?

Najpierw zdecydowałem, jakie kultury chciałbym pokazać, żeby się w całej opowieści odpowiednio balansowały. Wszystkie kraje znałem z wcześniejszych podróży, więc wiedziałem, czego się spodziewać po ich mieszkańcach. Po drugie chciałem, żeby bohaterowie urodzili się mniej więcej w tym samym momencie, dorastali razem.

Chciałem też, żeby dobrze reprezentowali punkt w czasie, w którym znajduje się ich kraj. W Kolumbii można zauważyć ruch emancypacji kobiet, które podnoszą głowę, mając dość wszechobecnego macyzmu.

W Japonii taki stereotypowy obrazek, czyli garnitury, teczki, praca do 23, to historia sprzed lat. Dzisiejsi 20-30-latkowie nie chcą pracować już jak ich rodzice, którzy się zaharowywali, a potem byli zwalniani bez słowa i uścisku dłoni, wpadali w alkoholizm, nie potrafili się odnaleźć. Dziś tak nie chcą pracować, odkrywają work-life balance. Widzą kogoś w kawiarni z laptopem i kawą i to dla nich synonim raj. Jeszcze nie rozumieją drugiej strony tego medalu, ale wiedzą, że nie chcą skończyć jak ich rodzice.

Na miejscu miałem fixerów, którzy mi pomagali.

Fixerów?

Ludzi mówiących lokalnym językiem, którzy mieszkają na miejscu i zostali zatrudnieni do znalezienia



Japonia

konkretnego bohatera. Gdybym w Kalkucie chodził i miesiącami sam szukał bohaterów, to byłoby karkołomne. Byli tłumaczami nie tylko języka, ale i kultury. Czasami sugerowali, jak zadać pytanie, by zostać dobrze zrozumianym, bo mówią o jednej rzeczy, czasami mieliśmy na myśli dwie zupełnie inne sprawy.

Która historia zrobiła największe wrażenie?

Tylko nie mów, że każda po trochu.

Dwie. Właśnie Ugandyjka Marggie, bo jeśli miałbym obstawiać jej przyszłość, zgodnie z logiką obstawiłbym, że umrze w nędzy w dzieciństwie. Natomiast druga historia to paradoksalnie Casey z USA. Mamy bardzo filmowe, serialowe wyobrażenie o Stanach Zjednoczonych, a to jest baśniowa rzeczywistość. Stany to nie tylko Nowy Jork czy plaże Malibu. To jest jedynie wyobrażenie, które niewiele ma wspólnego z codziennym życiem.

Celowo wybrałem historię chłopaka ze Springfield w Missouri. To najczęściej używana nazwa miej-

scowości w USA, więc już nie mógł być bardziej „Kowalski”. Jego historia układa się w portret systemu, który łapie cię na samym początku twojego życia i nie wypuszcza do samego końca. Tam nie ma opcji, że rzucasz wszystko i jedziesz w Bieszczady. Cały czas musisz biec i mieć coraz więcej, albo odpadniesz z pelotonu i skończysz na dnie. Ten system wymusza od siebie codzienne wydatki i inwestycje w siebie.

Masz kredyt?

Już nie. Jakiś czas temu spłaciłem. Nie mam wielkiego mieszkania, nie mam wypasionego samochodu, od zawsze starałem się minimalizować swoje potrzeby. Widziałem zbyt wiele sytuacji, w których ludzie żyją ponad stan.

Kiedy ostatni raz kupiłeś sobie buty? Kiedyś na Facebooku przekonywałeś czytelników, że to właśnie dzięki takim małym oszczędnościom możesz sobie pozwolić na podróż. A twoje buty swoje już przeszły.

(śmiech) Te są przynajmniej dwuletnie i są ostatnią parą, jaką kupiłem. Mam bardzo mało rzeczy, które mieszczą się w niewielkiej szafie. W moim świecie ludzie nie zwracają wielkiej uwagi na to, co noszę.

Ile czasu spędzasz za granicą?

Teraz mniej, ale kiedyś nawet pół roku.

Jak nie zwariować, wracając do rzeczywistości? Biegasz po dżunglach, widzisz mniejsze lub większe dramaty, jeździsz po świecie, a potem nagle budzisz się i... jest zwykły poniedziałek. Siedzisz w Arkadii i rozmawiasz z gościem z naTemat.

To jest trudne doświadczenie, zwłaszcza jeśli wyjeżdżasz poza zamożną część świata, gdzie ludzie muszą radzić sobie z trudnościami, o których zapomnieliśmy sto lat temu. Wracasz do domu i zostaje ci tzw. ogon, bo nie możesz odnaleźć się tu na miejscu. Rozmowa o tym, czy warto kupić nowego iPhone'a wydaje ci się absurdalna, tracisz część wspólną z bliskimi.

Mamy się czuć winni, że zastanawiamy się nad nowym telefonem, samochodem, wycieczką, ubraniem?

Nie, ależ skąd. Nie mieliśmy na to żadnego wpływu. To nie jest tak, że pytanie o iPhone'a jest głupie czy okrutne, ono w naszym świecie jest zasadne. Ja nie czuję się z tego powodu winny i sugeruję wszystkim to samo. To nie nasza wina, że w wyniku naszych zakupów ludzie w Bangladeszu pracują w fatalnych warunkach.

Ten system po prostu nie daje nam realnego wyboru, to nie my jesteśmy źli. I właśnie ten brak realnego wyboru jest straszny, bo zostaliśmy wpisani w system, który wymusza korzystanie z rozwiązań wątpliwych etycznie. Prędzej czy później dochodzisz jednak do pytania, dlaczego moja rodzina ma mieć gorzej, żeby ktoś na końcu świata miał lepiej.

Czy fair wobec twojej żony jest, że tyle podróżujesz?

Gdybyśmy nie umówili się na takie życie i nie byłoby ono satysfakcjonujące dla naszej dwójki, tobyśmy go nie wiedli. Jesteśmy razem już 18 lat, więc jest szansa, że jest okej.

Pytam, bo widziałem ostatnio reklamę filmu „53 wojny”, który powstał na podstawie autobiografii Grażyny Jagielskiej, żony korespondenta wojennego Wojciecha Jagielskiego. Czy przez to,

że jesteś podróżnikiem, który jak by nie patrzeć jest często poza domem i nierzadko ryzykuje, nie czeka was podobny los?

„Miłość z kamienia” przeczytałem jakieś pięć lat temu i mogę uczciwie powiedzieć, że ta książka zmieniła moje życie. Wojciech Jagielski od zawsze był moim idolem, znamy się, szanuję jego pracę, która od zawsze mnie fascynowała. A czytając tę książkę, zobaczyłem siebie za 20-30 lat.

Gdy Jagielski był w moim wieku, też cieszył się swoją pracą tak, jak ja cieszę się nią dzisiaj. I wtedy też nie zastanawiał się, jakie to będzie miało konsekwencje nie tylko dla niego, ale także jego rodziny. Żona musiała leczyć się klinicznie ze stresu pourazowego i wielu innych problemów.

Spojrzałem na bardzo atrakcyjną drogę, która prowadzi do mało atrakcyjnego miejsca w przyszłości. Musiałem zdobyć się na dystans, żeby sobie z dzisiaj pokazać siebie za 30 lat. I wyjaśnić sobie samemu, że to nie jest najlepsze wyjście.



Tomasz Michniewicz – dziennikarz, reportażysta, fotograf, podróżnik i organizator wypraw. Autor pięciu bestsellerowych, nagradzanych reportaży książkowych. Autor programu „Inny świat” w telewizji TTV i audycji „Mapa świata” w Radiu Zet (a wcześniej „Reszty świata” w Jedyńce i „Trójka Przekracza Granice” w Trójce). Laureat czterech statuetek na festiwalu sztuki mediów i podróży Mediatravel, nominowany m.in. do nagrody National Geographic „Traveler”. Członek jury Kolosów, najważniejszej nagrody podróżniczo-eksploratorskiej w Polsce, oraz Wielkiego Konkursu Fotograficznego „National Geographic”.



„Nie przejmuję się, że jestem wieśniakiem”. Małomiasteczkowa rozmowa z Dawidem Podsiadłą

Tekst: Kamil Rakosza | **Zdjęcia:** Jacek Kołodziejcki

Jak pewnie większości z was, mi również nie udało się dodzwonić do Dawida przy okazji akcji promocyjnej „Małomiasteczkowego” w ostatnich dniach września. Udało mi się jednak spotkać z nim w Warszawie i pogadać jak słoik z wekiem. – Ja tam się nie przejmuję, że jestem wieśniakiem – uważa Dawid Podsiadło.

Chyba dość sporo ludzi próbowało się do ciebie dodzwonić.

Mnóstwo. Jeśli chodzi o konkretne liczby, to z tego, co słyszałem, telefonów w najgorętszym momencie było 450. Być może nie wydaje się to jakąś ogromną liczbą, ale w momentach, kiedy kierowano te połączenia do mnie, koniec rozmowy stawał się początkiem drugiej i tak w kółko. Chwilami ciężko było to ogarnąć.

Super wyszła ta cała akcja z telefonami, zaszyfrowanymi wiadomościami i Instagramem. Mega się cieszę i pękam z dumy, że moja ekipa jest taka kreatywna. Warto robić rzeczy, których w Polsce jeszcze nie było albo zdarzają się rzadko.

Jak reagowali fani, kiedy w słuchawce słyszeli żywego ciebie, a nie automat?

No tu pojawił się dość powtarzalny schemat. (śmiech) Brzmiało to mniej więcej w ten sposób: „Halo? Naprawdę? Ale serio to Ty?”. Generalnie większość tych osób zdążyła wcześniej zobaczyć tajny profil na Instagramie, o który chodziło w całej akcji.

Z niektórymi z nich prowadziłem jakieś krótkie rozmowy, głównie o tym, co sądzą o profilu i czy pojawiają się na którymś z koncertów. Kilkoro ananasów miało jeszcze jakieś dodatkowe, niezwiązane z muzyką pytania.

Najnowszy album przygotowaliście we dwóch, wspólnie z Bartkiem Dziedzicem. Poprzednia płyta była owocem pracy całego zespołu, za to twój debiut to również efekt wysiłków twórczego tandemu. Kiedy ci się lepiej pracuje? Łatwiej osiągnąć zamierzony cel w mniejszym czy większym gronie artystów?

Już na bardzo wczesnym etapie przygotowania czułem, że chcę wrócić do pracy w duecie. Wydaje mi się, że to bardziej intymny tryb i ciężar rozkłada się równomiernie.

W przypadku pracy nad drugą płytą producent mojego pierwszego albumu – Bogdan Kondracki, zaprosił do pomocy Daniela Walczaka, czyli ówczesnego kierownika muzycznego zespołu. Pojawiło się więcej źródeł kompozycyjnych – były utwory, które robiłem sam, inne tworzyliśmy wspólnie z Danielem, kolejne z Bogdanem, a resztę w pełnym składzie na próbach.

Wydaje mi się, że wtedy trudniej było wycisnąć muzyczną esencję, każdy miał trochę inny styl. Najtrudniejsze zadanie przypadło producentom, bo to oni z 30 kompozycji musieli wybrać 12 spójnych

kawałków, które weszły na album. Pod kątem spójności i złapania wspólnego kierunku o wiele łatwiej jest stworzyć w mniejszym składzie.

Jednak chyba nie dlatego chciałem wrócić do duetu. Zrobiłem to, bo miałem ambicję, żeby zagrać po polsku. Potrzebowałem właściwej motywacji, by się temu poświęcić i nie ulegać momentom rozproszenia. Zależało mi na pełnym skupieniu na tej jednej konkretnej rzeczy. I w takim przypadku o wiele łatwiej pracuje się w duecie. Cieszę się, że zrobiliśmy ją z Bartkiem w takiej formie.

A czemu „po naszymu”?

Chyba poczułem taką gotowość. Już wcześniej zrobiłem kilka rzeczy po polsku...

Dobrze się przyjmowały.

No właśnie, to też ma pewne znaczenie, na koncertach da się zauważyć, jak ludzie odbierają te piosenki. Dodatkowo w swoim wolnym czasie zacząłem słuchać więcej polskiej muzyki. Zwłaszcza że coraz więcej tej muzyki powstaje i jest ona coraz lepszej jakości.

Tak jest, po prostu chce się słuchać.

Dokładnie. To jest bardzo istotne i daje megapozytywną nadzieję na przyszłość. Niedawno w swoim życiu otworzyłem się na nowy dla mnie gatunek – rap. Choć słyszałem też, że to, czego słucham, dla niektórych nie jest rapem. (śmiech)

To kogo słuchasz?

Nikogo nie chcę teraz urazić wcześniejszym wstępem (śmiech), ale z hiphopowych rzeczy wkleja mi się Łona i Webber, Taco Hemingway i Ten Typ Mes. Na pewno ta trójka jest dla mnie wzorem pod kątem pisania czy opowiadania historii.

W dzisiejszym rapie w sumie ciężko określić twarde granice gatunku. Ciężko też znaleźć we współczesnym topowym mainstreamie coś, co nie czerpałoby z hip hopu. W twoim najnowszym singlu „Nie ma fal” również słychać jakąś inspirację rapową stylistyką. Współczesny główny nurt faktycznie bardzo mocno czerpie z rapowej estetyki. Myślę, że Bartek sprytnie powyciągał z Zachodu mnóstwo najświeższych rzeczy, bo też „Nie ma fal” to niejedyny numer na płycie, w którym słychać hiphopowy groove. Bardzo fajnie się na tym śpiewa, jest sporo przestrzeni na wymyślanie ciekawych melodii.

Poza tym mega polubiłem ten system zabawy słowem. Raperzy mają znacznie więcej tekstu do przekazania,

dlatego podziwiam sposób, w jaki to robią. A Mes w ogóle jest jakimś totalnym asem w tej kwestii. To bardzo spostrzegawczy i błyskotliwy artysta.

Czy w tych napisach z okładki „Małomiasteczkowego” przebija się trochę „The Life of Pablo” Kanye’a Westa?

Pomysł na taki wygląd okładki wyszedł od Bartka Walczuka. Przyznam, że mi też kojarzy się z innymi rzeczami, najbardziej z napisami na „Brothers” The Black Keys. Akurat o „The Life of Pablo” nie myślałem, ale za to na okładce „Ye”, tegorocznego krążka Kanye’a, możesz zobaczyć podobny kolor fontu do tego z mojego albumu.

Mieliśmy pewną wizję oprawy trasy i promocji płyty, niezależnie od tego, czy widzieliśmy coś gdzieś wcześniej. Wydaje mi się, że trudno jest dzisiaj wpaść na koncept albo taki sposób wykonania, żeby coś wyszło nie wiadomo jak oryginalnie. A jak już coś wymyślisz, to potem zaczynasz inaczej patrzeć np. na istniejące okładki płyt. Zaczynasz dostrzegać np. podobieństwo koloru albo sposób pisania, czy zdjęcie. Wydaje mi się, że trudno jest dzisiaj uniknąć porównań i odniesień przy tej ilości treści dostępnych przez internet na wyciągnięcie ręki.

Słuchając twojej najnowszej płyty, odniosłem wrażenie, że jest również pożegnaniem z kimś bardzo ci bliskim. Mam rację?

Nawet z kilkoma osobami. Nie mówię o jednym rozstaniu, a raczej o całej idei rozstawania się. Niekoniecznie w kontekście relacji damsko-męskich, choć takich jest oczywiście najwięcej. To nie są historie najświeższe, utwór „Dzins” opowiada o romantycznej relacji z mojego życia, którą żyłem chyba jakoś w 2008 roku.

Dla mnie to było strasznie inspirujące, żeby po tej dekadzie napisać coś z perspektywy siedemnastoletniego siebie, wspominając szczeniacką, zachłanną miłość.

No a te inne pożegnania?

Praktycznie każdy numer na płycie jest inspirowany jakimś konkretnym przeżyciem i relacją, której doświadczyłem w przeszłości. Wiem, że tym konkretnym osobom bardzo łatwo będzie to zdekodować.

Przed wszystkim chodzi jednak o pewien uniwersalizm, tak by słuchający mnie odbiorca również mógł się w tych historiach odnaleźć czy dopasować je do swoich sytuacji. Opisałem relacje o różnym stopniu głębokości i choć wszystkie odnoszą się bez-

pośrednio do tego, co przeżyłem, chciałbym, żeby każdy słuchacz mógł się w nich odnaleźć.

Czy bycie małomiasteczkowym to jakiś straszny brud, który jak najszybciej trzeba z siebie zmyć?

Nie, ta piosenka opowiada o tym, że niezależnie, kim jesteś i skąd pochodzisz, nigdy nie powinieneś tego zagłuszać. Najważniejsze to żyć w zgodzie ze sobą i nie czuć jakiegokolwiek wstydu związanego z pochodzeniem. Przecież to absolutny przypadek, że urodziłeś się w Warszawie, Częstochowie czy Dąbrowie Górniczej.

Ten numer to bardziej krzyk składający się w takie proste hasła, jak „nie rezygnuj z siebie”, „nie staraj się przypodobać innym”. Najważniejsze to kierować się własnym sercem, a nie tym, czego wymaga od nas świat.

Z własnego doświadczenia, może z obserwacji znajomych, uważasz, że ludzie z mniejszych ośrodków cierpią na jakiś „kompleks słoika”? Zauważ, że wiele takich osób musiało przećwaczać się przez znacznie trudniejsze warunki, żeby w końcu odnieść sukces. Mimo to mam wrażenie, że niektórzy z nich nadal czują się gorsi od swoich współpracowników czy znajomych z większego miasta.

Mimo że sam pochodzę z Dąbrowy Górniczej to ciężko mi się utożsamić z tą grupą. Ja wszedłem tutaj na totalnie komfortowych warunkach. Przeprowadziłem się, z nikim nie muszę rywalizować. Po prostu żyje mi się tu bardzo dobrze.

Ciężko mi sobie wyobrazić, co czuje ktoś, kto naprawdę włożył mnóstwo wysiłku w to, żeby popchnąć swoje życie zgodnie z własną ambicją. Moje poszukiwanie siebie w tym mieście odbywa się na zupełnie innych poziomach.

Ale łapiesz się czasem na takim poczuciu, że gdzieś nie pasujesz?

Tak, jasne. Głównym bodźcem do napisania „Małomiasteczkowego” był ten moment, kiedy poszedłem sobie pewnego razu na siłownię.

Wiesz, zakładałem na siebie te ciuchy, myślałem sobie, że idę na jakąś ekskluzywną salę ćwiczeń dla gwiazd. I wtedy poczułem, że w ogóle nie pasuję do tej ekipy, wręcz im tam smrodzę. Pcham się nie wiadomo gdzie ze swoją krzywą gębą. Wszyscy w wypasionych ciuchach, wyczesanych fryzurach, a ja włożę w spodenkach z gimnazjum, które – o dziwo – jeszcze pasują. Serio, czułem się tam tak, jakbym ich obrażał swoją obecnością.



– Najważniejsze to nie czuć wstydu związanego z pochodzeniem – mówił naTemat Dawid Podsiadło.

A w zwrotce o „świecie sypiącym kreski” nie krytykujesz przypadkiem bywalców takich miejscówek?

Po przeczytaniu tych wszystkich interpretacji i komentarzy pod piosenką, muszę powiedzieć, że w „Małomiasteczkowym” przede wszystkim atakuję ludzi, którzy wewnętrznie nie potrafią pogodzić się z tym, kim są. Ja tam się nie przejmuję, że jestem małomiasteczkowy czy mówiąc jeszcze inaczej – wieśniakiem. Zakładam te spodenki i idę ćwiczyć.

Ta druga, oceniająca strona tak naprawdę ma gdzieś skąd jesteś i z jakiego środowiska pochodzisz. Albo cię akceptują, albo nie, i tyle. Mam wrażenie, że ludzie nie oceniają nas tak często, jak nam samym się wydaje. Mimo to tworzymy sobie jakiegoś niewidzialnego przeciwnika i toczymy z nim bezsensowną walkę. No i ostatecznie ta piosenka jest właśnie o tym, żeby nie wstydzić się samego siebie przed sobą. Jesteś spoko.

Denerwowałbyś się, gdybyś cały czas musiał coś musieć?

Lubię okresy, w których muszę robić rzeczy. Jeszcze przed rozpoczęciem mojej muzycznej kariery starałem się jak najpełniej wykorzystywać czas. Chodziłem na różne zajęcia sportowe lub artystyczne, nie lubiłem marnować dnia. Dlatego teraz w okresie promocyjnym, kiedy jest dużo rozmów o płycie – wywiadów i spotkań, po których czuję się czasem zmęczony, to gdy na koniec dnia wracam do domu, jestem z siebie zadowolony. Cieszę się, że zrobiłem wiele produktywnych rzeczy.

To zbliża mnie do satysfakcji z faktu, że zapracowałem na to, co mam. Wykonuję pracę, zamiast siedzieć na tyłku i czekać na trasę. Jak każdy, bardzo dobrze czuję się ze świadomością dobrze wykonanej roboty. Dlatego lubię nawet te momenty, kiedy jestem w jakiś sposób przymuszany do pracy. (śmiech)

Klip do „Małomiasteczkowego” był bardzo filmowy, ty zresztą w jednym z wywiadów mówiłeś, że kinematografia jest kierunkiem, który również bardzo cię pociąga. Doczekamy się Dawida na wielkim ekranie?

W czasie tej mojej muzycznej i wizerunkowej podróży dostawałem propozycje różnych filmowych ról, ale zazwyczaj były to jakieś komedie romantyczne, do których nie było mi na razie spieszno. Jasne, że chciałbym realizować się w filmie. Jeden projekt był nawet na całkiem zaawansowanym etapie, choć ostatecznie to też się nie udało.

Mam nadzieję, że nie mówisz teraz o filmie o Zenku Martyniuku. (śmiech)



To taki film powstaje? (śmiech)

Tak, tak. W ostatnią sobotę września w Bielsku Podlaskim odbył się casting. Długa historia. Wróćmy lepiej do twojej relacji ze światem kina. Wiem, że otwarcie się na nowy gatunek w sztuce i dotknięcie filmu będzie ogromną zmianą w stosunku do tego, co robię na co dzień. Na pewno zostanie odnotowane i obficie skomentowane przez fanów. Dlatego muszę mieć pewność, że to, w czym wezmę udział, będzie bardzo dobre, a dodatkowo czuć świadomość tego, że wnoszę realną, teatralną czy filmową wartość do całego przedsięwzięcia, a nie tylko swój wizerunek.

Wiadomo, że nigdy nie uda mi się do końca rozdzielić tych dwóch rzeczy. Moje nazwisko przy tytule jakiegos filmu może wpłynąć na to, że ktoś wybierze ten, a nie inny seans. Ja chciałbym jednak usłyszeć od reżysera, że robię coś źle albo jestem tak tragiczny, że produkcja o wiele lepiej będzie wyglądała beze mnie. Mam nadzieję, że odezwie się do mnie ktoś, kto bardziej kieruje się jakością sztuki niż jej potencjałem komercyjnym.

Krzysztof Zalewski powiedział mi, że w czasie pracy na tym planie nie obyło się bez „fakapów”. A ty jak wspominasz pracę przy klipie do numeru „Począ-

tek” – tegorocznego hymnu „Męskiego grania”?

Dla nas, muzyków, było to po prostu świetne doświadczenie. Z prawdziwym wyzwaniem mierzyli się operatorzy obrazu i dźwięku, po których było widać napięcie, zmęczenie, a momentami nawet wycieńczenie – nagrywaliśmy wszystko jednym ujęciem bez montażu, więc i dźwięk, i obraz musiały być zapisane perfekcyjnie, co było naprawdę ogromnym wyzwaniem.

Najbardziej oberwało się steadicamiście, dla którego każdy dubel oznaczał kolejne kilka minut biegania z kilkudziesięcioma kilogramami ekstra na plecach. Przyznam, że był moment, kiedy myśleliśmy, że to się po prostu nie uda, ale szczęśliwie dowieźliśmy to.

Była też taka sytuacja z mikrofonem wypożyczonym z zaprzyjaźnionego studia. Bardzo drogim i bardzo starym mikrofonem wstęgowym, którego użyliśmy właściwie tylko w pierwszej scenie, kiedy śpiewam. Sekundę potem sprzęt jest podwijany do góry i już do końca utworu nie pojawia się w kadrze. Ten mikrofon zwiślał na samym kablu. Olek – gitarzysta, odpowiedzialny za ten sprzęt – kilka razy mówił, żeby zabezpieczyć go dodatkowo, jakoś okleić, bo w końcu pierdolnie. No i pierdolnął. (śmiech)

Najlepsze jest jednak to, że jakimś cudem udało się go naprawić. Może nie jest już taki ładny jak wcześniej, ale nadal można korzystać z jego najważniejszej funkcji.

„Męskie granie” to był twój pierwszy powrót do koncertowania po powrocie z Islandii?

Pierwszy koncert po powrocie odbył się na głównej scenie Open'era ze świeżym zespołem i nowymi aranżacjami starych kawałków. To było niesamowite przeżycie, choć sam koncert nie był jakoś wybitnie dobry.

W sumie to myślę sobie, że wbiłeś na bardzo fajny etap, bo możesz sobie robić dłuższe wakacje i spokojnie pracować nad swoją muzyką. Potem wracasz do koncertowania i na luzaku trzykrotnie wyprzedajesz Torwar. Tak trzeba żyć. (śmiech)

Przy takich przerwach wyostrza się apetyt, czujesz się głodny kolejnych wyzwań. Dodatkowo w końcu zaczynasz dostrzegać to, co masz, bo w koncertowym pędzie zacierają się nawet najpiękniejsze wspomnienia z występów.

To prawda, mam ten komfort, że nawet jeśli zrobię sobie przerwę, to i tak szybko wrócę do wielkiego koncertowania. Wiem, że jest publiczność, która na to czeka i wciąż chce mnie słuchać.

„Podstarzali męscy szowiniści, byle nie dać się im zakrzyczeć”. Oto praktyczna strona mentoringu

Tekst: Krzysztof Majdan | **Zdjęcia:** Paweł Krzywicki

Grażyna Piotrowska-Oliwa, prezes Virgin Mobile, w szczerym wywiadzie opowiada, jaki jest problem z młodymi ludźmi, którzy – choć szalenie inteligentni – są „nieogarnięci jak diabli”. Przypomina, jak łatwo popaść w biznesowe veni, vidi, vici i czego oczekuje się od mentora. Udziela kilku życiowych porad dotyczących kariery i odpowiada, co powiedziałyby samej sobie sprzed 20 lat.

Grażyna Piotrowska-Oliwa to jedna z najbardziej znanych polskich menedżerek. Obok takich gwiazd biznesu, jak Andrzej Klesyk, Wojciech Kostrzewa, Marian Owerko, będzie jednym z mentorów w ramach działań fundacji Mentors4Starters.

Masz jakieś patenty na stres? Gdyby ode mnie PGNiG domagało się 20 mln zł, to stres by mnie pożarł.

(śmiech) To akurat traktuję humorystycznie.

Jasne, no boki zrywać.

Tak, bo są rzeczy, którymi nie należy się przejmować. To tylko polityka. Nie postawiono ani mnie, ani kilkunastu innym byłym członkom zarządu zarzutu, który miałby choć cień zasadności. Logika wskazuje, że sprawa dotyczy również aktualnego prezesa, więc cała heca zapewne na nim też się skończy. W takiej

sytuacji mogę się tylko śmiać i udzielić porady. Zanim zaczniesz wojnę, to raz – sprawdź, czy argumenty na pewno są po twojej stronie, a dwa – czy w zapale czynownika nie strzelasz w swoją własną stopę. Ja śpię fantastycznie.

Podtrzymuję jednak pierwszą część pytania.

Pewnie, że mam. Przede wszystkim sport – tenis, i muzyka, od klasycznej po współczesną, za wyjątkiem rapu. Staram się to wszystko zbilansować jogą, która wymaga ogromnej koncentracji, ale daje dużo przyjemności.

Skoro wspominasz o muzyce, przygotowując się do wywiadu, przypadkiem znalazłem swój tekst, o którym zapomniałem, z czasów, gdy byłem zielonym stażystą. Byłaś jedną z bohaterek. Teza – wykształcenie muzyczne bardzo pomaga w biznesie.

A ja pamiętam ten tekst, miał logiczne spostrzeżenia. To było w czasach mojej prezesury w PGNiG, gdy niektórzy mówili: co pianistka robi na fotelu prezesa? Często w życiu słyszałam ludzi oceniających moje wykształcenie, że jak to, co to w ogóle za studia, przecież nic się na nich nie robi, pewnie jakaś idiotka, skoro muzykę studiowała.

Nie rozumiem, że biznes wymaga tego, co muzyka. Ogromnej dyscypliny, pracy i ogłady, szerokich horyzontów. Interpretacji wreszcie, te same nuty można zagrać na różne sposoby, wyciągania wniosków i podejmowania decyzji. W zależności od interpretacji, ponosisz porażkę lub wygrywasz. Dorzuć do tego gigantyczną odporność na stres. Dziś, jak patrzę wstecz na ten okres, tylko się uśmiecham. Pokażcie mi, że moi niepianistyczni następcy w PGNiG mogą dokonać tego, co ja i mój zespół. Trzymam kciuki. Na razie od lat słyszę tylko te same przechwałki.

Korzystasz z tej amerykańskiej szkoły hakowania życia, sprzedawanej przez ludzi sukcesu? Wstań o piątej, idź pobiegać, pracuj w interwałach, sprawdzaj maile pół godziny, godzinę medytuj, wyjdź do pracy itd.

Nie. Choćby dlatego, że każdy człowiek jest inny. Gdybym nagle powiedziała, że wstaję o 5, medytuję, kawy nie piję, to owszem, fajna historia, świetnie się sprzeda, ale kompletnie nieprawdziwa. Okej, można się ode mnie spodziewać maila o 3 w nocy, bo często pracuję nocami, wtedy najlepiej się skupiam, kładę się o 2, ale za to telefonu przed 8 rano nie odbiorę, potrzebuję chwili dla siebie. Część porannej pracy ogarniam w domu, by nie tracić czasu w korkach, spotkania na mieście umawiam w drugiej części dnia, z tego samego powodu. To takie drobnostki usprawniające dzień.

Jak zwalniasz ludzi? Tak, żeby ich nie złamać?

Staram się, by bolało jak najmniej. Jeśli nie mówimy o przypadkach toksycznych, gdy ktoś kradł czy świadomie sabotował firmę, to zapraszam osobę na rozmowę, tłumaczę, dlaczego podjęłam taką decyzję. Kolejna rzecz, jeśli taką osobę cenię, staram się zabezpieczyć, pomóc w szukaniu nowej pracy. I nie oszczędzać. Jeśli komuś z papierów przysługuje odprawa X, dostanie więcej niż X.

A jeśli zaczyna krzyczeć? Lub płakać? Menedżer w takim momencie się wycofuje, czy to czas na empatię?

Niech się wykrzyczy i wypłacze. Lepiej przede mną, niż gdyby miał to robić w open space czy siał wszędzie frustrację. Zawsze pozwalam im się wygadać, czy mają jakiś żal, czy rozumieją, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Niestety, jeśli człowiek jest histeryczny i nie chce zrozumieć, nigdy nie zrozumie, co do niego mówisz.

Z drugiej strony, zatrudniając kogoś, zadajesz niekonwencjonalne pytania? Nie mówię o tych udziwnieniach u rekruterów typu: „Co byś zrobił, by nie było głodu na świecie?”

Nie, tego rodzaju pytania to perwersja. Z kolei pytania sztamkowe: „Gdzie widzisz siebie za pięć lat?” są idiotyczne. Ja pytam np. o to, co ostatnio czytałeś. Usłyszałam kiedyś, że „hmmmm...”, *Łysek z pokładu Idy*”. Pytanie zawsze z czegoś wynika, np. z CV. Ludzie naprawdę mogliby sobie oszczędzić wpisywania niektórych rzeczy. Miałam kandydata, który wpisał biegłą znajomość francuskiego. Mówię kilkoma językami, więc zadałam mu pytanie po francusku, on nie rozumie. I tłumaczy się: „Skąd miałem wiedzieć, że trafię na kogoś, kto mówi po francusku?”

Kiedyś w tym miejscu przeszedłbym do następnego pytania. Dziś mogę tylko pokiwać ze zrozumieniem głową.

Właśnie. Znasz ten kawał, że prezes siedzi przy biurku...?

Nie.

... Siedzi, przed nim góra CV, co któreś z nich wrzuca do kosza. Została dziesiąta część. Wchodzi HR-owiec, „Panie prezesie, jak to tak bez czytania, do kosza od razu?”. Prezes odpowiada: „Stanisławie, z pechowcami pracować nie będziemy”. Musi być coś w takiej osobie, co przyciąga wzrok, rodzaj autentyczności. Są niestety ludzie, którzy budzą miłość w każdym HR-owcu, pięknie opakowani, niestety przeterminowani.

No ale nie każdy jest piękny lub charakterystyczny, więc w CV jedynym ratunkiem są eksperymenty z formą. A w networkingu, budowaniu sieci kontaktów? Jak sprawić, by ktoś mnie zapamiętał? Pozytywnie rozumiana determinacja. Świeży przykład. Byłam na konferencji w SGH, to był tydzień kobiet sukcesu, panel dyskusyjny, pełna sala. Zapytałam, czym się różnią kobiety od facetów w biznesie. Usłyszałam, że kobiety są mniej skore do ryzyka, nieśmiałe i tak dalej, i tak dalej. Okej, zgadza się, więc wiecie, gdzie popełniacie błąd. Przypo-



mniałam, że gdy weszliśmy do auli, panelistki rozmawiały ze sobą nawzajem – żadna z dziewczyn nie próbowała nawet podejść.

Co w tym złego?

Powiedziałam im, że gdyby w wykładzie uczestniczyli faceci, nie miałabym trzydziestu sekund dla siebie, bo by nas od razu otoczyli i zasypali pytaniami. Chcieliby wiedzieć, jak zrobić to czy tamto, wykorzystać okazję do zdobycia wiedzy. Jednak uczestniczki siedziały gdzieś z tyłu. Podobnie było po zakończeniu spotkania. Dziewczyny podeszły, żeby podziękować, co było bardzo miłe. Ale tylko jedna podeszła i zapytała, czy może mnie odprowadzić do samochodu czyli parę minut porozmawiać po drodze. Tylko jedna.

Czyli to jest patent na Grażynę Piotrowską-Oliwę? Musi mi się chcieć i muszę łapać okazje?

Tak, ktoś taki u mnie punktuje. Tak, jak walczysz o siebie, tak będziesz walczył o swoją firmę.

Byłaś już mentorem dla młodych ludzi. Jakie problemy zauważasz?

Efekt studiów. Uczą wiedzy szufladkowej, a nie „linkowania”, czyli jak ją wykorzystać, połączyć różne naczynia w jedną całość, wykorzystując wiedzę, kontakty, umiejętności. Szczególnie niedomaga umiejętność autopromocji. Co z tego, że mam wybitną jednostkę, jeśli jest introwertyczna i niestety nie potrafi powiedzieć, czego by chciała. Znow ten prezes, kosz i szczęściarze. Kolejna rzecz to fakt, że młodzi ludzie, choć bardzo inteligentni, są neogar-

nięci jak diabli. Jeśli nie powie im się „zrób to, to i to”, oni się tego nie domyślą. Nie da się całe życie prowadzić kogoś biznesowo za rękę.

To tylko kwestia edukacji?

Edukacji. Inna rzecz to kody kulturowe. Wracając do przykładu z SGH, te dziewczyny zrobiły ogromny krok, bo już tam są, poza rolą kobiety, jaka płynie z telewizorów. Do garów, zamknąć się i nie odzywać, bo takie jest miejsce kobiety we współczesnym polskim społeczeństwie. One tego nie akceptują. Ale wciąż brakuje tej edukacji.

Miałaś trudne przypadki jako mentor?

Pewnie. Ten trudny przypadek to był jednocześnie mój ogromny sukces. Szkoliłam kiedyś fantastyczną dziewczynę z AGH, doktorantkę, chemiczkę. Genialna była, taki mózgowiec, że głowa mała. Pracowała głównie z facetami. Jej przypadek doskonale pokazuje, w czym może pomóc mentor. Przecież nie pomogę jej być lepszym chemikiem, bo to nie moja branża.

To jak jej pomogłaś?

Oczekiwała ode mnie pomocy w budowie umiejętności prezentacyjnych. Na początku niemalże bała się w ogóle odezwać. Podręcznikowy przypadek szarej myszki, cicho z boku, w kącie, w szarych workach, by wtopić się w tło, szczupła, wysoka, nieumalowana. Jak zaczęłam wyciągać ją ze skorupy, zobaczyłam perłę. Bardzo inteligentna, fantastyczna osobowość, tylko bojąca się to okazać.

Po kilku sesjach, gdy przyjechała na kolejną do mnie, do Virgin, wszyscy szczęki zbierali z podłogi. Wparowała w dopasowanej czerwonej dzianinowej sukience, uczesana, delikatnie umalowana, pełna pewności siebie. Sprawilo mi to ogromną przyjemność, nauczenie jej, jak bronić swojego zdania, wyróżniać się i nie dać zakrzywić podstarzałym męskim szowinistom. Nie przepraszać za wiedzę, kompetencje, inteligencję.

Masz inny przykład?

Tak, uczestnik Mentors4Starters, uwielbiany przez wszystkich chłopak zwany „Misiem”. Szalenie błyskotliwy młody człowiek. Pytałam go: co robisz? Odpowiedział, że to, to, to i to. Sprecyzowałam: co robisz porządnie? Usłyszałam, że wszystko. Nie mogłam do niego dotrzeć, był przeświadczony, że ma rację. Zapytałam go, czy gdy umawia się z dziewczynami, to dałby radę dziesięciu naraz. „No, nie. O cholera”. A ja już wiem, że zrozumiał. Do tej pory powtarzana jest ta historia o ustanawianiu priorytetów.

Nie tylko uczestnik musi znaleźć wytrych na mentora, to działa też w drugą stronę.

Tak. Do każdego trzeba jakoś dotrzeć, kwestia dobrania przykładu. Zresztą, mając już dłuższe doświadczenie w biznesie, łatwo dyskredytować młodych ludzi. Bo my, ci doświadczeni, już tam byliśmy. Veni, vidi, vici w biznesie. A nie wolno nam zniechęcać młodych ludzi. My nie mieliśmy okazji do skorzystania z takiego wsparcia, ale dlaczego nie ułatwić życia młodszemu pokoleniom? Po co ktoś ma powielać moje błędy? Może mnie posłuchać i skorzystać albo nie.

Co byś powiedziała samej sobie na początku kariery?

Żeby szybciej zbudowała tę zbroję „po mnie spływa jak po kaczce”. Przejmuj się konstruktywną krytyką, ludźmi, którzy są tego warci. A co do reszty, szkoda nerwów. Psy szczekają, karawana jedzie dalej.

Podpisałaś w imieniu Virgin list intencyjny na rzecz Play. Dlaczego i co dalej?

To nie sprzedaż, ale umowa opcji, dająca Playowi pierwszeństwo, biznesowe prawo pierwszej nocy. Korzystamy z ich infrastruktury, więc to naturalny wybór. Inwestorzy, wprowadzając Virgin do kraju, chcieli firmę rozwinąć i sprzedać. A czy ona w ostateczności trafi do Play, innego telekomu, a może wejdzie na giełdę, bo i tego nie wykluczam, to już inna sprawa.

A ty? Zostaniesz czy poszukasz nowych wyzwań?

Chciałabym chwilę odpocząć. Wykonać to zadanie i poszukiwać nowych wyzwań. Ale na razie jednak nie przesądzam, w którym kierunku pójdę dalej.

Mentors4Starters

Mentors4Starters to program doradczo-rozwojowy, którego celem jest wsparcie osób między 25., a 35. rokiem życia w zakresie rozwoju zawodowego w wybranej branży. W programie kandydaci indywidualnie pracują z czołowymi przedstawicielami biznesu, mediów i NGO. Od 2014 roku program zgromadził ponad trzydzieścioro Mentorów i stworzył aktywną społeczność ponad setki mentees. Profile mentorów oraz formularz aplikacyjny dostępny jest na stronie Fundacji.



30 lat po Okrągłym Stole. Danuta Kuroń: „Groziła nam katastrofa cywilizacyjna”

Tekst: Tomasz Ławnicki | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

5 kwietnia mija 30 lat od zakończenia obrad Okrągłego Stołu. Na mocy podpisanych porozumień 4 czerwca 1989 r. doszło do pierwszych częściowo wolnych wyborów parlamentarnych. W nich „Solidarność” wygrała tyle, ile mogła wygrać.

Na początku roku 1989 Danuta Kuroń mieszkała jeszcze w Lublinie. Gdy zaczęły się obrady Okrągłego Stołu, przyjeżdżała do Warszawy w dniach posiedzeń. Relacje z obrad zdawała najpierw dla Serwisu Informacyjnego „Solidarności”, a potem wracała do Lublina i wiadomości o tym, co dzieje się w stolicy, przekazywała kolegom w solidarnościowej prasie w swoim regionie.

5 kwietnia mija 30. rocznica podpisania porozumień Okrągłego Stołu, na mocy których 4 czerwca 1989 r. doszło do pierwszych częściowo wolnych wyborów parlamentarnych. Z Danutą Kuroń rozmawiamy o wspomnieniach z tamtych dni, o garniturze jej męża, o zupie oraz o tym, ile z Jacka Kuronia zostało dziś w polityce.

Dużo trudu kosztowało to, aby zmusić Jacka Kuronia do nałożenia garnituru?

W garniturze było mu niewygodnie, lubił się czuć swobodnie. Ale jak musiał, to wkładał. Dlatego gdy szedł do Okrągłego Stołu, to pierwszego dnia w obradach uczestniczył właśnie w garniturze. To Broniek Geremek od niego zażądał, żeby się tak ubrał.

Mało tego – Broniek przyjechał tu rano po niego, dopilnował osobiście, żeby Jacek ten garnitur miał i dopiero mogliśmy razem pojechać na Krakowskie Przedmieście.

Wiedziała pani, że uczestniczy w chwili historycznej?

Tak, wiedziałam, ale trzeba pamiętać, że tę chwilę poprzedzała długa droga. To nie było tak, że nagle w '89 roku „Solidarność” z obozem władzy zasiadła do rozmów. To był cały długi proces. Ja wolę mówić tylko o tym, jaka była moja droga.

A zatem – jak to się stało, że zimą i wiosną 30 lat temu znalazła się pani przy Krakowskim Przedmieściu?

Jestem żoliborzanką, ale mam za sobą dwunastoletni epizod życia w Lublinie. To był czas studiów, opozycji demokratycznej, potem „Solidarności”, podziemnej „Solidarności” oraz „Solidarności” Rolników Indywidualnych.

Praca zespołowa

Na przemiany, które się dokonywały, patrzyłam wtedy przede wszystkim z perspektywy trzech ówczesnych województw: lubelskiego, zamojskiego i chełmskiego. Organizowałam związkowe struktury i działałam jako dziennikarka, m.in. Serwisu Informacyjnego „Solidarności” (de facto podziemnej agencji prasowej, którą w swoim mieszkaniu zorganizował Jacek Kuroń – przyp. red.).

I właśnie jako dziennikarka SIS pojawiła się pani w Warszawie na obradach Okrągłego Stołu.

Przyjeżdżałam do Warszawy prawie codziennie. Wydział Socjologii UW przy Karowej użyczył nam pomieszczenia, w którym mogliśmy pracować. Odbierałam nagrane na magnetofon informacje o przebiegu obrad toczących się w Pałacu Namiestnikowskim, spisywałam z kasy i maszynopis przekazywałam Wojtkowi Maziarskiemu, który te informacje sukcesywnie przekazywał zachodnim radiostacjom. Kto chciał już przed południem wiedzieć, o czym mówi się przy Okrągłym Stole, włączał Radio Wolna Europa, Głos Ameryki, Radio France Internationale.

Przebić się z informacją

Późnym wieczorem, po zakończonych obradach i po konferencji prasowej, brałam wszystkie moje notatki i jechałam do Lublina, żeby przekazać zebrany materiał do związkowego biuletynu.

Czy przy Okrągłym Stole ludzie „Solidarności” mieli jakiegokolwiek zaufanie do obozu władzy?

Trudno mówić o wzajemnym zaufaniu, jeśli do niedawna w więzieniach siedzieli nasi ludzie.

Naprawdę istotne było to, czy my – działaczki i działacze związkowi – mamy zaufanie do Lecha Wałęsy i Komitetu Obywatelskiego. W moim regionie było tak, że im bardziej ktoś działał w strukturach podziemnego związku, tym mocniej wierzył jego przywódcom i doradcom. Wątpliwości mieli ci, którzy nie działali.

Nie było takiej obawy że to może być tylko na chwilę? Przecież w 1980 też rozmawiano z władzą, też podpisano porozumienie, a skończyło się to stanem wojennym.

W '80 r., gdy podpisane zostały porozumienia w Gdańsku, to niezależnie od tej euforii, że wygraliśmy i organizujemy związek, zdawaliśmy sobie sprawę, że stąpamy po kruchym lodzie. Nie bez powodu tamte wydarzenia sami nazywaliśmy samoograniczającą się rewolucją

To się mogło źle skończyć

Świadomość, że to w każdej chwili może się źle skończyć, była bardzo silna, szczególnie po prowokacji bydgoskiej, gdy pobito Jana Rulewskiego. Pytania: „Wejdą? Nie wejdą?” powtarzane były z ust do ust. Dla mnie wtedy, muszę przyznać, stan wojenny nie był zaskoczeniem. Zaskoczyła mnie może data, ale że tak się to skończyło, mnie i wielu ludzi z „Solidarności” raczej nie zdziwiło.

Natomiast pod koniec lat 80. wiedzieliśmy, że sytuacja jest już inna, niż była na początku dekady. Że w Moskwie nie ma Breżniewa, lecz Gorbaczow. Ale na ile faktycznie ten

Gorbaczow jest inny, tego jeszcze w praktyce nie sprawdzono, więc pewności nie było. W kraju stacjonowały liczne wojska radzieckie i może to się różnie skończyć.

Rozmowy z pistoletem – wprawdzie nieprzyłożonym do skroni – ale wciąż widocznym gdzieś w tle.

Wałęsa cały czas podkreślał, że należy rozmawiać, tylko stawiał warunki. Władza też wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Gospodarka była w ruinie, i to w takiej, że groziła nam w zasadzie katastrofa cywilizacyjna. Równocześnie w tę ruinę popadał Związek Radziecki, bo cały ten system był niewydolny.

Gorbaczow wiedział, że musi się wydarzyć coś, co ten porządek zmieni, i Polska była pod tym względem dla niego takim laboratorium w tym bloku wschodnim, gdzie obserwował, w jakim kierunku te zmiany mogą pójść. A my nie wiedzieliśmy, jak on na to zareaguje.

Czyli w sumie władza do tych rozmów zasiadła nieco pod przymusem.

Strona opozycyjno-solidarnościowa też siadała do nich pod przymusem. Bo jak inaczej można było zmienić sytuację w Polsce?

Nie brak takich opinii, że Okrągły Stół to zdrada narodowa i że z komunistami należało się rozprawić siłowo.

Ruch bez przemocy

Siłowy scenariusz 30 lat temu w ogóle nie istniał. Trzeba pamiętać, że „Solidarność” była ruchem bez przemocy. Ta zasada nie była w związku w ogóle podważana. To było oczywiste. Nie było natomiast żadnego innego równie zorganizowanego środowiska, które byłoby merytorycznie przygotowane na konfrontację z obozem władzy.

A „Solidarność Walcząca” Kornela Morawieckiego?

„Solidarność Walcząca” była przede wszystkim grupą protestu, a sam protest to za mało, żeby zmieniać rzeczywistość.

Co dziś pani czuje, gdy słyszy opinie, że przy Okrągłym Stole „agenci podzielili się władzą z agentami” (słowa prof. Andrzeja Zybortowicza – przyp. red.)?

To zależy, gdzie je słyszę. Jeżeli słyszę je w rozmowach kawiarnianych lub gdy docierają do mnie informacje, że takie słowa padły gdzieś w telewizji, to nie reaguję.

Natomiast zareagowaliśmy, jako środowisko, w momencie, kiedy w Pałacu Prezydenckim na debacie oksfordzkiej z udziałem młodzieży słowa te padły z ust szcycącego się

tytułem profesorskim doradcy głowy państwa. Uznaliśmy, że to było przekroczenie granicy przyzwoitości.

Prezydent nie zareagował – ani podczas tej debaty, ani później.

Więc też ponosi odpowiedzialność za to, że w sposób kłamiwy walkę polityczną przeniesiono na szkolną lekcję odbywającą się w Pałacu Prezydenckim.

Może nie pamiętał, że Lech i Jarosław Kaczyńscy też byli uczestnikami obrad Okrągłego Stołu?

Oczywiście, że byli. Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie liczył w sumie sto kilkadziesiąt osób. To był wielki zaszczyt być do niego zaproszonym. A zapraszane były te osoby, które były autorytetami w danym środowisku i uczestniczyły w całym ruchu oporu środowiska solidarnościowo-opozycyjnego. Byli tam także obaj bracia Kaczyńscy, jako osoby związane ze środowiskiem gdańskim. Tego nikt nie neguje, szczególnie roli Leszka Kaczyńskiego, który miał bardzo wysoką pozycję jako specjalista prawa pracy, co w tamtym czasie było ogromnie ważne.

A jednak to środowisko dziś często się odcina od Okrągłego Stołu.

(Danuta Kuroń wzdycha ciężko, unosi ręce, długo milczy.) Nic mądrego na to nie jestem w stanie odpowiedzieć.

Pamięta pani 5 kwietnia, czyli dzień, kiedy podpisane zostało porozumienie przy Okrągłym Stole?

(Znow dłuższe milczenie.) Wie pan, że nie... I nawet wiem, dlaczego nie pamiętam.

Początek etapu

5 kwietnia nie był dniem zakończenia naszej pracy, tylko początkiem kolejnego etapu. Sprawa stała się poważna, musieliśmy w ciągu dwóch miesięcy przygotować się do wyborów i je wygrać.

Pani już wtedy uczestniczyła w kampanii Jacka Kuronia?

Nie, ja po Okrągłym Stole wróciłam do swojego regionu. Do Warszawy wciąż tylko dojeżdżałam.

Ale chwilę później organizowała pani biuro poselskie Jacka Kuronia.

Biuro poselskie okazało się potrzebne już następnego dnia po inauguracyjnym posiedzeniu nowego Sejmu. Pamiętam, że Jacek wrócił z Wiejskiej z legitymacją poselską z pieczęcią wiceprzewodniczącego klubu Komitetu Obywatelskiego oraz z arkuszami papieru kopertami z żółtym paskiem i sejmowym nadrukiem.

Zmieniało się wszystko

Mieszkanie Jacka przy Mickiewicza 27 to była instytucja. Tu zawsze ludzie przychodzili w różnych sprawach. To, co przyniósł z Sejmu, zmieniało wszystko. Rozumieliśmy, że teraz ci, którzy tu przychodzą, zgłaszają się do posła na Sejm.

Z pierwszą sprawą zwróciła się Tosia Krzysztóż. Zadzwo- niła z informacją, że przed jej mieszkaniem – a mieszkała wtedy u Kazimierza Brandysa – stoi ekipa eksmisyjna. Nie rozłączając się z Tosią, wzięłam książkę telefoniczną i wertowałam, poszukując instytucji, gdzie powinnam interweniować.

Znalazłam właściwy urząd i po raz pierwszy przedstawi- łam się: „Biuro poselskie Jacka Kuronia”. Pani była kom- pletnie zaskoczona, ale udało się powstrzymać tę eksmisyję. I to pomimo tego, że dotyczyła ona dzielnicy Śródmieście, a Jacek był posłem z Żoliborza. Na papierze z złotym paskiem napisałam stosowne podanie i zawiozłam do podpisania Andrzejowi Łapickiemu, który był posłem ze Śródmieścia. Tak się zaczęła działalność biura.

Antonina Krzysztóż dzwoniła na Żoliborz, bo wtedy wszyscy w opozycji – i nie tylko – znali ten numer: 39 39 64. Ten telefon jeszcze tu pozostał?

Nie, numer został zmieniony po pewnym czasie, gdy Jacek został ministrem. Telefon dzwonił w dzień i w nocy. Nie dało się już tak funkcjonować. Poza tym już nie był potrzebny, odzyskaliśmy nasz związek zawodowy i mieli- śmy własnych parlamentarzystów w całym kraju.

Rząd Tadeusza Mazowieckiego w odbiorze społecznym miał co najmniej dwa oblicza: twarz bezwzględego kapitalizmu Leszka Balcerowicza i ludzką twarz Jacka Kuronia.

O, nie. Rząd Mazowieckiego miał przede wszystkim twarz Mazowieckiego. Balcerowicz był dla społeczeń- stwa postacią wówczas zupełnie nieznaną, Jacek zaś był znany – ale z reguły z takiej strony, z jakiej prezentowała go przez lata komunistyczna propaganda, a ta go od lat 60. traktowała jako wroga. Autorytetem był w dość wą- skim środowisku opozycjonistów, ale nie wśród ogółu. Gdy w '89 r. zaczęto robić sondaże, w których badano zaufanie do polityków, Jacek startował z najniższego poziomu ex aequo z Jerzym Urbanem.

To się szybko zmieniło – skutki reform Balcerowicza społeczeństwo poznało błyskawicznie. Kuronia zaś ludzie poznali z cwortorkowych pogadanek w telewizji, gdzie językiem zwykłych ludzi objaśniał, co robi rząd.

To nie były skutki reform Balcerowicza, tylko skutki niewydolności gospodarki centralnie sterowanej przez nomenklaturę peerelowską i odizolowania państwa pol- skiego od Europy i świata.

A dobranocki Jacka, zdaje się, telewizja skasowała. Szkoda, to by była teraz kopalnia wiedzy o pierwszym roku wprowadzania w Polsce gospodarki rynkowej. Jacek w tym programie informował widzów o najważ- niejszych problemach, przed którymi stoi społeczeń- stwo, mówił o tym, jakie działania podejmuje rząd, kreślił perspektywę. Równocześnie organizował ruch samopomocy społecznej.

Historia zupy

Zupa, która przeszła do historii jako kuroniówka, powinna być symbolem solidarnego ponoszenia kosztów transformacji. W dobranockach Jacek chciał uczulić ludzi na to, że za ścianą jest sąsiad, który być może drugi dzień już nie je. A zupę zawsze można podzielić tak, by starczyło dla wszystkich.

Te audycje spowodowały, że ludzie poznali Jacka, a nie jego czarny peerelowski PR. Powoli budował swój autorytet w szerokich kręgach społecznych.

Wkurzał się na Balcerowicza? W końcu zadaniem ministra pracy było wtedy łagodzenie skutków tego, co wprowadzał minister finansów.

Nie, nie wkurzał się, bo stan polskiej gospodarki w tym momencie nie był winą Balcerowicza. Poza tym był członkiem rządu, w którym wszyscy zdawali sobie sprawę, jaka jest stawka i jakie jest zadanie do wykonania.

Zakłady pracy upadały, bo skurczył się znacząco rynek zbytu, a nie zostały jeszcze uruchomione nowe inwestycje pracujące na rynek zachodni. Poza tym szalała hiperinflacja. Stąd decyzja Jacka, by zasiłkiem objąć przez pierwszy rok wszystkich bez wyjątku bezrobotnych. Wychodził z założenia, że skoro ludzie pracę tracą teraz, to pieniędzy potrzebują teraz. Nie mogą czekać, aż aparat rządowy wypracuje stosowny mechanizm.

Uważał także, że kobiety, które nie pracują zawodo- wo, a opiekują się dziećmi, też powinny korzystać ze świadczeń. To się spotkało z krytyką środowisk opiniotwórczych.

Jedną z pierwszych informacji, które dotarły do Jacka po objęciu stanowiska w Ministerstwie Pracy, była ta, że na koncie emerytalnym nie ma pieniędzy. Zatem pierwszym

zadaniem Jacka było doprowadzenie do tego, żeby emerytury były w ogóle wypłacane.

W takim stanie rząd Mazowieckiego przejął państwo, a społeczeństwo zobaczyło, od czego chciała uciec PZPR.

Czy mąż wracał czasem do domu z poczuciem bezsilności? Liczba bezrobotnych rosła lawinowo, szalała hiperinflacja...

Słowo „bezsilność” do Jacka nie pasowało. Wiedział, że trzeba szybko stworzyć zespół, który zmierzy się z tymi zadaniami.

To, że ludziom nie starcza do pierwszego, zauważyliśmy natychmiast. Żoliborz był dzielnicą, gdzie mieszkało wiele starszych osób, np. wdowy po żołnierzach, którzy zginęli w czasie wojny. One nie miały nikogo, kto mógłby im pomóc. Wcześniej żywiły się w istniejących tu barach mlecznych, a te w rzeczywistości rynkowej przekształcały się w bary piwne. Potrzebna była pomoc doraźna – tę organizowało biuro poselskie – i jednocześnie należało znaleźć mechanizm takiego dotowania barów, by mogły funkcjonować.

Niedawno minęła 85. rocznica urodzin Jacka Kuronia, wkrótce będzie 15. rocznica jego śmierci. Czy w obecnej polityce dostrzega pani ślady jego myśli politycznej? Niestety, nie.

Robert Biedroń dość często powołuje się na cytaty z Jacka Kuronia: „Nie palmy komitetów, zakładajmy własne!”

Na Jacka powołuje się wiele osób. Niektórzy cytują fragmenty jego tekstów. Dostrzegam, że dla wielu osób jest wciąż ważny. Ale niewiele osób czyta jego teksty, a szkoda, gdyż jego myśl i praktyka polityczna są nadal aktualne.

Ale która myśl? Ta z lat 50. i czasów Hufca Walterowskiego? Ta z czasów listu otwartego do członków partii na UW? Ta z czasów działalności w KOR czy „Solidarności”? Czy ta, gdy już był ministrem pracy? Wydaje się, że w każdym z tych okresów to był inny Jacek Kuroń.

A mnie się wydaje, że zawsze był tym samym Jackiem Kuroniem. Jacek żył 70 lat, z czego aktywnie od czasów szkolnych. Mam poczucie, że była to bardzo konsekwentna droga. Cały czas służył tym samym lewicowym wartościom, natomiast zmieniał poglądy na to, jak te wartości realizować w zmieniającym się świecie.

30 lat temu byłem nastolatkiem. Świat wartości był dla mnie wtedy prosty – jasne, że Okrągły Stół był dobry, bo dzięki niemu „Solidarność” doszła do władzy. Dziś w zalewie różnych opinii młodzi ludzie mają prawo być skolowani – czy to dobrze, że „Solidarność” zasiadła do rozmów z PZPR, czy też nie?

Okrągły Stół spełnił swoją rolę z nawiązką. Myśmy liczyli na to, że rozmowy pozwolą na odzyskanie związku zawodowego. Płaciliśmy za to cenę, jaką był udział w nie w pełni demokratycznych wyborach.

Niewyobrażalny sukces

Efekt był taki, że przejęliśmy władzę i uruchomiliśmy ten mechanizm w całym bloku wschodnim. Eksperyment w naszym „laboratorium Polska” został zaakceptowany przez Związek Radziecki. To był niewyobrażalny sukces!

Nasza ojczyzna, Pierwsza Rzeczpospolita, straciła niepodległość w końcu XVIII wieku. Na chwilę wywalczone ją na początku XX wieku, by po kolejnej wojnie znów stać się krajem niesuwerennym. W wyniku Okrągłego Stołu i wyborów czerwcowych odzyskaliśmy niepodległość i utrzymujemy ją od 30 lat.



Danuta Kuroń – działaczka opozycyjna w okresie PRL związana ze środowiskiem lubelskich „Spotkań”, współorganizatorka struktur „Solidarności” i podziemnej „Solidarności” na Lubelszczyźnie.

W latach 1968-1970 studiowała historię na Uniwersytecie Warszawskim, następnie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, uzyskując dyplom w 1976 r. Była redaktorką czasopism związkowych. Po wprowadzeniu stanu wojennego współtworzyła struktury podziemnej „Solidarności” w Regionie Środkowo-Wschodnim. Podczas rozmów Okrągłego Stołu pracowała w Serwisie Informacyjnym „Solidarności”. Po wyborach 4 czerwca 1989 r. tworzyła biuro poselskie Jacka Kuronia, w 1990 r. wyszła za niego za mąż.

Jeśli lajkujesz na Facebooku, to możesz się bać. Polak opracował genialny system, który wykorzystał Donald Trump

Tekst: Adam Sieńko

Lubisz Facebooka? Spędzasz tam godziny dziennie, odpalasz aplikację tuż po przebudzeniu, na chwilę przed zaśnięciem i kiedy budzisz się w nocy? No to masz problem, bo twoi znajomi mogą wiedzieć o tobie wszystko.

Polski naukowiec, doktor Michał Kosiński z Uniwersytetu Stanforda, opracował algorytm, który na podstawie naszej aktywności w mediach społecznościowych tworzy kompletny obraz, który powie o tobie więcej niż najbliższa ci osoba. Nie wierzycie? To wiedzie, że Facebook natychmiast zaoferował mu pracę. A dział prawny FB równoległe zagroził podjęciem kroków prawnych. O jego skuteczności przekonał się również Donald Trump. Ekscentryczny miliarder jest jedną z pierwszych osób, które wykorzystały odkrycie Polaka na masową skalę.

Pana algorytm sprofilował mnie na podstawie 7 lajków z mojego konta. I to trafnie! Jak to możliwe, że bezimienna maszyna zna mnie w tej chwili lepiej niż część moich dalszych znajomych?

Całe szczęście, że nie wyciągnęła ich więcej. 70 polubień wystarcza, aby przewidzieć charakter danej osoby lepiej niż jej przyjaciel, 150 – lepiej niż rodzice. Przy 300 lajkach maszyna zna już człowieka lepiej od jego życiowego partnera.



Fot. Gorm K. Gaare



Fot. Adam Stępień / Agencja Gazeta

Zaniemówiłem. Jak to się stało?

Opublikowaliśmy w internecie (Kosiński studiował wówczas na uniwersytecie w Cambridge – przyp. red.) kwestionariusz mierzący tzw. wielką piątkę cech osobowości. Zainteresowanie internautów przerosło nasze oczekiwania – wypełniło go kilka milionów ludzi, a ja zyskałem ogromną bazę, dzięki której mogłem zestawzić ze sobą osobowości ludzi i cyfrowe ślady, które zostawiają.

Mark Zuckerberg nie może być z tego zadowolony.

W dniu ogłoszenia pierwszych wyników dostałem dwa telefony z Facebooka. Jeden z działu Badania Danych z propozycją pracy, drugi z działu prawnego, grożący podjęciem kroków prawnych.

Bali się, że ulepszy pan swoją metodę?

Modele stają się coraz lepsze i coraz dokładniejsze. Sądzę jednak, że dalszy postęp nie będzie polegał na wyciskaniu coraz większej ilości informacji z coraz

mniejszej liczby lajków. Ludzie zostawiają bowiem coraz więcej cyfrowych śladów.

Dowiedziałem się, że mogę być w związku, bo polubiłem New Yorkera. Za dokładnie przeciwną opcją przemawia fakt, że przeglądam profil „New York Timesa”. Kiedy powiedziałem o tym swoim znajomym, zaczęli pukać się w czoło. Uznali, że przypomina to raczej quiz psychologiczny z kolorowej gazety.

Kwestionariusze i testy używane w psychologii są czasem podobne do takich quizów, opierają się jednak na żmudnych i starannych badaniach. Ludzkie zachowanie nie jest przypadkowe. Nasze preferencje, wybory polityczne są ze sobą powiązane. Niektóre w dużym stopniu. Np. jeżeli lubi pan Kaczyńskiego, to będzie to w raczej oczywisty sposób powiązane z pana poglądami. Jeżeli chodzi pan w adidasach lub lubi pływać, to związek ten nie jest taki oczywisty. Nie znaczy to jednak, że go nie ma! Jest bardzo prawdopodobne ze liberało-

wie noszą adidasy trochę częściej niż konserwatyści lub odwrotnie. Człowiek takiej prawidłowości nie wykryje, komputer nie będzie miał z tym problemu. Dodając do siebie ogromne ilości takich pozornie nic nieznaczących kawałków informacji, może on stworzyć bardzo dokładny obraz danego człowieka.

A jeżeli polubiłem „Guardiana” tylko po to, by podlizać się swojej szefowej? Facebook jest przecież dla nas kolejnym narzędziem do autokreacji.

To, w jaki sposób manipulujemy swoim wizerunkiem, nie jest losowe. Jeżeli jest pan osobą o poglądach konserwatywnych i przyjdzie panu do głowy liberalna myśl, to zapewne się pan nią nie podzieli. I na odwrót. Ludzie lubią prezentować się w sposób spójny i jednocześnie nie lubią zadawać się z osobami, które zachowują się niekonsekwentnie. To jest dowód na to, że

nie będziemy lajkować stron, które nie zgadzają się z naszym wizerunkiem. Polubiłby pan stronę neofaszystów, żeby się komuś podlizać?

Jako dziennikarz mógłbym tam znaleźć przydatne informacje.

Rzeczywiście, cyfrowe ślady dziennikarzy mogą być nietypowe. Rdzeń pana zachowań i tak będzie jednak dawał wyraźny sygnał co do pana preferencji. Nawet jeżeli 90 proc. pana zachowania w sieci będzie losowe, to w końcu odwiedzi pan swój bank albo kupi te swoje ukochane adidasy. Mając wystarczająco dużo danych, algorytm odróżni informacyjne ziarno od informacyjnych plew.

A pan?

Modele robią się tak skomplikowane, że człowiek nie jest w stanie zrozumieć, co dzieje się „pod maską”. Podstawowe zasady są oczywiście proste. Kiedy jednak połączymy części algoryt-



Fot. Gorm K. Gaare

mów w ogromne algorytmy, to stają się one tak skomplikowane, że człowiek nie jest w stanie ich rozgryźć. Pokażmy to na przykładzie: komputer diagnozuje nasz stan zdrowia. Wiemy, że zrobił to dokładnie, bo możemy to zmierzyć. Nie wiemy jednak, jak doszedł do tych wniosków. To ciekawy problem filozoficzny. Ufamy danemu algorytmowi, ale nie wiemy jak działa.

Dzieło uniezależnia się od twórcy?

To dzieje się już od pewnego czasu. Kiedy naukowiec podają panu wyniki i mówią, że są statystycznie istotne, to nie przeliczają ich ręcznie. Używają programów, żeby przebić się przez miliony danych. Kiedy naukowiec mówi o „swoich badaniach”, w rzeczywistości ma na myśli wyniki badań swojego komputera, które on często tylko przepisuje, po swojemu interpretuje i ogłasza.

Może po prostu odłączmy się od cyfrowego świata? Najlepiej zacząć od zamknięcia konta na Facebooku.

Odradzam. Byłoby to przykre dla pana i pana znajomych. A przecież wciąż będzie pan zostawiał masę śladów, dużo bardziej intymnych niż te, które można uzyskać z Facebooka. Z karty kredytowej i komórki korzystamy przecież wszyscy. Na podstawie tembru głosu, szybkości stukania w telefon czy częstotliwości płacenia kartą można z dużą pewnością odpowiedzieć na wiele pytań. Jak często podróżujemy? Czy nasi rodzice się rozwiedli? Jakimi wartościami kierujemy się w życiu?

Ułatwia to wszystko fakt, że firmy wymieniają się informacjami, które zostawiamy, korzystając z tych urządzeń. Istnieją wielkie rynki danych, na których za kilkaset dolarów można kupić bogate dane o milionach ludzi.

Po wyrzuceniu komputera przez okno zabiorę się więc do cięcia kart płatniczych.

Całkowite odłączenie się od cyfrowej rzeczywistości też nie pomoże. Trudno usunąć dane, które zostawiliśmy w przeszłości. Nawet jeżeli przeprowadzi się pan do lasu, prędzej czy później jakiś grzybiarz zrobi panu zdjęcie, wrzuci je do internetu i jest pan ponownie w sieci.

Czyli nie ma ratunku?

Obawiam się, że w przyszłości prywatność przestanie być naszym prawem i przywilejem. Algorytm łatwo odkryje pana intymne cechy i poglądy. W takim

świecie bez prywatności bezpieczeństwo zapewni nam tylko tolerancja i otwartość.

Tymczasem w USA wybory wygrywa osoba, która z tolerancji raczej nie słynie. I co więcej, robi to rękoma firmy Cambridge Analytica, która bazuje na pana odkryciach. Wolontariusze ekscentrycznego miliardera mieli ponoć dostęp do profili psychologicznych wyborców. Wiedzieli, w jaki sposób odwołać się do wrażliwości nieprzekonanych. Ekstrawertykom mogli obiecywać dodatkowe wrażenia, neurotyków straszyć konsekwencjami wyboru Clinton. To, co najbardziej oburza mnie w działaniu Trumpa, to fakt, że polityczną spersonalizowaną komunikację przeprowadził z wykorzystaniem intymnych profili ludzi. Zostały one stworzone za ich plecami. To może doprowadzić do kryzysu zaufania. A to dla demokracji nie jest dobra wiadomość.

Sam fakt wykorzystywania profilowania wyborców jest w porządku?

Cieszę się, że politycy mają możliwość spersonalizowania komunikatu, jaki do mnie wysyłają. Taka wiadomość jest nie tylko bardziej interesująca, ale jestem także bardziej kompetentny, by ocenić jej jakość. To recepta na znudzenie polityką, a takich znudzonych obywateli jest cała masa. Nie widzą połączenia między życiem a polityką.

Z usług CA korzystali również brexitowcy. Polityka poznała więc wielką siłę, jaką daje wiedza o preferencjach ludzi. Co dalej?

Myślę, że nie ma odwrotu – zostawiamy coraz więcej cyfrowych śladów, a algorytmy stają się coraz lepsze w ich analizie. Na pewno potrzebne nam są lepsze prawo i technologie chroniące prywatność. Być może najlepszą receptą na przyszłość jest budowanie tolerancyjnych, otwartych i dobrze wykształconych społeczeństw. Wyedukowanego człowieka dużo trudniej politykom zmanipulować. W tolerancyjnym społeczeństwie brak prywatności jest też mniej niebezpieczny.

Dużo w panu optymizmu. Alfred Nobel również był zachwycony tym, że jego wynalazek może posłużyć do wysadzania skał. Szybko okazało się, że nie tylko ich. Nie boi się pan, że ta cała rewolucja wymknie się spod kontroli?

Poradziliśmy sobie z dynamitem i energią jądrową. Poradzimy sobie i z algorytmami.



PRACA I PASJA



Best of naTemat



Sprawdziliśmy, ile prawdy jest w serialu „Wataha”. Rzeczywistość okazała się dużo ciekawsza

Tekst: Włodzimierz Szczepański | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

– Zrobiliśmy zasadzkę. Przewodnik przerzutu przechodził tak blisko, że mogłem go dotknąć. Wyjąłem broń... – opowiada pogranicznik ze strażnicy w Ustrzykach Górnych.



Po takiej wizycie każdemu gwarantuję wzrost uznania do prawdziwej Watahy. „Tu kieruj broń” – taki napis widnieje przy wejściu do placówki Straży Granicznej w Ustrzykach Górnych. Miejsce, gdzie mundurowi sprawdzają uzbrojenie. Ze stromego dachu budynku strażnicy staczają się bryłki lodu. Jeszcze parę dni temu przed drzwiami do budynku było ponad metr śniegu. Zima na chwilę odpuściła, ale w górach leży gruba warstwa śniegu. To przez niego musieliśmy przełożyć o parę dni nasz wyjazd. Gdy u nas w Warszawie mało kto zakładał zimowe opony, tam bez nich ani rusz.

Zresztą widać, jak na Wielkiej Rawce bieli się śnieżna czapa. Kilka stopni schodów. Na lewo dyżurka, a na wprost za stalowymi drzwiami magazyn broni. Przez uchylone drzwi widać strażników. Na ścianach stojaki, w idealnym porządku wiszą „kałachy”. Tutaj można uzbroić spory oddział.

Rebrow bez szans

W gabinecie komendant ustrzyckich pograniczników, Maciej Brzeziński, odkłada telefon. W końcu znalazł chwilę, aby porozmawiać. Od dwóch lat

kieruje placówką w Ustrzykach Górnych. – „Cześć, komendancie Markowski!”. Czasem w telefonie słyszałem takie powitanie znajomych – śmieje się Brzeziński.

Komendant oglądał serial HBO, jak też wiele osób z tych okolic. Jego zdaniem miejscowi oczekiwali dokończenia pierwszej serii „Watahy” (druga seria

W okresie styczeń–październik 2017 r. na odcinku podkarpackiej granicy odnotowano 40 przypadków jej nielegalnego przekroczenia granicy. Zatrzymani tłumaczyli się, że z powodów ekonomicznych usiłują dostać się do Europy Zachodniej. Wśród nich było: 14 osób z Bangladeszu, 11 z Rosji, 10 z Indii, 10 z Turcji, 8 z Ukrainy, 8 z Pakistanu, 7 z Armenii, 6 z Iraku, 5 z Syrii, 4 z Maroka, 3 z Mongolii, 3 z Tadżykistanu, 3 z Afganistanu, 3 z Wietnamu, 2 Mołdowy, 1 z Palestyny. W 9 przypadkach przerzut (37 osób) zorganizowały gangi.

Bartłomiej Topa – Adam Grzywaczewski „Grzywa” :

– Jestem z gór, ale Bieszczady są unikalne. Są miejsca, gdzie można się zaszyć i nie widzieć ludzi. Strażnicy wykonują nieprawdopodobnie ciężką pracę na tej wschodniej flance.

pojawiła się po kilku latach przerwy). Część scen kręcono m.in. w ustrzyckiej strażnicy. – Realizm scenarii był siłą tego filmu. Natomiast fabuła... U nas liczy się siła zespołu. Inna sprawa, że my szybko namierzilibyśmy Rebrowa. Mamy rozeznanie w terenie, czy po prostu odnaleźlibyśmy sygnał telefonu komórkowego – dodaje. W serialu brakowało mu jednego ważnego elementu, pokazania, że ich życie nie ogranicza się do służby. – Staramy się być dobrymi ojcami czy mężami. Przyznaję, że nie jest to łatwe – mówi Brzeziński.

Wraca do obowiązków. Kolejne telefony. – My mamy całodobową służbę. Teraz mam ludzi na patrolach. Nie mogę powiedzieć, gdzie, ale ogólnie w górach też są i mimo chłodnej pogody prowadzą obserwację – zapewnia.

Iron z „Indianinem”

Iron nie może doczekać się wyjazdu na patrol. Szarpie za smycz. To już trzeci pies służbowy chorążego sztabowego Bogusława Ślęzyka.

24 494 466 zł – to wartość czarnorynkowa skonfiskowanych narkotyków. W okresie od stycznia do października strażnicy z Podkarpacia wykryli więcej narkotyków w porównaniu do analogicznego okresu roku ubiegłego. W przejściach granicznych oraz w strefie działania Bieszczadzkiego Okręgu Straży Granicznej odnotowano 15 zdarzeń szmuglu narkotyków. Chociażby w Korczowej, gdzie w dwóch bmw na ukraińskich tablicach rejestracyjnych ukryto 247,663 kg haszyszu o wartości 8 668 206 zł.

Chorąży jest tropicielem śladów w ustrzyckiej bazie. – Miałem ten zaszczyt i honor pochować poprzednie psy. Spoczywają obok mojego domu. W szczególnym miejscu – opowiada. Między psem a jego przewodnikiem rodzi się silna więź. Są razem przez 24 godziny. Pies przebywa w zagrodzie w pobliżu domu. Przetrzymany jest na zewnątrz, aby wytworzył podszerstek. W górach przy kilkugodzinnej akcji nie zamarznie jak salonowy pupil.

– Rozmawiamy sobie czasem. Po zachowaniu widzę, na jaki ślad trafił. Czy pod warstwą śniegu jest trop niedźwiedzia, wilka czy człowieka – opowiada i jednocześnie otwiera drzwi bagażnika. Iron wskakuje, opiera pysk o fotel. Jedziemy wzdłuż Wołosatki, widać na niej liczne tamy bobrów. Z prawej Chresty i Kiczera, z lewej Szeroki Wierch, a dalej Tarnica.

Dwa tygodnie temu nasz rozmówca był na Tarnicy. Zatrzymujemy się, wysiadamy. Śnieg skrzypi pod butami. Niedawno wpadli na niedźwiedzia. – Pies poczuł świeży trop, który prowadził do młodego gęstego zagajnika.

Ruszyłem szybciej, bo sądziłem, że ktoś szedł niedawno. Zapuszczamy się głębiej i nagle słyszę ryk, a potem uderzenia łapami o ziemię. Przedemną niedźwiedź, a ja trzymam szarpiającego się na linie psa. Zaplątał się w krzewach. Na wszelki wypadek odbezpieczyłem broń. Powoli jednak wycofaliśmy się. A niedźwiedź jeszcze raz uderzył ostrzegawczo łapami – opowiada. Wilków się nie obawiał, do czasu pewnej przygody. – Natrafiłem na parę, nie miały gdzie uciekać, bo z jednej strony zbocze, z drugiej rzeka – opisuje pogranicznik. Nie odbiegły. Ich zachowanie nie dawało mu spokoju. – Później sprawdziłem. W pobliżu była zagryziona sarna i ślady wilcząt. Widać uczyły się polować – komentuje ze spokojem.



– W jakiej pracy można podziwiać takie widoki?
– pyta retorycznie Bogusław Ślęzyk. Najbardziej lubi chodzić w dzikie okolice – jak chociażby Sianki. Przed wojną to było bieszczadzkie Zakopane. Teraz trudno się domyślić. Przyroda pochłonęła niegdyś gęsto zamieszkałe okolice. – Tutaj była wielka wieś Wołosate – pokazuje dłonią na okolice. W tych stronach trzeba uważać. – Przy dawnych domostwach zostały studnie. Można wpaść, a latem są w nich gady – ostrzega.

Zdejmuje Ironowi kaganiec, co jest nie do końca zgodne z przepisami, ale bezpieczniejsze dla psa. – Iron umie obronić się w kagańcu. Wie, jak nim uderzyć, ale może trafi na kogoś, kto uczył się, jak poradzić sobie z takim psem – wyjaśnia Ślęzyk. Dotychczas tylko dwa razy spuścił psa ze smyczy w tzw. pościg. – Sam z psem potrafiłem zatrzymać grupy imigrantów, nawet 15-osobowe, nielegalnie przechodzących przez granicę. Azjaci na widok psa się poddają. Natomiast uciekać próbują grupy z Czeczeni, Gruzji czy Armenii. Aby zmylić psa, uciekają w różnych kierunkach. Nieraz mówili, że udałoby się im, gdyby nie pies – opowiada.

Wiedzą, jak oszukać psa

Przeszedł nawet specjalne szkolenie tropienia prowadzone przez Indian. Przyznaje, że nie wierzył w ich legendarne umiejętności. Dlatego sprawdził swojego trenera. Jak zapewnia, indiański tropiciel bez trudu odkrył jego ślady i nie pomylił się ani razu. Ich przeciwnicy, przemytnicy, też mają „wysokie kwalifikacje” i swoje sposoby na zmylenie psiego pościgu.

– Zataczają kręgi, aż w końcu schodzą do środka. Następnie rozchodzą się w różnych kierunkach – tłumaczy. Nie chodzi jednak o zatarcie zwykłych śladów butów.

– Chcą stworzyć taką chmurę zapachów, aby pies nie mógł z niej wyjść. Na zamkniętej polanie zapach potrafi utrzymać się przez kilka godzin – tłumaczy. Kolejnym sposobem zmylenia pościgu jest tzw. przecinanie tropu. Grupy przemytnicze przecinają swoje trasy, aby pies poszedł świeższym śladem. Obserwowanie zwierząt też dostarcza dużo informacji. – Wystarczy uważnie patrzeć przez lornetkę. Spłoszony wilk ucieka, aby po chwili zorientować się (obrócić) w kierunku człowieka – opowiada.

Do Straży Granicznej trafił z jednostki spadochroniarzy, ale już nie skacze. – Żona nie pozwala. To był jeden z warunków, jakie postawiła. Wiem, że czasem się o mnie boi, ale to taka służba – uśmiecha się. Ten funkcjonariusz mógłby pójść już na emeryturę, ale się na nią nie wybiera. – Nie wyobrażam sobie tego momentu. Tutaj wciąż można uczyć się czegoś nowego – zapewnia Bogusław Ślęzyk. Często wspiera akcje GOPR-u. Nieraz też pościg za nielegalnymi imigrantami przeradza się w akcję ratunkową.

Zamarznięte ciała

– Najgorzej, jak w takiej grupie są dzieci. Wtedy człowiek daje z siebie wszystko, aby jak najszybciej dotrzeć na miejsce – opowiada major Marcin Lisowski. Przed laty było głośno o Kamisie. Czeczenie, matce trójki dzieci, którą przewodnik zostawił w górach. Dwie dziewczynki zamarzły. Odnaleźli je strażnicy.

– Widziałem zdjęcia z miejsca akcji – na chwilę przerywa opowieść i ściera z blatu biurka niewidzialny okruch. – A to nie był jedyny przypadek. Najgorsze są temperatury około dwóch stopni. Ludziom wydaje się, że jest ciepło, a po wejściu w góry może gwałtownie się ochłodzić. Inni przy użyciu mapy w komórce próbują przejść przez góry. A tam tracą zasięg i są bezradni. Mają szczęście, jak ich znajdziemy – dodaje.

Leszek Lichota, serialowy Wiktor Rebrow: – W Ustrzykach Górnych miałem okazję rozmawiać ze strażnikami granicznymi. Historie, które opowiadali, były czasem barwniejsze niż serial. A do tego to czatowanie po kilka godzin na zimnie, w bezruchu, albo bieganie w tych zaspach. W tej pracy trzeba mieć megakondycję.



Jest jednym z miejscowych. Pochodzi z Ustrzyk Górnych. Poszedł do wojska, także do jednostki spadochronowej.

Po służbie przez rok był nauczycielem. Czy w swojej pracy musi zatrzymywać miejscowych, sąsiadów, kolegów? – Wystarczy pójść do baru, aby wiedzieć, czy coś się dzieje. To po oczach widać – śmieje się. W większości przemyt jest organizowany przez grupy przestępcze z głębi kraju. Niedawno strażnicy graniczni z bieszczadzkiego oddziału rozbili grupę, która przemycała ludzi przez przejście w Krościenku. Załatwiali „lewe” dokumenty. W czasach GPS miejscowi przewodnicy nie są potrzebni, zastępują ich Ukraińcy.

Musiał strzelać

Strażnicy ze szczególną ostrożnością traktują przewodników przemytniczych grup. Opowiadają o przypadku ze Słowacji. Grupa była śledzona przez polskich pograniczników, ale do zatrzymania doszło na terenie kraju sąsiada. Jeden z przewodników

grupy wyciągnął broń i zaczął strzelać. Strażnicy odpowiedzieli ogniem, napastnik zginął na miejscu. Major Marcin Lisowski również musiał użyć broni. – Śledziliśmy grupę. W miejscu, gdzie mieli wyjść, urządziliśmy zasadzkę – wspomina.

Grupę zatrzymać miało kilku strażników, on czatował z boku. Bardziej jako zabezpieczenie. – Nagle usłyszałem hałas za sobą. Myślałem, że to niedźwiedź. Schowałem się za pień. Tymczasem wyszło dwóch z plecakami, przewodnicy. Jeden z nich przechodzi tak blisko, że mogłem go dotknąć. Wyjąłem broń – opowiada.

Major krzyknął – „Stój!”. Jeden z mężczyzn rzucił się do ucieczki. Lisowski strzelił ostrzegawczo. – Wówczas ten drugi przewodnik na huk strzału podskoczył, chyba na dwa metry, zaczął uciekać. Zatrzymał się, gdy oddałem drugi strzał. Wzięliśmy psa tropiącego i użyliśmy śmigłowca, aby odciął drogę powrotu przez takie łąki. Zatrzymaliśmy uciekiniera po paru godzinach – dodaje Lisowski.

Góry pod skórą

Granica pnie się ku górze, którą przecina na pół. U podnóża widać dym. To już po ukraińskiej stronie. Obok ogniska widać mundurowych, to ukraińscy pogranicznicy. – To ich stały punkt. Zmieniają się co 30 godzin. Jeszcze niedawno mieli tu namiot – opowiada st. sierż. Dariusz Usyk.

– Czasem robimy wspólne patrole – dodaje sierżant sztabowy Waldemar Kucharski. W Straży Granicznej są już od 8 lat. – Uśmiechnąłem się ze sceny w serialu, gdy wpadają do rzeki i idą dalej. Żadnej hipotermii ani nic. Tutaj to nierealne – dodaje Usyk.

Zakładają plecaki, a w nich zapasowy komplet bielizny termoaktywnej, trochę jedzenia. – To wszystko na wszelki wypadek, bo może paść rozkaz, że musimy zostać dłużej i czatować. Czasem całą noc – wyjaśnia. Wówczas muszą pozostawać w bezruchu, aby nawet zwierzyna ich nie zauważyła. Unikają też rozpalania ognisk, bo mogą wprowadzać w błąd tropiciele

Teraz najczęściej do czynienia mają z przemytnikami. Uspokoiło się z przerzucaniem przez góry ludzi, a zastąpił to przemyt papierosów. Teraz jednak przemytnicy nie mają łatwo. Przed laty jedna strażnica w Lutowiskach pilnowała prawie 100 kilometrów granicy. Obecnie w tym regionie placówki Straży są niemal co 15 km. – Jeśli ktoś lubi góry, to w tej pracy ma okazję być w nich codziennie – dodaje Kucharski.

To właśnie góry do Straży Granicznej przyciągnęły st. chor. Marka Brzozowskiego, który przy nas wjeżdża quadem do strażnicy. – Wolę jeździć konno, bo takie patrole też mamy – dodaje. W służbie jest od ponad 15 lat. Dziś ma jednak nudne zadanie, bo tylko kontrolowanie ruchu drogowego, ale do auta i tak pakują broń. – Ta praca jest wymagająca fizycznie. Trzeba bardzo dbać o kondycję – zapewnia Brzozowski. Norma jest jazda na nartach czy bieganie.

– Ćwiczyłem karate – dodaje major Lisowski, który nie tylko siedzi za biurkiem. – O, to jak ja. Dostałem do brązowego pasa – wtrąca komendant Brzozowski. Sprawność fizyczna jest tu kluczowa. – Bo nigdy nie wiadomo, kiedy skończymy swoje zadanie. Wydaje się, że można wracać do domu, a tu wychodzi kolejna grupa nielegalnych i musimy zostać. Dlatego trzeba wiedzieć też, jak sobie poradzić w górach – dodaje.

Miejsce dla Bondów

Mimo trudnej służby i wcale niewygórowanych zarobków (średnio ok. 4600 zł), Bieszczady przyciągają wielu chętnych. Po serialu „Wataha” przybyło zainteresowanych służbą w Straży Granicznej. Już w ubiegłym roku na jedno miejsce w straży było 12 chętnych. Oprócz testów sprawnościowych muszą przejść badania psychologiczne czy też wariografem. Na koniec kandydaci przydzielani są do jednostek, które także decydują o ich dalszych losach.

Niektórzy trafiają do komendanta Macieja Brzezińskiego. Szef ustrzyckiego oddziału ma wysokie wymagania. Jest prawie jak James Bond. Kariere zaczął w wojsku, jako czołgista, a skończył jako spadochroniarz, aby założyć mundur strażnika. Od tego czasu przeprowadzał się 13 razy. – Jeśli kandydat szuka tutaj pracy, to nie jest miejsce dla niego. Tutaj liczy się pasja. Lubię powtarzać, że jeśli rano chcesz iść pod górkę, a wieczorem pod wiatr, to miejsce jest dla ciebie – dodaje komendant Straży Granicznej w Ustrzykach Górnych.

Jeśli kogoś naszła ochota na zostanie strażnikiem granicznym, już niedługo będzie mógł się sprawdzić. W 2018 roku przewidziano trzy tury naboru: w lutym, czerwcu i październiku.

Jarosław Boberek – policjant Świtalski. Serial jest fikcją literacką i na szczęście strażnicy nie mają tak dramatycznych przeżyć. Chociaż, jak ostatnio słyszałem, że rozbili grupę przemycającą ludzi. Takie sytuacje jak z „Watahy” mogą się zdarzyć. A same Bieszczady? Przepiękne! Trafiliśmy w bardzo surowe warunki, w których ci strażnicy pracują na co dzień.

Od stycznia do października 2017 r. BOSG zatrzymał **przemyt 339 033 paczek papierosów o wartości 4 609 654 zł**. Najwięcej przypadków miało miejsce w przejściach granicznych, w których ujawniono ponad 82 tys. paczek papierosów o wartości 1 115 222 zł.



Kebab to nie jedzenie, to styl życia. Bracia z Iraku prowadzą restaurację, która podbija internet i brzuchy Polaków

Tekst: Bartosz Godziński | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Jest tym dla knajp z tureckim jedzeniem, czym Starbucks dla kawiarni. Miejscem niespodziewanego kultu. Położony obok Wołomin słynie z mafii, za to Radzymin z lokalu, który serwuje najdłuższe kebaby w Polsce i wrzuca memy, które podbijają internet.



Nigdy nie pomyślałem, że przejadę 200 kilometrów specjalnie po to, by zjeść kebabą i napisać o tym artykuł. Fenomen tego miejsca polega przede wszystkim na kompletnym zaprzeczeniu gastro-nomicznemu bon ton. Idą na ilość, robią dziwne memy i organizują konkursy dla obżarciuchów. Kebab to dla ojców założycieli styl życia, a nawet chleb powszedni – jedzą go codziennie, bo jest taki ruch, że nie mają czasu na nic innego. Pewnie nie mogą oddać krwi, bo w ich żyłach płynie sos ostry, łagodny czy mieszany!

Rozmiar ma znaczenie!

O radzymińskim Relax Kebab zrobiło się głośno, gdy zaczęli jak szaleni robić swoje danie główne mierzone długimi linijkami. Są polskimi rekordzistami. – Zaczynaliśmy od pół metra. Nasz tegoroczny rekord to 6 metrów – mówił mi... Grzegorz – mózg interesu. Właściwie ma na imię Ganim, ale tak mówią na niego wszyscy. Do 120-metrowego kebabą z książki rekordów Guinnessa trochę im brakuje, ale za to jako pierwszy

na świecie podają klientom niezwykły tort. Nie zgadnicie co jest budulcem.

– Tort z kebabą to 2 w 1: masz i tort, i obiad – śmieje się Grzesiek.

Największy tort z kebabą waży nawet 10 kilogramów. Wygląda jak słodki odpowiednik i przez to przygotowanie trwa aż godzinę. Ludzie zamawiają go na urodziny lub wesele. Świeżą pozycją w menu jest też sushi z kebabą. Jest tańsze niż japoński oryginał, a zamiast ryby jest oczywiście mięso z kurczaka i wołowina. Zapytałem Grzeska o pierogi z kebabem, odpowiedział, że ma sporo pomysłów, na które przyjdzie jeszcze pora.

Relax stawia na innowację i kreatywność, modne ostatnio słówka. Oni jednak mają gdzieś konwensanse i podręczniki. Raz był u nich Hardkorowy Koks – pochłonął 90 centymetrów z 2,5 metrowego kebabą. Innym razem pewien człowiek legenda wypił litr sosu ostrego. Co jest do wygrania? Kolejne kebabą! W tym momencie za zjedzenie 1,2-me-

trawego dania, drugie tyle dostaje się gratis. Tylko gdzie to zmieścić?

Lokal z pewnością nie potrzebuje „Kuchennych rewolucji”, założyciele sami mogliby dawać lekcje z nieszablonowej gastronomii. – Trudno znać wszystkie kuchnie świata. Magda Gessler właśnie uważa, że je zna. Ona mnie będzie uczyć jak gotować nasze narodowe jedzenie? To tak jak ja bym ciebie uczył, jak robić schabowego – tłumaczy Grzesiek. I opowiada mi o historii kebaba. – Pierwszy na świecie powstał w Niemczech, ale wymyślił go Turek. Zasmakował Niemcom i dopiero wtedy zaczęli je robić w Turcji. Nazywa się tam shaorma – mówi kucharz i jak się okazuje twórca memów.

Relax Kebab memes

To, co mnie osobiście urzekło, to memy, które restauracja wrzuca na Facebooka. Początkowo myślałem, że to pastisz lub tzw. dank memes, czyli na takim poziomie abstrakcji, że rozumie je z 10 osób. Te z Relaxa wyglądają jak sprzed kilku lat, gdy w internecie triumfy święciły demotywatory, komixxy.pl i kwejk.pl. Teraz te strony bardziej żenują, niż bawią, aż tu nagle powracają znajome twarze szablony, pokraczna czcionka w stylu Word Art, łamana polszczyzna. To jest zupełnie nowa kategoria memów.

Humor i jakość wykonania może i nie jest najwyższych lotów, ale mają pewien urok. Są jak sztuka współczesna – doceniamy ich artyzm, gdy poznamy cały kontekst.

„Chciałem, by ludzie zaczynali dzień z uśmiechem na twarzy”.

– Język polski jest trudny, ale pomagają mi znajomi. I chyba dobrze nam idzie, bo ludzie to lubią – chwali się Grzesiek, który tworzy zabawne obrazki. – Podobnie jak z tortem z kebaba, są 2 w 1: można się pośmiać i reklamują nasz lokal. Poza tym mało jest memów o jedzeniu, a kebab znają i lubią wszyscy – przyznaje. Karol Strasburger to przy nim siódmy członek Monty Pythona. Memy są tak absurdalne i specyficzne, że aż genialne.



Wystarczy spojrzeć na ilość udostępnień i polubień fan page'a na Facebooku – zbliża się do 30 tysięcy fanów.

Rodzinny biznes

Relax Kebab w Radzyminie założyła trójka braci trzy lata temu. Sześć lat wcześniej przeprowadzili się do Polski i pracowali w innych restauracjach. – Wszyscy tak zaczynamy – mówi Grzegorz. Pochodzą z Iraku, wcześniej mieszkali w Katarze.

„Fajnie się mieszka w Polsce, ale kiedyś było lepiej. Wiadomo, co się dzieje na świecie. Wcześniej było mniej rasistów”.

Początkowo rodzina Grzegorza była celem ataków rasistów. Jak każdy imigrant o ciemniejszej karnacji. – Kiedyś przychodzili tutaj rasiści, ale teraz wszyscy nas już znają. Mamy wielu przyjaciół – zapewnia i dodaje, że i tak w Katarze jest więcej rasistów niż w Polsce.



– Tam mają klimat „na bogato”. Biednych nie traktuje się jak ludzi. Nie zarabialiśmy bardzo źle, ale to nam się nie podobało. W Polsce jest np. demokracja, a kasa to nie wszystko – mówi Grzegorz.

Gdy przyszedłem do lokalu, od razu na wejściu wszyscy powitali mnie z uśmiechem od ucha do ucha. W tle leciało disco polo. W Relaxie nie pracują naburmuszeni ludzie. – Klientów traktujemy jak przyjaciół. Nie na zasadzie „proszę, smacznego, do widzenia”. Lubimy sobie pożartować, robimy zakłady, dajemy rabaty. Mamy kontakt jak z koleżanką czy kolegą. Nawet jak ktoś przyjdzie sam, to nie będzie siedział smutny. I potem klienci wracają – zdradza tajemnicę sukcesu. Czas na danie główne.

Metrowa wyżerka

– Nie no, gdzie metrowy! – protestowałem, gdy zaproponowali mi swój firmowy specjał i przekonywali. Po chwili dodałem: – No dooobra – przecież dziś nie jadłem specjalnie śniadania. Metrowy kebab składa się z kilku zwykłych. Nie ma tak długiej pity. Są sprytnie połączone i podgrzewane w kilku opiekaczach ustawionych obok siebie.

Kebab z Relaxu smakuje dobrze, ale niczym się nie wyróżnia – nie mam nic więcej do dodania, bo nie jestem tureckim sommelierem. Czuć w nim jednak świeżość z racji tego, że drzwi w lokalu się praktycznie nie zamykają, więc nic tam nie zdąży się popsuć. Cała memiczno-sympatyczna otoczka jednak nadaje mu wyjątkowość. Razem z kolegą fotografem zjedliśmy połowę, resztę wzięliśmy na wynos, choć tak się najadłem, że nie mogłem już na niego patrzeć. Na kebaba, nie na kolegę.



Na koniec patrzemy z Grześkiem przez balkon lokalu. Mówi, że niedługo otworzą drugi lokal w Warszawie.

– W przyszłym roku na nasze urodziny zrobimy 10-, a może nawet 20-metrowego kebaba! – O tutaj, przez cały parking – wskazuje palcem i rozmazonym wzrokiem snuje plan o pobiciu rekordu Guinnessa.

Idę do studia tatuażu. Czas poznać wszystkie sekrety dosłownie na własnej skórze

Tekst: Michał Joško | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Nie ma lepszej sposobności do wypytania tatuszki o szczegóły jej pracy niż moment, w którym ozdabia moje ciało przy pomocy swojej maszynki. Gotowi na fachową wiedzę i naprawdę mocne wrażenia? A więc zaczynamy.



Zastanawiasz się, jak wybrać tatuatora idealnego, na co zwracać uwagę w studiu i z jakimi zagrożeniami zdrowotnymi może wiązać się ozdabianie skóry? A może jesteś ciekaw, co odróżnia tatuującego się Polaka od człowieka z Zachodu i dlaczego w tej branży kobiety stają się coraz większą siłą?

To zaledwie część wiedzy, którą dzieli się z nami Marta Szumigaj ze stołecznego studia Prism, jedna z najjaśniejszych gwiazd młodego pokolenia w świecie tatuau.

Aby uniknąć gołosłowności i zwiększyć dziennikarską wiarygodność, w trakcie tworzenia tego materiału artystka będzie nie tylko opowiadać, ale i traktować moje żebra igłą oraz tuszem. Oddajemy głos naszej bohaterce.

Warto rozmawiać

Wszystko zaczyna się od mojej konwersacji albo korespondencji z klientem, wspólnej oceny danego pomysłu na tatuau. Później można przejść do ewentualnych pomysłów na artystyczną modyfikację projektu. Ważne, aby wszystko ustalić jasno i wyraźnie przed pierwszym wbiciem igły – po tym momencie nie uznaję wprowadzania jakichś nagłych zmian.

W tej pracy zbyt duża spontaniczność nie jest wskazana. Nie lubię niespodzianek, a tym gorsze byłoby to, że klient jest zaskoczony tym, jak został wytatuowany wzór, o którym marzył.

W tym miejscu nawiązanie do specyfiki naszego kraju: rodacy do całego procesu podchodzą naprawdę poważnie. Statystyczny mieszkaniec Europy Zachodniej zazwyczaj patrzy na pierwszy projekt i mówi: „OK, super, róbmy to”, ufa z automatu, wychodzi z założenia, że jestem autorytetem, znam się na rzeczy.

Polak lubi dostać różne alternatywy. Nie chciałabym użyć określenia, że jest bardziej wybredny, ale często dostaje pięć różnych wersji wzoru, po czym stwierdza, że jednak chce pierwszą z nich.

Projekt na miarę oczekiwań

W latach 80. i 90. ubiegłego wieku motyw zazwyczaj wybierało się z katalogów, które leżały w każdym studiu tatuau. Najpopularniejsze wzory często były już wręcz odbite na kalce, wystarczyło przyjść prosto z ulicy i już po chwili można było zaczynać pracę.

Dziś – na szczęście – klienci są znacznie bardziej wymagający, częściej chcą mieć coś naprawdę wyjątkowego, zaprojektowanego specjalnie dla nich. Dlatego tym ważniejszy jest naprawdę przemyślany dobór takiego, a nie innego tatuatora – nie można patrzeć wyłącznie na umiejętności techniczne danej osoby, ale też i styl, w którym się specjalizuje.

Sama zaczynałam karierę od tzw. oldschoolu, czyli motywów nawiązujących do tatuau z XIX wieku. Jednak w pewnym momencie uświadomiłam sobie, że to nie dla mnie. Poszłam więc w stronę watercoloru, czyli delikatnego cieniowania i subtelnej zmiany barw – w skrócie: chodzi o to, aby tatuau przypominał akwarelę.

Pewnego dnia ozdobiłam skórę znajomej kwiatkiem wykonanym w takim właśnie stylu. No i okazało się, że to coś, co strasznie spodobało się zarówno mi, jak i ludziom. Z czasem watercolor stał się moim znakiem rozpoznawczym. Zresztą z tego powodu tatuuję głównie dziewczyny, bo to raczej one gustują w takich rzeczach. Jesteś jednym z naprawdę niewiele mężczyzn, których „mam pod igłą”.

Oczywiście, dobry fachowiec jest w stanie wykonać każdy motyw, ale jedne będzie czuć lepiej niż inne. Na przykład ja interesuję się Japonią i kreskówkami, dlatego bardzo chętnie tatuuję rzeczy związane z tymi dziedzinami sztuki. Sama dużo maluję i często klienci proszą właśnie o ozdobienie ich ciał autorskimi pracami.

Rewelacyjnym wyzwaniem jest także przenoszenie na skórę sztuki stworzonej przez świetnych artystów – jak chociażby dziś, gdy tatuujemy dzieło malarki Aleksandry Waliszewskiej. To fajne, wręcz magiczne.

Kto ma rację – klient czy artysta?

Tatuator zawsze musi pamiętać, że wykonuje pracę usługową, tak więc ostatecznie słowo zawsze musi należeć do klienta. To jego zadowolenie jest zawsze najważniejsze, przecież to on będzie nosił twoją pracę do końca życia na swojej skórze.

Jednocześnie, gdy idziesz do salonu, powinieneś uwzględnić pewną rzecz: rolą tatuatora jest nie tylko wbicie tuszu pod skórę, ale i wcześniejsze doradzenie ci w kwestiach, nazwijmy to, estetycznych. Pomyśl, że taki artysta siedzi w owej tematyce bardzo głęboko, spędza w studiu sześć



dni w tygodniu, obcując z naprawdę olbrzymią liczbą tatuażu.

Takie doświadczenie pomaga w rozwijaniu zmysłu estetycznego, stwierdzeniu, czy wybrany motyw będzie dobrze prezentował się na danej części ciała, czy nie powinien być mniejszy lub większy.

Swoją drogą: tatuuję nie tylko w Polsce – przez rok pracowałam w Berlinie, gdzie wciąż mam dużą bazę klientów, podobnie jak chociażby w Szwecji. Działając w różnych miejscach, uświadomiłam sobie, że ludzie z tzw. Zachodu są bardziej podatni na takie właśnie fachowe sugestie, tatuator jest dla nich większym autorytetem.

Tutaj znów małe spostrzeżenie na temat naszych rodaków: są trudniejszymi, bardziej upartymi klientami, „wiedzą lepiej”. Choć nie chciałabym tego demonizować: skrajnych przypadków nie ma wiele, w trakcie mojej kariery trafiły się dwie, może trzy osoby, z którymi się nie dogadałam, nie udało się osiągnąć kompromisu. Może to kwestia tego, że kiedyś studiowałam psychologię?

W pewnych sytuacjach lepiej jest grzecznie podziękować i odmówić wykonania tatuazu. Przecież jeśli wykonałabym go zgodnie ze swoim poczuciem estetyki, klient nie byłby w pełni zadowolony. Natomiast ja wolałabym nie przykładać ręki do zrobienia czegoś ewidentnie złego, szpecącego drugą osobę.

Na ile ten świat się zmienił?

Niegdyś tatuaz był czymś niszowym, dostępnym dla wąskiego grona „wtajemniczonych”. W ostatnich latach stał się o niebo bardziej popularny,

to element lajfstajlu. Tak więc siłą rzeczy mocno zmienili się także ludzie w owej branży, atmosfera w studiach.

Doskonale pamiętam, że gdy w wieku 18 lat robiłam sobie pierwszy tatuaz, stereotypowy przedstawiciel tej branży wyglądał tak: ponury, opryskliwy koleś, który albo robi wzór tak, jak chce, albo pokazuje ci drzwi, rzucając chłodne „żegnam”.

Dziś nie do pomyślenia byłoby to, że klient przychodzi do studia i czeka trzy godziny, zanim artysta łaskawie przyjmie go na „audiencję”, doje śniadanie, dopije spokojnie kawę i wypali papierosa. Każde szanujące się studio tatuazu dba o fajną, naprawdę miłą atmosferę. A ta zmieniła się być może również z tego względu, że w branży pracuje coraz więcej dziewczyn.

Inwazja zdolnych kobiet

Mówimy o środowisku przez wiele, wiele lat naprawdę mocno zmaskulinizowanym, a tatuatorki, którym udało się przebić, były totalnymi ewenementami. Pamiętam, że nawet trzy lata temu, gdy zaczęłam pracę w salonie w Milanówku, byłam tam jedyną dziewczyną.

Coż, pozostało zmierzyć się z wręcz unoszącym się w powietrzu testosteronem i dosadnymi żartami. Ale nie dałam sobie wejść na głowę i po jakimś czasie świetnie dogadałam się z chłopakami – wiesz, jeśli trafiasz między rekiny, dobrze też być rekinem.

Teraz w naszej branży pracuje mnóstwo dziewczyn, które radzą sobie w niej prześwietnie. Dlaczego? Z jednej strony można uwzględnić





choćby to, że kobiety są bardziej życzliwe, empatyczne i cierpliwe, tak więc przyciągają wymagających klientów.

Chociaż sądzę, że nie ma co się tutaj doszukiwać na siłę drugiego dna. Zasadniczo wyjaśnienie jest banalnie proste: popularność ozdabiania sobie skóry doprowadziła do znacznie większego zapotrzebowania na tatuatorów. Rynek się zwiększył, tak więc siłą rzeczy zaczęli do tego świata trafiać i zdolni faceci, i kobiety.

Czy u dziewczyny mniej boli?

Rzeczywiście, można zetknąć się z takim stereotypem, choć tutaj również nie wprowadzałabym na siłę podziałów ze względu na płeć tatuatora. Wszystko zależy raczej od jego (jej) umiejętności oraz techniki i sprzętu.

Tak samo ostrożnie należy podchodzić do opowieści, że dany tatuator ma ciężką rękę, że – jak się mawia – ryje skórę. Dlaczego? Ludzie często nie uwzględniają tego, że pewne tatuaże po prostu muszą być bardziej bolesne. Mowa tu

choćby o wzorach oldschoolowych: żeby taki motyw wyglądał naprawdę dobrze, nie obędzie się bez „konkretnego” poprowadzenia grubych, solidnych linii.

Podobnie będzie w projektach zawierających duże płaszczyzny, na które trzeba nanieść równomiernie kolor – tutaj żeby osiągnąć idealny efekt, po prostu nie można się pieścić.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z tatuażami, w których specjalizuję się ja – w watercolorze barwy nanoszone są znacznie subtelniej. Podczas takiego delikatnego i precyzyjnego operowania maszynką zdecydowanie może przydać się lekka kobieca ręka.

Gdzie boli najbardziej?

Na takie pytanie można czasami usłyszeć branżową odpowiedź: „najbardziej to boli w piwnicy”. Odpowiadając poważnie: to kwestia bardzo indywidualna. Tego, która część ciała jest najmniej odporna na ból, człowiek dowiadywa się dopiero w trakcie tatuowania.

Owszem, istnieje tzw. mapa bólu, według której najmniejszych cierpień zaznaje się podczas kontaktu igły z zewnętrzną częścią ramienia, przedramienia albo uda, natomiast najstraszniejsze jest tatuowanie żeber, zgięcia łokcia albo kolana.

Jednak czasami okazuje się, że te zasady nie sprawdzają się akurat w twoim przypadku, że masz znacznie bardziej unerwione te części ciała, które teoretycznie nie powinny boleć zbyt mocno; albo odwrotnie.

Warto również wspomnieć o rozwoju technologii: część tatuatorów – w tym ja – nie stosuje już najpopularniejszych maszynek cewkowych, zastąpiła je nowocześniejszymi, rotacyjnymi. Te drugie pozwalają na znacznie delikatniejsze muskanie skóry.

Bez bólu się nie da?

Anegdota z kategorii „tatuator u psychiatry”: zdarza się, że ci lekarze zarzucają przedstawicielom naszej branży, że jesteśmy zarówno masochistami (przecież zazwyczaj mamy mocno „wydziabane” ciała), jak i sadystami (w końcu zadajemy ból klientom).

Są osoby, które dorabiają sobie pewną ideologię do tatuowania; twierdzą, że ból jest jednym z mistycznych elementów tego rytuału. Sama jestem daleka od podobnego myślenia i gdybym tylko mogła całkowicie wyeliminować ból, byłabym najszcześniejszą osobą na świecie.

Swoją drogą to właśnie świadomość zadawania cierpień była dla mnie największym problemem w początkach kariery: pamiętam, że gdy po raz pierwszy tatuowałam zebra, wręcz czułam straszny ból, którego doświadczała klientka. Jeśli jednak chcesz pracować w tej branży, musisz nauczyć się sobie z tym radzić – oczywiście nie chodzi o to, aby całkowicie zabić w sobie empatię, lecz po prostu uświadomić sobie, że ból jest częścią tej gry.

Jednak chociaż cierpień nie da się uniknąć całkowicie, to osoby szczególnie wrażliwe mogą dziś posilkować się specjalnymi maściami, które stosuje się przed tatuowaniem, oraz znieczulaczami w spreju, aplikowanych już w trakcie.

Niektóre studia oferują tego rodzaju specyfiki, choć są i tatuatorzy, którzy nie lubią pracować na

częściowo sparaliżowanej skórze. Sama nigdy nie używam podobnych wynalazków z innego względu: to preparaty zawierające znaną z gabinetów stomatologicznych lidokainę (może uczulać), dodatkowo mogą mieć też w składzie adrenalinę (w jej przypadku mówimy już o ryzyku zawału serca).

Wolę nie brać odpowiedzialności za tak poważne perturbacje zdrowotne, więc jeśli zgłasza się do mnie osoba ze szczególnie niskim progiem bólu, sugeruję jej, żeby najpierw zgłosiła się do lekarza, który po fachowej ocenie sytuacji, wypisze jej receptę na maść z lidokainą.

Czym można zarazić się w trakcie tatuowania?

Wiem, że to truizm, ale absolutnie zawsze pamiętajmy, aby zgłaszać się do tatuatora, który ma wręcz obsesję na punkcie pracy w sterylnych warunkach. Nie chodzi tu nawet o zagrożenie wirusem HIV, bo nim – wbrew powszechnemu mniemaniu – naprawdę trudno się zarazić. Jako tatuażystka wiem, że nawet jeśli przypadkowo zakłuję się igłą, to ilość krwi nosiciela na jej końcówce w praktyce jest zbyt mała, aby zagrozić mojemu zdrowiu. Znacznie łatwiej przenoszą się chociażby żółtaczka oraz HPV.

Czy tatuator zawsze odmówi osobie, która lojalnie zaznacza, że jest nosicielem jakiejś choroby zakaźnej? Nie, to jego indywidualna decyzja. Sama tatuowałam przyjaciela, który jest nosicielem wirusa HIV, ale bierze odpowiednie leki, jego choroba jest zastopowana, a ja – oczywiście – stosowałam się do wszelakich zasad bezpieczeństwa i higieny.

Pamiętajmy, że szczególne środki ostrożności zachowuje się w odniesieniu do każdego klienta, natomiast używany przez nas sprzęt jest bądź jednorazowy, bądź bardzo dokładnie sterylizowany w medycznych autoklawach.

Tak czy owak tatuator jest zawodem podwyższonego ryzyka, z tego powodu regularnie, przynajmniej raz na pół roku, przechodzimy odpowiednie badania. W skrajnych przypadkach możemy, podobnie jak lekarze czy pielęgniarki, zgłosić się do szpitala i otrzymać zastrzyk minimalizujący ryzyko zarażenia się wirusami.

Czy tatuaże są dla każdego?

Nie. Jest mnóstwo przeciwwskazań, takich jak chociażby cukrzyca, choroby tarczycy, łuszczycy



albo hemofilia. Do tego dochodzą kwestie związane z alergiami: może okazać się, że organizm „nie życzy sobie” pigmentu, który został wprowadzony pod skórę. Takie reakcje mogą dotyczyć zwłaszcza koloru czerwonego i jego pochodnych – tatuaże, w których zostały użyte, mogą być najbardziej uczulające i najtrudniej się goić.

Zdecydowanie odradzam takie rzeczy kobietom w ciąży i karmiącym, ponieważ część pigmentu wraz z limfą przechodzi przez węzły chłonne.

W ogóle zawsze warto pamiętać, że każdy tatuaż jest dla organizmu pewnym szokiem, przecież to rana – płytka, lecz o dużej powierzchni. Ciało otrzymuje sygnał, że coś jest nie tak, na co może zareagować gorączką, osłabieniem, objawami przypominającymi gripę.

Jakich tatuatorów unikać?

Można zetknąć się ze starą zasadą, głoszącą, że najpierw (np. podczas wizyty wstępnej czy gdy przynosimy zadatek na tatuaż) należy skierować się do toalety i założyć, że jeśli tam jest brudno, to odpowiednie zasady higieny nie będą zachowane również podczas samego tatuowania.

Sama skupiam się głównie na bardzo solidnym przejrzaniu dokonań człowieka, który ma mnie kłuć (tutaj nieoceniony jest Instagram). Gwarantuję, że jeżeli ktoś ma świetne, bogate portfolio oraz wielu zadowolonych klientów, to jest dobry nie tylko pod względem artystycznym, ale i higienicznym. Żaden szanowany artysta nie będzie pracował w syfie.

No a skoro mowa o sprawdzaniu prac danego człowieka: często ludzie sugerują się głównie projektami danej osoby, a to błąd. Znacznie ważniejsze jest skupienie się na zdjęciach już wykonanych tatuaży – ktoś może mieć wielki talent plastyczny, ale jednocześnie problemy techniczne z idealnym przełożeniem swoich dzieł na skórę.

Dlaczego Polska jest potęgą w świecie tatuażu?

To, że nasi rodacy od dawna są ekstraklasą w tym środowisku, że są znani i cenieni na całym globie, jest niepodważalnym faktem. Dlaczego? Być może chodzi o to, że poziom wykształcenia artystycznego zawsze stał u nas na wysokim poziomie, na taką właśnie edukację kładziono szczególnie nacisk już od XVIII wieku.

Do tego mieszkańcy naszej części świata – bo odnosi się to również do Rosjan, Ukraińców i Białorusinów – są wymagający nie tylko wobec innych, ale i samych siebie. Wynika to również z kwestii historycznych: kolejne pokolenia żyły w niełatwych warunkach, co prowadziło do samodoskonalenia. Wiadomo, że zbyt duży dobrobyt rozleniwia.

To wszystko sprawiło, że jesteśmy nie tylko samokrytyczni, ale i potrafimy szczerze oceniać pracę innych: tutaj nie ma bezpodstawnego klepania się po plecach, zachwycania się wszystkim, nawet jeśli nie jest to w naszej ocenie dobre. W Polsce częściej usłyszysz krytykę niż pochwały, dopiero uczy się chwalić sami siebie oraz komplementować innych.

„Bajka o programiście”. Uwierzyli w gigantyczne pensje i zmarnowali masę czasu

Tekst: Mariusz Janik

Przez kilka ostatnich lat słyszeliśmy to niemal codziennie: na rynku brakuje kilkudziesięciu tysięcy informatyków, praca za trzykrotność średniej krajowej jest w zasięgu ręki, a kandydaci zrobili się tak narowiści, że nie chce im się nawet przychodzić na rozmowy rekrutacyjne. Rzeczywistość dalece jednak odbiega od wizji, którą zachwyciły się prawdopodobnie tysiące Polaków.



Fot. Tomasz Szambelan/Agencja Gazeta



Jacek programistą postanowił zostać, gdy uświadomił sobie, że jego dotychczasowa wiedza – głównie z zakresu inżynierii dźwięku – nie jest ani szczególnie poszukiwana na rynku, ani dobrze opłacana. Decyzja o przekwalifikowaniu zawodowym wydawała się naturalna: pójść tam, gdzie eksperci widzą największą lukę, zarobki pozwalają stosunkowo szybko urządzić sobie życie (choćby w kredycie), a awansuje się stosunkowo szybko. Czyli w IT, rzecz jasna.

Jacek zapisał się na studia i nie zwlekając, w końcu zatrudniając wszystkich, zaczął szukać nowego zajęcia. – Wysłałem kilkadziesiąt, może nawet setkę CV. Z tego wszystkiego wyszło kilka rozmów kwalifikacyjnych, na których się skończyło. Generalnie, szala nie było – podsumowuje ostatni rok. Być może zdecydowały luki w znajomości angielskiego, w co najmniej jednym przypadku okazało się, że firma szuka osób z doświadczeniem.

– To wina boomu na programowanie – podsumował uczestnik jednej z toczących się swego czasu na Wykopie dyskusji. – Narobiło się szkół typu „zostań programistą, 15k w dwa tygodnie”, przez co początkujących zrobiło się od groma. I tak każda firma na każdą ofertę dostaje 1000 zgłoszeń, z czego max 10 kandydatów się nadaje, a rekruternie nie potrafią tego skutecznie odsiać. Dlatego firmy zaczęły podawać w wymaganiach doświadczenie na podobnym stanowisku, co znacznie zmniejsza ryzyko [napotkania] kandydata, który jest kompletnym idiotą – kwitował.

3200 złotych na rękę

Realia są dziś znacznie brutalniejsze niż romantyczne opowieści. Początkujący programista ma szansę dostać 3200 złotych „na rękę” – ale nie ma na rynku pracy jakiegoś wielkiego zapotrzebowania na początkujących programistów. – Na studiach mnóstwo

czasu pożera nauka rzeczy kompletnie w programowaniu nieprzydatnych, jak matematyka czy fizyka – mówi nam Jacek. – Spędziłem dziesiątki godzin na wkuwaniu tej wiedzy – kwituje.

Paradoksalnie, lepiej być polonistą czy po prostu samoukiem, za to z jakimś dorobkiem. – Czegoś się nauczyli i prezentują nierzadko niezły poziom. Są poszukiwanymi początkującymi. Co więcej, mają całkiem realne wymagania płacowe – pisze internauta „z branży”. Absolwenci, przeciwnie. – Nie mają żadnych kwalifikacji, jedyne umiejętności to szybkie rycie uczelnianych skryptów na blachę – dorzuca.

Statystyka nieubłaganie potwierdza te diagnozy. Branża IT opublikowała w 2018 roku na portalu pracuj.pl 85 tysięcy ofert pracy – ale zaledwie 8,5 proc., a więc około 7,3 tys. anonsów, było adresowanych do początkujących specjalistów. – Około 80 proc. prowadzonych przez nas rekrutacji IT dotyczy programistów z około pięcioletnim stażem, pozostałe 20 proc. to osoby pracujące na stanowiskach menedżerskich – dowodzi na łamach dziennika „Rzeczpospolita” Natalia Bogdan, szefowa agencji Jobhouse.

98 proc. zadowolonych kursantów

Wyjadacze z branży podsumowują sprawę krótko: firmy „łapią” z rynku wszystkie zlecenia, jak leci, więc w pewnym momencie zaczynają się one spiętrzać. Wtedy zaczyna się gorączkowe poszukiwanie specjalistów na rynku – ale nie początkujących, bo na wdrażanie ich w arkana programowania czy relację mentor–uczeń, o jakiej chętnie piszą eksperci w swoich elaboratach, zwyczajnie brakuje czasu. – Zanim gość się wdroży, to zwyczajnie bardziej przeszkadza, niż pomaga – twierdzi jedna z osób z branży.

Do tego dochodzą tradycyjne osobliwości rynku pracy. Jacek wspomina rozmowę kwalifikacyjną, w trakcie której dołączył przedstawiciel działu IT – i dopiero wówczas okazało się, że firma szuka pracownika z jakimś doświadczeniem. To nieje-

dyna taka sytuacja: zewnątrzni rekrutujący zwykle niewiele wiedzą o kompetencjach wymaganych na stanowisku, o którym mowa.

Klimat zachęt zbudowały też szkoły programowania: wystarczy pobieżnie przejrzeć oferty, żeby się przekonać, że programistą można zostać „w 6 tygodni”, a są i szkoły zapowiadające zdobycie kwalifikacji „w 3 dni”. „98 proc. zadowolonych kursantów” – zapowiada jedna ze szkół, „nikt nie jest za stary, by zostać programistą” – obiecuje inna. Wszystkie chętnie cytują rynkowe raporty o olbrzymim zapotrzebowaniu rynkowym (owa 50-tysięczna luka) i czekających na chętnych zarobkach.

Kasa będzie lecieć strumieniami

I chyba właśnie te zarobki są źródłem największych nieporozumień. Można przystać na twierdzenie, że branża IT daje szansę na szybki awans i zwiększanie zarobków – mało który zawód pozwala w kilka lat stać się poszukiwanym na rynku ekspertem. Ale też pamiętajmy, że „bajka o programiście” to scenariusz, który może ziścić się niemal wyłącznie w dużym mieście, najczęściej w dużych firmach, które mają sporo do powiedzenia na rynku.

Jednak i taki los nie jest pisany wszystkim bez wyjątku i nikogo nie powinien ośmielać do stawiania na początku zbyt wygórowanych żądań finansowych. – Trudno się dziwić pracodawcy, że nie chce przyjąć na stanowisko programistę kogoś, kto nie umie programować w żadnym języku, ale życzy sobie zarabiać np. 6000 zł netto, bo skończył informatykę i wszyscy obiecywali, że kasa będzie lecieć strumieniami – czytamy na forach.

Szał na programowanie stopniowo mija. I może dobrze, bo najlepiej wyszły na nim szkoły programowania, a nie firmy czy potencjalni pracownicy, którzy zdążyli wyłożyć od kilku do kilkunastu tysięcy na zdobycie kwalifikacji, mających przynieść zwrot z inwestycji w miesiąc. No cóż, na każdej gorączce złota najlepiej wychodzą producenci łopat.

Warszawscy spidermani, czyli jak to jest myć okna w powietrzu

Tekst: Włodzimierz Szczepański | **Zdjęcia:** Maciej Stanik



Życie na krawędzi to dla nich nie jest przenośnią czy tytuł piosenki. Podobnie jak balansowanie na cienkiej linie. Poznałem pracę miejskich alpinistów.

– Tato, patrz spidermany! – krzyczy zachwycony maluch i zadziera głowę, a tam na linach sto metrów nad Warszawą kołysze się alpinistyczna ekipa Klaudiusza. Nagły podmuch wiatru szarpie linami, ale to na uczepionych ich końca, nie robi najmniejszego wrażenia. Zniecierpliwiony ojciec chłopca ciągnie go za ramię, aby wreszcie poszedł dalej. Trochę mu współczuję, bo ja zostaję, aby poznać ekipę i ich pracę. Okazuje się, że mają dużo do opowiadania. Sami czasem bywają zaskoczeni...

– Zdarzało się, że zjeżdżamy na linach, a tu za oknem gabinet ginekologiczny. Wystraszyliśmy klientkę – wspomina Klaudiusz Dziubecki, który kieruje „Alpin-High”, firmą zajmującą się pracami na wysokościach. Jego ekipa przywykła już do widoku par śpiących w łóżkach hotelowych. Do rozmowy wtrąca się Michał Jałbrzykowski: – A pamiętasz pana, który oblał nas wodą? To było na którymś piętrze, a on się zdenerwował, że wisimy mu przed oknem. Albo jeszcze lepszy numer! Z panią, która

przez szybę zaproponowała nam kawę. Niestety, okno było nieuchylne...

Dziś skończą myć okna w budynku przy Puławskiej, a potem będą malować maszt na wieżowcu przy Świętokrzyskiej. Szef „Alpin High” w dość niespodziewanych okolicznościach zaczął karierę alpinisty. – Szukałem roboty i znalazłem ogłoszenie, że poszukują pracowników do mycia okien. Nie wiedziałem, że to na wysokościach – śmieje się. Po kilku dniach mycia okien na parterze firma wysłała go na szkolenie alpinistyczne. Jeszcze bardziej zaskakującą drogę do tego zawodu przeszedł Sebastian. – Pracowałem w restauracji, ale zastanawiałem się, czy nie zmienić pracy. Wtedy wyszedłem zapalić papierosa i w górze zobaczyłem ich – wskazuje głową na kolegów.

Koniec przerwy. Klaudiusz i jego pracownicy pewnym krokiem wychodzą z budynku na jego dach. Dopiero w prześwicie widać chodzących niżej ludzi.



Dach jest szklany... – Tam trzeba uważać – Klaudiusz wskazuje na szybę w rogu budynku. – Ptaki przenoszą kamienie, gdy zorientują się, że to nie jest jedzenie, wypuszczają je z dzioba. Spadający z dużej wysokości kamień potrafi uszkodzić szybę.

W ciągu zaledwie 5-7 dni z ekipą sześciu ludzi potrafi umyć taki budynek jak Intraco. O ile nie

przeszkodzi wiatr i zbyt ostre słońce, które nagrzewa szyby. Do mycia używają bawełnianych myjek i ściągaczek. Tetrową tkaniną wyciera się wycieki. Dziubecki podkreśla, że zielony wieżowiec przy Nowym Mieście obok obiektu przy placu Unii Lubelskiej i WFC przy ul. Świętokrzyskiej to najłatwiejszy obiekt do mycia. – Najtrudniejsze są budynki z kaskadami z licznymi przejściami. Ooo... Słynny Żagiel nie jest prosty do mycia, bo ma pochylone ściany i niełatwo na niego wejść. Niskie budynki też wbrew pozorom bywają trudne, jak chociażby RTO przy Alejach Ujazdowskich – opisuje szef alpinistycznej firmy.

Czasem obok mycia okien mają do wyszorowania elewacje. Używają wtedy myjek ciśnieniowych. Narzeka, że teraz jest duża konkurencja. Stawki spadły, ryzykują życie za 1,2-1,5 zł za metr kwadratowy umytej szyby.

Ekipa warszawskich alpinistów zatrzymuje się na krawędzi ściany, aby kolejny raz poprawiać liny, sprawdzić uprzęż. Ich bliscy już się przyzwyczaili, że chwila nieuwagi może spowodować, iż nigdy nie wrócą do domu. – Pewnie, że czuję strach. Musi być. Bo inaczej wpadnie się w rutynę – podkreśla Klaudiusz. Jałbrzykowski dodaje: – Przed zejściem na ścianę sprawdzasz nie tylko siebie, ale i kolegów. Patrzysz na ich sprzęt, czy nie robią głupstw, albo niepotrzebnie nie ryzykują.

Ich największym wrogiem jest wiatr. Przy zbyt porywistym muszą schodzić na ziemię. Chociaż na niektórych ścianach potrafi być zacisznie, i to mimo szalejącego wokół wiatru. – Oj, raz miałem taką sytuację, że serce podeszło mi do gardła. Wiatr porwał mnie, ale byłem wtedy na maszcie – przyznaje Mateusz Tryniszewski. Chłopak ma 21 lat. Razem z pełnym wiadrem, które zabierają do mycia, waży



ok. 100 kg. Na duże warszawskie budynki zabierają dodatkowe wiadro. To już łącznie 120 kg.

Lina, na której wiszą, ma średnicę zaledwie jednego centymetra. Bez trudu jednak utrzyma ich ciężar, bo używane przez nich liny pękają dopiero przy obciążeniu trzech ton, ale... – Zdarza się, że na ostrych krawędziach ulega przecięciu, dlatego mamy drugą linę, asekuracyjną. Bloker na niej przesuwają się swobodnie, nie przeszkadza w pracy, ale gdy zaczniemy spadać, automatycznie zablokuje linę – wyjaśnia.

Mateusz pasją do wspinaczki, lin, blokerów zaraził się podczas wycieczki do... jaskini. Z kumplem zszedł kilka metrów pod ziemię. Miał wtedy 14 lat. Od tego czasu regularnie jeździł w góry. Czy teraz dalej ma ochotę na górską wspinaczkę? – Po kilku godzinach wiszenia na linie już nie. Trochę traci się tutaj ducha alpinizmu – śmieje się Tryniszewski.

Jego szef przyznaje, że niechętnie przyjmuje do pracy miłośników wspinaczki. Bo oni przychodzą tylko na chwilę i rezygnują z pracy. A on potrzebuje „pewnych” ludzi, bo konkurencja nie śpi, a zleceń nie brakuje. Po jesiennym myciu przychodzi czas na odśnieżanie.

Klaudiusz Dziubecki nie zachwyca się widokiem z góry na Warszawę, na otwarty horyzont. Najbardziej lubi pracować na Świętokrzyskiej, bo można popatrzeć sobie na ludzi przechodzących na dole i w oszklonych budynkach wokół. Po chwili jednak zastanowienia dodaje: – A mi się marzy, że kiedyś będę miał czas, aby pojechać w góry i powspinać się.

Podciąga ławeczkę, do krótkiej linki mocuje wiadro z wodą i zsuwa się w dół. Uczepiony balustrady zerkam za nim. Natychmiast cofam głowę... Kręci się w niej zbyt mocno.





Š W I A T



Best of naTemat

Gra w życie. Przez tydzień żyliśmy z uchodźcami

Tekst: Michał Mańkowski | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Wszyscy dziwią się i wytykają uchodźcom, że każdy z nich ma dobrego i sprawnego smartfona z internetem. „To gdzie ta bieda i problemy” – pytają ironicznie. Po tym tygodniu przekonał się, że uchodźcy po prostu dobre smartfony mieć muszą. To ich całe życie. Mają w nim swoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. I właśnie dlatego pierwszą rzeczą, którą robią chorwackie służby po ich złapaniu, jest niszczenie telefonów. Dopiero potem zaczyna się bicie.

Na czym polega „gra”?

Rahim, Mohammad i Hamid stoją pośrodku prowizorycznego obozowiska, gdzie żegnają ich bliscy. To ostatnie przygotowania i sprawdzanie sprzętu przed wyjściem w „dżunglę” na „grę”. Obok jest kilka podobnych grup. Maksymalnie kilkusobowe, bo im większe, tym większe ryzyko, że łatwiej zostaną złapani. A wtedy nie jest dobrze.

Oni jeszcze nie wiedzą, że najprawdopodobniej za kilkanaście godzin lub kilka dni wrócą tutaj w zupełnie innym stanie. Będą poturbowani, pobici, okradzeni z pieniędzy. Ich rzeczy będą zniszczone, a telefony rozbite. Nie uda im się na stałe nielegalnie przekroczyć granicy – wpadną w ręce chorwackich pograniczników i policjantów.

To jednak nikogo nie zniechęca. Zanim z powrotem doprowadzą się do stanu używalności i jako tako wykurują, niedaleko ich „namiotów” kolejni

śmiałkowie będą szykować się do rozpoczęcia swojej „gry” i wyjścia do „dżungli”. Każdego dnia z obozu wychodzą kolejne grupki.

Patrzmy na ich twarze i oczami wyobraźni widzimy, że przecież to mógł być nasz ojciec, matka, brat, wujek, dziadek, siostra, córka, syn.

Przygotowania są poważne, bo żaden z nich nie wie, jaki będzie finał „gry”. Czy pokona kilka, kilkadziesiąt czy może kilkaset kilometrów. Czy złapią go tuż za płotem, czy może dopiero za kilka dni pod granicą na Słowenii? A może już na Słowenii? Szybka wymiana doświadczeń i w drogę. W poszukiwaniu szczęścia i gonieniu marzeń o zachodzie Europy.

I koło się zamyka

„Gra” (the game – ang., bo tak sami to nazywają) to dla nich codzienna gra – dosłownie i w przenośni – w kotka i myszkę ze służbami pilnującymi

chorwacko-bośniackiej granicy. „Dżungla” (jungle – ang.) to z kolei okoliczne lasy. To istotne dlatego, że tylko w „dżungli” mogą się przemieszczać. Nadrabiają masę kilometrów, by nie wyjść na publiczne drogi czy wsie.

To właśnie do dżungli wychodzą każdego dnia, żeby „grać” w grę. Z tą różnicą, że tutaj mają tylko jedno życie i o swoje przyszłe życie grają. Tygodniowo z granicy wraca (a raczej jest „wracanych”) 50-100 osób. Ile próbuje przejść? Ilu się to udało? Tego nie wiadomo.

Tylko i aż trzy kilometry

Velika Kladuša (Wielka Kladusza) to niewielka, kilkunastotysięczna miejscina w Bośni i Hercegowinie. A właściwie to na jej krańcu, bo pierwsza chorwacka miejscowość jest położona zaledwie

3 kilometry dalej. W teorii 45-minutowy spacer wolnym tempem. W praktyce wykańczająca przeprawa, którą trzeba zaplanować, bo na trasie stoi chorwacko-bośniacka granica. To postawiony niedawno płot z kolczastym drutem, a momentami zwykły las i łąki. I właśnie tam swojego szczęścia szukają „gracze”.

Velika Kladuša jest położona godzinę drogi samochodem od większego miasta Bihać. To tam znajduje się dużo większy, bo kilkutyśięczny obóz dla uchodźców. Budynek starej fabryki został zaanektowany na potrzeby uchodźców. Setki ludzi śpią na podłogach lub materacach. Po 30 w „pokoju”. Ci, dla których w środku nie starczyło miejsca, koczują w namiotach tuż obok. Obóz w Bihaciu jest bardziej „cywilizowany”, pomaga w nim Czerwony Krzyż i inne organizacje pozarządowe.



Migrantów jest tam już tak dużo, że niedawno mieszkańcy zaczęli oficjalnie protestować. Uchodźcy zjeżdżają tam dosłownie autobusami i zalewają miasto. Rok temu było ich „zaledwie” około tysiąca. W tym jest to już dziewięć razy więcej! To dane z organizacji pozarządowej No Name Kitchen, która zajmuje się pomaganiem uchodźcom na miejscu.

Bośnia i Hercegowina jest dla nich ostatnim przystankiem przed granicą Unii Europejskiej. Dalej czeka już Chorwacja, ale żeby tam trafić, trzeba wygrać w grę. A ta bardzo często kończy się wykopaniem migrantów z powrotem do Bośni.

Nikt z pograniczników nie zadaje sobie trudu z odwożeniem do obozu. Wyrzucają ich po prostu po stronie bośniackiej. I między innymi z tego powodu kolejny minioboz zaczął tworzyć się w Velikey Kladuży. Obecnie mieszka tam około 400 osób. Choć słowo mieszka jest zdecydowanie na wyrost. Lepiej pasuje „przebywa”.

W jak wegetacja

Mało co tak dobrze oddaje definicję słowa „prowizoryczny”, jak ten obóz. Gdzieś da się zauważyć normalne namiotiki, ale to głównie improwizowane „mieszkania” zbudowane z czarnej folii i desek. Obok są pryszniczki, a na miejsce każdego dnia mniej więcej o tej samej porze przyjeżdżają organizacje pozarządowe z jedzeniem. Obóz znajduje się w pobliżu dworca autobusowego, co nie jest bez znaczenia. To dzięki niemu można szybko dotrzeć do Bihaću lub innych miejscowości, skąd łatwo zacząć próbę ataku przejścia przez granicę.

Do Velikey Kladuży docieramy późnym południem. Oprócz naTemat była tam wspólnie z nami ekipa „Guardiana”. Nasz nocleg jest w centrum, zaledwie parę minut spaceru od obozu. Już tam w oczy rzucają się spore ilości migrantów. Są wszędzie w centrum: w parkach, na ławkach, na skwerach. I już po chwili zderzyliśmy się ze stereotypem.

Nikt, ale to absolutnie nikt z nich do nas nie podchodził. Mimo że żyją w nędznych warunkach, nie nagabywali nas, nie prosili o pieniądze, nie zaczepiali. No może z wyjątkiem dzieci, ale to przecież dzieci. Dodają kolorytu i trochę uśmiechu na twarzy starszych uchodźców. Ci bawią się nawet z obcymi maluchami, byle tylko czymś się zająć. Rodzice wtedy mogą odpocząć.



Zanim weszliśmy do obozu, skontaktowaliśmy się z jedną z organizacji pozarządowych, która tam pomaga. Oczywiście było, że do samego obozu nie możemy wejść z ulicy i urządzić sobie dziennikarsko-fotograficznego safari. Pierwszy dzień spędziliśmy właściwie tylko na rozmowach, bez żadnych zdjęć.

Po wejściu do obozu pierwsze rzucają się w oczy... ogniska. Stoją przed co drugim „namiotem”. Wbrew pozorom nie służą ogrzewaniu, na miejscu panuje straszliwy upał. To prowizoryczne (znów to słowo!) kuchnie. Racje żywnościowe, które dostarczają organizacje pozarządowe, nie są wystarczające. To głównie fasola, sos pomidorowy, makaron i kawałek mięsa. Przynajmniej tak było podczas „naszego” tygodnia. Największe porcje dostają rodziny.

Z pomocą przychodzi pobliskie gigantyczne pole kukurydzy. W ogniskach wszyscy pieką właśnie ją. To tam podstawowy składnik codziennej diety.

Najważniejszy jest smartfon

Kilka obiadów zjedliśmy wspólnie. Na wszystkie zostaliśmy serdecznie zaproszeni. Jedliśmy razem i wspomnianą fasolę, i kukurydzę. Na pęczki. Ogniska dają także trochę światła, bo gdy nadchodzi zmierzch, generator prądu włącza się na godzinę-półtorej. Wszyscy się cieszą, ale wcale nie z powodu światła. To jeden z tych momentów, w których mogą podładować telefony i powerbanki. Zbiegają się ze wszystkich stron i podpinają do gniazdek. W końcu telefon to wszystko.

Jest tam ich przeszłość, czyli zdjęcia z domu lub tego, co z niego zostało. Kontaktują się z rodzinami,



na Facebooku, Messengerze, Skypie. Często to cała rodzina zrzuca się na wyjazd jednego członka, by mógł pomagać im z drugiego końca świata. Telefon to także teraźniejszość, bo jest jedyną rozrywką podczas całodziennej wegetacji. I przyszłość, bo dzięki niemu włączają Google Mapsy i mogą iść ku upragnionej Europie.

Syryjczycy, Irańczycy, Afgańczycy, Pakistańczycy. Głównie takich narodowości migrantów spotkaliśmy na miejscu, najwięcej – z oczywistych powodów – było tych pierwszych. Obóz w Velikej Kladuży powstał, jako drugi obok tego w Bihaciu, nie tylko ze względów logistycznych. Ich „mieszkańcy” przyznają, że nie wszystkie narodowości do końca się między sobą lubią, a to pozwala unikać im niepożądanych konfliktów.

Ludzkie dramaty

Jeden z dwudziestoparoletnich Syryjczyków mówi wprost, że musiał uciekać, bo na miejscu po prostu nic na niego nie czeka. Jego cała rodzina zginęła, został sam, więc nie miał już nic do stracenia. W Syrii pracował jako weterynarz.

Chwilę później poznajemy starszego Irańczyka, który w przeszłości był bardzo zamożnym człowiekiem w Iranie. Był, bo stracił wszystkie pieniądze. Pozostałością z dawnych czasów są jedynie wspomnienia.

Był też Afgańczyk, którego ojciec pracował przez całe życie jako oficer afgańskiej armii. Wszystko było dobrze do momentu emerytury. Wtedy rodzina nie była sobie w stanie poradzić i nie miała za co żyć. Rozwiązanie? Ucieczka do Europy.

Trafiliśmy też na Algierczyka, w „poprzednim życiu” dziennikarza. Taki historie można mnożyć. Statystycznie w obozach, które widzieliśmy, najwięcej jest młodych mężczyzn. Potem są rodziny z dziećmi.

Chorwackie pałki

Rozmawiają chętnie, choć nie zawsze chcą pokazywać twarze czy zdradzać nazwiska. Niezależnie z kim rozmawiamy, w opowieściach przebija się jeden wątek: chorwackie służby. To strażnicy graniczni i policjanci są przeciwnikiem migrantów w „grze”. Ludzie po bośniackiej stronie są raczej pomocni. Przynoszą zabawki, czasem jedzenie. Mówią, że dobrze rozumieją ich położenie. Bośniackie służby też nie robią problemów, w końcu to w ich interesie jest, by uchodźcy zniknęli.

A tego nie można powiedzieć o ich chorwackich kolegach po fachu. Ci – co oczywiste – bronią swoich granic na wszystkie możliwe sposoby. Dotarcie z obozu do granicy z Chorwacją i jej przekroczenie jest paradoksalnie najłatwiejszym etapem „podróży”. Dopiero wtedy zaczyna się walka o przetrwanie i o to, by nie dać się złapać. Walka, która bardzo często kończy się porażką. Z relacji uchodźców, z którymi rozmawialiśmy, wynika, że scenariusz złapania zazwyczaj jest ten sam.

Podjeżdża bus, migranci są wrzucani do środka i wywożeni w stronę Bośni. W międzyczasie są bici, ich pieniądze zabierane, a telefony niszczone. Taki scenariusz przedstawiają nasi rozmówcy i zdejmują koszulki, by pokazać ślady bicia. – To od pałek – mówią.

I tylko pytają: „dlaczego?”

Pole do „gry” jest gigantyczne. Nie jest tak, że wszyscy łapani są tuż przy granicy. Niektórzy idą lasami (jungle) przez dziesiątki czy setki kilometrów. Robią, co mogą, by unikać normalnych ulic czy wiosek. To prosta droga do złapania. Policja znajduje ich często już przy granicy ze Słowenią. Tutaj historia się powtarza. Do busa, bicie, niszczenie, przejazd do Bośni i bezceremonialne wywalenie... gdzieś. Byłe nie w Chorwacji.

Życie w „dżungli”

Niektórym udaje się dotrzeć nawet do Słowenii. Przekroczenie chorwacko-słoweńskiej granicy nie zmienia jednak wiele. Łapani przez Słoweńców są



przekazywani z powrotem Chorwatom, a tam... już dobrze wiecie, jak to wygląda. Prędzej czy później znów lądują z powrotem w Bośni i Hercegowinie. Jeden z Afgańczyków żali się nawet, że został poszczuty psami i pokazuje charakterystyczne blizny.

Zdarza się, że ktoś na trasie im pomaga. Da trochę wody i jedzenia, wskaże drogę. 39-letni Azam z Afganistanu maszerował z dwójką swoich dzieci przez 13 dni. Z powrotem w obozie był już w ciągu kilku godzin. – Ktoś nas zobaczył, zadzwonił po policję i po kilkunastu minutach byliśmy już na komisariacie. W nocy odwieźli nas z powrotem, wyrzucili w lesie. Musieliśmy znaleźć sami drogę do Velikej Kladuży – opowiada. Biją głównie mężczyzn, ale bywa, że obrywa się też kobietom.

Niektórzy kończą jeszcze gorzej. Kilka dni temu w przygranicznych lasach znaleziono ciała dwójki migrantów. Nie zdradzono ich narodowości ani przyczyn śmierci.

Chorwacja jest członkiem Unii Europejskiej, ale nie Strefy Schengen. Do niej może wejść wkrótce, więc zrozumiałe jest, że próbuje udowodnić, że potrafi dobrze strzec swoich, a co za tym idzie także unijnych granic. Brytyjski „Guardian” publikuje stanowisko chorwackiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, z którego wynika, że „policja zawsze przestrzega fundamentalnych praw i godności migrantów”.

Przedstawiciele resortu zwracają też uwagę, że migranci noszą ze sobą broń i sami nawzajem zadają sobie takie obrażenia, np. przez wewnętrzne konflikty. Przedstawiciele NGO-sów działających na miejscu przyznają, że nie każda historia musi być prawdziwa, ale faktem jest, że codziennie są kolejne.

Niektórzy mają za sobą 2-3 „gry”, inni po kilkunastu przestali liczyć. Scenariusz za każdym razem się powtarza. Wychodzą „grać” do „dżungli”, gdzie po kilku dniach zostają złapani. Wracają do obozu, patrzą w telefony, wegetują, planują. I po paru dniach znów idąc grać... w życie.





Panorama Caracas jest zróżnicowana. Z jednej strony slamsy, z drugiej wieżowce.

Pojechaliśmy do Wenezueli, by zobaczyć ten „koniec świata”

Zanim wyruszyliśmy do Wenezueli, musieliśmy załatwić sobie fixerkę. To nasze lokalne oczy, uszy i... wszystkie inne zmysły. Dzięki fixerom można dotrzeć w miejsca, które bez nich byłyby po prostu niedostępne. Ale fixer to niejedyna osoba, którą musimy umówić i... opłacić przed przyjazdem do Wenezueli. Jeszcze więcej kosztowały nas usługi Diego. Diego to nasz ochroniarz, który nie ruszał się bez broni. A my nie ruszaliśmy się nigdzie bez Diego lub jego kolegi.

Tekst: Maciej Stanik i Michał Mańkowski | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Do Wenezueli trafiliśmy w maju. Chwilę po kolejnych gigantycznych protestach. Dokładnie tych, gdy wojskowy samochód staranował tłum demonstrantów w Caracas. Kraj na skraju wojny domowej jest od wielu miesięcy pogrążony w politycznym i gospodarczym kryzysie. Do „naszego świata” trafiają mniej lub bardziej prawdziwe plotki na temat tego, co się tam dzieje, dlatego postanowiliśmy przekonać się o tym na własnej skórze.

Przed wylotem nasłuchaliśmy się wielu relacji zagranicznych kolegów po fachu, jak trudno jest wydostać się z lotniska w Wenezueli. Od czasów zamieszek uzyskanie wizy dziennikarskiej graniczy z cudem. Większość reporterów podaje się za turystów, a niektórzy dają nawet łapówki – ich „ceny” zaczynają się od 300 dolarów.

Samolot z Madrytu do Caracas jest prawie pusty. Cieszymy się z wolnych miejsc, dzięki czemu 10-godzinny lot mija względnie komfortowo. Do ostatniej chwili nie wiadomo jednak, czy w ogóle do Wenezueli zostaniemy wpuszczeni.

Jesteśmy.

Opuszczamy klimatyzowaną maszynę i już w rękawie odczuwamy ciężkie powietrze. Jest wilgotno, duszno i gorąco. To uczucie, które będzie nam ciągle towarzyszyć przez najbliższe dni. Na końcu rękawa stoi umundurowany Wenezuelczyk, który wyczytuje nazwiska. Rzuca nam podejrzliwe spojrzenie, ale nie ma nas na liście. Chwilę później jesteśmy przy kontroli paszportowej, która okazała się jedną z najbardziej stresujących w życiu.

Wbrew pozorom nie ma dużych kolejek, bo w końcu mało kto przyleciał. Wenezuelka, która nas sprawdza, nie mówi po angielsku. Woła swoją przełożoną, która dokładnie przepytuje nas, po co przylecieliśmy do Caracas.

– Jesteście dziennikarzami? – pyta wprost w pewnym momencie.

– Nie, nie. My na wakacje. Wie pani, Gran Roque – odpowiadamy i wymieniamy kilka atrakcji turystycznych, o których przeczytaliśmy w samolocie.

Celniczka patrzy podejrzliwie, dopytuje o coraz to większe szczegóły. Z tyłu głowy wciąż mamy, że





Kult Hugo Cháveza wciąż jest tutaj żywy.

kilka dni temu dokładnie z tej samej granicy cofnięto dziennikarkę z Włoch.

Nam się udało. Mamy upragniony stempel w paszporcie (Polacy mogą wjeżdżać bez wiz) i mijamy bramki. Lotnisko im. Simóna Bolívara różni się od tych, do których przywykliśmy w Europie. Nie wygląda nowocześnie. Wszędzie kręci się sporo mundurowych.

Zwracamy uwagę na podłogę ułożoną z setek tysięcy malutkich kwadracików. Od fixerki dowiadujemy się, że to dzieło słynnego wenezuelskiego artysty Carlosa Cruza-Dieza, a większość Wenezuelczyków traktuje ją jako swoisty symbol i rytuał. Fotografują stopy na jej tle, a następnie wrzucają na swoje profile w social mediach. To symboliczne pożegnanie z Wenezuelą.

To tutaj spotykamy się z naszą „przewodniczką”. Prowadzi nas do terenowej toyoty z przyciemnionymi szybami. To tam poznajemy Diego – naszego ochroniarza na najbliższe pięć dni. Potem przejmuje nas jego młodszy kolega. Ochrona jest kosztownym

wymogiem. Ze względu na dużą przestępczość i fakt, że mamy ze sobą sporo sprzętu, nie powinniśmy poruszać się sami po mieście.

W niektórych rejonach miasta nie pozwolono nam nawet wysiadać z auta w ciągu dnia. To ze względu na „bojówki” nieuznawanego prezydenta Nicolás Madury, które nazywają się Los Colectivos. Ich zadaniem jest donoszenie władzom i służbom o wszystkich działaniach potencjalnie wymierzonych w dobre imię reżimu.

Z lotniska do miasta jest godzina drogi. Nie ma tam żadnych punktów kontrolnych czy wojsk. Trasa przebiega całkowicie normalnie. Tak samo jak normalnie toczy się życie w samym Caracas. Normalnie jak na tamtejsze realia. Szybko przekonujemy się, że w różnych regionach świata „norma” ma zupełnie inną definicję.

Mimo to nie widać na pierwszy rzut oka żadnego rozkładu państwa. Po ulicach nie biegają ani bojówki, ani demonstranci. Restauracja pełna ludzi, stragany pękające od ilości owoców, w sklepach można

robić zakupy. Nikt nie poluje z głodu na bezdomne psy, które zgodnie z popularną plotką miały z tego powodu całkowicie zniknąć z ulic. Tamtejsze Burki i Azory biegają w najlepsze.

Dopiero po jakimś czasie okazuje się, że może i produkty są, ale mało kogo na nie stać. Najniższa pensja wynosi 15 tys. boliwarów. Tymczasem paczka papierosów, którą kupujemy, kosztowała nas... 14 tysięcy. Zwykły krem dla dzieci to już wydatek dwa razy większy.

W jednym z takich sklepów szybko ścieramy się z tutejszą rzeczywistością, gdzie mało kto płaci gotówką. Wszyscy mają terminale, nawet sprzedawca na zwykłym straganie. Za wszystko będziemy płacić kartą prepaidową, którą załatwiła nam nasza fixerka. Jest zarejestrowana na jej nazwisko i żeby nią zapłacić, poza PIN-em trzeba znać... ichniejszy PESEL. Musimy nauczyć się go na pamięć, najlepiej po hiszpańsku.

– Całość jest spięta z rządowym systemem podatkowym – wyjaśnia nam nasza przewodniczka.

Jest i nawet lokalny McDonald, ale byliśmy tam jednymi z niewielu (o ile nie jedynymi) klientami. Nikogo nie stać na takie luksusy. W takiej rzeczywistości spora część gotówki – zwłaszcza o niższych nominałach – może właściwie posłużyć jedynie jako papier. Widzieliśmy, jak wałały się w kałużach.



Na początku czerwca (nie)prezydent Maduro zezwolił na otwarcie granicy z Kolumbią, którą wcześniej zamknął w lutym. Nie podobało mu się, że w ten sposób zwykli Wenezuelczycy dostają leki i żywność. W efekcie tysiące obywateli stoi w kolejkach. Szacuje się, że z kraju wyjechało już ok. 15 proc. ludności.

Tutaj małe wyjaśnienie skomplikowanej sytuacji w Wenezueli, zanim przejdziemy do życia codziennego. Wenezuela ma obecnie dwóch prezydentów. Jednym z nich jest wspomniany socjalistyczny Nicolás Maduro, który w styczniu został zaprzyszczony na drugą kadencję po tym, jak wygrał przedterminowe wybory.

Te wzbudziły oczywiście poważne podejrzenia o fałszerstwo, dlatego Parlament, który jest kontrolowany przez opozycję, owe zaprzysiężenie unieważnił. Ba, dodatkowo przegłosował ustawę, z której wynika, że Maduro to dyktator i uzurpator.

Następca Hugo Cháveza jest szczerze znienawidzony przez część Wenezuelczyków. Doprowadził do gospodarczej i politycznej ruiny kraju.

35-letni lider opozycji Juan Guaidó ogłosił się tymczasowym prezydentem Wenezueli. Powołał się na przepisy o stwierdzeniu nieważności wyborów. Jego decyzja została uznana przez ok. 50 krajów na całym świecie, w tym Stany Zjednoczone.





Efekt? Dwóch nienawidzących się prezydentów i kraj pogrążony w ruinie, którego obywatele co jakiś czas wychodzą masowo protestować.

Ale wracamy na ulice Caracas.

Tutaj czeka na nas Petare, największe slamsy Ameryki Łacińskiej i jedno z największych slumsów na świecie. O nich opowiemy wam jednak w oddzielnym tekście.

Zza szyby naszej przemykającej terenówki widzimy sporo murali. Jedne z Chávezem, drugie z Madurą, a jeszcze inne z dwoma politykami naraz. Nad wszystkim króluje znajdujące się na wzgórzu Petare, które mogłoby być encyklopedyczną definicją samowolki budowlanej.

My mijamy Petare i trafiamy kawałek dalej, do Caucaguita, kolejnej miejscowości slamsów. Na jej terenie znajduje się tzw. Miasto z Patyków. To co prawda tylko kilka domów, ale zostały one zbudowane

dosłownie z tego, co udało się znaleźć na ulicy. Definicja „domu” jest tutaj rozumiana bardzo luźno.

Nasza fixerka prosi o zachowanie anonimowości ze względów bezpieczeństwa. Dzięki swojemu doświadczeniu i historii zawodowej ma naprawdę sporo koneksji i jest w stanie pokazać nam nie tylko miejsca, ale i ludzi, których z kimś innym nie mielibyśmy okazji zobaczyć.

Choć obecnie Wenezuela to z naszego punktu widzenia trochę „trzeci świat”, fixera można pozyskać względnie prosto. Przez internet, na specjalnych grupach na Facebooku. Gdy już ją znaleźliśmy, dzięki niej z ochroną poszło łatwiej (co nie znaczy, że taniej).

W Caucaguita poznajemy lidera społeczności, który będzie oprowadzał nas po okolicy. To Henry, przynajmniej tak na niego wszyscy wołają. W jego domu często wydawane są obiady dla najbardziej potrzebujących dzieci, to często ich jedyny posiłek w ciągu całego dnia.



Dom Henry'ego znajduje się wśród bloków otoczonych drutem kolczastym. Wszystko jest zaniedbane, wręcz obskurne. Widzimy to jednak tylko my. Przed wejściem stoi kolejka matek z dziećmi. Wszystkie mają plecaki w tych samych kolorach – flagi Wenezueli. Nie mają co jeść, ale plecaki zawdzięczają rządowemu programowi.

To kolejny przejaw reżimowego socjału. Prezydent Maduro w 2016 roku zaczął przekazywać najbiedniejszym produkty pierwszej potrzeby. Także jedzenie, jak np. mąka, ryż, fasola, makaron, mleko czy cukier. Były dostarczane pod same drzwi w szarym kartonowym pudełku z grafiką Cháveza i Madury. W czasie kryzysu dostawy jednak stały się coraz radsze. Niektórzy nie otrzymali ich od trzech miesięcy.

– Nie bójcie się – wrywa nas z zamyślenia Henry, widząc, że niepewnie rozglądamy się dookoła siebie.

Jego obecność sprawia, że jesteśmy nietykalni. W innym przypadku niewykluczone, że autochtoni postanowiliby zapoznać się z nami bliżej w niekoniecznie miły dla nas sposób. Zwracam uwagę na to, że często trudno na pierwszy rzut oka ocenić wiek danej osoby. Nie mam pojęcia, czy kobieta, którą widzę, ma 20, 30 czy 40 lat. Równie dobrze pasuje do każdego wieku.

Ma dwójkę dzieci, jedno z nich choruje na niedożywienie – to tutaj powszechny problem. Wchodzimy w kolejne wąskie korytarze wśród improwizowanych domów wykonanych z falistej blachy. Jeśli kie-

dykolwiek wyobrażaliście sobie slamsy, są dokładnie takie, jak wyglądały w waszych głowach.

Zabrzmiało to jak żenująca i stereotypowa klisza, ale po mieszkańcach nie widać dramatu, który dostrzegamy z naszej perspektywy. Śmieją się, żartują, zagadują. Są ciekawi, kim są goście Henry'ego.

– Jesteście z Polski? A co to za kraj? – nazwa naszego państwa nic im nie mówi.

Oczy otwierają się ze zrozumieniem dopiero, gdy używamy słowa klucza, czyli: „Jan Paweł II”.

Zupełnie inny świat czeka nas w dzielnicy Municipio Bolivariano Libertador. Choć Hugo Chávez nie żyje już od ponad 6 lat, tutaj jego kult ma się doskonale. Podobnie jak poparcie dla (nie)prezydenta Madury. Na ulicach rządzą wspomniani Los Colectivos, czyli „oczy i uszy” państwa.

Niemal na każdej ulicy można znaleźć murale. Niektóre z nich naprawdę przepiękne, tak bardzo kontrastujące z biedotą i brzydotą. To dzieła w niemal każdej możliwej konfiguracji. Sam Chávez, Chávez z Madurą, Chávez z Fidelem Castro, sam Maduro, mozaikowy Chávez, same oczy Cháveza. Przykłady można mnożyć.

Jedziemy w dół dzielnicy i tutaj widzimy obrazki, których spodziewaliśmy się przed przylotem. Opancerzone samochody i posterunki Gwardii Narodowej, wszystko otoczone workami z piaskiem. Nie możemy zatrzymać



Na ulicach jest dużo przepięknych murali. Dotyczą przeważnie Cháveza.



Banknoty o niższych nominałach mają zerową wartość.

się nawet na chwilę, to teren Los Colectivos. Kawałek dalej znajduje się pałac Miraflores, gdzie Maduro podejmuje (lub próbuje podejmować) swoje decyzje.

Docieramy do czegoś, co z europejskiej perspektywy może być atrakcją turystyczną. Wsiadamy do kolejki górskiej, która dowozi ludzi na szczyt zbocza. Tutaj to zwykła forma transportu. Zanim jednak wysiadziemy z samochodu, dostajemy od naszego ochroniarza życzliwe polecenie, żeby tutaj nie mówić po angielsku. Tak jakbyśmy swoim wyglądem nie budzili wystarczająco wątpliwości.

Wszystkie bramki do metra są otwarte. – To przez kryzys. Rząd uznał, że ludzie są tak biedni, nie mają pieniędzy, więc nie ma sensu pobierać opłat za przejazd – mówi nasza fixerka.

Niewiele lepiej jest przy przystankach autobusów miejskich, gdzie widzimy ogromne kolejki. – I tak są mniejsze niż jeszcze miesiąc temu – dodaje fixerka

i pokazuje na szybę wagonika z namazanym napisem „Maduro”. Nie mamy wątpliwości, kto tu rządzi.

I choć opuściliśmy już dzielnicę slamsów, budynki, które tu widzimy, wyraźnie odbiegają od znanych nam standardów.

Jedną z rzeczy, które zrobiły przygnębiające wrażenie, był widok najbiedniejszych i przeważnie bezdomnych nastolatków. Do ich świata wprowadza nas Alexandra, aktywistka, którą poznaliśmy także dzięki naszej fixerce.

– Mieszkają na ulicy z przeróżnych powodów. Niektórzy zostali porzuceni przez rodziców, inni wpadli w narkotyki czy inne używki. Śpią w okolicy skweru – opowiada.

Parę drzew, jeden pomnik, kilka ławek i – o ironio – plac zabaw. Myją się w rzece, ryzykując życie. Żeby do niej dotrzeć, muszą przebiec przez ruchliwą

autostradę. – Jeden z „nowych” zginął tutaj kilka miesięcy temu – dodaje nasza przewodniczka po tym świecie.

Ruch jest ogromny, auta pędzą jedno za drugim. Jeden chłopak chwytając mnie za rękę i mówi wprost: – Jeśli się zatrzymasz i rozmyślisz w trakcie, zginiesz. Biegniemy do końca – i pociągnął mnie, a chwilę potem byliśmy już po drugiej stronie.

Tak poznałem Gringo, jednego z bezdomnych nastolatków, który ma takie przezwisko ze względu na swoją jaśniejszą karnację.

Rzeka to jednak nie tylko kwestia higieny. To także kopalnia skarbów. W jej nurcie chłopaki mogą znaleźć wartościowe rzeczy. Wygląda to i strasznie, i niebezpiecznie. Rzeka wydaje się nią być tylko z nazwy. W rzeczywistości lądujemy pod mostem, dookoła mnóstwo śmieci, butelki, opony, smród. To bardziej ściek niż rzeka.

Chłopcy ostrożnie wchodzą do środka. Nurt jest dość silny, ale żaden z nich nie ma oporów przed nurkowaniem w tej śmierdzącej zupie (łącznie

z zanurzaniem głowy). Garściami wyciągają drobne czarne kamienie i sprawdzają, czy pomiędzy nimi nie ma czegoś wartościowego.

– Parę dni temu znalazłem tu srebrny łańcuszek – chwali się Gringo. Pieniądzy za niego nie dostanie, ale może uda mu się go na coś wymienić. Pieniądzy tutaj to bardzo umowna kwestia. Najniższe nominały często wałają się po ulicach, bo najzwyczajniej w świecie nie są nic warte.

Wśród tej grupki wyrzutków dostrzegamy młodą dziewczynę w zaawansowanej ciąży.

– Którego miesiąca? – zagadujemy z pomocą fixerki.

– ... – odpowiedziała nam cisza. Dziewczyna nie potrafiła tego nawet określić. Później aktywistka umówi ją na spotkanie z ginekologiem.

Do chłopaków wróciliśmy jeszcze kilka dni później z samego rana. Część z nich dopiero się budzi, inni już od jakiegoś czasu przebierają w stosach śmieci przy ulicy. Jeden z nich znajduje resztki z cukierni, zbiera je pieczołowicie w kartonowe pudełko i po chwili zaczy-



W „domu”, na dachu śmietnika.



na częstować resztę. To jedyne, co dziś znajdują, późniejsze połowy w rzece także okazały się nieskuteczne.

Gringo wpuścił nas tam, gdzie mieszka. To wysoki na dwa metry dach śmietnika znajdującego się przy skwerze. Wśród koców przewraca się jeszcze ktoś z boku na bok. Wyżej znajduje się mała półka: zdjęcie, jakaś zabawka i świeczka. To wszystko, co posiada.

Wieczorem próbuję dodzwonić się do Polski. Z polskiej karty SIM – cisza. Zmieniam kartę na wenezuelski prepaid. Komunikat, którego nie rozumiem. Pytam naszej „przewodniczki”, o co chodzi. Okazuje się, że rząd zablokował połączenia wychodzące poza kraj ze względu na ich wysokie koszty.

Połączyć się możesz tylko przez telefon stacjonarny albo z budek telefonicznych wciąż dość powszechnych na ulicach miast. Pozostaje mi tylko połączenie z WhatsApp. O dziwo internet pozostaje całkiem niezawodny.

Pamiętacie kult Cháveza i Madury, o którym pisaliśmy chwilę temu? Podobnie działa to w przypadku Juana Guaidó. Manifestacje jego poparcia są często utrzymane w tajemnicy do ostatniej chwili – wszystko ze względów bezpieczeństwa.

Jedna z nich odbędzie się w sobotę, o czym dowiadujemy się tego samego dnia rano. Nasz ochroniarz przytomnie wręcza nam kamizelki kuloodporne – tak na w razie czego.

Jedziemy na miejsce. Na ulicach jest względnie pusto, co jakiś czas mijamy policyjne pikapy, auta z armatkami wodnymi czy opancerzone samochody, które widzieliśmy w relacjach telewizyjnych. Tak, te, które wjeżdżały w tłum ludzi.

Docieramy do celu. Czekają tam kilkusetosobowy tłum, o dziwo nie widać policji. Zamieszki – jeśli wybuchają – to dopiero po zakończeniu wiecu. Ludzie czekający na Guaidó reprezentują pełny przekrój wiekowy. Są transparenty, wuwuzele, gwizdki, czapki w barwach kraju. Nie czuć żadnego niebezpieczeństwa, choć kamizelka na klatce piersiowej ciąży.

Guaidó przyjeżdża po godzinie. Jest witany jak boski namiestnik. Każdy chce go dotknąć czy podać mu rękę. Stoimy tuż obok. Tymczasowy prezydent wygłasza 40-minutową ognistą przemowę i prosi o pomoc nie tylko obywateli, ale i Stany Zjednoczone. To walka o władzę, praworządność i poprawę życia Wenezuelczyków.

Tłum otacza jego samochód, ochroniarze muszą stworzyć specjalny korytarz, żeby był w stanie przejść. Każdy liczy na jeszcze jeden uścisk dłoni, ale ochroniarze skutecznie to uniemożliwiają. Guaidó jest jak wenezuelski Obama.

Drzwi się zatrząskują, konwój rusza, ale ludzie jeszcze przez kilkanaście sekund skandują jego nazwisko, pozdrawiają go, a niektórzy nawet się modlą.



Chwilę potem skwer pustoszeje, wszyscy wracają do swojej codzienności. Po 10 minutach nie ma już prawie śladu po wiecu, pozostają jedynie „niedobitki”. To pojedynczy zamaskowani młodzi ludzie, ale nie dochodzi do żadnych zamieszek. Po wydarzeniach sprzed kilkunastu dni nikt nie pali się do walki ze służbami.

Takich spotkań z Guaidó zaliczamy jeszcze kilka. Wszystkie mają podobny schemat. Niektóre są jednak sporo krótsze. Polityk pojawia się i znika zaledwie po 20 minutach. Ludzie twierdzą, że boi się porwania lub zamachu. I nie bez powodu.

Cel uczestników jest tylko jeden: podejść najbliżej Guaidó. Ulega także ksiądz, który robi sobie z nim selfie. Chwilę później obaj panowie rozdają zupę i pieczywo.

Prawdziwym wyzwaniem okazało się jednak dotarcie nie na wiec, ale do szpitala, gdzie trafiliśmy także dzięki naszej fixerce. A raczej dzięki jej

kontaktowi z tamtejszym lekarzem. To publiczny szpital dziecięcy, do którego nigdy nie chcielibyście trafić.

Na miejscu jest sporo policji. Polecono nam, by zaparkować parę ulic dalej, żeby nie wzbudzić podejrzania funkcjonariuszy. Do środka z lekarzem ostatecznie wchodzi tylko jedna osoba.

To krępy, na oko 40-letni mężczyzna. Jest wystraszony, ale bardzo zależy mu, by pokazać, z czym ma do czynienia na co dzień. Na hasło „aparat” błędnie, ostatecznie udaje nam się namówić go, by „przemycił” mniejszy model w swoim fartuchu. Słyszę, żebym lepiej się nie odzywał – w okolicy i wewnątrz szpitala jest sporo Los Colectivos. Tak, tych rządowych donosicieli.

Zanim wchodzimy do sal, lekarz pokazuje szafkę z lekami. A raczej samą szafkę, w której powinny być leki. Świeci pustkami, brakuje nawet podstawowych środków przeciwbólowych, które

my możemy kupić nawet w kolejce przy kasie w Biedronce.

Brakuje też wody w kranach. W jednej z sal nie ma dachu, niedawno się zawalił, bo nie był remontowany od dekady. W pomieszczeniu obok czeka nas widok sprzętu medycznego – i owszem, jest go tutaj trochę, ale nie działa. Zepsuł się, a naprawić nie ma za co.

Wenezuelczyków obejmuje także specyficzne ubezpieczenie zdrowotne. W szpitalu czeka na nich jedynie łóżko i opieka personelu, wszystkie leki muszą przynieść sami. Stąd tak wielkie kolejki na granicy z Kolumbią czy handel na czarnym rynku.

Horror zaczyna się jednak kawałek dalej, gdzie znajdują się pacjenci. Połowę sali intensywnej terapii zajmują kolejne zepsute urządzenia, jak np. respi-

ratory. Po drugiej stronie za foliową zasłonką stoją dwa działające urządzenia podłączone do rocznego dziecka.

Nie lepiej było w innym szpitalu, do którego trafiliśmy. Poczekalnie są po brzegi wypełnione chorymi. Na łózkach leżą pacjenci, w jednej sali dziewięciu dorosłych mężczyzn. Część po operacji, część... aż trudno to nazwać. Przerazający jest widok mężczyzny z gigantyczną naroślą na szyi. – To umieralnia, a nie szpital – słyszę.

Przy łóżku jednego z nich siedzi córka, pogodzona z losem ojca, który wije się z bólu. Jest tutaj trochę leków, ale często przeterminowane. Mimo to używa się ich w sytuacjach krytycznych.

W tym momencie zaczyna się robić nerwowo. Jedna z pielęgniarek żywo rozmawia przez telefon





i gestykuje, wskazując na nas palcem. Przyzwyczailiśmy się już, że nie możemy pozostawać długo w jednym miejscu, dlatego szybko chowamy sprzęt i opuszczamy szpital.

Wszyscy leczą się, jak mogą. Studenci uczelni medycznej przyjmują też okoliczne dzieci. Kilkunast osobowa kolejka przed budynkiem czeka na poradę pediatry, psychologa, ortopedy czy stomatologa. Konsultacje są bezpłatne. Jeden ze studentów kilka godzin później zabiera nas na tyły uczelni. Czekają tam gigantyczny stos szpitalnych łóżek, które już zaczynają rdzewieć. – Nie mam pojęcia, czemu ktoś je tu wrzucił, skoro wszędzie brakuje sprzętu – mówi.

Czasami musimy przesiąść się z naszej terenowej toyoty i poruszać się zdezelowaną furgonetką. Wszystko po to, by nie wzbudzać podejrzeń. Mimo to podczas tego kilkunastodniowego pobytu nie czuliśmy niebezpieczeństwa. Albo inaczej: nie czuliśmy takiego niebezpieczeństwa, jakiego można by się spodziewać, patrząc na doniesienia z telewizji i internetu.

Udaje się nam przekonać fixerkę, żeby pospacerować ulicami i rynkiem. Tam widoki już dobrze nam znane: wielkie kolejki do autobusów, ale i wenezuelska codzienność. Ludzie wracający do domów, po drodze odwiedzający pobliski targ, na którym można kupić wszystko. Także wymienić walutę lub ostrzyć się u fryzjera pod gołym niebem pięć metrów dalej.

O ironio, na poważniejszą kontrolę natrafiamy ostatniego dnia naszego pobytu. Zatrzymuje nas dwójka mężczyzn z długą bronią i w kamizelkach kuloodpornych. Okazuje się, że to policja. Każą nam wysiąść z auta i przeszukują jego wnętrze wraz z naszymi walizkami.

Tutaj do akcji wkracza nasz ochroniarz, który powołuje się na rządowe koneksje i straszy ich konsekwencjami. To blef, ale skuteczny. Puszczają nas.

Na lotnisku – ku naszemu zaskoczeniu – kolejka. Czekamy blisko godzinę do odprawy. Pod naszymi nogami mozaika. Żegnamy się z Wenezuelą.

„Niezły Meksyk”.

Ta granica USA to dramat, który trzeba zobaczyć na własne oczy

Tekst: Michał Mańkowski | **Zdjęcia:** Michał Mańkowski



– Hej, ty, jesteś prawnikiem? Potrzebuję pomocy – usłyszałem desperackie pytanie przez grube i szczelne kraty wysokiego na kilka metrów muru. Po drugiej stronie mignęła mi sylwetka na oko 30-letniego Latynosa. Mignęła, bo niewiele tam widać. Takich postaci było tam kilkanaście. To granica Stanów Zjednoczonych z Meksykiem. Jedno z najdziwniejszych, najciekawszych, najbardziej strzeżonych, najsmutniejszych miejsc, w których miałem okazję być.



Park jakich mało

Border Field State Park to miejsce wyjątkowe. To tutaj mogą spotkać się rodziny emigrantów. Wielka brama otwiera się tylko dwa razy w tygodniu: w sobotę i niedzielę. Od 10.00 do 14.00. Ani minuty wcześniej, ani minuty dłużej. Jak godziny widzenia w więzieniu. Otoczenie niemal identyczne.

Choć słowo „widzenia” trzeba wziąć w cudzysłów, bo niewiele tam widać. Podczas spotkania obie strony oddziela wielki, gruby i szczelny płot.

– Żadnego dotykania, przekazywania niczego przez, pod, ani nad płotem – mówi na wejściu jeden ze strażników granicznych. I tak niewiele dałoby się podać, miejsca starcza maksymalnie na wciśnięcie palca. O ironio, gdy w 1971 roku pierwsza dama Pat Nixon otwierała na tym terenie tzw. Friendship Park, powiedziała: „Mam nadzieję, że nigdy nie wybudują tu muru”.

Wybudowali. Więcej niż jeden.

Rozmowy

Po wejściu za bramę w oczy rzuca się starszy mężczyzna z dużym baniakiem wody i krzesłem. Spędził tam bite cztery godziny, ale za wiele nie siedział. Przez większość czasu „przytulał” się do płotu. Z drugiej strony żona, która stała z parasolką chroniącą przed słońcem. Obok kolejne małżeństwo, ale w odwrotnej konfiguracji: żona „tu”, mąż „tam”.

Kilka metrów dalej dwójka rodzeństwa, których matka została deportowana. Następnie dwóch braci z podobną historią. Od tego momentu są pod opieką „Aniołów granicy” (Border Angels – ang.) – organizacji, która próbuje pomagać nielegalnym imigrantom.

Po drugiej stronie

W pewnym momencie z drugiej strony muru słyszę pytanie, czy jestem prawnikiem. Chwilę wcześniej dowiedziałem się, że czasami pojawiają się tutaj prawnicy wolontariusze, którzy próbują pomagać

rozdzielonym rodzinom. Mnie pyta Julio. Twierdzi, że ma amerykańskie obywatelstwo, ale jego chory na autyzm syn i partnerka nie.

– Muszę zabrać go na leczenie. Pie***ę San Diego, ale tam będzie miał lepszą opiekę medyczną. Tutaj bez pieniędzy jesteś nikim, nie dostaniesz niczego, a tym bardziej fachowej pomocy lekarskiej – wyjaśnia.

Wszystkiemu przypatrują się strażnicy graniczni. Niemal cały odcinek patroluje tylko dwóch. Są też kamery, czujniki czy drony, ale nie rzucają się w oczy. Wyjątkowo spokojnie jak na takie miejsce, ale nie mam wątpliwości, że gdyby tylko ktoś spróbował przekroczyć granicę w inny niż legalny sposób, nie zaszedłby daleko.

Nie tutaj.

Nie zadzieraj ze strażnikiem

Co kilkanaście minut jeden ze strażników musi wydierać się na ludzi spacerujących plażą, którzy widocznie nie domyślają się, że dwa gigantyczne płoty znaczą „nie zbliżać się”. Scenariusz powtarza się co 10-15 minut.

Obaj w kamizelkach kuloodpornych, w pełnym uzbrojeniu i kontaktem z bazą. Na każdego przypada jeden SUV. Granica w wodzie nie wygląda na ciężką do nielegalnego przekroczenia.

– Przecież to nie jest wcale takie trudne. Sprzęt do nurkowania i po sprawie? – pytam. – Gdyby pojawiły się jakieś problemy, w każdej chwili możemy wezwać posiłki i helikopter. W niektórych miejscach mamy też specjalne czujniki – mówi drugi ze strażników.

Meksyk Meksykiem świata

Nielegalna emigracja, głównie ze strony granicy z Meksykiem, to jeden z największych problemów Stanów Zjednoczonych. Aktualnie na ich terenie przebywa ok. 10 mln nielegalnych imigrantów. Choć słowo „nielegalni” jest tutaj już niepoprawne politycznie. Teraz mówi się o nich „nieudokumentowani” (undocumented – ang.).

Granica obu krajów ciągnie się przez 3169 km i przebiega przez cztery stany (Kalifornię, Teksas, Arizonę i Nowy Meksyk). Mur, a w niektórych miejscach właściwie dwa mury (niedawno powstał nowy), obejmuje mniej więcej połowę tej długości. Jego średnia wysokość to 4-5m. Jednak w wielu miejscach granica wciąż wygląda jak na zdjęciach na następnej stronie.

Widok może kusić do nielegalnego przekraczania, ale to tylko pozory. To tereny gigantycznej pustyni, gdzie szanse na przeżycie są znikome.

Tak zwani Coyotes za odpowiednią opłatą przerzucają nielegalnych imigrantów za granicę. Kiedyś wystarczyło ok. 1000 dolarów. Teraz cena może być nawet pięć razy wyższa, a efekt pięć razy słabszy. Zwłaszcza od czasu wzmożenia kontroli i wybudowania kolejnego muru.

– Za organizowanie przetrwania ludzi może grozić nawet 10 lat więzienia. Nie warto – mówi mi strażnik.

Jedną z popularnych metod jest wyrzucenie imigrantów pośrodku pustyni z radą „idźcie w stronę tamtego światła, tam przejmą was inni”. I przejmują, ale... strażnicy graniczni. Mimo to, dla wielu Meksykanów to szansa – o ile tylko „wpadną” po amerykańskiej stronie granicy.



Ludzie stoją tak po kilka godzin, rozmawiając z bliskimi po meksykańskiej stronie granicy.

Wtedy czeka ich długi proces deportacji i ewentualna szansa na zostanie w USA. Złapanie w Meksyku to szybki transport tam, skąd uciekli.

Miasto pułapka

Za murami Border Field State Park znajduje się Tijuana. Aktualnie przebywa tam niemal 2 mln osób, ale liczba ta rośnie z każdym rokiem. To właśnie tutaj deportuje się większość nielegalnych imigrantów z USA.

Tuż za płotem zostawia się ich często bez pieniędzy, tylko w ubraniach, czasem z osobistymi rzeczami. Od czasu objęcia urzędu prezydenta przez Baracka Obamę z terenu Stanów Zjednoczonych deportowano ok. 2 mln nielegalnych emigrantów. W tej kwestii Obama plasuje się w czołówce prezydentów USA.

Do Tijuany nie trafiają tylko Meksykanie. Złapani bez dokumentów uciekinierzy, np. z Gwatemali (i innych krajów), twierdzą, że są właśnie z Meksyku i ich też odstawia się tuż za amerykańską granicę. W końcu stąd łatwiej „wrócić”, a przynajmniej spróbować. Jeden z bohaterów materiału „New York Timesa” pt. „Uwięzieni w Tijuanie” był deportowany 20 razy. Za każdym razem wracał.

Relacja USA z Meksykiem to ciężka miłość. Stany imigrantów nie chcą, ale bez nich część ich gospodarki za jakiś czas po prostu by znikła. I to dosłownie. Idealnie ukazuje to film „Dzień bez Meksykanów”.

Rozmiar problemu uświadamiają jednak nie tylko liczby. Złapani i deportowani to bardzo często dorosłe już osoby, które niemal od urodzenia mieszkają w Stanach Zjednoczonych. Zabrali ich tutaj rodzice. Tu dorastali, uczyli się, poznawali kulturę i język. Żyją tu po kilkanaście lat, mają poukładane życie. Z dnia na dzień przerzuca się ich do Meksyku. Są też rodzice, którzy w Stanach muszą zostawić swoje dzieci.

I choć problem nielegalnej imigracji nie jest tam zerojedynkowy, a polityka Baracka Obamy ma swoje uzasadnienia, warto poznać jej stricte ludzki aspekt. Właśnie ten z Border Field State Park.

Jest też jej kolejny wymiar – narkotykowy. Ale to już materiał na drugi artykuł. Powiedzenie „niezły Meksyk” nie powstało bez powodu.



GRANICA Z MEKSYKIEM W LICZBACH

Średnio 250 mln

osób przekracza granicę USA z Meksykiem każdego roku.

Dwie na dziesięć osób

które każdego dnia wkraczają na terytorium USA, robią to przez przejście w San Ysidro.

Granice patroluje ok. **22 tysięcy strażników** granicznych.

źródło: San Diego Diplomacy Council

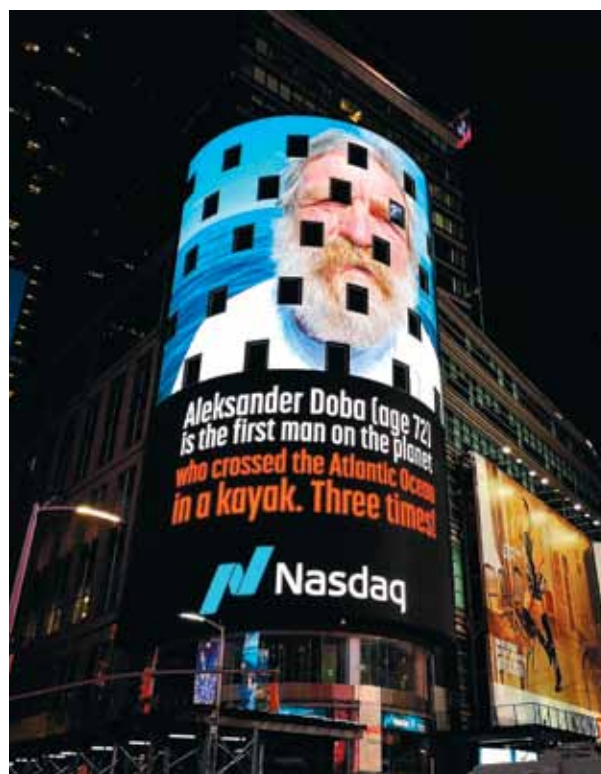


Polska jest tak fajna, że na 100-lecie wynajęliśmy największy baner na Times Square, by powiedzieć o tym światu

Tekst: redakcja

Długo zastanawialiśmy się, jak uczcić tę wyjątkową i okrągłą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Wbrew temu, co może się wielu osobom wydawać, Polska jest świetnym krajem, dlatego postanowiliśmy przypomnieć o tym Polakom, a jednocześnie powiedzieć to... całemu światu. Specjalnie na 100-lecie redakcja naTemat.pl wynajęła największy pojedynczy billboard w samiułtkim centrum nowojorskiego Times Square, by wyświetlić na nim krótki spot o naszym kraju.





Czemu tam? A czy może być bardziej symboliczne centrum świata? To Nowy Jork jest uznawany za stolicę świata, a Times Square za jego epicentrum. To tam każdego dnia przechodzi ponad 300 tysięcy ludzi ze wszystkich zakątków Ziemi. To właśnie Times Square jak mało co kojarzy się z banerami i reklamami.

Jako że polskie władze dały niesamowicie ciała z obchodami setnych urodzin naszego kraju (i nie tylko z nimi), postanowiliśmy dołożyć swoją cegiełkę, która pokaże, że Polska „daje radę”. Poza tekstami redakcyjnymi przygotowanymi specjalnie na tę okazję, chcieliśmy zrobić coś, co dotrze nie tylko do Polaków.

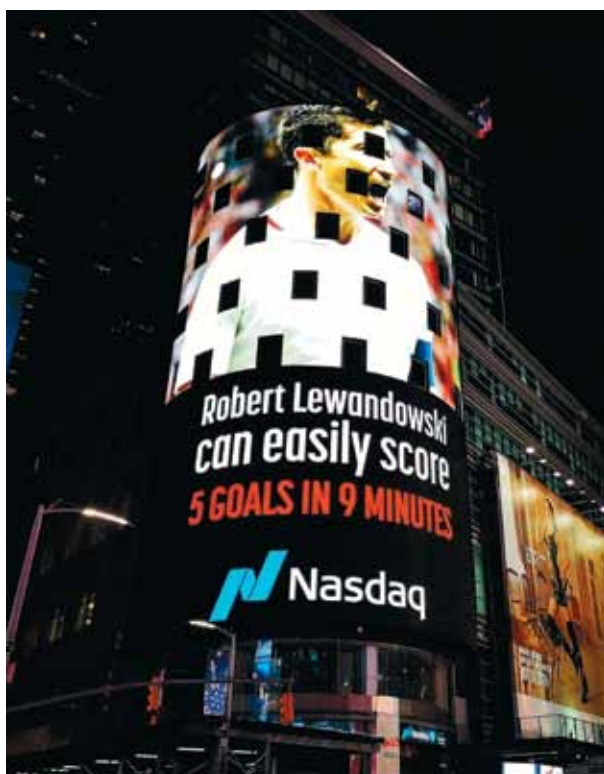
Już ponad pół roku temu zarezerwowaliśmy największy i najlepiej widoczny pojedynczy baner reklamowy (NASDAQ) w samiotkim centrum nowojorskiego Times Square. Nie ma lepszej lokalizacji na Ziemi, by w jednym miejscu w tak krótkim czasie dotrzeć do tylu osób z tak wielu krajów rozsianych po całym świecie.

Przez cały dzień podczas niepodległościowego weekendu co godzinę dwukrotnie wyświetlany jest tam przygotowany przez redakcję naTemat krótki i prosty spot o Polsce pt. „100 years of awesomeness”, czyli „100 lat niesamowitości”.

Wybraliśmy kilka osób i osiągnięć, z których jesteśmy dumni i które idealnie pokazują nasz charakter. Takich, którymi warto się pochwalić i przez pryzmat których warto być postrzeganym. Zacząć musieliśmy nieco tradycyjnie, bo od Lecha Wałęsy, ale tylko u nas prosty elektryk mógł obalić komunizm, a potem zostać prezydentem kraju.

Nie chcieliśmy być pompatyczni, przewidywalni i osadzeni tylko w historii i czarno-białych zdjęciach. A to pułapka, w którą łatwo wpaść przy takiej okazji.

Do wystąpienia w spocie zaprosiliśmy też Roberta Lewandowskiego, Aleksandra Dobę, Wiedźmina i CD Projekt oraz reprezentację Polski w siatkówce.



Wszyscy są jedynymi w swoim rodzaju ambasadorami naszego kraju i niemal od razu zgodzili się uzyczyć swojego wizerunku na tę okazję.

W filmie występuje też szalenie popularna w Stanach Zjednoczonych woda „Poland Spring”, która... z Polską nie ma nic wspólnego. Amerykańska centrala mająca na uwadze 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości także wyraziła zgodę, by w spocie wystąpić.

Natomiast tutaj znajdziecie podgląd na żywo z naszego billboardu. Spot o Polsce będzie tam wyświetlany dwa razy w ciągu każdej godziny zegarowej.

To tylko kilka polskich faktów, którymi warto się chwalić i z których możemy być dumni. Lista mogłaby być dużo dłuższa, podobnie jak sam film. W Polsce nie jest źle. Mamy 10/10 punktów szczęścia, że urodziliśmy się nad Wisłą. Jesteśmy niepotrzebnie zbyt krytykancy i trawa zawsze wydaje nam się bardziej zielona u sąsiada.

Jeśli odejmiemy z naszej codzienności tę cholerną politykę, która psuje wszystkim tyle krwi, okaże się, że naprawdę żyjemy w fajnym kraju. Kraju, który stał się liderem regionu i przez ostatnie 100, a zwłaszcza 30 lat przeszedł diabelsko długą drogę. Kraju, który zmienił się nie do poznania. To Polska z Warszawą na czele jest dziś wzorem dla innych państw.

To na polskich ulicach można zobaczyć zachwyconych turystów, którzy na ich tle pstrykają sobie selfie, będąc pod wrażeniem tego, jak wygląda nasz kraj. W Warszawie widzę ich niemal codziennie. I nie chodzi tylko o atrakcje turystyczne, ale i zwykłe ulice.

I szkoda tylko, że w tym wszystkim politycy nie potrafią znaleźć chwili na refleksję. Wolą pogłębiać wrażenie, że żyjemy już tylko w świecie czarno-białym, bez żadnych odcieni szarości. A niestety jak tak dalej pójdzie, z każdych kolejnych urodzin Polski będziemy mogli być tylko mniej dumni.

Wszystkiego najlepszego, Polsko! Od nas dla nas. Bez nienawiści.



Gaijin w Japonii – szybki strzał

Tekst: Michał Mańkowski | **Zdjęcia:** Michał Mańkowski

To zdjęcie idealnie oddaje wrażenie, jakie można przywieźć z Japonii zaledwie po kilku dniach pobytu. Tłok, tempo, nadzór, zasady i wszechobecni „poganiacze”. Ale o tym wszystkim za chwilę.

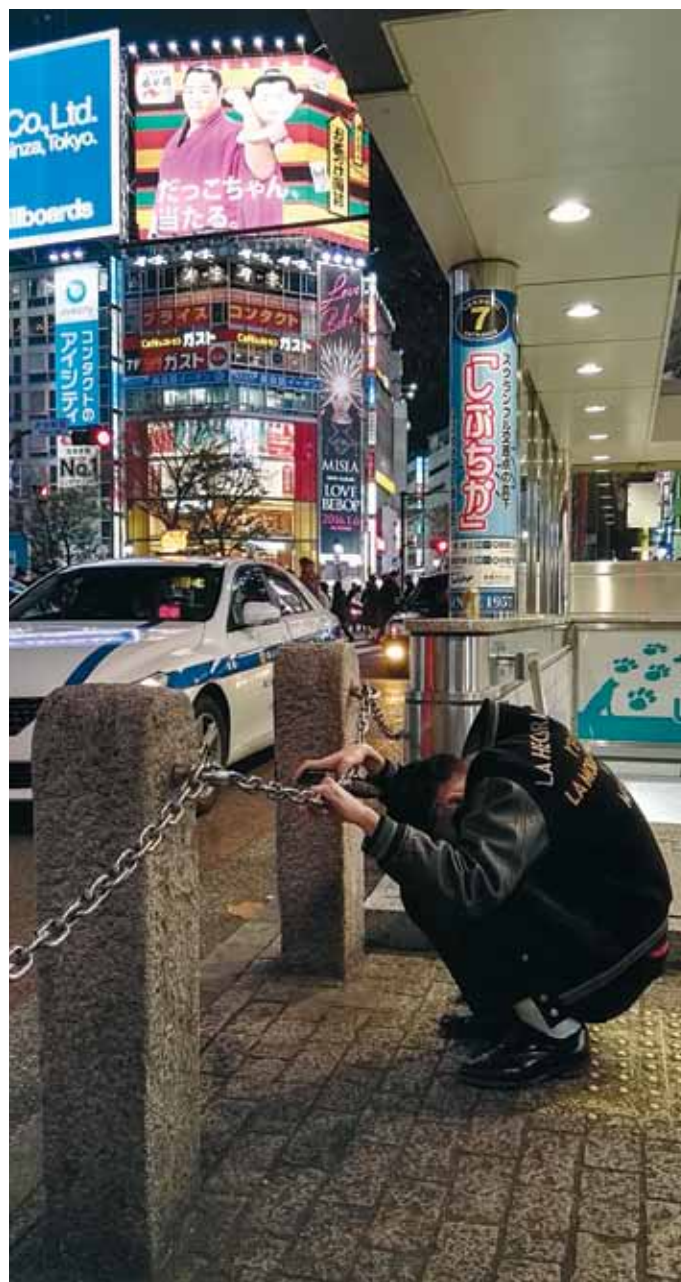
Wyobraź sobie wszystkie stereotypy o Japończykach, przemnoż je przez dziesięć, a poczujesz się jak w Japonii. Po pierwszych godzinach na miejscu tak chciałem zacząć ten tekst, ale nie mogę. Choć sporo z nich błyskawicznie się potwierdziło, nic nie jest zerojedynkowe. A te „wszystkie japońskie dziwactwa” (to najczęściej jedno z pierwszych skojarzeń)

dla niektórych Japończyków są tak samo dziwne, jak i dla nas. Przed wami seria spojrzeń gaijina (cudzoziemca) na to, co czeka tam Polaka.

Gdy piszę te słowa, siedzę na lotnisku w Tokio, czekając na lot powrotny do Warszawy. Jestem na świeżo po kilku dniach w Kraju Kwitnącej Wiśni.

Shibuya, piątkowy wieczór

Dzielnica Asakusa, w której znajduje się świątynia Senso-ji..



Za oknem leje (leje, nie pada) deszcz, a buty mam tak mokre, jakbym wszedł po kostki do jeziora. Śnieg, który napadał tutaj w nocy, w okamgnieniu zamienił się w jedną wielką breję. To o tyle ciekawe, że przez cały pobyt pogoda była... dokładnie odwrotna. 10 stopni Celsjusza i słońce to w porównaniu z zasypaną Warszawą niezła odmiana.

Dzięki temu udało się choć trochę liznąć tego tak bardzo różnego od Polski kraju. Ten tekst to seria mniejszych i większych spostrzeżeń okiem nowicjusza w Japonii. Po części odpowiem na to, czego sam próbowałem dowiedzieć się przed wyjazdem, a jak każdy miałem już w głowie jakieś wyobrażenie. Nie pozuję na eksperta, ale jedynie składam w całość wiele tak bardzo różnych kawałków, które udało się tutaj zebrać przez 5 dni, a można by zbierać i pisać przez kolejne 50.

Z czystym sumieniem polecam też serię polskiego vlogera Krzysztofa Gonciarza, który dość kompleksowo rozkłada Tokio i Japonię na turystyczne czynniki

pierwsze. Pomaga przygotować na to, co czeka nas na miejscu. A wiercie mi, Japonia potrafi zaskoczyć.

O Japonii piszemy nie z byle powodu. LOT po kilku latach przerwy uruchamia nowe długodystansowe połączenie bezpośrednie. Nieprzypadkowo padło na trasę Warszawa-Tokio, która może okazać się



wstępem do dalszego rozwijania siatki połączeń. Już teraz mówi się o Seulu i Bangkoku, ale żebyśmy zaczęli latać tam ze stolicy Polski, najpierw musi udać się z Tokio. Początek zapowiada się obiecująco, bo – jak mówią przedstawiciele polskiego przewoźnika – w najbliższych, ciężkich miesiącach zarezerwowano na chwilę obecną już 70 proc. biletów.

LOT upatruje swojej szansy w staniu się głównym miejscem przesiadkowym dla państw Europy Centralnej i Wschodniej, dlatego też rozwija siatkę połączeń w tamtym kierunku (np. Mołdawia, Serbia, Rumunia). Na papierze wydaje się to całkiem niezłe posunięcie. Na LOT chętniej powinni spoglądać także klienci zachodni, bo szybka przesiadka w Warszawie pozwala zaoszczędzić trochę czasu na tej długiej trasie.

Polaków jednak przesiadki nie interesują. I nie muszą. Bezpośredni lot z Warszawy do Tokio trwa 10 godz. 20 min, powrotny o 75 minut dłużej, choć nasz pilot nadrobił tutaj godzinę. Na plus zasługuje fakt, że na miejscu lądujemy nie nocą lub wieczorem, co logistycznie jest średnim rozwiązaniem, ale

z samego rana – chwilę po 9. Poza klientami biznesowymi, którzy mają nabić kasę LOT-u, są także ci indywidualni, dla których poza ew. wygodą podróży, głównym czynnikiem wyboru może być cena.

Często podróżuję i śledzę ceny połączeń. LOT na starcie puścił pulę promocyjnych biletów za ok. 1800 zł. Za lot bez przesiadek to oferta marzenie.





Maski na początku przykuwają wzrok, po jakimś czasie nie zwracasz już na nie uwagi.

Aktualnie takie ceny z przesiadką w jednej z europejskich stolic uważa się za dobrą okazję.

Naturalnie takie ceny nie będą na stałe, choć okazjonalnie mogą się zdarzać. Jeśli przeciętny klient będzie mógł trafić na bilet za +- 2500 zł, LOT może stać się atrakcyjną ofertą. Wszystkie loty obsługują legendarne już dreamlinery. Z Warszawy polecimy trzy razy w tygodniu: w środy, piątki i niedziele, a z powrotem w czwartki, soboty i poniedziałki.

Wróćmy jednak do tego, co czeka nas na miejscu.

1. Czystość

Jest naprawdę czysto i mimo że Warszawa nie jest brudnym miastem, różnica rzuca się w oczy. Niech wystarczy fakt, że przez cały pobyt w Tokio nie widziałem ANI JEDNEGO brudnego samochodu. Po jakimś czasie zacząłem się za nimi celowo rozglądać i zapewniam, że nie ma w tym żadnej przesady. Nie gorzej jest na ulicach. Ze świecą szukać zwykłych śmieci: i tych większych, i tych mniejszych. To o tyle ciekawe, że jeszcze trudniej znaleźć tam... śmietniki. Tych w miejscach publicznych praktycznie nie ma. Pewnie,

co jakiś czas się trafią, ale generalnie nie jest to częsty widok. Złapałem się na tym, że biorąc od Japończyków z ciekawości ulotki, potem nie miałem gdzie ich wyrzucić.

Nie bez znaczenia są tutaj też kwestie bezpieczeństwa, a dokładniej zamach z 1995 roku, kiedy to w tokijskim metrze użyto śmiertelnego gazu sarin. Tokio pod pewnymi względami bardzo przypominało mi Nowy Jork, ale pod względem czystości to dwa miasta leżące na zupełnie innych biegunach. Chirurgiczna wręcz czystość kontra brud, brud i jeszcze raz brud.

2. Zasady, nakazy, reguły

Chyba najlepiej pasuje tutaj niemieckie „ordnung muss sein” (porządek musi być). Przez te kilka dni pochodziłem i pojeździłem trochę tamtejszą komunikacją. Tutaj (a może lepiej „tam”) na każdym kroku mówi ci się, co masz zrobić, gdzie iść, dokąd skręcić. Prowadzą cię jak po sznurku. I nie pomylicie tego z oznaczaniem drogi, które skądinąd tutaj jest bardzo dobre (ale konieczność informowania na znakach co 5-10 metrów, ile zostało do celu jest już przesadą).

To jeden wielki labirynt strzałek, kropek, linii, kolejek. Do końca życia zapamiętam, że w Japonii po schodach chodzi się lewą stroną. LEWA, NIE PRAWĄ! Jeśli nie zwrócisz na to uwagi przez pierwsze kilkadziesiąt kroków, nie martw się, szybko przypomną ci o tym następne strzałki, znaczki i informacje. Lewą w górę, prawą w dół. Lewą w górę, prawą w dół – wchodząc po schodach, widziałem to non stop. Doszło do absurdu, że w jednym miejscu nalepiono nawet... kropki, które pokazywały, jak wchodzić po schodach.

Na dworcach są specjalnie wyznaczone linie na kolejki przed wsiadaniem do pociągu. Nietypowe, ale może i dobre. Dzięki temu wszystko działa jak w zegarku. O ile tylko mamy pewność, że konkretny wagon zatrzyma się w tym konkretnym miejscu. W Japonii mamy.

3. Shinkanseny

Co szybko i płynnie przenosi nas do legendarnej już punktualności tamtejszych pociągów. Miałem okazję przejechać się i shinkansenami, i zwykłymi pociągami. Żaden nie spóźnił się nawet o minutę, choć siedząc, czekasz, czy może tym razem im się





nie uda. Za każdym się udało. Poczucie takiej komunikacyjnej pewności to naprawdę fajna sprawa.

Same shinkanseny poza tym, że jeżdżą szybko i sprawiają, że kilkusetkilometrowe odległości przestają być tak duże, z punktu widzenia pasażera nie różnią się standardem od nowszych pociągów w Polsce. No może niektóre zagłówek były wyjątkowo nisko. Ciekawostka: zostanie maszynistą shinkansena to tutaj naprawdę duży zaszczyt. By w ogóle ubiegać się o to stanowisko, trzeba mieć na koncie kilka lat jeżdżenia zwykłymi pociągami.

4. Hotele kapsułowe

„W tej Japonii to mają tak ciężko, że muszą cisnąć się w tych kapsułach jak produkty”. No właśnie nie mają. Połowę wyjazdu spędziłem w hotelu kapsułowym, choć cenowo wcale nie wychodził dużo bardziej atrakcyjnie niż „zwykły” hotel. Miałem pewne obawy, no bo jak to, mało miejsca, tyle ludzi, jak to, jak w trumnie, ale trzeba spróbować – z czystej ciekawości.

Wszystkie wątpliwości rozwiały się, jeszcze zanim zdążyłem wejść do swojej kapsuły. Jestem bardzo pozytywnie zaskoczony tym rodzajem noclegu, a jednocześnie zdziwiony, że nie jest on popularny w Polsce. To opcja o klasę wyżej niż w popularnych pokojach wieloosobowych, choć jest kilka niezrozumiałych na starcie zasad.

Trafiłem do Capsule Value Kanda, jeśli będziecie – polecam. Za stosunek jakości do ceny i odległość od Tokio Station. Pierwsze zaskoczenie już

podczas check-inu. Mogę zapłacić tylko za jedną noc, za kolejną dopłacę jutro. Choć hotel kapsułowy można zarezerwować na więcej niż jeden dzień, w rzeczywistości jest to wynajem jednodniowy. Każdego dnia do konkretnej godziny wszyscy muszą opuścić swoje kapsuły, które przechodzą gruntowne czyszczenie i wymianę pościeli, ręczników, piżam itd.

Wtedy można przeczekać we wspólnym pokoju lub po prostu zostawić tam walizkę i zameldować się po powrocie po raz kolejny. Widzę tu spore „przepalanie” pieniędzy, bo podejrzewam, że innym, tak jak i mi, nie przeszkadzałoby, że pościel nie została zmieniona po jednym dniu. Ba, wolałbym komfort zostania w tej samej kapsule niż konieczność jej zmiany. Każdego dnia dostajemy inną. Z drugiej strony, może te twarde zasady (znów te zasady!) pozwalają utrzymać to w takim porządku.

Na każdym piętrze jest po kilkanaście kapsuł: na górze i na dole. Spałem w obu, żadnej różnicy, wskoczenie na górę po małej drabince nie jest problemem. W środku półka i mały panel multimedialny do obsługi radia, budzika i telewizora, który nie zawsze jest standardem. Miejsca nie ma dużo, ale nie jest klaustrofobicznie. Śmiało można wieczorem po prostu sobie posiedzieć i obejrzeć coś na laptopie.

Towarzystwo mieszane, ale ze wskazaniem na „lokalsów”. Poza standardowymi podróżnikami z Europy i Azji (powody takie same jak moje), było też sporo Azjatów w każdym wieku. Przez ich często

paniczny strach przed używaniem angielskiego nie udało mi się za dużo porozmawiać. Po kilku próbach można ich uogólnić do osób, które są tu służbowo, zostały po imprezie lub potrzebowały jednorazowego noclegu w tej okolicy. Standard.

5. Uczynność kontra zamknięcie

To idealnie pokazuje wewnętrzną sprzeczność Japończyków. I w tym przypadku wystarczyło kilka dni, by przekonać się i o jednej, i o drugiej stronie. Najpierw o tej pierwszej, bardziej pozytywnej.

Japończycy nie tylko sprawiali wrażenie miłych, ale też tacy byli. Nie zliczę uśmiechów i tak charakterystycznych ukłonów, które zobaczyłem tylko od momentu wylądowania do zameldowania w pierwszym hotelu. Najbardziej widać to w przypadku usług. Okej – to branża, w której uczynność jest wymagana. Szkopuł w tym, że dla kogoś spoza tego kręgu kulturowego to wygląda na coś więcej. Usłużność? To chyba dobre słowo.

Moje jedno pytanie do pracownika hotelu o mapę okolicy urosło do nie wiadomo jak dużej rangi. Zadanie wykonał z (nie)szczerym uśmiechem na twarzy, przy okazji kłaniając się kilka razy. Czy wspomniałem już, że odchodząc, szedł tyłem, żeby tylko się do mnie nie odwrócić plecami? Do tego cała gama różnych zwrotów grzecznościowych i poczucie, że można być przeproszonym właściwie za wszystko. Nie czułem się przy tym w tej skali komfortowo.

Wspomniany wcześniej Krzysztof Gonciarz radził, by Japończyków lepiej nie pytać o drogę, bo nie tylko nam pomogą, ale i zaprowadzą do celu – nawet jeśli sami się śpieszą. Mając tę radę w głowie, nie pytałem. Niestety po 45 minutach błądzenia w poszukiwaniu hotelu (momentami naprawdę ciężko się połapać) musiałem się złamać. 10-godzinny spacer na jet lagu wykańczał, a robiło się już ciemno. Teza Gonciarza... dokładnie się potwierdziła. Pierwsi zaprowadzili mnie do głównej trasy, a następny pod sam hotel. I każdy z nich wcześniej szedł w drugą stronę.

Jednocześnie mamy też Japończyków, którzy tylko gdy widzieli, że zbliża się do nich o głowę większy gaijin z mapą i zaraz zacznie pytać po angielsku, udawali, że mnie nie widzą, przyspieszali kroku i po prostu uciekali. Aż kipiało myślami „Boże, czemu on czegoś ode mnie chce?”. Generalnie mam wrażenie, że Japończycy może nie tyle nie znają angielskiego, co często sami bardzo w swoje umiejętności nie wierzą. Ci, z którymi miałem okazję rozmawiać, mówili, że „mówią tylko troszkę”, po czym okazywało się, że radzą sobie naprawdę nieźle. Gdy to powiedziałem, szybko dostawałem podziękowania w stylu opisanym przed momentem. Koło się zamyka.

Nie jest tak, że z byciem zamkniętym na innych chodzi konkretnie o obcokrajowców, choć bez wątplenia ci mają gorzej. Dość szokującym przeżyciem może być wizyta w barze karaoke, w którym małe grupki Japończyków siedzą pozamykane w jeszcze mniejszych boksach, gdzie za zamkniętymi drzwiami nikt obcy im nie przeszkadza. To już nie lepiej zostać w domu?





6. Taksówki

Dopiero ciekawie było jednak w przypadku taksówki, której w piątkowy wieczór z rozrywkowej dzielnicy Shibuya nie mogliśmy zamówić przez dobrą godzinę. Taksówkarze najzwyczajniej w świecie nie chcieli nas wziąć. I o ile na początku myśleliśmy, że to nic celowego, wątpliwości rozwiały się, gdy podeszliśmy do jednej wolnej. Taksówkarz zamknął szybko okno, na migi pokazał, że zamknięte i on w ogóle nie jeździ, chociaż sekundę wcześniej wysadził jednego pasażera. Potem zobaczyliśmy już tylko tylne światła.

Na ich obronę powiem tylko, że przez chwilę na starcie próbowaliśmy złapać nie tę taksówkę, którą trzeba. Okazuje się, że tam czerwone światło oznacza, że auto jest wolne, zielone – że zajęte. Logiczne...?

Same taksówki nie należą do najtańszych, a taksówkarze raczej nie mówią po angielsku. Chwilę warto poświęcić jednak samemu samochodowi,

które są ujednolicone nie tylko w Tokio. Identyczne taksówki spotkałem w oddalonym o 150 km Nikko, a znajomy w jeszcze dalszym Kioto. Samo ustandaryzowanie nie jest może niczym wyjątkowym, ale tutaj zdecydowano postawić na oldschoolowe toyoty crown/comfort. I wcale nie odbiera to miastu nowoczesności. Ba, dodaje charakteru – podobnie jak lusterka montowane dalej na masce.

Z motocyklowców warto też wspomnieć o czymś, czego do tej pory ani w Europie, ani w USA nie spotkałem. To dodatkowe element montowany na przednim rogu maski. W bogatszej wersji jest to po prostu dodatkowe lusterko. W biedniejszej – zamontowana mała antenka. Oba te rozwiązania mają docelowo pomagać kierowcom przy manewrach w ciasniejszych miejscach.

7. „Ci dziwni Japończycy”

To jeden z najpopularniejszych stereotypów o Japonii. Bezkrytycznie wierząc we wszystkie doniesienia



o kolejnych dziwactwach, łatwo wyrobić sobie dość konkretną opinię. I pewnie jeśli ktoś przyjedzie tego szukać, to na pewno tutaj to znajdzie. Japończycy sami dostarczają ku temu wielu powodów. Ale przyczepianie takiej łatki z automatu każdemu z nich jest równie prawdziwe, jak twierdzenie, że każdy Polak to złodziej i alkoholik.

W samolocie jeszcze przed przylotem do Tokio dało się słyszeć rozmowy o mniej lub bardziej pokręconych pomysłach Japończyków. Zdecydowanym numerem jeden był ten z automatem, w którym można kupić używaną bieliznę studentek. Mając z tyłu głowy wszystkie stereotypy, sam pomysł nie jest nawet jakoś wybitnie zaskakujący „na japońskie standardy”. A ile w nim prawdy? Nic podobnego nie znaleźliśmy. Nasi polscy przewodnicy, którzy mieszkają tam odpowiednio 25 i 11 lat, też takich automatów nigdy nie widzieli. Chociaż – podobnie jak i my – coś tam słyszeli.

Dobry przykład podał Gonciarz, który robiąc materiał o lodach o smaku płetwy rekina, sam potraktował to jako ciekawostkę. A że inni szybko stworzyli z tego coś na porządku dziennym, to już inna historia. Jeśli chodzi o lody, to miałem okazję spróbować tych o smaku... kaszy gryczanej. Brzmi gorzej, niż smakują.

Dzielnica, w której najprędzej można szukać „tych dziwnych stereotypów”, to Akihabara zwana także elektrycznym miastem. O tak, tam można znaleźć sporo kwiatków. Zagłębie mangi, anime, salonów gier, przebranych dziewczynek z ulotkami czy w końcu sklepów z elektroniką. I o ile na naganiaczy w dziwnych strojach byłem przygotowany, to to, co dzieje się w niektórych lokalach, sprawiło, że mój mózg wybuchł. Dosłownie.

Zasada jest prosta: tam musi być głośno. Właściciele chyba mają niepisaną rywalizację o to, kto

gra najgłośniej. W tłumnie odwiedzanych salonach gier z setek maszyn wydobywa się tak oszłamiający hałas, że trudno wytrzymać tam kilka minut. O jakiegokolwiek rozmowie nie ma mowy. Podobnie jest w salonach gier czy sklepach z muzyką bądź mangą. Musi być głośno, kolorowo, piskliwie. Auć.

8. Poganiacze

Jakiś czas temu czytałem gdzieś relację z podróży do Tajlandii, gdzie turystów nazywano kurczakami poganianymi przez organizatorów. Trochę podobna sytuacja ma miejsce w Japonii, gdzie zawsze jest ktoś, kto sprawdza, czy wszystko idzie (czy ty idziesz) zgodnie z planem. Podczas wyjazdu roboczo nazwalimy ich poganiaczami. Poganiacze z naszego punktu widzenia mogą wydawać się osobami, które wykonują niemalże bezcelową pracę. Pracę dla samego pracowania.

Poganiacze sprawdzają, czy stoisz w dobrej kolejce, czy dobrze wjeżdżasz na parking, czy poprawnie przechodzisz przez przejście dla pieszych, czy winda dobrze jedzie, czy samochody dobrze jadą, czy ludzie dobrze idą,

czy pasażerowie dobrze kasują bilety. Generalnie czy świat ma się dobrze. Na kilku zdjęciach możecie zobaczyć, jak to wygląda w praktyce. I wcale nie są to jednostkowe przykłady. Może dlatego bezrobocie jest tam na niskim poziomie ok. 3 procent, a poczucie bezpieczeństwa naprawdę wysokie?

9. Indywidualizm

Jeśli jeden gwóźdź wystaje, weź młotek i wbij go, żeby było równo – takim dość obrazowym porównaniem nasz przewodnik opisał japońskie podejście do życia. – W przeważającej większości nie mają ambicji, by zostać menedżerami, kierownikami, dyrektorami. Chcą po prostu być – powiedział.

I jak patrzę na te wszechobecne zasady, reguły, nakazy, oczekiwania, w których są wychowywani od małego, jest mi to łatwiej zrozumieć niż jeszcze kilka dni temu. Jesteś trybikiem, częścią masy, która każdego poranka czy wieczora przytłacza cię na ulicy, w mieście czy pociągu. Nie wyróżniasz się, bo po co. Robisz tyle, ile potrzeba. Bo tak jest w przepisach i tego od ciebie oczekują.



:t



Ž Y C I E



Best of naTemat

Umierała z bólu, a lekarz mówił, by napiła się wina na rozluźnienie. Chora na wulwodynię opowiada o swoim dramacie

Tekst: Aneta Olender | **Zdjęcia:** Archiwum prywatne

Umierała z bólu. Czuliła się tak, jakby ktoś ciął ją żyłkami albo przypalał ogniem. Ale lekarze mówili, że wymyśla. Twierdzili, że ból siedzi w jej głowie. „Cierpienie” i „dramat” – tak dziś Izabela Cydzik mówi o czasie, kiedy walczyła o zdiagnozowanie swojej choroby. Przypadkiem trafiła na informacje o wulwodynii. Dziś jest ambasadorką Ogólnopolskiej Kampanii poświęconej kobietom cierpiącym z powodu wulwodynii i ich bliskim. Może się z nią zmagać nawet 16 proc. kobiet.

Izabela Cydzik ma 42 lata. Jest żoną, matką i spełnia się zawodowo. Choć akurat ostatnią część zdania można potraktować jako czas przeszły. Od trzech lat walczy z wulwodynią. Chorobą, która zamieniła jej codzienność w koszmar. Wulwodynia to intymna i wstydliva choroba, dlatego niewiele osób chce o niej mówić i niewiele też wie o jej istnieniu.

Nie wiedzą nawet te kobiety, które potrzebują pomocy. – Gdybym trzy lata temu trafiła na taką historię, gdyby jakaś kobieta nie wstydziła się o tym powiedzieć, pewnie nie przeżyłabym tego koszmaru – mówi Izabela i dzieli się z nami swoimi przeżyciami.

Kiedy słyszy pani słowo „wulwodynia”, z czym się ono kojarzy?

Z ogromnym bólem, z ogromnym cierpieniem, z uczuciem noża wsadzanego w krocze, przypalaniem ogniem i siedzeniem na szkle.



Czym jest wulwodynia? Mało kto słyszał o tej chorobie. Przyznaję, że ja też o niej nie wiedziałam.

To jest silne napięcie mięśni dna miednicy. Czulałam, jakby moja cewka moczowa była zaciśnięta w imadle. Najchętniej wskrobałabym to nożem. Miałam wrażenie, że rodzę pęcherz moczowy. Ból głowy, odbytu, szczęki i uszu. Miejsca intymne tak mnie swędziały, że potrafiłam pięć godzin leżeć w wannie i się drapać. Jakby robaki mnie obłaziły. Lekarze uważali, że to grzybica, i przepisywali kolejne leki.

Naprawdę czułam się tak, jakby ktoś pociął mnie żyłkami. Kiedy np. w pracy łapał mnie ból i musiałam iść do ginekologa, a działo się tak nawet pięć razy w tygodniu, wchodziłam na czworaka do gabinetu. Dostawałam kolejne antybiotyki.

Trudno się tego nawet słucha.

Tak. I to jest coś, z czym człowiek nie może sobie poradzić. Tego nie było widać w żadnych diagnostykach. Posiewy, wyniki, rezonansy, tomografy... Wszystko było tak, jakbym była zdrowa.

Od czego się zaczęło?

Zaczęło się od bólu pęcherza, któremu towarzyszył ból krocza. Działo się to niedługo po porodzie, dlatego myślałam, że to efekt źle zszytego nacięcia. Jednak później ból pojawił się w okolicy szczęki. Towarzyszył temu ból głowy.

Szukałam pomocy u stomatologa. Wtedy nikt nie łączył moich dolegliwości z bólem anouroginekologicznym. Miałam wyrwane ósemki, siódemki, operację kości szczękowej. Ból jednak wracał. Dziś wiem, że nie było to konieczne.

Ile to trwało?

Dziewięć lat. Jednak ostatnie trzy były dla mnie dramatem.

Co to znaczy?

Przede wszystkim niezrozumienie lekarzy. Znikąd pomocy. Wmawiano mi, że to, co czuję, siedzi w mojej głowie, że jestem wariatką. Ginekolog mówił, żebym wypila dwie butelki wina i się odprężyła. Pewnego dnia, kiedy leżałam przez osiem godzin na dywanie, bo nie mogłam się ruszyć z bólu, zaczęłam się zastanawiać, czy może oni wszyscy nie mają racji, czy coś nie siedzi mi w głowie. Jednak takiego bólu nie da się wymyślić.

Kiedy cała obolała leżałam w jednym z olsztyńskich szpitali na oddziale ratunkowym, lekarz po prostu

mnie wyrzucił. Bywały chwile, że naprawdę modliłam się o śmierć. Ból jest straszny, a żadne leki nie pomagają. Jeśli już się coś bierze, to bardzo duże dawki. Potrafiłam np. trzy tygodnie nie spać.

Zresztą problemy ze snem mam do tej pory. Od 22 do 6 potrafię chodzić, modlić się, myśleć... a przecież muszę jeszcze funkcjonować. Mam pracę, jestem żoną i matką. Ta walka trwa cały czas.

Badania nic nie wykazywały. Było coraz gorzej, a słyszałam tylko, że nadają się do psychiatrika. Kiedy miałam operację kości szczęki, lekarka powiedziała: „Pani Izo, jeżeli pani się nie uspokoi i po operacji będzie miała jakiś atak paniki, to ja panią wysłę do psychiatry i panią zamknę”.

Miałam nadzieję, że lekarze coś znajdą, chciałam nawet, żeby to był guz. Po prostu wiedziałabym, co to, i może udałoby się to coś wyciąć. Jednak lekarze mówili tylko, że jestem zdrowa. Wszyscy, rodzina i znajomi, powtarzali, że jestem silna. Nie byłam silna, byłam zdesperowana, dlatego zaczęłam sama wszędzie szukać pomocy.

To było prywatne leczenie?

Tak, wszystko prywatnie. Nic, co mogłoby mi pomóc, nie było refundowane albo nie było refundowane dla mnie – przecież zdaniem lekarzy nic mi nie dolegało. W ciągu roku wydałam na leczenie około 50 tys. zł. Szczeka, masaże, wizyty u specjalistów, elektrostymulacja. Odwiedzałam lekarzy w całym kraju. Jediną osobą, która pomogła mi w Olsztynie, była fizjoterapeutka uroginekologiczna. Dzięki niej dziś jakoś funkcjonuję.

Bez pieniędzy i jakiegokolwiek wsparcia naprawdę można umrzeć. Ile ja przeszłam bezsensownych badań... Niektórzy mówili mi nawet, że mam za dobre życie, dlatego wymyślam. To jest straszne, ale to jest też nasza codzienność.

Taka sytuacja musiała jednak odbić się na pani zdrowiu psychicznym.

Jesteśmy pacjentkami przewlekłego bólu i dlatego pojawia się depresja. Kobietom takim jak ja mówi się jednak, że ból siedzi w głowie, dlatego wariujemy. Kiedy poszłam do psychiatry, miałam już taki stan lękowy, że trafiałam na oddział ratunkowy z podejrzeniem zawału.

Podczas jednego z kolejnych pobytów w szpitalu chciałam wyskoczyć przez okno. Byłam znerwicowana. Miałam nawet zapaść z powodu przedawkowania leków.

Dziś na terapii staram się przepracować lęki. Mówią mi na niej, że moja choroba może wynikać z trudnego dzieciństwa. To znowu jest jakiś schemat lub niezrozumienie. Moje dzieciństwo naprawdę było szczęśliwe. Z kolei ginekolodzy mówią, że do uszkodzeń mogło dojść podczas porodu lub po operacji hemoroidów. Później dolegliwości mogły się nasilić pod wpływem stosowania maści i czopków, które przepisuje się kobietom cierpiącym jak ja.

Kiedy się zestresuję, ból wraca. Moja pani doktor, specjalistka z Lublina, powiedziała mi, że choroba może nigdy nie odejść. Są nawet pacjentki zamknięte do końca życia. 20 lat w szpitalach psychiatrycznych. Nie potrafią wytrzymać z bólu.

Jak to się stało, że w końcu trafiła pani na wulwodynię?

Zaczęłam czytać i drążyć. Koleżanka podsunęła mi jakiś artykuł o wulwodynii. Przeszukiwałam internet i trafiłam na zamkniętą grupę kobiet, które tak jak ja musiały zdiagnozować się same. To, co tam opisywały, sprawiało, że włos jeżył mi się na głowie. Im też nikt nie chciał lub nie mógł pomóc, a przechodziły kolejne zbędne zabiegi: lasery, rehabilitacja kręgosłupa, plastyka krocza.

Czy ta diagnoza coś zmieniła w pani życiu?

Ból jest mniejszy?

Jest dużo lepiej. Istotne jest to, że wiem, co mi dolega. Kobietom pomaga świadomość rozpoznania. Choroba istnieje, więc jesteśmy normalne. Mimo wszystko to jest cały czas ciężka praca. Trzeba nauczyć się konkretnie oddychać. Tego oddechu uczyłam się przez osiem miesięcy i nadal nie jestem w tym najlepsza.

Trzeba umieć się wyciszyć. Nie można się denerwować, trzeba żyć spokojnie, ale jeśli pojawia się ból i lekarze wciąż powtarzają, że to jest w głowie, to ja się spinam. Potrzebna jest urofizjoterapia. To trzeba rozmasować, tam w środku wszystko jest zaciśnięte. Masaż pęcherza to jest coś okropnego.

Ta choroba dotyczy kobiet w pewnym wieku?

Nie. Pacjentki mogą mieć 70 lat, ale i 10. Zastanawiam się, co z tymi dziewczynkami, jak je leczyć, skoro są dziewczycami. To musi być dramat.

Czy ta choroba wpłynęła na pani kobiecość?

Co z tej kobiecości może zostać, jak człowiek siedział taki obolały i nieumyty. Nawet dziś rano miałam taki ból pęcherza... ale teraz wiem, że nie jest to zapalenie.

A życie intymne? Rodzina?

Nie było tego życia. Był tylko ból. Niektóre kobiety zmagają się z tym od urodzenia. Trzeba powiedzieć też o upadku rodziny. Przecież dzieci widzą matkę, która godzinami leży obolała, chora. To, że nasza rodzina to przetrwała, jest już chyba taką siłą od Boga.

Zawsze byłam pogodnym człowiekiem, ale ta choroba strasznie mnie złamała. W pracy nikt mi nie wierzył. W ubiegłym roku byłam cały czas na zwolnieniach, dlatego uważali, że wymyślam. Niektórzy sugerowali, że byłam za granicą na wycieczkach. Dopiero jak zostałam twarzą kampanii, zobaczyli, że mówiłam prawdę.

To pierwsza taka kampania, która mówi o wulwodynii. Ma uświadamiać zmagające się z takimi dolegliwościami kobiety?

Zaangażowałam się w kampanię, ponieważ mam nadzieję, że uda mi się pomóc innym kobietom. Gdybym trzy lata temu trafiła na taką historię, gdyby jakaś kobieta nie wstydziła się o tym powiedzieć, pewnie nie przeżyłabym tego koszmaru.

Kiedy zapytałam mojego lekarza rodzinnego, czy przychodzą do niego takie kobiety jak ja, odpowiedział, że tak, ale wspominają o tym zdawkowo. Zamykają oczy, krępują się. To jest choroba wstydliva, intymna. Co powiesz? Że boli cię krocze, że śpisz bez majtek, że nie można uprawiać seksu?

Teraz chcę normalnie żyć. Próbuję. Jeśli ja nie będę o tym mówiła, to kto to zrobi?

Lekarzom ta kampania też jest potrzebna?

Niektórzy lekarze nie wiedzą nawet, że istnieje taka choroba. Wciąż zderzam się ze ścianą. Specjaliści nie diagnozują nas pod tym kątem. Rozmawiałam z wieloma z nich, obiecali pomóc, ale teraz milczą.

Nie jesteśmy oplącalnymi pacjentkami. Nie możemy też skorzystać z refundowanych leków. Nie przysługują nam. Lekarz nie może wypisać mi także zwolnienia z powodu wulwodynii. Dostawałam je zawsze na chorą głowę.

Byłam w NFZ-ecie, chciałam rozmawiać z dyrektorem, ale skierowali mnie do byłej rzeczniczki. Ona powiedziała mi: „Proszę pani, w Olsztynie wszystkie gabinety leczą wulwodynię. Jest psychoterapia, jest leczenie bólu, rehabilitacja”. Poprosiłam ją wtedy, aby wyjęła kartkę i wypisała wszystkich takich lekarzy, bo okazuje się, że może to miasto przoduje w leczeniu tej choroby... ale nie napisała nic.



Ciechocinek po godzinach. „Dopiero tutaj, po pięćdziesiątce, dowiedziałam się, czym jest seks”

Tekst: Daria Różańska | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

*Józef miał ze sto partnerek seksualnych, z czego połowę w sanatoriach.
– Rozległe życie towarzyskie tu kwitnie, panowie przyjeżdżają w sprawie pań,
panie w sprawie panów – rzuca Kazimierz, jeszcze dwa lata temu dorabiał
jako fordanser.*

– Tu zdrowy klimat, oddychać można pełną piersią. Na fajfy też się chodzi, bo to samo zdrowie: tańczy się i podrywa. Jak się pani zestarzeje i tutaj przyjedzie, to pani zobaczy, że zakochać się można z pięć razy – mówi na oko 70-letni kuracjusz.

– Podczas jednego turnusu? – pytam zaskoczona.

– Nie, w życiu. Ale podczas turnusu też można. Jak ja byłam na 12, to pani wie.

– Ale pan z żoną jeździ.

– Ale nie zawsze z nią przyjeżdżałem. Teraz na stare lata, żeby mnie pilnowała – uśmiecha się.

W środę przed południem ciechocińskie ulice świecą pustkami. Kuracjusze zażywają teraz kąpeli solankowych czy perełkowych, pływają w basenach albo siedzą w kriokomorach. W miasto ruszą dopiero po obiedzie, wprost na popołudniowy dancing, czyli fajf. Włożą eleganckie futra, garnitury, wyczeszą włosy, zabiorą buty na przebranie i będą tańczyć przynajmniej do 17.30. Chwilę odpoczną i dalej czmychną na dancing. – A potem jak Bóg da. Albo coś się trafi, albo samotnie się wróci do pokoju – puszcza do mnie oko jeden z mężczyzn w kultowym Bristolu, zwanym też stodołą. Trzeba tu być wcześniej, żeby zająć sobie miejsce siedzące.

Fajfy to samo zdrowie

Jesteśmy po 14. A w środku już jest tłoczno. Większość kuracjuszy siedzi przy okrągłych stolikach. Niektórzy posilają się obiadem, inni rozgrzewają herbatą, a jeszcze inni – dodają sobie odwagi alkoholem. Wszyscy czekają na muzykę na żywo, niektórzy samotnie. Piosenki lecą tu trójkami: wolna, szybka i do pobujania się. Potem chwila na przekąskę, znalezienie partnera i znów w tany.

Kobiety są elegancko ubrane, starannie pomalowane i wyczesane. Królują koki i tapiry. W tańcu najlepiej falują sukienki i spódnice – więc prawie każda pani którąś z tych dwóch ma na sobie. Co odważniejsze – odsłoniły obfite biusty, ramiona i nogi. Panowie mniej się przyłożyli: na górze przeważnie są koszulki polo, na dole – dzinsy. Ci 80+ są bardziej eleganccy – wybrali garnitury. Gdy muzyka zaczyna grać, sala błyskawicznie się zapełnia. Po parkiecie stukają obcasy. I tak przy disco polo pływają pary, ale i samotne gracie skupione w kółeczkach. Niektóre wyglądają jak mężczyźni. Ich jest tu zdecydowanie więcej.

Idealny obrazek, by uwiecznić go na zdjęciu czy filmie. Ale nic z tego: zakaz wstępu z kamerą i aparatem. Powód: kuracjusze sobie tego nie życzą, podobno obrażają się za kamerę i opuszczają lokal. Podobno chcą być incognito – usłyszymy jeszcze w kilku miejscach w Ciechocinku. – A jakby pani zdarzyło się raz przyjść z mężem, a potem z jakimś innym panem? – słyszę. – Ja jestem ślepy i głuchy – odpowiada mi szatniarz, gdy próbuję zagadnąć go o klientelę słynnej stodoły.

Zabawa i erotyzm

– Tu w Ciechocinku to jest cały świat. Kanada, Stany, północ Europy, cały świat, mówi pani, cały świat – słyszę przy jednym ze stolików. Siedzi przy nim czterech mocno wypchnionych mężczyzn. Jeszcze nie zaczęli tańczyć. Pytam, po co tu przyjechali. – Nawiązuje się kontakty. Energia i relaks – rzuca jeden z nich. Drugi jest albo bardziej bezpośredni, albo aż nadto żartobliwy: – Jak chce się pani wiele dowiedzieć, to bierzemy wino, porozmawiamy, potem możemy pójść na pokoje.

– Halo, halo, pan ma żonę – przypominam.

– Ale ja nie mam – odzywa się ten pierwszy. I od razu składa mi propozycję: – Jak nie wino, to może coś dożylnie? Do noska?

Nie wiem, czy to żarty, czy zaproszenie do zabawy. Domagam się odpowiedzi na wcześniejsze pytanie. I za chwilę usłyszę: – 60 procent kobiet przyjeżdża szukać tu seksu, 20 procent wcześniej za mało dawało, to teraz nadrabia. A reszta to nie wiem, po co.



Józef, król sanatoriów, w Ciechocinku kupił dom. Na stałe mieszka w Łodzi.

Chwilę później kuracjusz, który maszeruje o lasce na koncert Don Vasyła, po operacji stawu biodrowego, powie, że chodzi o leczenie tak zwaną parkietoterapią. – Dużo ruchu dobrze robi – doda, szczerząc zęby.

Kazimierz właśnie odśnieża chodnik przy jednej z głównych ulic. Na uszy naciągnął czapkę, szyję zasłonił golfem. Jest wysoki i przystojny, choć zmarszczki pod oczami i nad ustami zdradzają, że pierwszą młodość ma już dawno za sobą. – Rozległe życie towarzyskie tu kwitnie, panowie przyjeżdżają w sprawie pań, panie w sprawie panów. Latem zdecydowanie jest przewaga pań, więc często wyjeżdżają w nieutulonym smutku, żalu – o zabawie w Ciechocinku Kazimierz wiele wie.

Kiedyś bez niego żadna impreza w ciechocińskich lokalach nie mogła się odbyć. W Bristolu wprawiał się kulturalnie i uczył obycia towarzyskiego. Razem z kolegami kawalerami „latał” tam za dziewczynami. I dwa lata temu nadarzyła się okazja, by to powtórzyć, a przy okazji zasilić portfel emeryta. Kazimierz nie bardzo wie, jak zacząć o tym opowiadać. Więc przypomina o fordanserach, którzy w tańcu bawili panie. I on też przez kilka tygodni się tym trudnił. Jego koleżanka przywiozła do Ciechocinka 20 Norweżek. Kobiety na kilka tygodni zatrzymały się w Klinice pod Tężniami. I Kazimierz w Bristolu porywał je do tańca. – Obtańcowywałem panie, co nie było gratisowe. Sowiecie mnie za to wynagradzano, zarabiałem jak poseł – wspomina.

O Ciechocinku krążą przeróżne legendy. A to, że nie z powodów zdrowia, ale zabawy się tu przyjeżdża. I niektórzy wymieniają jeszcze trzecie słowo na „Z” – zdrady. – Pani, ja pracuję w ośrodku, więc wiem,

Fragment książki „Turnus” Tadeusza Porębskiego

„Ciechocińska stodoła, czy jak kto woli Bristol, to miejsce kultowe na uzdrowskiej mapie Polski. Nie ma drugiego tak znanego lokalu z dancinżem. Niedysiejszą pijalnię wód mineralnych, wybudowaną z drewna w stylu szwajcarskim w dziewiętnastym wieku i zwieńczoną wieżyczką, przekształcono w salę koncertową i restaurację. Od dziesiątków lat przyciąga spragnionych rozrywki turystów i kuracjuszy. Powiadają, że w tym lokalu skojarzyło się już kilkanaście małżeństw”.

że co niektórzy to przyjeżdżają tu, by się wyżyć. Łózka trzeszczą na pokojach. Niektórzy za 30 złotych chodzą – mówi bez ogródek mężczyzna z gęstym wąsem. – To rozrywkowe miasto i tu się żyje z kuracjuszy – dodaje jego kolega.

Były właściciel jednej z restauracji anegdotami o ciechocińskiej rozwiązłości sypie jak z rękawa. – Przyjechał tu kiedyś 70-letni staruszek. Na początku opowiadał, jak to on kocha swoją żonę, wnuki. Jakie ma cudowne życie. Poznał tutejszą i zaraz zmienił zdanie. Wrócił do baru i stwierdził, że tak szczęśliwy jak teraz to nie był nigdy. Na koniec przyszedł, by pożyczyć na hotel, bo wstydził się zaprosić panią do sanatorium – mówi mężczyzna. Opowiada też, o „trójkowych” podrywach, na które wspólnie udawać się mają wnuczka, mama i babcia. – Wnuczka podrywa, mama rozmawia, a pan jest dla babci. I to mnie dziwi, że „lokalsi” to akceptują – dodaje.

Ciechocinek i kuracjuszy w obronę bierze Tadeusz Porębski, wierny temu miastu od kilkunastu lat. To on napisał książkę „Turnus”. – To nie jest tak, że każdy tu przyjeżdża i rozgląda się tylko za tym, żeby kogoś do pościeli zaciągnąć. Jest tu trochę erotyzmu, ale to w każdym kurorcie, sanatorium, uzdrowsku – mówi nasz przewodnik po Ciechocinku.

Król sanatoriów i miłośnik kobiet

Jest chwilę przed 22. Witek, który dzień później okaże się Józefem, jest już gotowy do wyjścia z dancingu w restauracji Cztery pory roku. Opatulił się pod samą szyję, opuścił Alę, z którą dziś tańcował. Jutro znów się spotkają. Łapię go na ostatniej prostej – siadamy naprzeciwko podświetlonego na czerwono baru. W tle oczywiście „Oczy zielone”.

Józef okazuje się niekoronowanym królem polskich sanatoriów. Wyliczył, że na tego rodzaju wypoczynku był w sumie 40 razy. Chętnie zatańczy, zaśpiewa i pobawi się z kobietami. Bo – według Józefa – one przyjeżdżają tu odpocząć, ale i szukają okazji. – Bo w domu muszą być posłuszne, a tu mają luz. A jak jest luz, a facet się podoba, to pójdzie się z nim w dymek. A jak będzie jej dobrze, to wie pani... – tłumaczy pokrętnie Józef. Mówi, że „kocha kobiety trzy godziny”.

– A potem je pan porzuca? – dopytuję.

– Jestem innym samcem – zaczyna się przechwalać. – Normalnie jest tak: strzał i śpimy. A ja trzy

godziny się bawię. To one mi potem mówią: „Boże, niespotykana sprawa” – wspomina z rozmarzeniem. Wyliczył sobie, że miał 100 partnerek seksualnych. Połowę w sanatoriach. Ale to wszystko po śmierci żony, która odeszła 20 lat temu.

– Nie zdradzałem jej, bo była piękna i dała mi dwie równie piękne córki – zaczyna wątek o historii swojej rodziny. Dziś ciężko mu znaleźć kogoś, kto jej dorówna. Zwłaszcza że Józio nie szuka towarzysztwa na jedną noc, ale na całe życie. I dalej – głosem zatroskanego dziadka – pyta wprost:

– Pani jest mężatką?

– Nie, jeszcze nie – odpowiadam.

– To oby małżeństwo było szczęśliwe. Bo wszystko może się zdarzyć, ale jak już się zdarzy, to trzeba być lepszym niż przedtem – tłumaczy, patrząc mi prosto w oczy.

– Czyli, jeśli mój partner będzie dla mnie lepszy, to znaczy, że mnie zdradził? – pytam.

– Tak. Mężczyzna musi uczyć się kochania na kobietach, bo każda jest inna. To tak, jak z zupą – każ-

da inaczej smakuje. I kobieta też. Ja na przykład z kobietami rozmawiam podczas stosunku – ciągnie temat. I czeka, aż zapytam, co to za ważne tematy zgłębia. – Ona musi mi opowiedzieć wszystko, co się z nią dzieje, jak się kochamy. Ja uczę ją mowy. Bo Wisłocka tego nie powiedziała, bo była prostą babą – kwituje.

Józef tak pokochał Ciechocinek, że zainwestował w mieszkanie. I często spędza w nim weekendy, opuszczając Łódź. Wszystko dlatego, że uwielbia tańczyć i śpiewać. A w Ciechocinku tyle miejsc, tyle okazji. Ale Józef posłusznie o 22 kończy imprezę i wraca do domu. Nieraz sam, nieraz z jakąś kobietą. – Czasami zdarza się, że do południa zaproszę panią do mnie na drinka. Posiedzimy, muzykę puszcza, potem tańczymy. A jak jej się podobam, to ja przyjdę na noc. Zadzwoń – przyznaje.

Ale bez większych amorów. Bo pod względem miłości Józef podobny jest do kobiet. I zakochuje się „twardo”. – Wtedy cały czas w mojej głowie to jest. I jakby mnie kobieta zdradziła, to w życiu nie znalazłbym sobie miejsca – stwierdza. Po śmierci żony zakochał się tylko raz, ale to już skończone. Ona ma innego. A Józek wciąż ma nadzieję na miłość, choć i teraz na nic nie narzeka. – Nie czuje się samotny.



Fontanna Grzybek w Ciechocinku. To tu latem przesiadują kuracjusze.



Bristol, zwany także stodołą. Jeden z najpopularniejszych lokali w Ciechocinku.

Mam życie jak w Ameryce. Piękne mam życie
– uśmiecha się szczerze.

Kuguarzyca

Samotnie przy stoliku z numerem 38 w stodole siedzi blondwłosa gracja z wyeksponowanym biustem. Popija herbatę. To Grażynka, emerytowana nauczycielka matematyki, stała bywalczyni ciechocińskich lokali. Absolutnie nie wygląda na swoje 66 lat, choć skarży się, że po rzućeniu palenia i picia, mocno się roztyła. Wita mnie ciepłym uśmiechem. I w przeciwieństwie do innych kobiet – chętnie rozmawia.

Ma wprawę – udzielała już kilku wywiadów.

– Byłam w TTV i w „Wysokich Obcasach” – oznajmia mi.

– Na zdjęciu siedziała pani na takim różowym skuterku? – przypominam sobie.

– Tak. Ukradli mi go, ale teraz mam srebrny – cieszy się sławą i częstuje mandarynką.

Grażynka do Ciechocinka przyjeżdża od 15 lat. W sezonie na miesiąc, albo nawet na dwa wynajmu-

je tu mieszkanie. Zwykle jednak dojeżdża z Torunia. Ma niedaleko, niecałe 30 kilometrów. – Człowiek tu nie przyjeżdża, żeby kogoś poznać, ale jak się pozna, to nie jest źle. Można tu mieć przyjaciół i niekoniecznie wskakiwać im do łóżka – mówi wprost.

W tym mieście Grażynę spotkało wiele dobrego. – Znalazłam tu chłopaka, który otworzył mnie na seks. Miałam wtedy 50 lat. I ja dopiero wtedy zobaczyłam, co to znaczy, jak mężczyzna spojrzy ci w oczy, a ty jesteś już gotowa. On wyjechał do Anglii i się skończyło. Gdyby nie Ciechocinek nie wiedziałabym, czym jest dobry seks – szczerze przyznaje. To tutaj znalazła też swojego drugiego męża. Był od niej młodszy o 23 lata. Gdyby nie ta chorobliwa zazdrość, to pewnie Grażynka byłaby z nim do dziś.

Przerywa nam starszy pan w niebieskiej sportowej koszulce. Prosi mnie do tańca. Odmawiam. Ale Grażyna reaguje: – To jeden z tych, co tu woła młodsze.

I od razu uświadamia mnie, że ona też tak ma. – Jestem zadeklarowaną kuguarzycą. To kobiety, które preferują tylko młodszych mężczyzn – wyjaśnia, widząc, że nie wiem, o czym mówi. Dla niej mężczyzna, który jest tylko o osiem lat młodszy, to po prostu

staruszek. Grażynka przyznaje, że na seks jest otwarta, ale może i trzy lata bez tego żyć. Do łóżka chodzi wyłącznie z mężczyznami, którzy jej odpowiadają.

Grażyna żyje bardzo aktywnie i odważnie: od roku morsuje, trzy razy w tygodniu chodzi na fitness, dużo czyta i ogląda, uczy się też angielskiego. I jako jedną z form aktywności traktuje wypad do Ciechocinka. – Taniec w Ciechocinku to dla mnie dodatkowy ruch. Jak ktoś mnie prosi, to z nim tańczę, jak nie prosi, to idę sama – mówi. I chwilę później widzę, jak Grażynka wywija na parkiecie, i sama, i w towarzystwie.

Po dzisiejszym fajfie w Bristolu wraca do Torunia. Ma udzielać dzieciom znajomych korepetycji z matematyki. Ale jutro po zajęciach z angielskiego wpadnie o 15 do stodoły. A wieczorem wybierze się do Jubilat lub do Sanatorium pod Tężniami. I tak przynajmniej raz w tygodniu. – Dużo ludzi mówi mi, że nie boją się starości, jak na mnie patrzą – śmieje się.

Razem możemy poskakać

Są jedną z najbardziej roztańczonych par w stodole. Trzymają się za ręce. Wyglądają, jakby przynajmniej byli sobą zauroczeni. Ona – w eleganckiej bluzce i czarnych spodniach, uśmiechnięta, on – w garniturze, nieco bardziej poważny.

Jesienią poznali się właśnie tu, w Bristolu. – Spotkaliśmy się na tak zwanych fajfach. I od listopada mamy znajomość – opowiada Władysław. To warszawiak, który w Ciechocinku pomieszkuje. W listopadzie do sanatorium z Ciechanowa zjechała Basia. Wybrała się z koleżankami na fajfy. Na jej urodę połaśli się już niejedni kuracjusze. Poznała trzech. – Sporo osób tam się zapoznało – przyznaje Basia. Ale koleżanki z sanatoryjnego pokoju poradziły jej, żeby wzięła tego najspokojniejszego, Władysława.

Basia posłuchała. I od jakiegoś czasu częściej przyjeżdża do Ciechocinka. Pomieszkuje u Władysława i razem udają się na fajfy, dancingi. Wybierają różne lokale – najczęściej na fajfy chodzą do stodoły, a na dancing do Zdrojowej. Chociaż na przykład w sylwestra poszli do Teatralnej. – Dzisiaj mieliśmy wybrać się na cyganów (koncert Don Vasyła – red.), ale ja już parę razy byłam – opowiada Władek, gdy przerywam mu taniec z Basią. Pytam o wiek. I Władek nie pamięta, ile to wiosen ma za sobą. Wyciąga prawo jazdy i każe sprawdzić. 1932 rok. Ale woli, by

napisać, że ma 74 lata. Basia szczerze przyznaje się do wieku – 76 lat. Wygląda na dużo młodszą.

Oboje już dwukrotnie próbowali układać sobie życie, po dwa małżeństwa mają za sobą. Władek mówi, że z drugą żoną się rozwiódł, a pierwszą ma na cmentarzu na warszawskim Bródnie. – Tam też mam dla siebie miejsce – zaznacza. Basia pochowała dwóch mężów. Pierwszy raz wdową została w wieku 23 lat. 11 lat żyła sama. – Potem poznałam faceta o 15 lat starszego. Bardzo dobry był, ale też umarł – mówi. Gdy z Ciechocinka zadzwoniła do synowej, by powiedzieć, że zapoznała pana, to 9-letni wnuk z radością zapytał, czy będzie miał trzeciego dziadka. Ale na razie się nie zanosi – para nie ma żadnych poważnych planów. – Ja jestem uzależniony od dzieci. Ale my jesteśmy raczej szczęśliwi – odpowiada Władek.

Basia też nie narzeka. Ale nie szuka trzeciego męża. – Poważne plany? Proszę pani, to już taki wiek, pani wie, już nie ma sensu. Spotykać się będziemy. On tutaj wynajmuje pokoje, to ja mogę sobie przyjechać i poskakać. Ja tak lubię. Bo jedna synowa w Ciechanowie pójdzie do pracy, druga też, a ja nudzę się sama w domu – przyznaje Basia.

Basia: – Co mnie w tym domu, tylko sprzątać, gotować i prać? Ja nie mogę tak nic nie robić. Tyle lat pracowałam w sklepie, ciągle człowiek był w ruchu. Lepiej się człowiek czuje, jak tańczy. Mnie nawet tak lekarz powiedział. Bo i nogi się ruszają, i w ogóle fajny jest. A tu w Ciechocinku dużo zabawy i tańca.

– Wczoraj też byliśmy w stodole – informuje mnie Basia. Codziennie chodzicie? – pytam. – Po to przyjechałam, żeby się pobawić – mówi z radością w głosie. I po chwili dodaje: – A Władek taki spokojny i dobry.

74-letni Goethe za żonę chciał wziąć 17-latkę

Wieczorem na dancing wybieramy się do restauracji Cztery pory roku. Po ścianach ścigają się kolorowe lasery. „Żono moja, serce moje” – przygrywa do tańca pan w czerwonej koszuli. Tu także płąsa się głównie przy muzyce disco polo. Ale średnia wieku na tym dancingu jest o wiele niższa niż w pozostałych ciechocińskich lokalach.

Ludwig (powtarza, by pisać jego imię przez „g”) na parkiecie od razu rzuca się w oczy. Świetnie się rusza

i tak samo dobrze wygląda. Ma smukłą sylwetkę, elegancko ułożone włosy. Cały wystąpił dziś w czerni. Błyszczą się tylko spinki od mankietów jego koszuli. Mówi, że nie jest próżny. Ale wie, że jest atrakcyjny.

Tańczy zarówno sam, jaki i z paniami. Jak mi za chwilę powie: porusza się na parkiecie po to, by „wytńczyć swój stan emocjonalny”. Porywam go na moment. Siedzimy przy stoliku, a Ludwig ręką z czoła ściera krople potu, które są tylko potwierdzeniem udanej zabawy. Dowiaduję się, że jest pisarzem i swoją twórczością lubi wkładać kij w mrowisko. Ma już na swoim koncie jedną – nieco kontrowersyjną – książkę („Śmiertelna misja”) i właśnie pracuje nad kolejną. – Przeprowadziłem dyskurs na temat duchowości człowieka – opowiada. Kiedy nie pisze, to pracuje jako technik w rodzinnej firmie w Niemczech, gdzie wyjechał w ’72 roku. Jest kontrolerem jakości. Do Ciechocinka będzie przyjeżdżał do 23 marca.

Ludwig jest stałym bywalcem ciechocińskich dancin-gów. Przyjeżdża tu od pięciu lat. Głównie po to, by odpocząć, ale w sposób aktywny: tańcząc, spacerując. Ale i po to, by kogoś poznać. Tyle że wcale nie jest tak prosto, gdy szuka się partnerstwa, ceni wolność. A wraz z urodą w parze musi iść inteligencja. – Moja wolność jest więcej warta niż wiele relacji – podkreśla. Jemu zależy na tym, by w związku z kobietą połączyć kilka elementów. – To znaczy sferę socjalną, aktywności sportowej, rozrywkowej, seksualnej. Oczekuję wytworzenia jakiejś płaszczyzny, gdzie będąc nawet w ekstremalnej sytuacji, dojdzie do jakiegoś rozpoznania. Wyciągnę jakieś niebywałe wnioski – tłumaczy.

Był na przykład z kobietą, która była wdową i pewnego dnia zaprowadziła go na grób swojego męża. Dla niego ta sytuacja była inspiracją. – Zadałem jej przy



tym grobie pytanie: „Czy potrafiłabyś uzasadnić moje bycie przy tobie byłemu mężowi”. Powiedziała, że tak. To było dla mnie ciekawe, to był pomysł na sztukę, nawet jeśli to byłaby jednoaktówka – zaznacza. Dla niego samo zaspokojenie seksualne to zbyt mało.

Ludwig ma jeden problem z sanatoryjnymi znajomościami. – Tu nie wolno się otwierać, doprowadzać do wymiany światopoglądów, trzeba unikać trudnych tematów. Inaczej kobieta odejdzie – tłumaczy. Wspomina o jednej sytuacji. Chciał zaprosić już niejedną panią na tańce do Pałacu Bursztynowego we Włocławku. – Bardzo dobra sala taneczna, świetna orkiestra. Ale przychodząc tam, przyjmuje się pewne zobowiązania. Trzeba być dobrze ubranym. Proponując to tutaj kobietom, ta oferta była odrzucana. Z uwagi na to, że one się boją. One są przyzwyczajone do tego poziomu tutaj – tłumaczy Ludwig. Mówi piękną polszczyzną, starannie dobiera słowa. A w tle leci piosenka o niezbyt wyszukanej treści – „Jak się masz, kochanie”.

To pragmatyk i romantyk. Jest tu łakomym kąskiem dla wielu kobiet.

– Ale dla mnie budowa uczucia to praca. Choć jestem w stanie uwierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia. Jestem romantykiem. Gdyby było ciepło, to pojechałbym z partnerką nad jezioro, przy blasku księżycy puścił Paganiniego i mówilibyśmy sobie ładne teksty. To moje wnętrze – obrazuje.

Ludwig ma właściwie dwa marzenia: chciałby, żeby książka „Trybunał Boga” „została wydana w powszechnym obrocie” i by jego publikacje rozpoczęły dyskusję. Ale to nie wszystko: – Marzę, by raz jeszcze rozpocząć życie. Zaproponować młodej kobiecie ślub, począć dziecko. Zresztą sprawdzałem w literaturze i wydaje mi się, że nie ma w tym nic nienormalnego. Goethe, mając 74 lata, proponował małżeństwo 17-latce. Uważał, że to poważna oferta. Matka tej młodej damy oczywiście ją odrzuciła. Ale i ja mógłbym złożyć komuś taką propozycję. To bardzo poważna sprawa, w końcu oferuję siebie – zaznacza.

Dzień później wysłałem Ludwigowi tekst do autoryzacji. Chcę, by przypomniał mi, ile ma lat. „Proszę określić mój wiek według wrażenia, jakie na pani zrobiłem podczas rozmowy. Jest to przecież dopuszczalne, bo nie chodzi o tekst historyczny czy biograficzny” – czytam w odpowiedzi. I po raz kolejny przekonuję się, że kuracjusze w Ciechocinku chętniej mówią o swoich podbojach seksualnych niż o wieku.

Superbohaterowie nocnej Warszawy

Tekst: Kamil Rakosza | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Trzęsę się z zimna, czekając na przystanku na 507. Para wydmuchiwana z ust jest prawie tak gęsta, jak tytoniowy dym i zastanawiam się, czy Bartek ze swoją ekipą medyków ulicy w ogóle wybierze się w taką pogodę na Dworzec Centralny. Autobus podjeżdża, wsiadam i profilaktycznie wybieram numer mojego rozmówcy.





Bartłomiej Matyszewski



Anna Jastrzębska

– Tak, będziemy – słyszę w słuchawce niski głos Bartka Matyszewskiego, wiceprezesa zarządu fundacji Fortior. – Rozkładamy się przy wjeździe na strzeżony parking, spotkajmy się tam chwilę po godzinie 20.

Bartek Matyszewski, Anna Jastrzębska i towarzyszący im wolontariusze są dobrze znani w środowisku bezdomnych kręcących się w okolicy Dworca Centralnego. Wystarczy zapytać któregoś z nich o medyków, a pewnie wskażą miejsce nieopodal postoju taksówek. Praktycznie w każdy poniedziałek i piątek montuje się tam „polowy punkt pierwszej pomocy”.

Poniedziałkowej nocy w okolicy warszawskiej stacji ściągnęło sporo osób bez dachu nad głową. Tuż obok schodów prowadzących do przejścia podziemnego wolontariusze wydają gorące napoje i zupę. 50 metrów dalej swój sprzęt medyczny rozstawiają nasi superbohaterowie.

Anna Jastrzębska jest pomysłodawczynią i panią prezes fundacji Fortior, bardzo długo sama prowadziła Medyków na Ulicy. Potem zaczęły przyłączać się kolejne osoby, ale tak naprawdę to ostatni rok był czasem największego rozrostu, kiedy pod dworzec zaczęło przychodzić więcej chętnych do niesienia pomocy. Wcześniej przez dziewięć lat zdarzało się pomagać bezdomnym w pojedynkę, czasem we dwie-trzy osoby.

– Tu się nic nie zmienia – mówi mi Jastrzębska. – No może potrzeby, czasem podopieczni.

Są takie okresy, kiedy zastanawiamy się, czy to ma jakikolwiek sens, ale później zdarza się jakaś sytuacja, która powoduje wystrzał hurraoptyzmu, i energia do pomocy wraca. Wątpliwości pojawiają się jednak, kiedy przydarzy się coś przykrego albo niepokojącego. To taka praca, trzeba się do nich przyzwyczaić – wskazuje swoich podopiecznych.

Za pracę nie dostają nic poza satysfakcją, że mogli komuś przynieść ulgę w bólu. Że pomogli komuś znaleźć noclegownię na zimę. Że dzięki ich działaniu ktoś nie trzęsie się już w alkoholowej deliracji i choć na kilka miesięcy przestał zaglądać do butelki. Medycy na Ulicy są najbliższymi życia, na które my często nie chcemy nawet patrzeć. I choć pewnie sami by tak o sobie nie powiedzieli, ja mam ich za prawdziwych superbohaterów.

– Cały czas brakuje nam rąk do pracy – mówi Bartek. – W tegoroczne wakacje pobiliśmy rekord – 35 pacjentów jednej nocy. Czasami przychodzi tych osób bardzo dużo. Wiadomo, im cieplej na zewnątrz, tym większa frekwencja.

O dzisiejszej nocy na pewno nie można powiedzieć, że jest ciepła. Chłód wali po odsłoniętych dłoniach i kostkach, co chwilę ktoś z wolontariuszy zajmujących się wydawaniem jedzenia proponuje nam gorącą kawę lub herbatę. W takich warunkach pracują Medycy na Ulicy – opatrując rozbite w bójkach nosy i łuki brwiowe, wymieniając bandaże na niegojących się ranach na łydkach bezdomnych.



– Bezdomni mogą liczyć na doraźną pomoc – przy zmianie opatrunku i inną bardzo podstawową opiekę medyczną w granicach naszych uprawnień. Mamy tutaj ratownika medycznego, czasem lekarza. Najczęściej ogarniamy jednak najbardziej podstawowe rzeczy, z którymi nie radzą sobie osoby pozabawione dachu nad głową – opowiada Bartek.

Anna Jastrzębska jest interwentem kryzysowym, jeśli któryś z bezdomnych wyrazi chęć, kobieta pomaga takiej osobie w znalezieniu właściwego ośrodka – noclegowni albo detoksu – w zależności od konkretnego przypadku.

– Widzieliście Dziadka? – kobieta przechodząca chodnikiem wzdłuż Alei Jerozolimskich zwraca się w naszą stronę.

– Niejednego, proszę pani – odpowiada Bartek.

– Ale Dziadka, bezdomnego, tak po prostu na niego wołają.

– Aaa, Dziadka... Dziadek od wczoraj jest na ośrodku.

Nawet te brudne i w zamyśle nieugładzone historie nocnej Warszawy, które pompują nam w mózgi kolejne filmy i seriale, wyglądają płasko przy pięciu minutach rozmowy z bezdomnym przychodzącym do medyków po pomoc. Spotkani przez nas ludzie nie muszą niczego przed nikim udawać. W ich świecie wszystko widać na pierwszy rzut oka. Fałsz potrafi zdradzić nawet najmniejszy gest.

W osobliwej przychodni pojawia się Jacek, dostrzegam, że w lewej dłoni brakuje mu dwóch palców. Potrzebuje maści na rany, które wystąpiły na jego knykciach, wyglądają na powstałe wskutek bójki. Wraz z nim przychodzi jeszcze jeden mężczyzna, który mimo mrozu nie ma na sobie żadnego ciepłego odzienia. Po chwili Ania wyciąga z samochodu zimową kurtkę i oddaje mu ją.

– A tobie co się stało? – pytam.

– Piję. Chcę iść na detoks – mówi, nie podnosząc wzroku. – Wiesz, to jest tak, że kiedy bezdomny zadzwoni i spyta o ośrodek, czasem rzucają słuchawką. Pani Ania jednak wszystko załatwi.

– Byłeś już kiedyś na ośrodku?

– Kilka razy, takie życie. Ale teraz mi się uda.

Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, Medycy nie muszą obawiać się ataku lub kradzieży ze strony bezdomnych. Mają u nich większy szacunek niż którykolwiek z miejskich działaczy, którzy obiecali pomóc osobom mieszkającym na ulicy.

– Tu ludzie starają się nas szanować, choć zdarzyła się kiedyś taka sytuacja, że jedna z podopiecznych próbowała nam ukraść maść. Jej na pewno bardziej to zaszkodziło, bo w środowisku bezdomnych spotkał ją ogromny ostracyzm i grupa mocno ją napiętnowała za okradanie Medyków – opowiada Anna Jastrzębska.



– Zapadła mi w pamięć sytuacja, kiedy kolega zgubił dwie złotówki pod Pałacem Kultury i Nauki. To było jakoś przed Wielkanocą, w piątek odwiedziliśmy bezdomnych z ciastem. Kiedy w poniedziałek pojawiliśmy się znowu z jedzeniem i opatrunkami, okazało się, że oni przez cały weekend na zmianę pilnowali tych zgubionych monet. Powiedziałam, że mogli je sobie zabrać albo po prostu przetrzymać w kieszeni.
– Pani Aniu, ja jestem złodziej, ale z zasadami: nieswojego nie ruszam – dodaje prezes fundacji Fortior.

Ktoś ponownie przechodzi z kawą, Jacek, który trzęsie się z zimna, wyciąga rękę po styropianowy kubek. – Dobra kawa, jaka słodziutka – komentuje.

– To są bardzo dobrzy ludzie. Bardzo często mi pomagali – Jacek nachyla się nad moim uchem.
– Dzisiaj to drobnostka, drobna rana, ale kiedyś miałem poważniejszy uraz i pani Ania bardzo mi wtedy pomogła. Amputowano mi dwa palce, miałem wypadek z udziałem autobusu, kierowca chyba był nietrzeźwy.

Obok nas ciągle pojawiają się nowi bezdomni. Niektórzy z nich w stanie upojenia, przez który nikt nie wpuściłby ich do zwykłego gabinetu lekarskiego, nawet jeśli mieliby ubezpieczenie. Pijany mężczyzna zaczepia Jacka.

– Daj mi się napić, Jacuś. Chcesz, żebym umarł?

– Nie, ja nie chcę, żebyś umarł.

– No to, k***a, daj mi się napić – rzuca, zabierając Jackowi kubek kawy. Po chwili znika jak kamfora, rozplywa się w otoczeniu kilkunastu podobnych do niego osobników.

– No pić mu się chciało, przecież nie będę się na niego gniewał – mówi Jacek, dostrzegając skonsternowanie na mojej twarzy.

– To musi być jednak ciężkie, że cały czas wracają do was ci sami ludzie. Że nie ma w ich życiu poprawy na lepsze. Często tak się dzieje? – pytam Anny Jastrzębskiej.

– Stali bywalcy przychodzą do nas na pogaduchy. W ich przypadku stosujemy metodę redukcji szkód, kiedy u pewnych osób nie ma woli zmiany. Co prawda niewielu jest takich ludzi, którzy z bezdomności zrobili swój sposób na życie, jednak i tacy się pojawiają – mówi moja superbohaterka.

– Takiego człowieka po 20-30 latach życia na ulicy bardzo trudno nauczyć stosowania się do ogólnie przyjętych norm, płacenia podatków, założenia rodziny. W takich wypadkach pomagamy tym osobom na tyle, na ile jest im to potrzebne do przetrwania. My nie możemy nikogo zmusić do zmiany, taka osoba po prostu musi tego chcieć. Wyciągamy dłoń, jednak to nie od nas zależy, czy ktoś ją złapie.

Z kaleki zrobili ubeka. Za to, gdzie 50 lat temu pracował jego ojciec

Tekst: Daria Różańska | **Zdjęcia:** Stefan Ronisz

– Najpierw zabrali część renty mojemu tacie, który leży w grobie. A po ojcu został niepełnosprawny syn, czyli ja. No to mnie też zabrali. Czuję się okradziony – mówi wprost Jerzy Kamizela.

Jerzy nie przypomina sobie, żeby tata przychodził do domu upačkany krwią. Nigdy nie widział na jego mundurze czerwonych plam. – No gdzie, jak tata mógłby zrobić komuś krzywdę? Tego nie było – zarzeka się.

Trudno mu dziś zrozumieć, dlaczego najpierw listonosz przyszedł z pismem z Warszawy, w którym przeczytał, że jego ojciec „pełnił służbę na rzecz ustroju totalitarnego”. I dlaczego później przyniósł mu o połowę niższą rentę. Ta została mu po tacie.

Dziś Jerzy ma 63 lata i pewnie poszedłby dorobić, gdyby nie pierwsza grupa inwalidzka i niepełnosprawne ciało. Jest częściowo sparaliżowany, kręgosłup ma wygięty w literę „c” i porusza się na wózku inwalidzkim. Ostatnio coraz bardziej narzeka na zdrowie. – Czuję się okradziony. Jak miałbym się czuć, kiedy odebrali mi połowę renty? Może od tego dostałem takiego „kopa w głowę”? Codziennie wspominam, ile biorę i ile brałem. To takie poczucie niesprawiedliwości – ciągnie zrezygnowany. Wydaje się zmęczony. Trochę zarósł. Długo nie mógł wynurzyć się spod kołdry, na początku wystawił tylko głowę.

Według Instytutu Pamięci Narodowej ojciec Jerzyka – Marian – od listopada 1950 roku do grudnia 1954 roku „pełnił służbę na rzecz państwa totalitarnego”. – Pracę w więzieniu zaczął w 1950 roku jako strażnik, później był kapitanem, ostatnio – dowódcą zmiany – to Jerzyk pamięta doskonale. Wie też, że ojciec 30 lat przepracował w kilku więzieniach w Kielcach. I jest pewien, że nie pilnował więźniów

politycznych, ale przestępców. Tak zarabiał na utrzymanie czteroosobowej rodziny. Był jej jedynym żywicielem, bo matka nigdy nie pracowała.

Kiedy siostra poszła na swoje, a mamę zabrała choroba, to Jerzy został w bloku przy Romualda w Kielcach tylko z ojcem. Ten się nim opiekował. Ale siedem lat temu zmarł i tata. Zostawił synowi mieszkanie w bloku, swoją emeryturę i zadbał o to, by Jerzykiem opiekowała się wnuczka. Układ był prosty i uczciwy: ona dostaje połowę mieszkania i część renty w zamian za pomoc. Bez niej jest mu trudno.

Ojciec i syn

– Może pani przyjechać, siostrzenica będzie akurat w domu, to otworzy drzwi. Nie będzie kłopotu





– zapowiada przez telefon. Długo próbujemy się umówić w jego mieszkaniu w Kielcach, ale ciągle na przeszkodzie staje jego kiepskie samopoczucie.

Wreszcie się udaje. Jerzy zaprasza nas do swojego pokoju, o którym mówi „królestwo”, ale nie ma nawet siły wstać z łóżka. Przestał wychodzić z domu. Od 11 dni nie oglądał świata. Długi i wąski pokój wypełniony jest po brzegi płytami, książkami, albumami, pocztówkami z różnych miejsc, również takich, w których Jerzy nigdy nie był i nie zamierza pojechać.

Z ramek patrzą na niego rodzice i kot, którego ktoś otruł. Wszyscy są już na tamtym świecie. W pokoiku dumnie stoją dwa komputery, telewizor. Te sprzęty zapewniają mu najwięcej rozrywki. Na półkach równiutko poukładane są czasopisma i książki o kinoskopach, elektronicznie. Bo Jerzy lubi je sobie poprzeglądać – z zawodu jest technikiem elektronikiem. Szkołę skończył w Poznaniu. I pamięta, jak ojciec nosił go na barana do pociągu, jeszcze parowego. – Skończyłem to technikum i od tej pory już jestem w domu. Gdzieś tak od około 40 lat – liczy.

Chciał się uczyć, wiedzieć jeszcze więcej, ale nigdy mu się ta wiedza nie przydała. Nie znalazł pracy w zawodzie. – Tata w końcu powiedział: „Synek,

będziesz siedział w domu” – i siedzi. Zresztą trudno byłoby mu wysiedzieć przez osiem godzin w pracy. W wózku może wytrzymać tylko w jednej pozycji.

Bo Jerzy od drugiego roku życia walczy z konsekwencjami choroby Heinego-Medina. Kiedy się urodził, pielęgniarka w szpitalu poradziła rodzicom, żeby szybko go ochrztili, bo nie wiadomo, czy przeżyje. Miał całkowity paraliż nóg, rąk i kręgosłupa. – Sam jestem zaskoczony, że jestem na tym świecie już 63 lata. Nie spodziewałem się, że będę tak długo żył – mówi, jakby żartował. Z rękami jest lepiej, ale jego nogi pozostają bezwładne. A Jerzy ostatnio ma problem nawet, by się wykapać.

Dopóki rodzice żyli, to Jerzyk był ich oczkiem w głowie. Robili, co mogli, żeby mógł się rozwijać. Jeździli z nim maluchem do sanatoriów w Ciecho-cinku, w Bieszczady, do Buska. Zostały pocztówki, które Jerzy kolekcjonuje w albumie. Niektóre wieszka na ścianach, te trochę wyblakły, choć do jego pokoju nie wpada zbyt wiele słońca.

Pozostały też wspomnienia. Jeden z kolegów z sanatorium w Busku – Czesław Mirosław Szczepaniak – na łamach „Gazety Wyborczej” tak opisał relację syna i ojca: „Tata Jerzego pojawiał się niezależnie od pory roku i pogody. Był niezawodny. Strzegł Jerzego

jak żrenicy w oku. Tak po ojcowsku. Minęło już tyle lat, a ja jestem pod wrażeniem pana Mariana”.

I ojciec zrobił, co tylko mógł, żeby i po śmierci synowi niczego nie zabrakło. – To rodzice sprowadzili siostrzenicę. Właśnie z myślą, że jak kiedyś ich zabraknie, to będzie ona – szepcze. – Tata zachorował na raka płuc, zawsze palił. Przeżyłem to mocno. Tak jak dziecko przeżywa śmierć rodziców – dorzuca.

„Ubek” i jego syn

W grudniu, kiedy naprędce i pod osłoną nocy PiS uchwalił ustawę dezubekizacyjną, Jerzy myślał już o świętach. Choć w telewizji czy radiu usłyszał o tej pamiętnej nocy, gdy marszałek Kuchciński przeniósł obrady do Sali Kolumnowej. A do środka nie wpuszczono niektórych posłów opozycji. Było niechlujnie, na szybko, bez konsultacji. I wyszło – według niektórych prawników – niezgodnie z konstytucją.

– Dla mnie to była bomba – zapamiętał Jerzy.
– I bach, uchwalają jakąś ustawę dezubekizacyjną. Zmniejszymy tam strażakom, policjantom, pracownikom służby więziennej i jeszcze paru innym grupom o połowę. Kiedy to usłyszałem, to powiedziałem: „Co się tu – nie będę kłął – dzieje?” – irytuje się i teraz.

Potem słyszał, jak cały rząd – z ówczesną premier Beatą Szydło na czele – szczylił się, że wypełnił obietnicę, z którą szedł do wyborów, i obniżył emeryturę esbeckim oprawcom. I mało tego, przywrócił sprawiedliwość społeczną. I szlag go trafiał, bo przecież jego ta sprawiedliwość ominęła.

Szydło tonem zbuntowanej nastolatki wytykała, że „oprawcy mają większe uposażenie” i za swoje „nieczne czyny w ogóle nie zostali ukarani”. A tymczasem „ich ofiary bardzo często musiały żyć na skraju nędzy”. I ciach – wszystkim, którzy „służyli na rzecz totalitarnego państwa” (od 22 lipca 1944 roku do 31 lipca 1990 roku) – obcięto emerytury i renty. Stracili byli funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, funkcjonariusze BOR, Straży Granicznej, Państwowej Straży Pożarnej. Ale i sprzątaczkę, kucharkę, ludzi, którzy przepracowali choćby jeden dzień na rzecz Służby Bezpieczeństwa PRL. Ta ustawa wszystkich wrzuciła do jednego worka.

Na początku września 2017 roku roku listonosz przyniósł Jerzemu decyzję o ponownym ustaleniu wysokości renty. I tak z 3500 zł zostało mu 2100 zł.
– Czyli właściwie to o 50 proc. mi ją obniżono.

W skład tej sumy oprócz renty po tacie wchodzi tzw. dodatek pielęgnacyjny – coś około 200 zł, i dodatek sierocy – 400 zł – wylicza.

W zdawkowym uzasadnieniu napisano tylko, że Marian Kamizela przez cztery lata „służył na rzecz ustroju totalitarnego”. Powołano się na dokumenty IPN, ale nic więcej nie dodano. Jerzy Kamizela jest przekonany, że jego ojciec nie miał do czynienia z więźniami politycznymi, dlatego czuje się pokrzywdzony i oszukany.

– Potraktowali mnie jak UB-eka. Myślę, o co tu właściwie chodzi... Ojciec nie żyje, ja już ledwo ziępię i tu bach, o połowę rentę obcięli – żali się Kamizela.

Napisał już odwołanie do Sądu Okręgowego w Warszawie. Raz jeszcze uzasadnił, że ojciec nie pracował w Służbie Bezpieczeństwa, tylko w Służbie Więziennej. – Najpierw się odwołałem do MSWiA, bo stamtąd dostawałem rentę. No i przysłali mi jakiś paperek, że wszystko jest zgodnie z prawem. Poinformowali mnie, że będzie jakaś tam rozprawa. Ale nawet nie napisali, kiedy i gdzie – opowiada Jerzy.

Jeden z wielu

Szybko w obronę Jerzego Kamizelę wzięli Rzecznik Praw Obywatelskich i Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Po publikacji „Gazety Wyborczej”, która jako pierwsza opisała jego trudną sytuację, ruszyła lawina. – Sprawa jest rozwojowa, była korespondencja z IPN. Toczą się konkretne działania – mówi nam Grzegorz Krawiec z biura Rzecznika Praw Obywatelskich. I krytykuje ustawę dezubekizacyjną, która zadziałała generalnie.

– Nie było tutaj pewnej indywidualizacji, co jest krzywdzące. Rzecznik wielokrotnie zwracał uwagę, że ta ustawa jest niesprawiedliwa, wiele osób dotyka



w taki sposób, w jaki nie powinna. Nie powinno być zbiorowej odpowiedzialności – zastrzega Krawiec.

Wtórjuje mu Adam Klepczyński, prawnik z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, która także planuje pomóc Jerzemu Kamizeli. – Wszystkie przypadki powinny być rozpatrywane indywidualnie. Ten pana Jerzego mocno bije w oczy. Bo pan Kamizela odpowiada za to, gdzie w latach 50. pracował jego tata. A pracował on w służbie więziennej, która w tamtym czasie była podporządkowana ministerstwu, które następnie zostało automatycznie podciągnięte pod tę ustawę. Więc każdy, kto tam pracował, ma obniżoną rentę czy emeryturę – wyjaśnia nam prawnik Adam Klepczyński.

Fundacja ma zamiar w sprawie Jerzego Kamizeli złożyć tzw. orzeczenie przyjaciela sądu. – To obiektywna opinia, w której będziemy chcieli wskazać pewne standardy konstytucyjne i międzynarodowe dotyczące ustawy dezubekizacyjnej, która ma bezpośrednio odniesienie do sprawy pana Jerzego – tłumaczy Klepczyński.

Kamizela jest jednym z wielu poszkodowanych przez ustawę dezubekizacyjną. Do Zakładu Emerytalno-Rentowego MSWiA wpłynęło 25 tys. odwołań.

W mediach opisano już wiele przypadków samobójstw byłych funkcjonariuszy, którzy targnęli się na swoje życie po wprowadzeniu ustawy dezubekizacyjnej.

– Na chwilę obecną mamy 32 zgony, 7 przypadków to są samobójstwa. Duża grupa to zawały, udary lub wylewy, które nastąpiły bardzo często w momencie otrzymania decyzji z Zakładu Emerytalno-Rentowego – mówiła Tomkowi Ławnickiemu z naTemat Grażyna Piotrowicz, była policjantka, która prowadzi od ubiegłego roku „białą księgę”. Spisuje w niej skutki ustawy – jak ją nazywa – represyjnej.

Oczekiwanie

Jerzy nie zamierza odpuścić i zrobi wszystko, żeby odzyskać swoje pieniądze. Pomaga mu córka siostry. – Ona kształci się na prawnika. Dałem jej te dokumenty, bo ja nie wiem, co tam napisać. Przecież nie napiszę takiej odręcznej kartki – zaznacza.

Ale Jerzy ma już coraz mniej siły na taką walkę i wymianę korespondencji. Nie wie nawet, czy miałby tyle siły, żeby przyjechać na rozprawę do Warszawy. Może gdyby wsiał do samochodu siostrzenicy?

To ona teraz się nim opiekuje i zajmuje pozostałą część domu. Gotuje, pierze, robi zakupy. – Jak jeszcze jeździłem na wózku, to rentę dzieliłem na pół. Połowa dla siostrzenicy, połowę zostawiałem sobie. Ona płaci za mieszkanie, prąd, wodę. A teraz jak przyjdzie listonosz, siostrzenica odbierze, to powiem jej: „Weź se wszystko”. Bo ja już się nie podniosę – mówi ze smutkiem.

Każdy jego dzień jest podobny do poprzedniego. Rytm wyznaczają posiłki. – Budzę się, otwieram oczy – żyję. Wyłażę spod kołdry, zakładam skarpetki. No i siadam na wózek. Kiedyś zakładałem jeszcze spodnie, teraz już tego nie robię. Jadę do kuchni, robię śniadanie – skrupulatnie odtwarza swój dzień.

– Wujek umie sobie zrobić śniadanie, kolację, ale ktoś zakupy musi zrobić, drzwi otworzyć, być tutaj przez cały czas. Jakoś sobie radzimy. Najgorsza jest ta niesprawiedliwość – ocenia jego siostrzenica i tłumii ły.

Jerzy po jedzeniu wraca do pokoju, kładzie się i odpoczywa aż do obiadu. Później posiłek i znów odpoczynek. Wstaje przed kolacją. Potem przychodzi czas na telewizję i komputer. Najczęściej ogląda filmy. Nie lubi tylko musicali, za to chętnie wybiera kryminały i komedie romantyczne. Sam nigdy nie założył rodziny. – Jak miałbym, skoro ja przecież ledwo w wózku siedzę? – pyta mnie poirytowany. Czasami odwiedza go ktoś z rodziny, znajomych już nie ma. Do niedawna grał w karty z kolegą taty, ale już się nie spotykają. Jeszcze jak wyjeżdżał na ulicę, to nie czuł się samotny.

– Chciałby pan wyjść na zewnątrz? – pytam.

– Na pewno – mówi, przewracając się na drugi bok.

– A jakieś podróże, dokądś chciałby pan pojechać? – dopytuję.

– Nie, nie, nic mnie nie interesuje, na cmentarz chciałbym pojechać – odpowiada. I szybko rzuca kolejne pytanie: – A chciałaby pani wiedzieć, jak chciałbym zostać pochowany? – mówi to w taki sposób, że muszę się zgodzić, by tego wysłuchać. I słucham:

– Chciałbym zostać skremowany. Po kremacji wychodzi taka puszka prochu. Na cmentarzu rodzice mają grób, przy którym jest trochę zielonego, rosną tam sobie jakieś kwiatuszki. I mówię siostrze: „Jak już będziesz miała tę urnę, to ją zmieszaj z ziemią, która jest na taty grobie”.

„Raz uśpili mnie gazem”. Kierowcy ciężarówek o życiu w trasie

Tekst: Adam Nowiński | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

„Pijany brudas, zaniedbujący rodzinę cham, prostak” – takie komentarze na temat kierowców ciężarówek to codzienność. Firma transportowa ADAR jakiś czas temu postanowiła walczyć ze stereotypami, wypuszczając spoty o pracy kierowców. Pokazano w nich, jak wygląda życie profesjonalnego kierowcy tira. Ale czy tak jest naprawdę? Co ze stereotypami? Sprawdziliśmy to.





Pojechaliśmy tam, gdzie kierowców ciężarówek na pewno znajdziemy, niezależnie od dnia czy godziny. Chodzi o duże parkingi wzdłuż autostrady. Tak trafiliśmy na A2 koło podwarszawskiego Brwinowa. To tam znajduje się najbliższe miejsce obsługi podróżnych (MOP). Tu parkuje i odpoczywa wielu kierowców ciężarówek: mogą zatankować, zjeść lub po prostu odespać.

Wjeżdżając na parking, mijamy sznur zaparkowanych tirów. Są tu Litwini, Rosjanie, Niemcy, no i oczywiście Polacy. Wsiadamy. W powietrzu unosi się charakterystyczny zapach samochodowej tapicerki pomieszany z wonią benzyny z pobliskiej stacji i frytek z mieszczącego się obok McDonalda. W tle słychać szum przejeżdżających samochodów, które gnają za dźwiękochłonną ścianą.

Jest czysto i schludnie. Są łazienki, prysznice oraz miejsce piknikowe. Nie ma śmieci, bo dookoła rozmieszczono kosze. Zadbano nawet o wygląd skąpych skrawków zieleni.

Boję się...

Praktycznie przy samym wjeździe na MOP spotykamy Andrzeja. Na oko pięćdziesięcioletniego kierowcę. Kręci się przy swojej maszynie w towarzystwie kobiety. Okazuje się, że to jego szefowa, a Andrzej rusza w trasę z ładunkiem.

– Trzeba wszystko sprawdzić przed odjazdem – tłumaczy Agnieszka Namiota, przełożona Andrzeja, która wraz z mężem od pięciu lat prowadzi firmę transportową.

Jej mąż też jest kierowcą. Mają łatwiej, bo dzieci już odchowane, więc można jeździć. Ale Agnieszka często boi się o męża. Zwłaszcza jak nasłucha się jego opowieści z trasy.

– A bo to mało razy próbowali go okraść? Popatrz pan, ile razy była cięta ta plandeka – pokazuje kilkanaście lat wzdłuż naczepy – u niego jest tego więcej. Już nie wiem, ile razy próbowali dostać mu się do środka imigranci. Kiedyś jedenastu włożyło mu pod plandekę i chciało „przemycić” dwunastego, którego schowali w oklejony taśmą karton. Nie dość, że mąż odpowiadałby za przemyt ludzi, to jeszcze nie daj Boże za śmierć człowieka – opowiada przejęta Agnieszka.

– Boję się o niego, dlatego montujemy dodatkowe zabezpieczenia. O resztę kierowców też dbamy. Zawsze mają sprawne pojazdy, nowe opony, no i zabezpieczenia kabin. Już palicho ten towar. Ważne jest życie ludzkie, i to im zawsze powtarzamy. Bo nie ma co udawać chojraka. To trudny zawód, bardzo trudny – przyznaje kobieta.

Pytam ją o stereotypy. Mówię o braku higieny, o pić alkoholu. Kobieta wybucha śmiechem.

– Wejdz pan do kabiny Andrzeja. Tam można jeść z jego dywaników, tak jest czysto. A alkoholu u mnie żaden kierowca nie pije. To bardzo dobre i porządne chłopaki – podkreśla Agnieszka.

Ciężarówki są wysprzątane. Czysto, pachnąco, a kalendarze z gołymi paniami zastąpiły zdjęcia bliskich. W środku jest sporo miejsca, można się położyć wygodnie, włączyć sobie laptopa z filmem. Ciężarówki zmieniane są średnio co trzy lata.

Tam już nie było dla mnie pracy

Po krótkiej rozmowie, obowiązkowym obchodzie i sprawdzeniu pojazdu szefowa odjeżdża. Zostajemy jeszcze chwilę z Andrzejem. On także przyznaje, że już dziewięć razy próbowano go okraść. Kierowcą został po 30 latach pracy jako taksówkarz w Warszawie. Czemu ją porzucił?

– Bo tam nie było już kogo wozić. Nie ma tam pracy dla taksówkarza. Czasy się zmieniły i ludzie się zmienili. Teraz jeżdżę sam – odpowiada Andrzej.

Najbardziej nie lubi kursów do Anglii i Szwajcarii, bo za dużo papierologii i czepialstwa. Pracuje cztery

dni, potem ma trzy dni przerwy. Odpowiada mu taki tryb.

– Dzieci mam odchowane, nie płaczą mi w domu, więc jest spokój – śmieje się kierowca. Po paru minutach on także żegna się z nami i odjeżdża w trasę.

Parę metrów dalej spotykamy kolejnego TIR-owca – 25-letniego Patryka Konieczkę ze Świecka. On, w odróżnieniu od Andrzeja, ma krótki staż w małżeństwie i jeszcze krótszy za kółkiem ciężarówki.

– Jeżdżę już trzy lata, mam żonę i 3-letniego synka – mówi. Jako dowód pokazuje nam zdjęcia.

– Z tej strony jest mój synek, a po drugiej stronie moja kochana żona. Trudno jest mi tak długo być w trasie. Czasami nie ma mnie aż trzy tygodnie. Przegapiłem pierwsze kroki mojego synka, jak po raz pierwszy podniósł główkę. Tego żadne pieniądze nie wynagrodzą. Ale cóż, pracować trzeba. Poczynam się tym, że nie ominął mnie jego pierwszy ząbek, chociaż to teściowa go wypatrzyła – śmieje się Patryk.

On także ma czysto w kabinie, ale przyznaje, że nie raz spotkał się ze stereotypami i komentarzami na temat kierowców. Głównie o tych starszych, bo to oni jego zdaniem robią czarny PR pozostałym.

– Często słyszy się te komentarze: na bazie, w trasie, na postojach. Ale to głównie o starszych kierowcach tak mówią. Jakoś młodych się nie czepiają. Może czasami, że narwani i szybko jeżdżą, ale czasami trzeba, bo to spóźni się ktoś z załadunkiem, a to postój na trasie, bo wypadek. A minuty lecą, tachometr działa.

– Często bywało, że skończył się czas i trzeba było spać gdzieś 50 km od bazy. Tak samo hejtują nas za granicą. Szczególnie w Anglii, jak widzą, że ktoś jest z Polski, to że pewnie jest pijakiem lub złodziejem i od razu robią się mniej wyrozumiali i mili – opowiada kierowca.

Czasami bywa zbereźnie...

Patryk nie miał nigdy dużych problemów na trasie. Przyznaje, że kiedyś zarysował na parkingu auto „jednej Niemce”. Ale najczęściej kłopotów miał z imigrantami na granicy francusko-angielskiej.

– Kiedyś mi takich trzech wlaźło na naczepę w Calais. Jadę i czuję, że coś mnie buja. Wyszedłem

– nie ma nikogo. Dojechałem do Anglii i kontrola. Znaleźli trzech. Dostałem 1200 funtów mandatu i musiałem 24 godziny stać – za karę. Po tej dobie odjechałem za Manchester i tam znowu kontrola. Okazało się, że nikt nie udokumentował mi tej kary, i dostałem kolejne 280 funtów mandatu i miałem do odstania 66 godzin – mówi Patryk.

Nagle w tle zaczyna trzeszczeć CB Radio. Wśród szumów i pisków słychać kultowe „mobilki, jak tam droga...?”. Pytamy więc Patryka o słynne radiowe opowieści. Jak to z nimi jest?

– A to różnie. Raz słychać opowieści z trasy, raz zapytania o drogę. Innym razem bluzgi lub opowieści rodzinne. Czasami bywa zbereźnie, czasami zabawnie. Ale to zależy od człowieka – odpowiada.

Przed nim jeszcze 2000 km. Jedzie ciężarówką wujka. Zmierza do Danii, tam ma przeładunek i potem dalej w drogę. Danii nie lubi. Kiedyś ukradziono mu na postoju 400 litrów paliwa, dlatego od tamtej pory stara się tam nie nocować. Ale sam się nie boi. Ma zabezpieczenia – pokazuje nam gwint śruby w drzwiach.

– Jak idę spać, to dodatkowo się zamykam, żeby mi nikt tu nie wszedł. Naczepy już nie zabezpieczam, nic nie zamykam na kłódkę, żeby mi plandeki nie cięli. I taki to żywot. Ciągłe coś. Na drodze też trzeba uważać i być odpowiedzialnym za wszystkich dookoła. Ale cóż, taki zawód – mówi nam na pożegnanie Patryk.

Tak było w PRL-u

Nasza obecność na parkingu przyciągnęła uwagę Leszka Konopki, kierowcy z 40-letnim stażem.





Pochodzi z okolic Giżycka. W swojej karierze zjeździł już całą Europę. Już na samym początku naszej rozmowy przyznaje, że zawód kierowcy może nie jest najtrudniejszy, ale na pewno należy do najmniej bezpiecznych.

– Popatrz pan na górników. W telewizji ciągle podają, ilu ich ginie. A kierowców ciężarówek? No nie! – bulwersuje się Leszek.

Kiedy wspominamy o stereotypach, śmieje się. Uważa, że „pijak”, „brudas” to nie są już przywary kierowców zawodowych.

– Tak było kiedyś, za PRL-u. Tam kierowcą robili cię za karę – stąd tylu imbecyli, pijaków i brudasów za kółkiem. Teraz jest o wiele inaczej, zmieniło się wszystko na lepsze. Kiedyś tylko 10 proc. kierowców było profesjonalnymi szoferami. Obecnie stanowią większość. Owszem, znajdują się też w tej grupie i oszołomy, ale jest ich stosunkowo mało – opowiada mężczyzna.

Leszek zachęcił także do pracy za kółkiem swojego syna, który po studiach nie mógł znaleźć pracy w swoim zawodzie. Ale nie jeździł długo. Na pytanie o kolejny hejt, że „kierowcą TIR-a zostaje ten, kto do



niczego innego się nie nadaje”, odpowiada krótko: – To bzdura. I zwraca uwagę na zmiany w tym zawodzie.

– Teraz młodzież ma przewagę nad nami, starszymi kierowcami. Nas kiedyś nie uczono języków obcych, no może trochę rosyjskiego czy niemieckiego, więc na Wschodzie się dogadam. Ale gdzie indziej jest już trudniej. Poza tym ruch jest inny. Jak 30 lat temu jeździłem w okolicach Warszawy, to mijałem ze trzy samochody. A teraz? – pyta retorycznie Leszek.

Musimy przerwać rozmowę, tachometr Leszka pokazuje, że może już wrócić na trasę. Po jego odjeździe poznamy Łukasza.



Tak żeby mnie nie zobaczyła...

Łukasz jest młodym kierowcą. Pochodzi z Suwałk. Ma żonę i 5-letnią córeczkę. Na MOP w Brwinowie przyjechał, żeby posprzątać w swojej kabinie, zanim wyruszy w dalszą drogę. Jego kolejny przystanek – miejscowość pod Łodzią, skąd zabiera ładunek.

– To ciężki zawód, ale da się przyzwyczaić. Owszem, ogromna tęsknota za rodziną, zwłaszcza jak wyjeżdża się na dwa czy trzy tygodnie, ale pracować trzeba. Teraz też jak wyjeżdżałem, to wychodziłem tak, żeby mnie moja córka nie zobaczyła. Jak mnie nie ma, to nie ma. Tak jest łatwiej – mówi kierowca.

W walce z rozłąką praca mu nie pomaga, wręcz przeciwnie – przysparza zmartwień. Łukasz, tak samo jak nasi poprzedni rozmówcy, skarży się na imigrantów i trudności w trasie.

– Dzisiaj musiałem wycofać na takiej wąziutkiej uliczce, gdzie niektórzy to nawet osobówką by nie próbowali, a ja musiałem całym zestawem. I dałem radę bez urywania lusterek zaparkowanych wzdłuż drogi aut – śmieje się mężczyzna.

– A jeśli chodzi o imigrantów, to nie miałem aż tak niebezpiecznych sytuacji jak mój kolega. Jego to już trzy razy usypiali gazem, jak nocował na postoju w północnej Francji. Nic mu się na szczęście nie stało. Normalnie się obudził. Mówił tylko, że czuł

się trochę tak, jak na kacu. Mówię wam, bezpiecznie jest już w Rosji. Ona nie jest taka straszna, jak kiedyś opowiadali – stwierdza Łukasz.

Pytamy go o stereotypowego kierowcę TIR-a. Przyznaje, że słyszał takie komentarze i inne hejty na kierowców. Twierdzi jednak, że dotyczą one głównie starszych szoferów.

– To oni nie sprzątają, bo starzy, to im się już nie chce. Ale to też zależy od człowieka. U mnie oczywiście, wszystkie płyny, ściereczki. A alkohol – owszem, piję, ale nie tak dużo, jak wielu z nas, i nigdy za kółkiem, tylko wtedy, gdy nie jeżdżę. Przed jazdą też nie piję. Obowiązkowo 48 godzin, albo przynajmniej te 24 godziny detoksu – wyznaje Łukasz.

Tu się mi wkłuwali

– Brudasy? Bzdura! Przecież myjemy się – śmieje się Sławek, którego spotykamy chwilę po odjeździe Łukasza. On także nie wierzy w prawdziwość komentarzy w internecie na temat przedstawicieli jego zawodu. Przyznaje jednak, że spotkał się już nie raz z takimi opiniami.

– Często na nas narzekają, że wyprzedzamy, a jest zakaz, albo że zajmujemy pas. Wiadomo, jest duży ruch, każdy się spieszy, więc są też emocje – mówi kierowca.

W zawodzie pracuje od 20 lat. Jeździ głównie do krajów Beneluksu. Też ma rodzinę i jest mu ciężko ją zostawiać, pomimo że – jak sam mówi – „dzieci nie są już w kołysce”. Narzeka także na samą pracę.

– Jest coraz ciężej. Każą nam coraz więcej robić, a płace stoją w miejscu. Wszystkim dookoła wypłaty wzrastają co jakiś czas, a u nas jest słabo pod tym względem. Kiedyś zarabiał się dwa, trzy razy tyle. W tej chwili można tylko pomarzyć o takich pieniądzach – przyznaje Sławek.

On też stwierdza, że w trasie jest niebezpiecznie, zwłaszcza na postojach we Francji.

– Miałem obciętą linkę, pociętą naczepę, dwa zamki wylamane, tutaj wkłuwali się igłą z gazem – pokazuje nam podziurawioną uszczelkę w drzwiach kierowcy – dlatego założyłem dodatkowe zabezpieczenia, takie bolce, żeby zamykać się dodatkowo od środka. Trzeba się zabezpieczać. Takie sytuacje są bardziej niebezpieczne i uprzykrzające życie niż te całe hejty...



P O R T R E T Y



P O L S K I



Best of naTemat

Ta wieś znika z powierzchni ziemi

Tekst: Tomasz Ławnicki | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Już za chwilę w Nieboczowach nie zostanie kamień na kamieniu.



Kościół w Nieboczowach jest już po desakralizacji. Wkrótce zostanie doszczętnie rozebrany.



Pierwszą mszę w nowym kościele odprawiono w intencji jedności parafian.

Rozlewiska Odry
pod oknami domów
w Nieboczowach



Tylko w nielicznych domach pozostali jeszcze jacyś mieszkańcy.



Tu już nie zawita żaden klient.

Jeszcze tylko pożegnalna zabawa sylwestrowa w remizie i właściwie nie będzie śladu, że ktokolwiek tu mieszkał od 800 lat. Do końca grudnia wieś muszą opuścić wszyscy mieszkańcy. Ale nie wszyscy chcą. Mówią, że starych drzew się nie przesadza, i odwołują moment wyprowadzki, ile tylko się da.

Nieboczowy leżą nad Odrą, parę kilometrów od Raciborza. To właśnie przez Odrę, wspomniany Racibórz, a także przez Opole i Wrocław jest to wieś „przeznaczona do likwidacji”. Wszystko musi zniknąć, aby mógł powstać zbiornik wodny, do którego będzie spuszczana woda z Odry, by uchronić miasta przed falą kulminacyjną.

Jeszcze 10 lat temu w Nieboczowach mieszkało ponad pół tysiąca osób. Dziś nie ma tu prawie nikogo. Wiele domów jest zburzonych, niektóre są tuż przed rozbiórką. Tylko w nielicznych jeszcze pozostali mieszkańcy.

– Jo urodził się w tym budynku. Jak się wojna zaczęła, to jo już miał rok – opowiada „śląską godką” starszy mieszkaniec ulicy Brzeskiej. Jego dom stoi tuż koło kościoła. Pozostałe budynki wokół niedaw-

no zostały rozebrane. Kościół zniknie zaraz. Ale nie przeraża go perspektywa, że za moment będzie tu pusto. Bardziej przeraża go fakt, że jego dom ma być zburzony, choć o tym wie już od czterech lat.

– Ten, co się narobił, to se ceni. Ten, co dostał za darmo, na przykład po dziadkach, to czuje inną wartość – opowiada starszy pan i pokazuje, co zbudował własnymi rękami.

Mówi, że do końca tego roku się nie wyprowadzi. – Może do końca przyszłego. Nowego domu jeszcze nie ma, a budowlańcy wiadomo, jacy są – tłumaczy. I zapewnia, że nie zostanie we wsi sam. Że jest jeszcze jakieś 10 innych osób, które nie zdążyły z budową i jeszcze nie mają dokąd się wyprowadzić.

Władze gminy Lubomia, w której leżą Nieboczowy, tłumaczą, że na przeprowadzkę były aż cztery lata, i zapewniają, że takich zasiedziałyłch mieszkańców jest garstka. Niewykluczone, że aby ich „zmotywować” do wyprowadzki, od nowego roku zostaną wprowadzone wyższe opłaty za dzierżawę działki na terenie budowy. Bo teraz wieś Nieboczowy de facto staje się terenem budowy zbiornika wodnego.



Jedna z kapliczek w starych Nieboczowach

Zastępca wójta, Bogdan Burek, jest dumny z tego, jak udało się przeprowadzić likwidację i przeprowadzkę wsi. Bo cztery kilometry od Nieboczów powstają nowe Nieboczowy. Właściwie już niemal powstały, a wszystko sfinansowano z pożyczki z Banku Światowego.

Pieniądzy nie zabrakło na nic. Każdemu wystarczyło na to, by zbudować dom, jaki tylko chciał. Powstał nowy kościół, wkrótce będzie ośrodek sportu, remiza i przedszkole. A na tym planów nie koniec. – Będzie spiętrzenie wody, stworzymy taki staw. Będzie na nim wyspa w kształcie serca – opowiada zastępca wójta i prezentuje plany.

No i z pieniędzy z Banku Światowego sfinansowano też ekshumacje, bo ze starej wsi do nowej przeniesiono cały cmentarz. – To był bardzo stary cmentarz i przy okazji ekshumacji znaleziono szczątki około stu osób, których nie było w ewi-

dencji. Zostały pochowane w mogile zbiorowej – opowiada Bogdan Burek.

Z tymi ekshumacjami to parę zabawnych historii było. Okazało się, że na nowym cmentarzu nie wszystkim odpowiadało wyznaczone miejsce. – Bywało, że jakaś rodzina miała na starym cmentarzu pięć nagrobków w różnych miejscach, a na nowym chcieli mieć jeden grób. No i pojawiał się problem, jak te trumny rozmieścić. „Panie Bogdanie, nie tak! Przecież siostra nie będzie leżeć na bracie!” Albo był kłopot, czyje groby mają być obok siebie. „To ja z nim od 10 lat nie gadam, a na Zaduszki mam stać obok niego przy grobie?” – tak wicewójt opowiada o swoich rozmowach z mieszkańcami, gdy wiosną przeprowadzano ekshumacje.

Ale – jak zapewnia – udało się ze wszystkimi dogadać. Choć nie było łatwo poukładać te groby, żeby każdy był usatysfakcjonowany. – Tu dziewczyny



Krajobraz wokół Nieboczów

w urzędzie myślały, że my w gabinecie w statki gramy. Mówiliśmy „A1 do B2”, „D1 na 4C”. A my na Excelu wszystko musieliśmy rozrysować tak, żeby każdemu pasowało – opowiada Bogdan Burek. Podkreśla przy tym, że wszystkie ekshumacje zostały przeprowadzone z niesamowitą drobiazgowością.

Stoi jeszcze tylko parę tui i po tym można się domyślić, którędy biegły cmentarne alejki. Po kościele też za chwilę nie będzie śladu.

Właśnie odbyła się desakralizacja. Do nieświętej świątyni wkroczyły ekipy rozbiórkowe.

Na pierwszy ogień poszło wszystko, co jest z drewna. Ale jeszcze trochę i nie będzie nic. Do nowego kościoła stare sprzęty już nie będą pasowały.

Nowy kościół to już zupełnie inny standard. W nim wszystko jest na wysoki polysk.

I w nim też znajdzie się miejsce dla świętego Nepomucena, który na razie stoi owinięty folią w gabinecie zastępcy wójta w Urzędzie Gminy. Czeka, aż mu lokalny artysta zrobi kopię.

To święty z przydrożnej kapliczki, która w starych Nieboczowach stała na prywatnej posesji. W nowych nie będzie odgradzona, znajdzie się bezpośrednio przy ulicy.

Dlatego, z ostrożności, do kapliczki ma trafić kopia świętego. A zabytkowy Nepomucen znajdzie swoje miejsce w kościele.

Na mieszkańcach Nieboczów, którym nie spiesz się z przeprowadzką, opowieści gminnych władz o tym, jak to w nowych Nieboczowach pięknie i wspaniale, nie robią wrażenia. – Wójt niech se chwoli, co chce, a ja se chwola swoje. On nie cierpi na tym, dla niego to żadna strata – mówi mieszkaniec ulicy Brzeskiej i opowiada o tym, jak wychował się na polu, jak pracował całe życie na roli. W nowym miejscu nikt już ziemi uprawiać nie będzie. Wszyscy będą mieli najwyżej małe działeczki przed domem.

78-latek nie może się pogodzić z decyzją o likwidacji wsi i mówi, że powodzi żadnej się nie boi, bo widział ich już bardzo wiele. – Ile to razy woda podchodziła pod dom... W '97 roku stała dotąd – pokazuje punkt na wysokości parteru, co oznacza, że pod wodą

była cała piwnica. – Co tam woda. Postąła, postąła i odeszła – bagatelizuje 78-latek.

To właśnie powódź sprzed prawie 20 lat przypięczętowała los Nieboczów. Po niej eksperci doszli do wniosku, że lepiej poświęcić jedną wieś, niż znów doprowadzić do zalania wielu miast nad Odrą. Dla miejscowych jednak ta rzeka jest niegroźna.

– Ci ludzie zawsze żyli nad rzeką i się z nią oswoili – mówią napotkani wędkarze. W Nieboczowach bywają od lat i pamiętają czasy ich świetności. – Tu przyjeżdżało mnóstwo ludzi, a nad rzeką stał ośrodek wypoczynkowy. Po nim też już nie ma śladu.

Dowodem na czasy świetności Nieboczów jest też Caffè-Bar Baccara.

Jego właściciel nie może rozstać się z tym miejscem, choć gości już dawno żadnych nie miał.

– Jeszcze latem trochę osób przyjeżdżało rowerami zobaczyć wieś, której zaraz nie będzie. Teraz tu już nie ma nic, dziś nikt tu nie przyjeżdża – opowiada i chętnie pozuje przy barze, przy którym już nie pojawi się żaden klient.

Choć to nie do końca prawda, że do Nieboczów nie przyjeżdża już nikt i nic. Przyjeżdżają śmieciarki. Cały czas z burzonych domów trzeba wywozić śmieci.

No i co jakiś czas wizytę w Nieboczowach składa zbieracz złomu. – Wszystko się tu kończy, tak jak moje trzy kopalnie się skończyły – opowiada i pokazuje żelastwo, które udało mu się znaleźć.

Właściciel Baccary mówi, że zostaje w Nieboczowach, póki się da. Mimo że życie jest tu coraz trudniejsze. Jeszcze niedawno sklep miał tuż przed nosem, w budynku remizy.

Dziś nie ma tu ani sklepu, ani strażaków.

Jeszcze tylko zabawa sylwestrowa, na którą właściciel Caffè-Baru się wybiera. Specjalnie na nią przyjedzie, bo Boże Narodzenie pewnie spędzi już w nowym miejscu.



Nowe Nieboczowy od starych dzielą 4 kilometry i kolosalna różnica jakości życia.

– Nie będę mieszkał w nowych Nieboczowach. Nie wierzyłem w to, że te Nieboczowy powstaną, i zdecydowałem się na budowę w innym miejscu – przyznaje. Takich, co nie uwierzyli, jest dużo więcej.

W nowych Nieboczowach będzie trochę ponad 40 domów, a w starych było 140. W nowej wsi zamieszka około 200 osób, czyli ponad połowę mniej niż w starych Nieboczowach. Pozostali postanowili pobudować się w Lubomii, Syryni, Gorzycach czy innych okolicznych miejscowościach. Niektórzy z nich po cichu przyznają, że żałują swojej decyzji.

Bo te nowe Nieboczowy takie ładne, jakby amerykańskie. Wszystko nowiutkie i równiutkie. Dachy – jak postanowiła gmina – każdy spadzisty. Kolory też tylko trzy: brązowy, szary lub czarny. Żeby to jakoś wyglądało i nie było żadnej pstrokaczyny. I choć wygląda to nieco bezdusznie, to ci, co już mieszkają w nowych Nieboczowach, bardzo je sobie chwala.

– Tam mieszkałem przy Wiejskiej i tu pewnie też będzie to Wiejska – cieszy się pan Władysław, który w nowej wsi zamieszkał jako jeden z pierwszych. O to prosili mieszkańcy, by nazwy nowych ulic były takie same, jak we wsi, którą opuścili.

Czy tęskni? – Ja nie, ale może to dlatego, że ja się nie urodziłem w Nieboczowach. Przyjechałem tu z daleka, na delegacji tu robiłem, ożeniłem się i zostałem – tłumaczy. Plusów przeprowadzki dostrzega wiele. Po pierwsze nie trzeba palić w piecu, po drugie – do biedronki w Syryni jest zaledwie półtora kilometra. A na dodatek tuż za domem wkrótce powstanie

stadion i będzie na co popatrzeć, bo tam będzie teraz trenować LKS Odra.

Pan Władysław trochę żałuje, że niektórych sąsiadów zabraknie. – Niektórzy byli niecierpliwi. Dawali pieniądze na budowę, to brali i budowali, gdzie się da – wspomina. Bo co tu kryć – powstały podziały między mieszkańcami. I pewnie dlatego proboszcz na pierwszą mszę w nowym kościele wyznaczył intencję o jedność parafian.

Teraz w nowych Nieboczowach największym problemem jest brak gazu. W listopadzie wszystko miało być gotowe, ale były perturbacje z przetargami. Tymczasem wielu mieszkańców zamierzało domy ogrzewać właśnie gazem, więc jak tu się przeprowadzać? – Widać, że to inwestycja ważna dla rządu. Problem został szybko rozwiązany, wszedł

nowy inwestor i do końca grudnia gaz powinien być – cieszy się wicewójt Burek.

Od 1 stycznia przeprowadzka wsi stanie się faktem także w rządowych papierach. – Nieboczowy będą Nieboczowami. Nazwa przechodzi na nową miejscowość. Natomiast stara wieś będzie się nazywać Nieboczowy Uroczysko.

Jeszcze przez pewien czas pozostanie w niej parę domów tych mieszkańców, którzy nie zdążyli z przeprowadzką. Ale to nie potrwa długo, bo czas nagli i trzeba się spieszyć z budową zbiornika wodnego.

Niecierpliwie czekają też inwestorzy, bo na terenie starej wsi zacznie się wydobywanie kruszywa i żwiru. Tak jak to się dzieje już teraz wokół całych odchodzących do historii Nieboczów.



Co jakiś czas Nieboczowy odwiedzają jeszcze zbieracze złomu.



„Będzie błogosławiony”. Tylawa 15 lat po wyroku w sprawie księdza pedofila

Tekst: Daria Różańska | **Zdjęcia:** Stefan Ronisz

Księdza skazano za molestowanie dziewczynek. – Palcem można było wskazać, kogo nie ruszał – słyszę. Teraz na palcach ręki można zliczyć, kto wierzy w winę księdza. – Kargul gadał: sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie.

Ofiary księdza pedofila z Tylawy, Mszany, Zyndranowej i Barwinka na „przepraszam” musiały czekać kilkanaście albo kilkadziesiąt lat. Wreszcie księża biją się w pierś – z ciężkim sercem przyznają, że jako pasterze nie uczynili wszystkiego, żeby zapobiec krzywdom.

W liście do wiernych nie piszą wprost o krzywdzie tylawskich, mszańskich, zyndranowskich i barwińskich dziewczynek. Nie piszą też o księdzu Michale M., który wkładał im ręce pod bluzki i namiętnie całował. Nie piszą, jak wspólnie z prokuraturą go chronili, a tych, co źle o księdzu mówili, nazywali dziećmi szatana.

Może ofiary proboszcza czekały na ten moment całe życie. Może poczuły ulgę, może jeszcze większą złość. Może te słowa na nowo zbudziły koszmary. Może zobaczyły wannę, w której ksiądz obmywał je z brudu i na całe życie odzierał z godności, ładując swoje paluchy w ich miejsca intymne. Może miały nadzieję, że w końcu ktoś im uwierzy.

W kościele cisza jak makiem zasiał. – Każdy przeżywał to wewnętrznie na swój sposób. O wiele lat za późno odczytano ten list – mówi przejęty sołtys Tylawy, Grzegorz Jadach.

Starsza parafianka zapamiętała: – Nic ludzie nie gadali. Wyszli z kościoła, rozeszli się każdy w swoją stronę.

Na drodze stanęli im tylko dziennikarze. Nikt tu nie zna ani dnia, ani godziny, kiedy znowu wrócą. Kamer nikt tu nie lubi. Nikt tu nie chce patrzeć w ich złowieszcze oko i wracać do przeszłości.

Ale może to właśnie te kamery sprawiły, że ksiądz w Tylawie odczytał list biskupów. Może dzięki nim tylawskie dziewczyny usłyszały, że Kościołowi jest wstyd za to, że nie ochronił ich przed księdzem M. Mszańskich ofiar nikt nie przeprosił.

– Tutaj było najwięcej ofiar i były one najbardziej szykanowane. Tu mówiono o nich najgorsze rzeczy, tu im nie wierzone. Chodzi o to, żeby osoby, które nie uznają winy księdza, w końcu to zrobiły – emocjonuje się Beata Maziejuk, obrończyni ofiar, mieszkanka Mszany. Za tydzień sama wydrukuje list Episkopatu i zanieśnie księdzu, żeby w kościele na głos go odczytał. Ale duchowny nie znajdzie czasu.

Obecny proboszcz Jan Zagóra nie chce wracać do historii z przeszłości. Szybko wymawia się, że od niedawna jest w Tylawie. A wszystko, co wie na ten

temat molestowania, objęte jest tajemnicą spowiedzi. „Szczęść Boże” – żegna się i znika w drzwiach plebanii.

Ksiądz przed Bogiem

Nazajutrz już wiadomo: słowa biskupów nie trafiły do ludzi. Jednym uchem wleciały, drugim wyleciały. I nie zmusiły do refleksji.

– To czarne Podkarpacie. Jak proboszcz przemawia, to Chrystus musi się zamknąć. Żeby ci ludzie uwierzyli w winę księdza M., to słońce musiałyby wstać na zachodzie i zejść na wschodzie – wypala mieszkanierek pobliskiej Dukli, gdzie też sięgały maczki księdza M.

Tylawa. Bezzębna staruszka grozi palcem i powtarza, że Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. I ręka sprawiedliwości dosięgnie tych, co to dalej knują przeciwko księdzu.

– Te kobiety, co tak na księdza nadawały, już dostały za swoje – mówi, stojąc okrakiem. Pielni przed domem grządkki.

Przystaje, poprawia czapkę i rozemocjonowana prawie krzyczy: – Jednej syn narkoman już zginął. Druga tak samo ma jakieś powikłania. Nie ma co igrać z Bogiem! On tam nic złego nie robił. A że przytulał te dzieci? To każdy jeden przytula. I co, od razu mówią, że molestuje? To są nieprawdziwe oskarżenia i Bóg go osądzi.

We wsi dalej wzdychają, co to był za ksiądz ten M. – Prawdziwy z powołania. I dalej modli się za wszystkich w Radiu Maryja – słyszę. A i skromny był, prawie że asceta. Ludzi nie kłuło w oczy jego bogactwo. – To nie był ksiądz, co to jak niektórzy, że im tylko pieniądź w głowie świeci – mówi mężczyzna z gęstym wąsem pod długim nosem.

Ksiądz do dziś jeździ starym fiatem 126p. Tym samym, którym woził dzieci z ich domów na plebanię. A i cztery kościoły zbudował: nie tylko w Tylawie, ale i Mszanie, Zyndranowej i Barwinku. I o każdy tak samo dbał.

– Jak była procesja w Boże Ciało, to on zaczynał we Mszanie, chodził do Tylawy, później do Barwinka i kończył w Zyndranowej. Cały czas szedł i ręce miał w górze. Teraz gdzie ksiądz pójdzie? Wkoło kościoła i tyle – burzy się inna mieszkanka Tylawy.

I jest pewna, że ksiądz był tak zajęty, że nie znalazłby czasu na jakieś tam molestowania.

A jakie kazania mówił... Trochę długie, bo do dwóch godzin dobijał, ale chwyciły za serce. Człowiek był od razu bliżej Boga. Ksiądz w ogóle we wsi był jak Bóg.

– On miał tu władzę jak prezydent – słyszę. Całe wieś chrzczył, żenił, chował. Był jedynym spowiednikiem. Przez 35 lat, na dobre i na złe. Swój człowiek. Sam powtarzał, że pałał do dzieci „ojcowską miłością”. A wiadomo, jak w rodzinie. Nawet jak jest złe, to trzeba mordę na kubek i cicho siedzieć.

Nikt nie widział problemu w tym, że dzieci chodziły do księdza M. na noc. Dziś też powtarzają, że „przećcież plebania taka duża, że czołgi mogły się mijać”.

Władka (imię zmienione – red.) też puszczała dzieci do księdza, ale absolutnie nie na nocki.

– Rodzice mają dzieci pilnować sami, a nie puszczać po księdzach. To jest też wina rodziców! Jak przyszło dziecko brudne, to ksiądz litował się i kąpał – wyrzucił z siebie jednym tchem i wraca do chwastów.

Ale jedno wciąż nie daje jej spokoju. Dorzuca: – On jeszcze kiedyś błogosławiony będzie, ja to może tego nie doczekam. Ale pani na pewno!

– A ten wyrok sądu nie stanie na drodze do jego świętości? – dopytuję.

– Ten wyrok sądu... On już po prostu był taki zniechęcony tymi wszystkimi sprawami. On cały czas jest na tych lekach psychotropowych. Do Dukli do doktora idźcie, to on wam powie, jakie on silne leki bierze. On tylko panu Bogu zaufał. Powiedział, że „jak Pan Bóg cierpiał na krzyżu, tak i ja będę”. Ale to jest absolutnie niesłuszne oskarżenie – Władka dałaby sobie za niewinność księdza obie ręce uciąć.

– A ofiary? – idę dalej. – Te ofiary to po prostu one są takie postawione, bo dostały pieniądze.

Ofiara, nie pedofil

– Chciałam o księdzu pedofilu porozmawiać – rzucam do mężczyzny, który w podwórzu karmi psa.

Twarz sympatycznego starca natychmiast zmienia się w ponurą gębę.



– Spierdalaj stąd!!! – rozkazuje.

– Dlaczego mam spierdalać?! – odkrzykuje.

– Zajmij się pani swoją rodziną i swoim księdzem – drze się i nazywa mnie gnojem.

Otwieram jeszcze buzię, żeby zapytać, dlaczego tak się burzy. Ale odpuszczam, kiedy woła swojego psa.

W innym domu – położonym przy ruchliwej drodze, która przebiega przez Tylawę i zaburza rytm spokojnej wsi – mężczyzna wita mnie chłodnym spojrzeniem. Podnosi łaskę i wypala, żeby „dać im żyć”. Nie będzie o księdzu rozmawiał. Pośpiesza, żebym już sobie poszła.

Na palcach u jednej ręki podobno można policzyć, kto w Tylawie wierzy w winę księdza. Faktycznie, znajduję trzy osoby. Ale może dwie wierzą w wyrok sądu, trzecia się waha. Bo tutaj o księdzu pedofilu mówi się „ofiara”.

A o latach jego probostwa – „inne czasy”. Na dzień dobry słyszę, że „mnie się to w głowie nie zmieści”, bo 40 lat temu mnie na świecie nie było. – A 40 lat temu to rodzice mogliby się wręcz obrazić, gdyby ksiądz nie chciał przytulić ich dziecka. Mogłoby to przecież oznaczać, że nim gardzi – zupełnie poważnie tłumaczy mieszkaniec Tylawy.

Po chwili przychodzi refleksja: – Może to błąd, że dzieci brał. Dzisiaj na pewno by nie przytulał. Nie



ciumkał, bo takich rzeczy się dziś nie robi. Ale kiedyś było inaczej.

– A pan wysyłał swoje dzieci do księdza? – pytam.

– Jak nie wysyłałem, jak wysyłałem. Ale spać, to nie spali u księdza.

W kolejnym domostwie też patrzą na mnie jak na wroga, który chce ich kapłanowi ukraść aureolę.

– Może i dzieci nocowały na plebanii, jak mamusie miały jakieś wychodne, to je podrzucały księdzu. No i co? Nasze dzieci chodziły do szkoły i jakoś nic nie było. Mnie ksiądz uczył religii, chrzczył i jakoś nie jestem zmolesowana. A takie jakieś wyjątkowe się znalazły, które sobie przypomniały po 20 latach, że coś było? – mówi złośliwie kobieta w średnim wieku.

Ksiądz M. w Tylawie wspominają z rozrzewnieniem.

– Do dziś jak się gada z kobietami, to one mówią, że nie ma to jak za M. – mówi staruszka z Tylawy. Ona sama nie wie, czy wierzyć w winę księdza. Niby wyrok był, ale jej przecież krzywdy nigdy nie zrobił.

Ksiądz krzywdził

Podobno we wsi każdy wiedział, że ksiądz dobry, ale lubi brać na kolana.

Za czasów probostwa Michała M. dziewczynki klóciły się, żeby na lekcjach religii siedzieć w ławkach od strony okien. Jakby to miało je ochronić przed dotykiem. – Miał wtedy do nas trudniejszy dostęp. Bo on lubił brać na kolana. Tak, nawet na religii – to wspomnienie dziś już dojrzałej kobiety, wtedy dziewczynki.

– Jak dzieci nie szły na kolana, nie dawały się całować, to je odrzucał. Stawiał niskie stopnie z religii – wspomina Beata Maziejuk. Jej mąż szybko dodaje: – Mógłbym palcem pokazać dziewczynki, które na pewno nie były molestowane. Były takie, których nie lubił. I nastawiał przeciw.

Maziejukowa doskonale pamięta, jak kiedyś kobiety opowiadały pewną historię: – Ksiądz siedział pod piecem, ale w piecu się nie paliło. On miał na kolanach dziecko. Był taki czerwony, jakby się w piecu paliło.

We wsi mówiło się, że ksiądz ma zdolności bioenergoterapeutyczne. „A tak, tak, lecz, ale w majtkach” – usłyszała kiedyś Beata Maziejuk. Takich opowieści kobiet w różnym wieku było wiele.

Wreszcie córka Lucyny Krawieckiej, wówczas żony grekokatolickiego duchownego, powiedziała matce, że widziała w klasie, jak ksiądz całował jej koleżankę. Ale tak namiętnie jak na filmach, kiedy mama każe jej zasłaniać oczy.

Zareagowała, kiedy koleżanka jej córeczki opowiedziała, że ksiądz włożył jej palce do pochwy. I powiedział przy tym, że „mocą Chrystusa uzdrowia to dziecko” z bólu brzucha. Obiecała wtedy tej dziewczynce, że ją uratuje. I poszła na prawdziwą wojnę, chociaż na początku myślała, że będzie tylko walka o prawdę.

Najpierw – w 2001 roku – pojechała do Józefa Michalika, wtedy arcybiskupa przemyskiego. Była wysłannikiem ofiar i ich rodziców. Chciała po cichu załatwić sprawę. Powiedziała, że jeśli ktoś z kurii przyjedzie do parafii, to ofiary w czterech ścianach swojego domu opowiedzą, co przeżyły.

Michalik nie uwierzył w winę księdza. Poprosił o dane personalne ofiar. Nie otrzymał ich, bo zgłaszający nie zostali do tego upoważnieni. Nie chciał odsłuchać kasety z zeznaniami ofiar. Nie życzył sobie nawet, żeby ją zostawić. Odesłał ich do prokuratury w Krośnie, wtedy szefował jej Stanisław Piotrowicz, dziś poseł PiS. W 2001 wpłynęło doniesienie.

Michalik w geście solidarności wysłał do księdza M. list. Pisał w nim, że medialny atak jest próbą

„Ksiądz potwierdził, że brał dzieci na kolana, podczas lekcji religii dzieci przybiegały, obejmowały go, on również je przytulał, głaskał, zdarzało się, że i pocałował. Dzieci były szczęśliwe, zadowolone. Nie było w tym podtekstu seksualnego” – mówił w 2001 roku prokurator Stanisław Piotrowicz, chociaż tę sprawę prowadził Sławomir Merkwa.



nadszarpnięcia dobrej opinii o księżach. Duchowny odczytał list z ambony.

Ksiądz M. mówił, że wie, kto zeznaje przeciwko niemu. O wszystkim miał mu „donosić jego prokurator”, czyli Stanisław Piotrowicz.

Dwa wrogie obozy

Wieś się podzieliła: jedni pisali listy w obronie księdza M., drudzy byli nazywani dziećmi szatana. – Dwie grupy były: jedna za księdzem, druga przeciw. Normalnie dwa obozy walczące na śmierć i życie. I tak to tu pozostało – powtarza staruszka z Tylawy.

Ludzie nawet w rodzinach byli podzieleni i skłóceni. Tych, co zeznawali przeciwko księdzu, mieszano z błotem. Szantażowano, że stracą pracę. – Kilka osób chciało zgłosić, że dzieci były molestowane i szef im powiedział, że jak chcą dalej pracować, to morda w kubek – mówi Waldemar Maziejuk.

Przerażone ofiary wycofywały zeznania. Zgotowano im prawdziwe piekło. W 2001 roku prokurator Piotrowicz odebrał im ostatnią nadzieję. Krośnieńska prokuratura umorzyła postępowanie. A on podczas konferencji prasowej mówił wprost, że ksiądz nie jest winny.

Tłumaczył, że przecież nocowanie dzieci na plebanii było dla nich tylko atrakcją. A ksiądz M. kąpał je, bo

były brudne. Całował w usta – ale według Piotrowicza – na zasadzie „daj ciumka”.

Ksiądz M. wrócił do Tylawy. Ofiary musiały żyć obok swojego oprawcy. To on dalej głosił słowo Boże. Sprawiedliwość przyszła trzy lata później, po interwencji ministra sprawiedliwości sprawą zajęła się prokuratura w Jaśle.

W 2003 roku przed Sądem Rejonowym ksiądz M. przyznał się, że całował dzieci, kąpał je, że spały z nim w jednym łóżku na plebanii. Ale nie przyznał się do winy. Powtarzał, że czuł się ich ojcem.

Rok później zapadł wyrok: dwa lata więzienia z zawieszeniem na pięć lat i osiem lat zakazu wykonywania zawodu nauczyciela katechety.

Sędzia Piotr Wojtowicz nie miał wątpliwości, że ksiądz dopuszczał się zachowań pedofilnych i dewiacyjnych. Nie powinien był składać na ustach dziecka pocałunków, masować piersi, sięgać w okolice łona czy penetrować wewnętrznych narządów płciowych.

Ksiądz – mimo że uznany winnym – spokojnie wrócił na plebanię w Tylawie. I nie chciał się z niej wynieść.

– Nowy ksiądz woził M. na tylnym siedzeniu. Przychodzili razem i odprawiali mszę. Jak wyszedłem z kościoła, to mi ludzie machali ręką – opowiada Waldemar Maziejuk. Jego żona przez trzy lata nie chodziła do kościoła, bo jak widziała księdza, to aż się gotowała.

Wreszcie nie wytrzymała. W 2005 roku (rok po wyroku skazującym) Beata Maziejuk napisała listy do 50 biskupów i do Josepha Ratzingera, wówczas prefekta Kongregacji Nauki Wiary. Dopiero jak Ratzinger został papieżem, to ks. M. wyjechał z Tylawy. Michalik odesłał go na emeryturę i wydał dożywotni zakaz pojawiania się w Tylawie.

Dalej wpada

Ale to nie oznacza, że ksiądz M. nie powraca w okolicę. Wraca – i to nie tylko we wspomnieniach. – On sobie jeszcze kupił dom w Tylawie. Ale biskup kazał



go sprzedać. Baliśmy się, że ksiądz M. będzie tu straszny do końca życia – opowiada Beata Maziejuk.

Ludzie nie wierzą tu w winę księdza M., bo przecież do niedawna modlił się w Radiu Maryja, był honorowym członkiem brzożowskiej Kapituły Kolegiackiej i kapłanem Katolickiego Stowarzyszenia Energetyków „Nazaret”. Z jego członkami jeździł na rekolekcje.

– W Dukli przygotowywał dzieci do komunii – mówi nam Maziejuk. Mieszkaniec Dukli: – Już po tym skazaniu udzielał się w naszym kościele parafialnym. Raz, drugi, trzeci. Głosił płomienne kazania.

– On się w ten sposób uwiarygadnia. Jakby mówił: przecież nie pozwoliliby, gdybym był pedofilem – uważa Beata Maziejuk.

Wreszcie i z Dukli pozbyli się księdza M. – Myślę sobie, co pedofil będzie mnie tu uczył. Kiedy usłyszałem kolejny raz, że on jest na mszy, to ciach, wyszedłem z kościoła. Poszedłem do księdza Siary, byłem drugą osobą, która zwróciła mu na to uwagę. Ksiądz proboszcz powiedział mi, że uwierzył Piotrowiczowi. Odparłem, żeby se wierzyli, komu chcą, ale ja wierzę, że to prawda. Zanim afera wybuchła, to ja o tych rzeczach też słyszałem – opowiada Marek (imię zmienione – red.). Więcej księdza M. w kościele już nie widział.

Ale miejscowi go widują. – On miał tutaj rodziny, z którymi się przyjaźnił. I teraz przyjeżdża. W świętym Janie to on zawsze jest, w każdą niedzielę. Tylko tu nie – mówi staruszka z Tylawy. I wskazuje, że ksiądz M. ma zakaz wstępu do Tylawy. Może dojechać tylko do krzyżówki.

Jeden z mężczyzn powtarza, że nadal utrzymuje kontakt z księdzem M. To taki dowcipniś, swój chłop. Jego żona znika w drzwiach i rzuca pod nosem, ale niewystarczająco cicho: – Może powiedz, że jeszcze do nas przyjeżdża. Chwilę później wraca – widząc, że mąż rozkręca się w swoich opowieściach o kapłanie, rzuca: – Musimy już jechać.

Tomasz Krzyżak, dziennikarz „Rzeczpospolitej”, na łamach tej gazety pisał, że ks. M. po odejściu na emeryturę otoczył się ludźmi, którzy tak jak on są przekonani o jego niewinności. To do niego kilka lat temu zwrócili się przyjaciele ks. M. i złożyli mu

poważną propozycję napisania biografii duchownego. Nie przyjął jej.

Prawdziwe ofiary

W Tylawie i Mszanie większość wciąż wręcz czci księdza pedofila. Nienawiścią pałają tu za to do tych, co „wzbogacili się na krzywdzie niewinnego proboszcza”. Mowa o dwóch odważnych kobietach, które uruchomiły całą tę aferę, zhańbiły to miejsce, a na jego mieszkańców napuściły media. A później obie wyjechały. Jedna nawet dostała mieszkanie.

Pierwsza: Lucyna Krawiecka, która zdemaskowała księdza M.

– Ta cała Krawiecka, żona popa, chciała uczyć nasze dzieci – katolików – katechezy – pierwszy mieszkaniec nie ma wątpliwości. A że ksiądz proboszcz się nie zgodził, to postanowiła się zemścić.

Mieszkanica 2: – Przyszła nie wiadomo skąd, żeby uczyć religii. I napuszcza media. Nie rozumiem, że nie ma nowych takich spraw i wy ciągle musicie do tego wracać. Szukacie sensacji 40 lat później?

Mieszkaniec 3: – Przecież to ta pani Krawiecka, żona popa, zaczęła. Tamten ksiądz chciał odprawiać msze, ten nie chciał pozwolić. I to z tego wszystkiego wyszło. A że miała córkę i poszła na tę religię, gdzieś mu tam siedziała na kolanach, ona przyszła i zrobiła wojnę, i przez to wszystko się zaczęło.

Mieszkaniec 4: – W to, że ksiądz molestował, wierzą tylko ci, co wzięli pieniądze.

Druga: Ewa Orłowska, jedyna ofiara, która oskarżyła księdza i występowała w procesie z imienia i nazwiska. Na Ewie nadal w Tylawie wieszają psy.

– To taka patologia. Wymyśliła sobie wszystko.

– Mąż siedział w pokoju, a w drugim ją „operowali”. Ona to lubiła od dziecka – mówi jeden z mieszkańców Tylawy.

Jego żona próbuje ratować sytuację: – Nie opowiadaj głupot! Ale jak już Ewa była osobą dorosłą, to... ksiądz też krzywdził jej dzieci. A po co je puszczała, jak już wiedziała, co było robione?

W obronę Ewę bierze Beata Maziejuk: – Ona nie wysyłała do niego dzieci. Ostrzegła je. Dzieci, które

nie dawały się przytulać, były przez księdza odtrącane. Może dlatego dzieci Ewy chodziły do księdza, żeby nie odstawać od reszty?

Ewa była łatwym łupem. – Rozstała się z mężem, chorym psychicznie alkoholikiem. To był jeden z nielicznych rozwodów we wsi. Po tym, jak zeznała przeciwko księdzu, stała się kozłem ofiarnym. Trudno się dziwić, że miewała wtedy myśli samobójcze – mówi Beata Maziejuk.

Gdyby nie to, że ktoś się nad nią zlitował i kupił jej w Rzeszowie mieszkanie, to w Tylawie czekałoby na nią kolejne piekło.

Ewa do Tylawy przyjeżdża rzadko, przez 15 lat była tylko pięć razy. Ostatnio na pogrzebie byłego męża, który też przed laty wziął stronę księdza. Zresztą nie tylko on. Siostra Ewy do dziś mieszka w Mszanie. I dalej wierzy księdzu.

– Mnie on nic nie robił. Moim dzieciom też. Starsza córka była przesłuchiwana w sądzie. Wie pani, jak moje dziecko było zestresowane? Tym media stre-

sują dzieci, a nie, że ksiądz stresował dzieci... To jest nieprawda – mówi nam, stojąc przed blokiem.

Ewa nie chce rozmawiać. Boi się. Prosi mnie tylko, żebym jej napisała, czy w Tylawie i Mszanie coś się w ludziach zmieniło. Długo nie wiem, jak to ująć. Wreszcie odpisuję, że „bez zmian”. Jest jej przykro. W krótkiej wiadomości odpisuje: „Dobro Kościoła i księdza się liczy, a nie dobro dziecka. Nikogo nie interesuje, że mam życie zmarnowane przez takiego księdza”.

Ksiądz Michał M. jak mantrę powtarza, że nie jest winny. Nie odwoływał się od wyroku, bo „Pan Jezus też się nie odwoływał” – mówił w TVN24.

Kuria przemyska poinformowała, że duchowny „otrzymał całkowity zakaz publicznych wypowiedzi i wystąpień oraz został zobowiązany do podjęcia modlitwy i pokuty”. Kurator ma czuwać nad realizacją nałożonych zakazów. Kilka dni później – w kolejnym oświadczeniu – kuria przemyska przeprosiła wszystkich tych, których wystąpienia księdza Michała M. „ponownie naraziły na przeżywanie bólu i smutku”.





Tak żyjemy bez PKS-ów. „Nie stać cię na auto – nie istniejesz”

Tekst: Daria Różańska | **Zdjęcia:** Stefan Ronisz

- *Nie masz prawa jazdy, to tu nie istniejesz, nie wydestaniesz się*
- *powtarzają na mazowieckich wsiach. 60 kilometrów od Warszawy kończy się komunikacyjny raj, a zaczyna „czarna dziura” albo „biała plama”.*

Wanda jeszcze parę lat temu zimą na poranną zmianę do pracy w Nowym Mieście chodziła pieszo. Z rodzinnej wsi miała siedem kilometrów i żadnego połączenia autobusowego. Wstawała więc o drugiej, o czwartej rano była już w zakładzie. Mogła jechać rowerem, ale bała się, że na dwóch kółkach tylko się połamie. – Jak ulice zasypał śnieg i skuł lód, to chodziłam pieszo – mówi bez żadnych emocji.

Na moje zdziwienie reaguje czystym pragmatyzmem. I tłumaczy cierpliwie: – Proszę pani, albo praca, albo banie się. Albo pieniądze, albo nie ma za co żyć. Pracowałam tak przez trzy lata.

Zakład zlikwidowali. Wanda nowej pracy nie znalazła, teraz jest na bezrobociu. Siedzi w domu na wsi, trochę odcięta od świata. Pilnuje wnuków. A to

zajrzy do jednej sąsiadki, a to do drugiej. Popatrzy w telewizor. Na szczęście ma blisko siebie dzieci. Jak trzeba, to podrzucą do specjalisty czy na większe zakupy do marketu.

– Najbliższy sklep jest w Gościminie, czyli cztery kilometry stąd. Tam kupuję podstawowe rzeczy, wiadomo, jest trochę drożej. Do Nowego Miasta i Gąsocina mam po siedem kilometrów. Codziennie jeżdżę do Gąsocina po pieczywo – opowiada.

Mogłaby kupować od kierowcy dostawczaka, który trzy razy w tygodniu przywozi do wsi pieczywo, ale nie chce mrozić. Zresztą już zdążyła się przyzwyczaić, że nawet po najdrobniejszą rzecz trzeba jechać kilka kilometrów. A jak dzieci są w pracy, to korzysta się z siły własnych nóg. W najgorszej sytuacji są ci, którzy nie mają ani dzieci, ani już siły w nogach.

Kapliczki zamiast przystanków

Wanda jest jedną z prawie 14 mln Polaków, którzy wypełniają białe plamy na komunikacyjnej mapie Polski. Żyją w gminach, w których nie ma zorganizowanego transportu publicznego. A najczęściej jedynym autobusem, który dojeżdża do ich wsi, jest ten szkolny.

Najgorzej jest na styku województw, gdzie komunikacja autobusowa właściwie zamiera. Największy problem mają mieszkańcy północnego i wschodniego Mazowsza, Warmii i Mazur, Podkarpacia, Małopolski. Tu nie tylko kontrolowane przez skarb państwa PKS-y likwidują lub ograniczają połączenia, robią to też prywatni przewoźnicy, którym zwyczajnie nie opłaca się zapuszczać w pewne rejony Polski



Zapusciliśmy się więc my. Wybraliśmy się do mazowieckich wsi położonych w powiecie płońskim, w gminie Nowe Miasto, m.in. do Mamutowa, Zasonia, Czarnot, Wólki Szczawińskiej. Te są po prostu odcięte od świata. Miejsce przystanków autobusowych zajęły przydrożne kapliczki. Czasami na ich tle rysują się przystanki autobusowe. Najczęściej mocno zaniedbane: tynk odpada, a ich ściany uginają się pod ciężarem twórczości ulicznych artystów i napisów w stylu „HWDP”.

Odcięci od świata

– Temat wykluczenia komunikacyjnego na Mazowszu jest mi doskonale znany. Kwestia jest tylko taka, czy tam jest źle, czy już tragicznie. Wszystkim wydaje się, że województwo mazowieckie jest niewiarygodnie bogate i jest tu wysoki standard życia. Ale to tylko w Warszawie, w podwarszawskich gminach zdarza się, że ludzie nie mają PKS-u, toalety i bieżącej wody – mówi nam Bartosz Jakubowski, ekspert ds. transportu z Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego.

Sprawdzamy. I wyruszamy w niedaleką podróż – chcemy dojechać z Warszawy do Czarnot. To w sumie niewiele ponad 60 kilometrów. Najpierw przy mierzamy się do wycieczki autobusem albo pociągiem. Według rozkładu PKS i PKP, który sprawdzam w sieci, na bezpośrednie połączenie nie ma co liczyć.

Można trochę pokombinować: z Warszawy Gdańskiej złapać pociąg do Nasielska. Koszt biletu: 15 zł. Czas podróży: 39 albo 54 min. Ale jeszcze z Nasielska trzeba dostać się do Nowego Miasta (to 17 km), a później do Czarnot (to kolejne 5 km). Ale już ani z Nasielska, ani z Nowego Miasta nie ma bezpośredniego połączenia do Czarnot. Moglibyśmy te 22 km przejść pieszo, ale zajęłoby nam to prawie pięć godzin.

A w sumie samochodem z Warszawy do Czarnot dojeżdżamy w godzinę, wliczając w to korki na wyjazdówce ze stolicy.

Na mazowieckich wsiach najgorzej mają osoby starsze, które albo nigdy nie zrobiły prawa jazdy, albo nie dorobiły się samochodu, albo już nie mogą siadać za kółkiem. A stan ich zdrowia jest coraz gorszy.

Stary się nakombinuje

Przed ośrodkiem zdrowia w Nowym Mieście spotykam przygarbionego staruszka. Ma umówioną wizytę u lekarza.



– **I czym pan przyjechał? – dopytuję.**

– Wnuczka mnie przywiozła – pociąga nosem.

– **A gdyby nie miał pan wnuczki? – ciągnę dalej.**

– Jakby autobus był, tobym nim przyjechał, ale nie ma i nie będzie – odpowiada zrezygnowany.

– Specjalistów tu u nas w Nowym Mieście nie ma. Zapisalam się do ortopedy w Płońsku – mówi jedna z kobiet. Ale do Płońska też jest 20 kilometrów. Ona akurat ma to szczęście, że dojedzie sama.

Stanisław dostał skierowanie do lekarza specjalisty w Płońsku. Ale już jego sytuacja jest bardziej skomplikowana. – I co z tego, kiedy nie mam jak się tam dostać. Bo autobus do Płońska odjeżdża o 7, drugi o 8. A ja jeszcze muszę osiem kilometrów dojechać do Nowego Miasta, skąd odchodzi ten do Płońska. A specjalista przyjmuje od godziny 15. No i co, o 7 pojadę i co będę robił w Płońsku do 15? Z powrotem jest też jeden czy dwa autobusy. Nie ma nic więcej – oburza się Stanisław.

– **I co się robi w takiej sytuacji? – dopytuję.**

– Człowiek kombinuje jak koń pod górę z ciężkim wozem – wzdycha staruszek w dużych okularach. I szybko dodaje: – Syn mieszka w Modlinie. To się dzwoni. Pracuje, zwalnia się. Albo, proszę panią, biegnie się do sąsiada: prosi i płaci. To dużo większe pieniądze. Do

Płońska nie pojedzie taniej niż za 50-60 złotych. A bilet autobusowy kosztuje może z 9 złotych.

Niektórzy nie chcą „robić dzieciom zachodu albo sąsiadom zamieszania” i machają ręką, odpuszczają. Po prostu nie jadą do specjalisty. – Już teraz w badaniach GUS wychodzi, że to nie pieniądze są problemem w dostępie do opieki zdrowotnej, ale dojazd, transport – potwierdza Bartosz Jakubowski.

Seniorzy na wsiach z powodu braku połączeń autobusowych są odcięci nie tylko od lekarzy specjalistów, sklepów, kin, teatrów, ale i czasami od rodziny, która mieszka kilkadziesiąt kilometrów dalej.

Hulajnogą mam przyjechać?

Stanisław: – Są urodziny i syn, który mieszka w Modlinie, mówi: „Tato, przyjeźdź”. A ja pytam: „Czym, hulajnogą?”. Też przecież nie mam. I człowiek rezygnuje i nie jedzie. No bo przy niedzieli, sobocie w ogóle ani jeden autobus nie jedzie. One kursują tylko w dni robocze. Ale jak są ferie, to nic nie jeżdź – żali się.

Inna seniorka oburza się, że prywatni przewoźnicy jeżdżą, kiedy chcą i jak chcą. I podaje przykład: – Wybierała się do mnie koleżanka z Płońska i dwukrotnie wracała się do domu, bo prywatni nie jechał. Jak ciepło, to można postać i zaczekać, ale zimą to koszmar.



Bez samochodu jak bez ręki

Na mazowieckiej wsi pierwszym egzaminem w życiu 18-latek jest ten na prawo jazdy, a pierwsze uskładane pieniądze wydaje się tu na auto. Jeśli będzie brakowało, to rodzice dorzucają. Im też zależy na tym, żeby dziecko było niezależne. To przecież dla nich odciążenie.

– Jak synowie chcieli na imprezę, to zawsze powtarzali: „Mamo, zawieź; tato; zawieź”. Młody chłopak, jak nie ma prawa jazdy, to jest tu nikim. Moi wszyscy synowie zrobili. Każdemu trzeba było samochód kupić. Dobrze, że tylko trzech ich było – żartuje sołtys Czarnot, Alfred Zieliński. I za chwilę już zupełnie poważnie dodaje: – Gdyby tu kogoś nie było stać na samochód, to jest uziemiony, nie ruszy się z domu.

Właściwie przed każdym domem dumnie stoi przynajmniej jedno auto, a we wsi są w stanie palcem wskazać, kto i u nich, i w sąsiednich miejscowościach nie ma prawa jazdy. – Każda rodzina posiada samochód, może nawet i więcej – przyznaje wójt Nowego Miasta, Sławomir Dariusz Zalewski.

– U nas są dwa samochody, sąsiadka też ma. Jak trzeba, to kogoś się zawsze podrzuci. Ale są i tacy, którzy nie mają prawa jazdy, samochodu i dzieci. I oni mają problem – stwierdza jedna z mieszkanki wsi.

Prawdziwość tej lokalnej mądrości na własnym przykładzie potwierdza staruszka bez prawa jazdy: – Tu każdy jest zdany sam na siebie. Nie ma żadnej komunikacji miejskiej. Kto ma prawo jazdy, to ma łatwiej. Dzisiaj samochód to nie problem, aby tylko jechał i żeby było za co go opłacić. A że ja nie mam prawa jazdy, to jest, jak jest. Na obecną chwilę jestem bezrobotna – rozkłada ręce.

Na przystanku autobusowym w Nowym Mieście stoi wianuszek kobiet w średnim wieku. Czekają na autobus, który zawiezie je do pracy w Warszawie. – Od razu miałyśmy zapewniony transport do pracy, inaczej nie pracowałybyśmy tam, gdzie pracujemy – oznajmia jedna z nich.

– Do Warszawy to nawet nie ma nic bezpośredniego. A my dojeżdżamy do stolicy bezpośrednio. Jak ktoś nie ma samochodu, to chyba pracy nie podejmuje – dorzuca inna.

– Mieszkańcy wsi doskonale wiedzą o tym, że bez samochodu nie są w stanie zarabiać pieniędzy. Tu nie chodzi o lans. Bez samochodu jest tu gorzej niż bez ręki. A to dlatego, że można nie mieć ręki, ale mieć dostosowany samochód... Samorządy zachowują kompletną bierność, argumentując to niepewnym stanem prawnym, wyciągają rękę do rządu, rząd wymyśla kolejne nowelizacje, które nie dochodzą do skutku, i kółko się zamyka – stwierdza Bartosz Jakubowski.

Rower na zawołanie

Środek zimy, ale w Nowym Mieście i pobliskich wsiach rowerzystów co niemiara. To najczęściej starsze osoby, którym nigdy nie udało się zrobić prawa jazdy. – Rowerek jest zawsze tak na zawołanie. Tutaj miejskiej komunikacji to w ogóle nie ma, tylko każdy we własnym zakresie... A jak trzeba do specjalisty, to jedynie własnym samochodem. Inaczej to nie ma. Autobusy tutaj są chyba dwa – wlicza kobieta, która jedną ręką przytrzymuje rower, drugą wnuczka.

Niektórzy znaleźli alternatywę dla samochodów i rowerów w postaci skuterów. – Nie ma innej opcji, żebym ja czymś przyjechał. Ani autobusu, nic tu nie ma – mówi staruszek wsiadający na skuter. Mieszka w Latonicach, do Nowego Miasta ma cztery kilometry. – Tylko tutaj jest lekarz, urząd, sklepy, wszystko tutaj w Nowym Mieście. Dlatego natychmiastowo przydałby się transport. Jak ktoś nie ma czym jechać, to nie pojedzie – dodaje.

Transport szkolny, nie publiczny

– Czasami kierowca wozi powietrze, ale mnie nie wpuści – skarży się jedna ze staruszek. Już zdążyła przywyknąć do krzywych spojrzeń kierowców szkolnych autobusów, kiedy pyta, czy podwieżą do miejscowości obok. Oni też ryzykują, zabierając na gapę pasażerkę, która szkolne lata już dawno ma za sobą.

– Oficjalnie nie powinno się to odbywać – mówi nam wójt Nowego Miasta, Dariusz Zalewski.

I dodaje: – Zapewne jakimś rozwiązaniem byłoby włączenie możliwości dojazdu osób starszych transportem, który dowozi uczniów.

Zalewski szczerze przyznaje, że gminy nie są w stanie zorganizować na własną rękę żadnego transportu, poza tym szkolnym. A i to je sporo kosztuje: – Rocznie wydajemy na to około 200 tys. zł, co jest sporym wydatkiem, jeśli chodzi o samorząd typowej gminy wiejskiej – mówi wójt Nowego Miasta. Jego zdaniem to rząd powinien rozwiązać problem systemowo. – To musi być rozwiązanie centralne i dofinansowanie centralne – uważa Zalewski.

Zdaniem Jakubowskiego w wielu gminach w Polsce nie funkcjonuje transport publiczny, a jedynie ten szkolny. – Samorządy zachowują kompletną bierność, wyciągają pieniądze od rządu, rząd wymyśla kolejne nowelizacje i kółko się zamyka. Rząd chce zmian, ale pieniędzy dać nie chce. I tak w kółko, i tak w kółko – podkreśla Jakubowski. Tak było przynajmniej do czasu początku kampanii wyborczej.

PKS kielbasą wyborczą

Teraz Kaczyński i Biedroń prześcigają się w obietnicach przywrócenia skasowanych połączeń PKS. Chcą wygumkować z mapy Polski białe plamy komunikacyjne. A do każdego powiatu ma dojeżdżać pociąg, do gminy – autobus.

Na razie to wyłącznie obietnice i ogólniki, a tymczasem fakt jest taki, że ustawa o transporcie zbioro-

wym od kilku lat czeka na nowelizację. Było już kilka przymiarek, dziewięć projektów, ale na tym się skończyło.

Najpierw chęć walki z komunikacyjnym wykluczeniem wyraził Dariusz Standerski, człowiek Biedronia i szef zespołu programowego partii Wiosna. W styczniu przekonywał, że jego partii zależy na odchodzeniu od „warszawocentryzmu”, przebicciu bańki, w której żyją dziś politycy. „Wszystkie regiony zasługują na równe prawa i przywileje” – pisał na Twitterze Robert Biedroń.

Parę tygodni później – na konwencji PiS – prezes Kaczyński złożył wyborcom dokładnie tę samą obietnicę. – PiS zamierza przywrócić skasowane wcześniej połączenia autobusowe, aby podwoić liczbę przejechanych kilometrów do jednego miliarda z pół miliarda obecnie – mówił.

– Przywrócimy to, przywrócimy ten miliard, przywrócimy połączenia. Te połączenia, o których mówiłem, połączenia autobusowe, dotyczą oczywiście wszystkich, całej Polski, także wielkich miast, ale przede wszystkim mniejszych miast i wsi – mówił dumnie prezes PiS.

Ale na wsi nikt tej przedwyborczej kielbasy nie chce jeść. – Ja nie żyję rok, ja wiem, że każdy tylko obiecuje. I na obietnankach wszystko się kończy – śmieje się jeden z mieszkańców.

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.





Ostatni przystanek twojego pupila: witamy w krematorium dla zwierząt

Tekst: Michał Joško | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Śmierć nie ominie żadnej istoty, również ukochanego Reksia, Pimpusia czy też Mruczka. Dziś odwiedziłem wyjątkowe miejsce, w którym pożegnasz swojego ulubieńca z szacunkiem, gdy już odejdzie z tego świata.

W chwili, gdy twoje ukochane zwierzę umiera, w świetle przepisów automatycznie przeobraża się w uboczny produkt pochodzenia zwierzęcego kategorii 1., czyli niebezpieczny odpad biologiczny, który należy po prostu zutylizować. Niezależnie od tego, jak bardzo je kochałeś i jak głęboka była wasza więź. Odwiedziłem Dolinę Spokoju, czyli firmę, która pozwala żegnać naszych braci mniejszych w sposób naprawdę godny.

– Wejście w taką właśnie odnogę branży funeralnej było decyzją powiązaną ściśle z moim wykształceniem. Jestem lekarzem weterynarii, czyli należę do grona osób, które najpierw robią wszystko, aby zapewnić zwierzętom dobre zdrowie i długie życie. Później nadchodzi moment, w którym skupiamy się na tym, aby mogły odejść w sposób bezbolesny, humanitarny. Czy to koniec? Nie. Przecież warto zatroszczyć się jeszcze o to, aby z szacunkiem potraktować to, co zostało z owego stworzenia – mówi Jerzy Kemilew, który wraz z żoną stoi na czele firmy Dolina Spokoju.

To jedno z zaledwie pięciu krematoriów dla zwierząt domowych działających w naszym kraju, branża dopiero raczkuje. Jak mówi Iwona Kemilew, choć Polacy coraz częściej chcą traktować ciała swoich zwierząt właściwie, to nierzadko nawet nie wiedzą, jakie są możliwości.

Zauważa, iż w ciągu ostatnich kilkunastu lat bardzo mocno zmieniło się podejście Polaków do zwierząt domowych i w kwestii troski o naszych podopiecznych powoli równamy do Zachodu.

– Jesteśmy skłonni wydawać więcej nie tylko na usługi weterynaryjne lub dobrą karmę, lecz i godny pochówek – zaznacza właścicielka krematorium.

Oczywiście, znacznie lepiej jest to widoczne w przypadku wielkich miast, gdyż na prowincji nawet pies – najbliższe człowiekowi zwierzę – wciąż bywa postrzegany jako coś, co przykute łańcuchem do budy ma po prostu pilnować naszego dobytku. Gdy umiera, trzeba byle jak, możliwie łatwo i szybko pozbyć się jego truchła i... po problemie.

Śmierć i... co dalej?

Pomińmy w tym momencie scenariusz, który jeszcze do niedawna był w naszym kraju niemal normą, czyli zakopanie martwego zwierzęcia w ogródku, bądź wręcz wyrzucenie ciała gdzieś w lesie.

Od paru lat takie działanie jest niezgodne z prawem. Przecież – przypomnijmy – owo ciało uznawane jest za groźny odpad, a za podobne działanie grozi nam wysoka grzywna (od 13 000 zł plus koszt ewentualnej ekshumacji).

Pozostaje więc albo dostarczenie zwłok naszego pupila na jeden z cmentarzy dla zwierząt, bądź też pozostawienie go do utylizacji w lecznicy weterynaryjnej (koszt od 7 do 10 zł za każdy kilogram jego wagi). Czy druga z tych opcji to zawsze dobry pomysł?

– Do lekarza zgłasza się firma utylizacyjna, która przewozi zwłoki pańskiego pupila do spalarni odpadów medycznych. Tam jest traktowane właśnie jak odpad: przesuwana się w stronę pieca, leżąc pomiędzy brudnymi, zakrwawionymi bandażami, strzykawkami i pojemnikami na moczu. Czy to godne pożegnanie członka rodziny, przyjaciela, który był przy nas na dobre i złe, kochał bezwarunkowo? Naszym zdaniem nie i właśnie to było jednym z asumptów do założenia tej firmy – mówią państwo Kemilewowie.

Realia nadwiślańskie

Jak dodają: mowa tu o firmie, której założenie było drogą przez mękę, rozpoczętą w roku 2014. Cóż, dla części społeczeństwa temat jest bardzo nietypowy i zaskakujący. Lub wręcz drażliwy oraz szokujący.

– Zdecydowana większość Polaków na słowo „krematorium” wpada w panikę. Automatycznie nasuwają się skojarzenia historyczne, lektury takie, jak „Dymy nad Birkenau” Seweryny Szmaglewskiej.



Do tego dochodzi pokutujące jeszcze myślenie typu „godne traktowanie ciał zwierząt? Przecież to jakieś fanaberie” – klaruje Jerzy Kemilew.

W takich okolicznościach urzędnicy przezornie wolą wydawać decyzje odmowne, a w słuszności takiego postępowania utwierdzają ich mieszkańcy sąsiedztwa planowanych krematoriów.

– Znamy kilkanaście osób, które chciały założyć podobne firmy i w pewnym momencie, po zderzeniu się z nieprzyjazną biurokracją i reakcjami mieszkańców, dały sobie spokój. My mieliśmy możliwość przetrwać ten czas, bo oprócz tego od lat prowadzimy laboratorium zwierzęcych komórek macierzystych. Swoją drogą: na pewnym etapie starań przestaliśmy używać słowa „krematorium”, stosując synonim „spopielarnia” – opowiada małżeństwo.

W ten sposób przebrnęli przez liczne przeszkody: od znalezienia odpowiedniej działki (jedynej w województwie mazowieckim, której plan zagospodarowania przestrzennego dopuszczał taką działalność) aż po uzyskanie mnóstwa niezbędnych zezwoleń.

Jak to w polskich realiach bywa, wszystko wymagało żyłki hazardowej: o zgodę Urzędu Miasta można



wystąpić dopiero wówczas, gdy... gotowa jest już cała infrastruktura. Czyli najpierw wyklada się wielkie pieniądze i poświęca mnóstwo czasu, aby później nerwowo ścisnąć kciuki za to, by nasz wniosek został rozpatrzony pozytywnie.

W tym przypadku otrzymanie zgody zajęło 2,5 roku, po drodze było odwoływanie się od nieprzychylnych (i niezgodnych z obowiązującym prawodawstwem) decyzji urzędników.





Starania przyniosły efekty i w styczniu 2019 r. Dolina Spokoju (umiejscowiona na styku Targówka, Pragi-Północ i Południe; tysiąc kilkaset metrów od wielkiej spalarni śmieci, należącej do Zakładu Utylizacji Odpadów Komunalnych) mogła rozpocząć działalność.

Magiczna przemiana

Podchodzę do pieca krematoryjnego. Jest podobny do konstrukcji, w których spala się ciała ludzkie, różni się jedynie rozmiarem.

Cały proces zaczyna się tutaj od komory głównej, w której temperatura sięga 850 stopni Celsjusza, następną w kolejności jest komora dopalania spalin (tutaj mowa już nawet o 1300 stopniach Celsjusza).

To, co je opuszcza, trafia do specjalnego młynka, tak zwanego kremulatora, który rozdrabnia pozostałości na bardzo drobny popiół.

W tym momencie – trzymając się prawodawstwa Unii Europejskiej – zwłoki zwierzęcia przestały być niebezpiecznym odpadem. Przeobraziły się w składnik fosforowy.

Czyli mówiąc po ludzku: nawóz, który można np. legalnie rozsypać w ogródku, wysypać do rzeki lub postawić na kominku.

W przypadku średniej wielkości psa o masie 25 kg cały ów proces zajmuje około 120 minut, z dodatkową godziną na wychłodzenie pieca. Spalenie chomika? Zaledwie 20 minut.

– Tak, mieliśmy tutaj kilka chomików. Do tego świnki morskie i fretkę, na razie żadnych ptaków. Wyjątkowo dobrze pamiętamy pewnego legwana... Wie pan, gad zmarł w wieku 15 lat, czyli swojemu 25-letniemu właścicielowi towarzyszył przez ponad połowę życia. Bardzo traumatyczna sytuacja – wspomina pani Iwona.

Ostatnie spojrzenie

– Zamknięcie drzwi do pieca to jakby zakończenie pewnego rozdziału, łatwiej pozwala właścicielom przejść do porządku dziennego nad śmiercią ulubieńca, która często wiąże się z ogromnymi emocjami. Później, gdy wracają do naszego biura, widać, jak te emocje powoli opadają. Takim osobom staramy się pomóc w wyciszeniu; uwzględniając to, że jednym zajmie to krócej, a innym dłużej – pan Jerzy przechodzi do sytuacji związanej z pewnym małżeństwem.

Na kremację swojego ukochanego psa owa para przyjechała z butelką whisky i dwoma cygarami, pytając, czy mogą posiedzieć w Dolinie Spokoju przez kilka godzin, nieśpiesznie kontemplując śmierć tak ważnej dla nich istoty. Ot, forma kameralnej stypy...

Zmniejszeniu stresu i ukojeniu nastroju służą także pewne zabiegi: zwierzęta trafiają do pieca owinięte w białe całuny, można tu również liczyć na usługi z zakresu tanatopraksji.

– Oczywiście nie wykonujemy makijażu pośmiertnego, lecz w grę wchodzi np. przeczesanie i umycie sierści, usunięcie śladów wydzielin albo wsunięcie języka do pyska. Cóż, trafiają tu zwierzęta w różnym stanie, a przecież chodzi o to,



aby ci, którzy chcą zobaczyć swojego przyjaciela po raz ostatni, nie doznawali dodatkowego szoku. Ma wyglądać tak, jakby po prostu spał – słyszę w Dolinie Spokoju.

To istotne zwłaszcza w sytuacjach, gdy właściciele pojawili się z dziećmi, które szczególnie mocno przeżywają odejście ulubieńców domu.

– Największym komplementem była sytuacja, gdy jedna z klientek, stojąc z zapłakaną córeczką nad ciałem ukochanego psa, powiedziała do niej: „Zobacz, Haniu, wygląda lepiej niż za życia”
– wspomina Jerzy Kemilew.

Porozmawiajmy o pieniądzach

Ile kosztuje godne pożegnanie przyjaciela? Cennik otwiera kremacja zbiorowa, w której właściciel nie otrzymuje prochów swojego pupila – w przypadku zwierząt małych (do 10 kg) to wydatek 120 zł.

Spopielenie indywidualne kosztuje od 590 zł do 990 zł (za zwierzęta największe, o wadze powyżej

60 kg). W cenę wliczony jest odbiór zwłok w promieniu 50 kilometrów od centrum Warszawy.

W przypadku psów pracujących w policji, wojsku oraz innych służbach utrzymujących porządek publiczny stosuje się 30-procentowy rabat; psy przewodnicy osób niewidomych kremowane są bez żadnych opłat.

Do tego można zamówić urnę ozdobną („Od 320 zł. Zaznaczmy: bez jakichkolwiek symboli religijnych, pod tym względem staramy się być neutralni”) oraz pamiątki, takie jak oprawiony w ramkę odcisk łapy pupila (75 zł).

Na szczycie cennika znajduje się wisiołek z żywicy, w której zatopiono DNA ukochanego zwierzęcia, wyizolowane w jednym z krakowskich laboratoriów.

Po zapłaceniu 1200 zł i odczekaniu około czterech tygodni możesz otrzymać pamiątkę, która pozwoli marzyć o tym, iż pewnego dnia sklonujesz ukochanego zwierzęcia, po którym właśnie płaczesz.

Tego nie znajdziesz w przewodniku. Prawdziwa twarz niesławnej dzielnicy Łodzi

Tekst: Bartosz Godziński | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Ta okryta złą sławą (nawet wśród mieszkańców Łodzi), jedna z najbardziej znanych dzielnic w Polsce, ma w sobie mnóstwo uroku. Przekonałem się o tym na własne oczy w czasie przechadzki z najłynniejszym bałuciarzem – Łukaszem z Bałut.





Originalne napisy na murach są również nieodłącznym elementem krajobrazu Bałut.

Niektórzy porównują Bałuty do warszawskiej Pragi. Na pierwszy rzut oka są podobne, bo i tu, i tam widzimy pełny przekrój społeczeństwa i wiele rozpadających się kamienic.

– Nie zgadzam się z tym. Tutaj mamy zabudowę eklektyczną i zjawisko palimpsestowości: stała chata, potem postawiono na niej kamienicę, którą następnie wyburzono pod apartamentowiec. Na Pradze tego nie ma. Za to jest dużo kapliczek – tłumaczy mój przewodnik.

Na Bałutach kapliczki można policzyć na palcach jednej ręki. Jedna jest w miejscu dawnej granicy między wsią a miastem, ale o tym za chwilę.

Łukasz to lokalny aktywista, artysta i amant. Jest idealnym przewodnikiem na niestandardowy spacer po dzielnicy, bo z Bałutami jest związany całe życie. Był wszędzie i zna praktycznie wszystkich.

– W pewnym momencie aż mi to zaczęło przeszkadzać, bo często odstawialiśmy tu niezłe akcje. Nie wstydzę się jednak tego – śmieje się.

Zakładałem, że nasza wyprawa potrwa góra godzinę, a zrobiło się z tego pół dnia. I tak zobaczyliśmy tylko ułamek tej niesłusznie nieodkrytej dzielnicy. Nieznanej nawet dla kogoś takiego jak ja, który w Łodzi mieszkał ponad 10 lat, z czego szmat czasu na Bałutach. I w tym tkwi sedno sprawy: większość łodzian trzyma się od tej okolicy z daleka. I nie wie, co traci.

Wieś, która stała się dzielnicą

Nie przywidziało się wam. Ponad 100 lat temu Bałuty były największą wsią w Europie. I nie taką w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Osiedlali się tam handlarze, robotnicy, prostytutki i złodzieje. Po przyłączeniu jej w 1915 roku do miasta została wchłonięta wraz ze swoją specyfiką. Powiedzenie



Wciąż możemy napotkać pozostałości bardzo dawnych Bałut.

„Łódź była robotnicza, pełna fabryk. Żeby tam mieszkać, to musiałeś mieć kasę i pozwolenia. Dlatego ci najbiedniejsi osiedlali się na sąsiedniej wsi. Bałuty zaczęły się szybko rozrastać”.

„Bez kija i noża nie podchodź do bałuciorza” nie zostało wyssane z palca (dla równowagi jest też: „Bałuty i Chojny to naród spokojny”).

Dzielnica wielokrotnie była „orana” historycznie i porzucana. W czasie II wojny światowej był tam jedyny w Polsce obóz dla dzieci (przy ulicy Przemysłowej), który graniczył z Litzmannstadt Ghetto, utworzonym na przeważającym obszarze Bałut.

Po wojnie podtrzymywano tę „tradycję” – Ludziom fajniej jest mieszkać w charakterystycznej dzielnicy. Bałuty stały się modne przez swoją złą sławę – mówi Łukasz.

Ciemna strona Bałut

Łatka groźnego miejsca jest przypięta Bałutom do dziś. Nawet niektórzy Łodzianie boją się tam zapuszczać. Zwłaszcza że nieraz na jednej ulicy bezpośrednio sąsiadują tereny „należące” do kibiców Widzewa i ŁKS-u.

Powiedzmy sobie szczerze: wszędzie w Polsce można dostać po twarzy. Bałuty może brylują w policyjnych statystykach przestępczości, ale ja nie czułem się tam zagrożony.

Możliwe, że również miał na to wpływ fakt, że spacerowaliśmy sobie w ciągu dnia. Tak na marginesie mówiąc, przywodziło mi to na myśl wycieczkę szkolną, ale bez nudnych kościołów i muzeów. Zresztą Bałuty same w sobie są wielkim eksponatem.

Bałuciarze byli bardzo przyjaźnie nastawieni, sami zagadywali, opowiadali o historii danego miejsca, że tu stał kurnik, a tam była piekarnia. Ogólnie można to streścić do popularnego hasła: „Kiedyś to było”.

I owszem, też byłem w szoku, bo kiedy tam mieszkałem i chadzałem wieczorami, to nieraz byłem zaczepiany, ale z innymi intencjami.

I gdzie te słynne bandziory?

Ludzie tworzą tutaj mikrospołeczności, które są praktycznie nieobecne w wieżowcach, gdzie w wynajmowanych mieszkaniach sąsiad sąsiadowi wilkiem. Zupełnie inaczej wygląda to w przypadku „lokalsów” wrośniętych w dzielnicę od dziecka.

– Spotykają się w knajpach i sklepach, komentują politykę, oglądają mecze, piją wódeczkę. Nie są zamknięci na obcych. Trzeba umieć rozmawiać i chcieć tego, ale nie wkręcisz się tu na siłę. A jeśli



Nie wszyscy nas witali z otwartymi ramionami



Pełno tu drobiazgów, których nie widać na pierwszy rzut oka.

„Krąży tu wiele legend, jak ta o gangu Ślepego Maksa. Ludzie często o nie pytają, chodzą w koszulkach z napisami o Bałutach. Jedni w ten sposób identyfikują się z dzielnicą, inni po prostu tu żyją i tak się czują”.

masz w sobie „gen mendi”, to nawet w wytwornych willach cię nie będą lubić – tłumaczy nasz przewodnik.

Przechodzimy obok małżeństwa mieszkającego w obskurnej kamienicy. Wieszali akurat pranie na ogólnodostępnym podwórku z prowizoryczną ogródko-ganko-suszarnią. Zapytaliśmy, co znaczy napis na pobliskiej ścianie: „WERKA WRÓĆ, CZEKA ŁÓDŹ”. Okazało się, że Werka po prostu siedzi w więzieniu.

I od razu przekonałem się, że Łukasz jest swoistym bałuciarskim celebrytą. Para zamiast nas przegonić, zaczęła z nami rozmawiać. – Pan to jesteś ten, co robi te zdjęcia na Facebooku? – zapytała mieszkanka kamienicy i przyznała, że jej się to bardzo podoba.

W sumie na Bałutach mało przyjazny był dla nas tylko pies ze zdjęcia poniżej. Broni swojego

terenu, jak każdy łodzianin broni dobrego imienia swojego miasta.

Zieleń i beton

Wycieczka przypadła na późną wiosnę, więc wszystko kwitło i pogłębiało efekt „wow”, a zaprawdę powiadam wam: ilość drzew, krzewów i parków jest powalająca. Co prawda czasem kluczyliśmy między blokami i fikuśnymi, przyciasnymi przesmykami, ale generalnie Bałuty to taka miejska dżungla – dosłownie.

– Bałuty można zwiedzić całe w cieniu drzew. Od placu Wolności idziesz przez park Śledzia, Helenów, Ocalałych, skwer Gdański, wychodzisz na Warszawską i dalej masz Las Łagiewnicki i kompleks Arturówek – prowadzi Łukasz.

Stereotypy jak zwykle okazały się mocno przesadzone i zbudowane nieco na wyrost. Bałuty to nie Wiedeń, ale nie są też Prypecia, tylko dzielnica



Łódź to miasto kontrastów, a na Bałutach w szczególności

wielce różnorodną i pełną kontrastów. To taka Łódź w pigułce. W podwójnej dawce.

Mijaliśmy ponadstuletnie kamienice, opuszczony stadion Budowlanych, zarośnięte podwórko z uroczym drewniakiem, tablicę upamiętniającą miejsce wywozu do Auschwitz, dawną fabrykę wyrobów azbestowych. Pominęliśmy pewnie wiele innych poukrywanych smaczków. Spotykaliśmy zarówno amatorów tanich trunków, dzieciaki na hulajnogach, jak i panów w garniturach. Jak wszędzie.

Zawsze się zastanawiałem, dokąd w Łodzi zabrać przyjezdnych znajomych żądnych zwiedzania. Teraz już wiem, że ani Piotrkowska, ani Manufaktura nie zapewnią tylu wrażeń i wspomnień do anegdot, co Bałuty. O tym jednak nie przeczytacie w żadnym przewodniku.

„W Bałutach zajebiste jest to, choć mało osób zwraca uwagę, że są bardzo zielone. Tylko czy ludziom się chce na to wszystko patrzeć? Jak im nie powiesz, to sami nie spojrzą”.



Nie wszystko złoto, co się świeci



O starości, której nie dopuszczasz do myśli. „To jakby nagle spaść z wysokiego konia”

Tekst: Daria Różańska | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

– Komorne, leki. Teraz zęby mi się popsuły, naprawić trzeba. Jak bez zębów?
– zastanawia się Hela. Handluje używanymi rzeczami na warszawskim bazarze. – Zęby zębami, ale coś trzeba jeść – przywołuje ją do porządku Ula.

5 rano. Jest piątek, więc w Warszawie handluje się na Kole. Wszyscy są tu dużo wcześniej, bo przecież trzeba zająć miejsce. Im bliżej przystanku autobusowego, tym lepiej. Jest szansa, że więcej osób w drodze na autobus się zatrzyma, popatrzy, a może nawet kupi. Kto jest pierwszy, zajmuje miejsce koledze. Następnym razem, jak się zaśpi, to on się odwdzięczy. Jest październik, jeszcze ciemno, ale w telewizji zapowiadali ładną pogodę. Jest więc nadzieja, że będzie dobry handel.

Na chodniku w pobliżu bazaru na warszawskim Kole rozkładają ceraty, koce, kolorowe worki na śmieci, obrusy, kartony, folie. A na nich ląduje wszystko, co zostało im z lepszych czasów i pozwoli zarobić parę groszy. Są tu: obrazki z wizerunkiem Jezusa Chrystusa, Matki Boskiej, staniki, kryształ, ciuchy po dzieciach, zabawki po wnukach, biżuteria po zmarłych krewnych. Sezonowo pojawiają się sznury suszonych grzybów, przetwory czy robione na drutach swetry. – Oni się wysprzedają – rzuca krępy taksówkarz w drodze na bazar.

Starsi ludzie znoszą tutaj rzeczy, które gdzieś znaleźli, dostali od sąsiadów, rodziny. Najczęściej są używane, z bogatą historią i pójda za bezcen. Czasami wytrawni handlarze odkupują coś od tych mniej doświadczonych i sprzedają dwa razy drożej. – Ale niech idzie – macha ręką Wanda. Czerwony sweter z koralikami – 2 złote, książka Orwella „Rok 1984” w sztywnej oprawie – 10 złotych. Do wyboru, do koloru. Zwykle ci starsi ludzie – emeryci, renciści, niepełnosprawni i poturbowani przez życie – siedzą tu od 4.30 do 14. Niektórzy z nudów nawet dłużej.



Jedno ze „stoisk” na bazarze na warszawskim Kole.

W domu przecież niewiele mają do roboty, najczęściej nikt na nich nie czeka. A w telewizji w kółko to samo i „ciągle te kłótnie”. Na restauracje, teatry i kina już dawno ich nie stać.

Ula (60 lat) i Hela (77 lat)

– Oj, tragiczne życie emerytów, oj, tragiczne – ciężko wzdycha Ula. Siedzi razem z koleżanką Helą na betonowym murku. Nad ich głowami powiewają bluzki, swetry, płaszcze. Zawiesiły je na płocie, by wyeksponować towar. Ale słońce przebija się przez materiał i obnaża jego słabą jakość. Niewiele chcą za te rzeczy – po 2, 3 złote za sztukę. Na handel zaczęły przyjeżdżać, jak przeszły na emeryturę. Ula za zarobione pieniądze kupi sobie od czasu do czasu jakiś owoc. Bo z emerytury jej na takie rarytasy nie wystarcza. – To jest w ogóle nie do pomyślenia. Wie pani, że ja mam 648 złotych? – skarży się i na dowód zanurza zniszczone ręce w starej brązowej torebce. Szuka odcinka renty. Nauczyła się dobrze gospodarować groszem: najpierw płaci czynsz, światło, wykupuje leki i żyje z tego, co zostanie. Na bazaru zawsze sobie dorobi, a i towarzystwo ma, świeżego powietrza powdycha. – Chociaż tu akurat tyle samochodów – uściśla Hela. Poznały się na Kole jakieś trzy lata temu. Dzieli je prawie 20 lat, łączy przyjaźń.

– Komorne, światło, gaz, telefon stacjonarny, bo komórki nie mam – recytuje listę swoich wydatków Hela. 1 stycznia skończy 77 lat. Cieszy się, gdy mówię, że na tyle nie wygląda. Mieszka na warszawskiej Woli. Akurat teraz w pobliżu jej mieszkania budują metro, więc narzeka na hałas. Męża pochowała 7,5 roku temu. Pracowała jako przedszkolanka, w żłobkach, ale swoich dzieci nigdy nie miała. Teraz cieszy się, że może mieszkać sama i ma dużą swobodę.

– Jestem na łasce u dzieci, wie pani, jak to jest? To jest tragedia – skarży się Ula. Hela jest oburzona, że rząd ciągle zapowiada, że coś w ich życiu się zmieni. – Ale kiedy to się zmieni? – niecierpliwi się. – Nic się nie rusza, pani. Jak miałam, tak mam. Dadzą 10 złotych, 8 złotych podwyżki – rzuca 77-latka.

– Dostałam złoty trzydzieści waloryzacji! – wybuchła śmiechem Ula. Ale po oczach widać, że wcale nie jest jej wesoło. Wyczuwa to chyba Hela i ratuje sytuację: – I trzeba się jeszcze uśmiechać, że tak nam dobrze. A wie pani, leki, komorne, opłaty, a teraz tak – zęby mi się popsuly. Naprawić je trzeba. No, jak bez zębów chodzić? – patrzy na mnie pytająco.

– Zęby zębami, ale coś trzeba jeść – sprowadza ją na ziemię młodsza koleżanka.

Hela błyskawicznie zmienia wątek. Lubi ponarżać na rząd. – Mówiło się 500+ dla dzieci, no ja rozumiem. Potem była wzmianka, że będzie też dla emerytów. I ucichło, ucichło i nie ma. Starych trzeba wykończyć jak najszybciej, żeby im na leki nie starczało. Moja sąsiadka niedawno zmarła na alzheimera, bo nie miała jak wykupić leków. Położyła się w sobotę o 16 i nie wstała – rozkłada ręce Hela. Choruje na cukrzycę. Kiedyś dostawała darmowe paski, zniżki na aparaty. A teraz za wszystko musi płacić: 18 złotych za dwa opakowania jednego leku, drugi – na serce sprowadza aż z Niemiec.

– A weź na serce nie wykup sobie leku – patrzy na mnie i szuka zrozumienia. Hela na handel na Halę Mirowską nie jeździ, „bo gonią”. Teraz otworzyli tam przecież Halę Gwardii, miejsce spotkań dla „bogatszych ludzi”. – Wygonili ich stamtąd przez to nowe miejsce – słyszę od pani z warzywniaka przy Hali Mirowskiej. Ale nie zniechęciło to Heli, by przyjeżdżać do tamtejszej apteki. – W Hali Mirowskiej jest najtaniej – precyzuje. – A ceny teraz tak poszły w górę. Jabłka po 4 złote za kilogram – uświadamia mnie Ula.

– Ty wiesz, Ula, jak mleko podrożało? – wtrąca Hela. Do tej pory po mleko jeździła do Auchana. – Tam było najtańsze – 1,99 zł. A teraz 2,58 zł. Nie kupiłam wczoraj mleka, mimo że miałam chęć – przyznaje. Hela lubi kawę zabielić mleczkiem. Ale teraz wyliczyła, że bardziej jej się opłaca kupić małe śmietanki za 1,79 zł. I w ten sposób 20 groszy zostaje w kieszeni.

A jest na co wydać tę nadwyżkę. W końcu masło i pieczywo podrożały. Mówi się też, że jaja poszły w górę i przed świętami może ich zabraknąć.

– Wszystko drogie, wszystko. Chcą normalnie zamieść tych starych pod ziemię. I bez nas będzie im lepiej – nakręca się Hela. Kończy mówić, wstaje i biegiem leci na obiad. – Mam za pół ceny na stołówce – rzuca. I absolutnie nie zgadza się na zdjęcie. – Przecież my obie takie nefotogeniczne – mówi z kokieterią.

Wanda (76 lat)

5:12. Wanda akurat rozkłada swoje stoisko. Znamy się, byłam u niej we wtorek. Uśmiecha się na mój widok. Dwoma tramwajami jechała na Wolę z Bródna. Zerwała się z łóżka, kiedy syn i koty jeszcze



Wanda ma 76 lat i od trzech dorabia na bazarku. Na Koło dojeżdża aż z Bródna.

smacznie spały. To ona utrzymuje ich ośmioosobową rodzinę. Znow jej się udało stanąć pod drzewem, tuż obok przystanku autobusowego.

Przecież to takie oczywiste, że jak ma się sześć kotów, to należy dać im jeść, a wcześniej trzeba na nie zarobić. A jak z dnia na dzień o połowę obcinają emeryturę po mężu, to ciężko wykarmić koty, syna alkoholika i jeszcze siebie. – Muszę być silna dla kotów. Powiem im, że nie mam na jedzenie? – rozkłada ręce Wanda. Wie, że ma ich za dużo, ale nie miała sumienia ich nie przygarnąć. Ostatnio ktoś chciał je jej zabrać.

– Ale rodziny się nie oddaje. Mam dwie dziewczyny i czterech chłopaków. Myślę, że zwierzęta są lepsze od ludzi. Potrafią się odwdziżyć. A wiadomo, jak ludzie – patrzy na mnie smutnymi niebieskimi oczami. Siedzi przygarbiona na wózku, przez problemy z kręgosłupem. Jest chuda jak patyk, waży niewiele ponad 40 kilogramów. Ale o zdrowie dba, ma złotą zasadę: nie łyka żadnych proszków przeciwbólowych.



Rysiek ma prawie 60 lat. Na bazar przyjeżdża nawet zimą.

Na zielonym obrusie i przezroczystej folii bąbelkowej położyła kilka książeczek dla dzieci, sokowirówkę (kupiła nową za 199, chce sprzedać za 100), maselniczkę, trochę odzieży. – Na przykład tę kurtkę zupełnie nową dostałam od koleżanki. Jej córka sobie kupiła i nie chciała chodzić. Ja nałożyłam raz – opowiada. – Zielona, ładna, czego pani w niej nie chodzi? – dociekam. – Na razie muszę sprzedać. Ten październik mnie załatwił. Emeryturę mi obcięli – mówi załamana.

W tle ktoś wykrzykuje: – Ma pani rajtuzy dla 6-latka, takie pod spodnie? Z drugiej strony słychać: – To cukierniczka? – pyta elegancka blondynka, wskazując palcem na kryształowe naczynie. – Nie, to nie jest cukierniczka, to co najwyżej na cukierki – szczerze odpowiada Wanda. I w ten sposób traci klientkę.

Wanda handluje od trzech lat. Jak nie pada i nie jest zimno, to coś tam jest w stanie zarobić. Dotychczas nie było jej aż tak źle, miała 2026 złotych emerytury po mężu. Ale od października, po wejściu w życie tzw. ustawy dezubekizacyjnej, zostało jej 1060 złotych. O 966 złotych mniej. – Zabrali wszystkim, którzy w PRL-u pracowali. A przecież ja nic złego nie zrobiłam, mąż też nie. W biurze siedział – usprawiedliwia. Wanda nie jest z tych, co narzekają. Wie, że gdyby syn nie pił, to byłoby im lepiej. Ale wie też, że na siłę do niczego go nie zmusi. I może liczyć na siebie. Najbardziej boi się zimy, a konkretnie śniegu i mrozu. To nieodpowiednia pogoda na handel pod gołym niebem. Tym bardziej że Wanda jest strasznym zmarzłuchem. Nawet dziś ma na rękach grube rękawice. Handlując na bazarku, miesięcznie może zarobić 200 zł. Ale pieniądze szybko się rozchodzą.

– Najwięcej idzie mi na opłaty. 514 płacę za mieszkanie, dużo za światło mi wychodzi – 318 złotych. Starszy syn w elektrociepłowni pracuje, to sprawdzał nawet, czy ktoś się do mnie nie podłączył. Ale stwierdził, że nie. Ten syn, co jest w domu, to non stop ma włączony komputer i telewizor. Może dlatego? – zastanawia się. Żeby mniej płacić, zlikwidowała czajnik elektryczny. W styczniu się przekona, czy pomogło.

Wanda poszła na wcześniejszą emeryturę. I potem jeszcze przez 10 lat pracowała w domu Wietnamczyków. – Ale to była ciężka praca. 10 godzin dziennie: pranie, sprzątanie, gotowanie ich dzieciom – opowiada bez większych emocji. Ożywia się trochę na wspomnienie, że mówili do niej „ciociu”. – Jak u nich pracowałam, to kochałam się w takich figurkach, ale teraz wszystkie posprzedawałam.

Lekkiego życia nie miała. Rodziców straciła, jak miała trzy lata. Wychowywała ją babcia. Całe życie poświęciła dzieciom i pracy. Pierwszy mąż – alkoholik. Starszego syna sama wychowywała. Drugi mąż zginął w wypadku. – Starszy syn ma już 53 lata i ma swoje dzieci. Jego najstarszy ma 25 lat, chyba na lotnika się szkoli. Teraz już chyba będzie latał – mówi niepewnie Wanda. Zaraz uprzedza moje pytanie i dodaje, tłumacząc chyba bardziej sobie: – Teraz, wiadomo, wszystko jest zaganiane. Jeden i drugi i pracuje, i studiuje. Nie mają czasu mnie odwiedzać. To nie to, co kiedyś, że w jednym domu kilka pokoleń mieszkało. W miarę możliwości mnie odwiedzają, ale i praca, i pobudowali się, teraz muszą ogrodzenie robić i to, i tamto.

Dziś 77-letnia Wanda ma jedno marzenie: – Gdybym wygrała w lotka, to wszystkie pieniądze przeznaczyłabym na prywatne leczenie syna z alkoholizmu. Sobie nic bym nie kupiła – mówi, przeglądając albumy ze zdjęciami z młodości. Przywiozła ich kilka, żeby udowodnić, że była piękną kobietą.

Monika (58 lat)

– Na ile by mnie pani oszacowała? – patrzy na mnie zadziornie Monika (imię zmienione – red.)
– 47 – rzucam i tym kupuję moją rozmówczynię.
– Oj, nie, więcej. 58. rok mi idzie. To przez papierosy twarz się zestarzała – mówi z uśmiechem. Do palenia nie zniechęca jej nawet fakt, że ojciec zmarł na raka. Została sama. Nie założyła rodziny. Opiekuje się starszym panem i dorabia, handlując na bazarach (Koło, Olimpia). – Na Halę Mirowską nie jeżdżę, bo trzeba bilet kupić, a ja jestem biedna, naprawdę jestem biedna – przyznaje.

Na bazarzy przychodzi tylko dorobić, nie szuka tu towarzystwa. Czasami stoi nawet cały dzień i nic nie zarobi, a czasami jest tak dobrze, jak we wtorek. – Utargowałam 30 złotych i cieszę się tym. Jestem minimalistką. Nie nastawiam się, że muszę mieć dużo.

Ciuchy dostaje od przyjaciółki, czasami sąsiadka przyniesie jakieś fajne rzeczy. Wtedy zyskiem dzielę się na pół. Monika wie, że nie jest „wytrwanym handlarzem”, ale zawsze jakiś grosz wpadnie. Ma 20-letni staż pracy, z czego 12 lat w kancelarii. Dalej pewnie by tam chodziła, ale ogłosili upadłość. Więc musiała znaleźć sobie inne zajęcie. Była statystką. – Bardzo się w tym odnajdywałam. O 4 rano się wstawało, żeby na Chełmską dojechać na charakterystycę. To były najpiękniejsze lata – wspomina. Grała np. więźniarkę w „Wichrach Kołomy”. – To dlatego, że taka chuda jestem – tłumaczy. – To opowieść o profesorce literatury rosyjskiej, którą zesłano na Sybir. 60 zł taki dzień zdjęciowy, a po 12 godzinach musieli dopłacać. Mogłabym tak dalej.

Teraz za dniówkę na planie mogłaby sobie kupić co najwyżej pięć kostek masła. Monika narzeka, że żywność drożeje. – Widziałam masło osetka za 12 zł za 300 gramów w dużym sklepie. Kupuję tylko podstawowe artykuły. Coś jednak pokombinował PiS. Miała być przebudowa świadomości społecznej, ale teraz wiadomo, w jaką stronę – mówi ostrożnie, bo przecież nie wie, jakie są

moje poglądy. Teraz po cichu sobie marzy, by wyjechać na Wyspę Wielkanocną albo do Amazonii. Chciałaby też, by wszystkie zwierzęta były dobrze traktowane przez swoich właścicieli.

Elżbieta (prawie 90 lat)

– Ile mam lat, a na ile wyglądam? Za niedługo będę miała 90. Wszyscy mi mówią, że się super trzymam – uśmiecha się Elżbieta (imię zmienione – red.).

– Proszę pani, ja jestem pokrzywdzona dlatego, że mój mąż chorował i zmarł. I teraz zarządzili tak, że jego emeryturę mi zmniejszyli, bo za duża była – mówi Elżbieta. Układa rzeczy i powoli pakuje się do domu na warszawski Mokotów. Pytam, co robił mąż. Okazuje się, że dwaj nieżyjący partnerzy Elżbiety pracowali w MSW. Emeryturę miała dużą, bo aż 5 tysięcy. Usłyszała, że zabierają jej część z tej sumy. Na razie sama nie wie, ile będzie teraz miała. – Marzę o tym, żeby mi tę emeryturę zwrócili. Poza tym zdrowie mi dopisuje – zaznacza.

Na bazarzy przyjeżdża od pół roku. Z Mokotowa na Wolę dociera dwoma tramwajami. Zawsze zabiera ze sobą wózek i torbę. Chce sprzedać swoje futro z lisa, czapeczki po wnukach, karty do gry.

Handluje, bo doskwiera jej samotność. Poza tym zawsze sobie dorobi. – Siedzę sama w domu, proszę panią. Mam dużą rodzinę, ale mieszkam sama. Wnuczka wyszła za mąż, wnuczek też. Każdy ma swoje życie – mówi. – Trochę sobie dorabiam – przyznaje. Ma jednego syna. Drugiego pochowała. Do dziś bardzo to przeżywa.



Monika ma 58 lat. Handluje na dwóch bazarach: na Olimpijce i na Kole.

Rysiek (60 lat)

Rysiek handluje wszystkim. Nie ma ani renty, ani emerytury. – Sprzedaję, by mieć z czego żyć – mówi z uśmiechem. Póki kręgosłup był sprawny, układał glazurę, terakotę. Zajmował się też trochę domową elektryką. – Z sześć lat tak żyłem. Firma krzak, ja byłem tą firmą – szczerzy się, odślaniając przy tym braki w uzębieniu. Z rozrzwieniem wspomina: – Czasami się zatrudniło chłopaków na czarno, ale w tej chwili po prostu nie daję rady. Tyle się nanosiłem glazury i terakoty po piętrach... No i mnie się zrobiło tak, jak się zrobiło – przeciąga. – Krąg (krąg – red.) mi się przesunął i po zawodach – mówi z rezygnacją. Ale operacji nie chce. Nie może sobie wyobrazić, żeby ktoś go młotkiem i dłutem operował. – Obudzą mnie i powiedzą, że się nie udało? Jakoś tam się jeszcze przemieszczam – mówi. Ma nawet siłę, by pomagać kolegom z bazaru.

– Nowy ten zegarek. Niewyrobiony pasek, bo nowy – rzuca jego sąsiad Krzysztof. To jemu Rysiek pomaga wypakować towar.

Rysiek nie ma żadnego dochodu, ma za to dwoje dzieci. Jest po rozwodzie z żoną. Teraz mieszka w niewielkim, 30-metrowym mieszkaniu przy Obowowej. I już wie, że jest zdany tylko na siebie.

Na bazarku sprzedaje wszystko, jak leci i co się trafi: część rzeczy po sobie, część dostaje. – Na przykład głośniki samochodowe, ten telewizor sąsiad mi dał. To znaczy, ja muszę się z nim jakoś potem rozliczyć. Nie dziwię się, że nie poszedł. Więcej już nie będą go wynosił. Ale te głośniki samochodowe jeszcze nie były montowane. Fajne są, powinny zejść – ocenia.

– Co najlepiej się sprzedaje? – dociekam. – Proszę panią, to jest tak dziwne, że czasami wozi się coś pół roku, a potem nagle to idzie. A czasami się przywiezie i od razu. To jest przedziwne. Jest za dużo nabywców. Włos się jeży na głowie. Ja bym wielu z tych przedmiotów w życiu nie kupił. Na przykład pierwszą rzecz, jaką dziś sprzedałem, był bukiet sztucznych kwiatów. Okropnych – szczerze przyznaje. Nie chce uważać się nad sobą. Na bazarek przyjeżdża nawet zimą, bo jak zaznacza – w ogóle nie marznie i nie choruje.

Krzysiek (64 lata)

Piątek, 5:25. Krzysiek wstał dziś późno, bo po 3. Wygląda, jakby spał w niewielkim plastikowym krześle. Siedzi przygarbiony, z opuszczoną głową.

Chociaż towar już mu Rysiek elegancko rozłożył. Podchodzę i zagaduję. Podnosi głowę. – Miałem niedocukrzanie. Ale zjadłem prince polo, wypilem colę i potrzebuję chwili, by dojść do siebie. Nie, dziękuję, pomocy nie potrzebuję – mówi łagodnie. 64-letni Krzysiek jest mocno schorowany: – Mam inwalidztwo umiarkowane, wszczepioną endoprotezę. Jestem po operacji i dostaję, proszę panią, 600 zł – opowiadał we wtorek, kiedy czuł się lepiej.

Jak odbiera pieniądze na pocztę, to w aptecę tuż obok zostawia prawie wszystko. A jak zostanie mu 100 zł, to nie wie, czy na paliwo wydać, czy kartę do telefonu kupić. – I weź, człowieku, za to zjedz, opłać wszystko, wyżyj i jeszcze się ubierz – powtarza. Akurat ciuchów kupować nie musi, bo z czasów młodości zostały mu dobre rzeczy. Krzysiek to elegancki mężczyzna w czarnym kapeluszu z szerokim rondem i z dobrym zegarkiem na rękę. Porusza się o lasce. Ma bystre i smutne oczy. Wygląda jak Włoch. Na handlu zna się jak nikt. W końcu całe życie sprzedawał. A to owoce, warzywa, a to mięso. Tylko teraz ubolewa, że nikt na bazarkach nie zwraca uwagi na etykiety. A on ma kilka rzeczy marki Bugatti, parę porządnych zegarków. Elegancką biżuterię po swojej żonie.

Krzysiek już się pogodził ze swoim obecnym życiem. Ale wciąż ciężko mu zapomnieć, jak było wcześniej. – Kiedyś kasy było tyle, że jakby zginęło mi 5 tysięcy złotych, to nie zorientowałbym się nawet. Wydawało mi się wtedy, że Pałac Kultury przeskoczę – emocjonuje się. I wspomina, że jak wyprzedzał autobus, to pasażerowie na jedną stronę przechodzili. Podziwiali jego nowe auto i unosili kciuki w górę. – Z wysokiego konia spadłem. A teraz już nie podskoczę. Co mi zostało, tylko zamknąć oczy i powspominać – brzmi, jakby pogodził się ze sobą. – Jak zdrowie będzie, to będzie dobrze. Tyle, co się zarobi, to wystarczy. W tym wieku jest mniejsze zapotrzebowanie.

– Dużo przeżyłem, naprawdę. Pomału trzeba się schylać do dołu. Wie pani, w pani wieku się o tym nie myśli, a na starość człowiek dużo myśli. Gdy byłem młody, zapytałem 80-letniego dziadka: „Czy ty się nażyłeś?”. A on na to: „Wnucku, ja ci powiem, że to minęło tak szybko, jakbym tymi drzwiami wszedł i od razu wyszedł”.

** Imiona niektórych osób zostały zmienione.*

*** Cytaty bohaterów reportażu są dosłowne.*

Królestwo 500+. Tutaj pieniądze od rządu dostaje 90 procent rodziców

Tekst: Włodzimierz Szczepański

Czy PiS kupiło wieś za 500+? Potworów to ewenement na skalę całego kraju.



Fot. Jakub Wodek/Agencja Gazeta

Urzednicy, którzy wprowadzali program „Rodzina 500 plus”, przecierali oczy ze zdumienia na widok statystyk. W gminie Potworów aż 90 procent dzieci objętych jest rządowym wsparciem. Minister zapowiedziała sprawdzenie, czy nie ma szarej strefy 500 plus, czyli ukrywania dochodów, aby otrzymać wsparcie. Urzednicy przyjechali, sprawdzili i pojechali. – Sprawa ucichła. A ja się tylko uśmiechnąłem pod nosem. Skoro wprowadzający nie wiedzą, ile

należy przeznaczyć środków na ten program – mówi Marek Klimek, wójt gminy Potworów. Teraz on zapowiada, że wkrótce jego gmina sprawdzi, czy program przełożył się na wzrost dzietności.

„Podążaj za pieniędzmi”

Dojeżdżamy do centrum Potworowa. Rondo, w lewo Radom, w prawo Tomaszów Mazowiecki. Za rondem spory plac. Po jednej stronie sklep

spożywczy, bank, na rogu sklep dziecięcy, a z drugiej urząd gminy, opieka społeczna i pośrodku kościół, który poza swą wielkością nie przykuwa specjalnie uwagi. Dalej już widać drogę na Przysuchę i pola. Gmina też nie wyróżnia się niczym szczególnym. Może tylko... Papryka – tutaj jest wszędzie. Na polach, w foliowych tunelach, tablicach, plakatach, bo niedawno były Dni Papryki. Nawet miejscowe przedszkole ma nazwę Papryczki. Potworów to paprykowe zagłębienie.

Ale to nie z powodu papryki o Potworowie zrobiło się głośno w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Podejrzliwi urzędnicy z Warszawy zlecieli kontrolę w Gminnym Ośrodku Pomocy Społecznej i... – Wydatkowanie pieniędzy na świadczenia wychowawcze zostało pozytywnie ocenione – tłumaczy Ewa Litwińska, kierownik gminnej pomocy społecznej. Teraz w ośrodku trwa gorący sezon, bo zbierają nowe wnioski na 500 plus. – W tej chwili mamy 400 wniosków. Miesięcznie wypłacamy 389 tysięcy złotych. W ubiegłym roku była to kwota łącznie ponad 3,4 miliona złotych. Najwyższe miesięczne świadczenie dla jednej rodziny wynosi 3,5 tysiąca złotych. Z uwagi na przyznawanie świadczenia wychowawczego znacznie mniej osób korzysta z opieki społecznej – zapewnia Litwińska.

Świat nie kręci się tylko wokół 500+

– 500 plus to spory zastrzyk pieniędzy dla gminy. Oczywiście, pośrednio. Z pewnością dzięki programowi rodzinom jest lepiej – opowiada wójt Marek Klimek. Opieka społeczna i urząd gminy mieszczą się w tym samym budynku. Klimek rządzi gminą od lat 90. – Czyli obecnie należę do tej złej grupy wójtów – śmieje się.

Gdy ministerstwo zapowiedziało kontrolę, czekał spokojnie na przyjazd urzędników. – Skontrolowali i sprawa ucichła. A ja się tylko uśmiechnąłem pod nosem, skoro wprowadzający nie wiedzą, ile należy przeznaczyć środków na ten program – komentuje.

Chociaż wójt widzi pozytywy 500 plus, ostrożnie ocenia program, bo na wydatki trzeba zapracować. – Chciałbym, aby rząd nie zapominał o małych samorządach. Te w przeciwieństwie do dużych miast nie miały możliwości sięgnięcia po środki na inwestycje – podkreśla Marek Klimek. Teraz to gmina sprawdzi ministerialny program. Wójt zapowiada, że pod koniec roku podsumują, czy 500 plus przełożyło się na wzrost liczby urodzeń.

Św. Dorota z plusem

Jedną z instytucji, które mogły zaobserwować w gminie nową tendencję, jest parafia. Miejskowy kościół jest pod wezwaniem św. Doroty, patronki młodych małżeństw. Dzwonimy do plebanii. Po chwili otwierają się drzwi. Pierwsze zaskoczenie: nie było słychać dźwięku otwierania kilku zamków ani zasuw, co zazwyczaj spotykaliśmy na plebaniach.

W progu staje starszy ksiądz i natychmiast zaprasza do kancelarii. Siada za biurkiem. W parafii proboszcz Jan Gruszka jest od ośmiu lat. Przez ten czas poznał jej mieszkańców. Bywa u nich w domach po kolędzie. A czy urodziło się więcej dzieci? – Tak, z pewnością jest wzrost liczby chrztów. Program 500 plus jest dobry. Widzę po rodzinach wielodzietnych, że im się trochę poprawiło – ocenia duchowny.

Wszystkie są kochane

Mokrzec to niewielka, zwarta wieś koło Potworowa. Tutaj mieszkają Dudkowie. Jest kilka rodzin o tym samym nazwisku, ale wystarczy zapytać o tych, co mają ośmioro dzieci, a miejscowi pokazują na wysoki dom z czarnym blaszanym dachem. Na podwórzu stoi Bożena Dudek, która z powodu przejmującego zimna jest ubrana w kilka swetrów. Przy skrzyni obiera paprykę, a pomaga jej mąż Andrzej. Spieszą się, bo po południu on musi jechać do lekarza. Czekają go operacja bioder. Dudkowie starają się leczyć prywatnie, bo chociaż lekarz rodzinny na skierowaniu napisał „pilne”, to w normalnej służbie zdrowia termin operacji wyznaczono na za... 10 lat. Dudkowie obawiają się operacji, ale nie z powodu zabiegu, tylko z troski o pracę.

– Gdy 500 plus weszło w życie, ludzie z uśmiechem opowiadali, ile to będziemy mieli pieniędzy. Teraz nas podliczają – przyznaje pani Bożena. Mają ośmioro dzieci, ale najstarsze są już pełnoletnie. Najmłodszy Kamil ma 19 miesięcy. – Które najbardziej kochamy? Wszystkie – śmieje się matka, a w jej oczach pojawia się radość. Widać wtedy, że jest jeszcze młodą kobietą. Ma 40 lat, ale wygląda na więcej. Przeciera dłonie z nasion papryki, ukazują się starannie pomalowane paznokcie. Na linie i siatce ogrodzenia wisi pranie. Dudkowa musi codziennie nastawiać pralkę. – Wszystkie są kochane. Nie trzeba na nich krzyżeć. Synowie się słuchają. Potrafią zająć się młodszym rodzeństwem, ugotować. Powtarzam im, że jakby nas zabrakło, to muszą umieć zająć się młodszymi – zapewnia.

Zapraszają do domu. Zaczęli go budować ponad 10 lat temu. Dopiero teraz mogli intensywniej

ruszyć z pracami. Chwalą się pokojem dla Patrycji, najstarszej córki. Patrycja trzyma najmłodszego brata. – Podobny do mnie, ale trzeba go umyć. Niemal jak maskotka, wszyscy w domu chcą się nim zajmować – śmieje się Andrzej Dudek. Dla nich program 500 plus spóźniony jest o kilka lat.

Kolejne? Jak Bozia da

– Szkoda, że ten program został wprowadzony tak późno. Na dojazdy do szkoły najstarszych, 19-letnich synów wydajemy 600 złotych miesięcznie – tłumaczy Andrzej. Czy zdecydowałiby się jeszcze na dzieci? Wzruszają tylko ramionami. – Cieszymy się z każdego dziecka. Jakby Bozia dała kolejne, to też byśmy się cieszyli – dodaje Bożena. Muszą wracać do pracy. Po południu lekarz w Radomiu, a rano dostawa papryki do Łodzi. Wkrótce do domu wrócą synowie. Chodzą do technikum. – W rodzinach wielodzietnych widać różnicę poziomu życia. No bo tych pieniędzy zawsze brakuje na taką gromadę. Matki zajmujące się tak liczną rodziną nie mogą pracować. Dlatego to dobry program – uważa Dudkova.

Ruszamy do Potworowa. Za kościołem i plebanią jest miejscowa podstawówka. Mieści się tutaj też oddział przedszkolny.

Kierowca jednego z autobusów szkolnych uruchamia silnik, bo kończą się lekcje. Część rodziców jednak sama przyjechała po swoje dzieci.

W adidasach do nissana

Im nowszy samochód, tym mniej chętnie odpowiadają na pytania o 500 plus. W końcu udaje się dłużej porozmawiać z matką, która po swoich synów przyjechała rowerem. – Dla mnie to duża pomoc – przyznaje. Obok przemyka kobieta w dresie adidasa. Wsadza dziecko do najnowszego nissana. – Kupiłam ostatnio też trochę ubrań dla chłopców – wtrąca w tym momencie mama chłopców.

Idziemy do centrum do sklepów, by sprawdzić, czy program przełożył się na obroty. Sądząc po zaopatrzeniu dziecięcego, musiały wzrosnąć, i to sporo. Tymczasem sprzedawcy unikają odpowiedzi. Nie chcą mówić o sąsiadach. Idziemy do następnego spożywczaka, pod płótnem typowy krajobraz – dwóch panów „obala” wiśniówkę. W końcu poza kamerą udaje się porozmawiać z osobami, które stoją w kontrze do ogólnego optymizmu względem 500 plus. – Ci politycy puszcza nas z torbami. My nie jesteśmy tak bogatym państwem socjalnym, jak Szwecja – komen-

tuje jeden ze sprzedawców w Potworowie. – To jest chore prawo. Niektórzy mają kilka tuneli z papryką, jeżdżą furami, mają jedno dziecko, a biorą 500 plus. Do tego mają KRUS, a my co miesiąc mamy podwyżki – opowiada kolejna osoba.

250 kilometrów za pracę

W wakacje do Potworowa sprowadzili się Lewandowscy. Pochodzą z Lubelszczyzny, z miejscowości oddalonej o 250 km. – Mąż dostał tutaj pracę. Przy papryce – wyjaśnia jego żona Beata Domańska-Lewandowska. Trwają paprykowe żniwa. Do pracy jej mąż chodzi na siódmą, kończy wieczorem, a ona zajmuje się domem i dziećmi. Siódmką. Najmłodsza, Marianna, ma dwa miesiące. – Imię po tacie – odpowiada Karolina. Remontują dom, ale nie są jego właścicielami. Od wakacji udało im się sporo zrobić. Na regale stoją trzy tornistry. – W tym roku kupiliśmy do 50 złotych za jeden – wlicza 16-letnia Natalia.

Chłopcy biegają na podwórzu. Widać też trampolinę, w głębi drzewa. – Oj, z tym darcie spodni od wspinaczki na drzewach jest różnie. Nie tylko synowie – opowiada Ewa i zerka na Karolinę. Dziewczyny wybuchają śmiechem. Do szkoły cała gromadka dojeżdża rowerami. – Mój jest żółty z czarnym. Michała jest najszybszy – dodaje Karolina. Pod ścianą posprzątanego pokoju stoi biurko, a na nim komputer. – To z programu 500 plus – wyjaśnia Ewa. Natalia po raz pierwszy wyjechała na szkolną wycieczkę. Wcześniej bywała w czasie wakacji na obozach. – Pojechaliśmy na wycieczkę do Krakowa. Fajnie było – zapewnia.

Ruszamy z gminy, gdzie niemal wszystkie dzieci dostają 500 plus. Mijamy rzędy foliowych tuneli. Przed domami stojącymi przy głównej trasie leżą worki z papryką. Dojeżdżamy do Woli Wrzeszczowskiej. Nieopodal krzyża stoi zielone auto.

Pytanie wciąż aktualne

To tutaj warzywa sprzedaje najsłynniejszy hodowca papryki w Polsce, Stanisław Kowalczyk. Słynny z powodu pytania: „Jak żyć?”. Zadał je premierowi Donaldowi Tuskowi. Prawo i Sprawiedliwości wykorzystywało je w spotach wyborczych. Czy za rządów tej partii powodzi mu się lepiej?

– A gdzie lepiej?! Na wsi nie ma i nie będzie lepiej – komentuje. Zdania nie zmienia, chociaż wszedł w życie sztandarowy program tej partii. – W sąsiedniej gminie, Potworowie po prostu widać rozwój. Tam jest sporo młodych – twierdzi Kowalczyk.



H I S T O R I A



Best of naTemat

„To jakby odbity człowiek”. Tutaj zachowały się ślady krwi powstańców

Tekst: Daria Różańska | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Na zniszczonych marmurowych posadzkach ostały się brunatnobrązowe plamy przypominające krew. I tak w wielu miejscach w Warszawie. Muzeum Powstania Warszawskiego sprawdza, czy mogą być to ślady walk o wolną ojczyznę.





W głównym holu budynku ZNP pachnie domowym obiadem. Po lewej stronie od wejścia – stołówka, po prawej – dostojnie prezentują się złote wieszaki w pustej jeszcze szatni.

Naprzeciwko drzwi podwójne 12-stopniowe schody, które łączy betonowa balustrada. To za nią na posadzce schowana jest brunatnobrązowa plama.

Od lat w korytarzach plotkowało się, że to powstańcza krew. Ale dowodów nigdy nie było, więc nieopatrnie na niej stanąć nie było grzechem. Tak samo ze schodami.

Stoimy nad tą plamą. Zaglądamy jak do dziecięcej kołyski. Przyglądamy się. Tylko ostrożnie, żeby nie nadepnąć na postrzępione krawędzie.

– Co to jest? – nagle zagłada przez ramię mężczyzna w niebieskiej polówce.

– Możliwe, że krew powstańców. Czekamy na ekspertyzy – spieszy z odpowiedzią administrator budynku przy Smulikowskiego 6/8.

Już wielu ciekawskich tu zaglądało, żeby zobaczyć tę plamę. Tym bardziej że w sieci biją na alarm: to nic innego, jak ślad krwi żołnierza.

– Przypomina odbitą z krwi sylwetkę leżącego – najprawdopodobniej na plecach – człowieka. Widać, że ręce miał wyciągnięte ku górze. Ślady na skraju są zdeptane drobnymi bucikami. Jakby jakieś kobiety próbowały mu pomóc – analizuje historyk Andrzej Ziółkowski.

Ale i apeluje o rozsądek: – To może okazać się ślad po Niemcach.

Po upadku warszawskiej Starówki (6 września 1944 roku) Niemcy ruszyli na Powiśle, gdzie na początku lat 30. wzniesiono budynek ZNP. Podczas Powstania Warszawskiego stacjonowało w nim III zgrupowanie „Konrad” Armii Krajowej, którym dowodził Juliusz Szawdyn.

Do dziś gmach ZNP i od zewnątrz nosi ślady po kulach. – Jest podziurawiony jak ser szwajcarski. Ten budynek był pierwszą linią bojową. Niemcy

ostrzeliwali go zaciekle. Siedzieli na mostach Kolejowym i Poniatowskiego – opowiada Andrzej Ziółkowski

Pociski wpadały do gmachu przez długie i szerokie okna. Jedynym miejscem w holu, gdzie mogli schronić się powstańcy, była betonowa balustrada. Ta, za którą na posadzce pozostała wielka plama.

Nie wiadomo, czy są to pozostałości po krwawych wydarzeniach z 1944 roku. Wiadomo tylko, że w budynku ZNP czarne, brunatnobrązowe plamy są od zawsze.

Parę miesięcy temu pobrano próbki do badania i wkrótce powinno być jasne, czy to krew. – Jeśli te ekspertyzy się potwierdzą, to miejsce zostanie zabezpieczone – zapewnia nas administrator budynku przy Smulikowskiego 6/8.

Miejsca pamięci

W Warszawie jest wiele miejsc, w których mogły zachować się ślady krwi po toczących się walkach.

– Ich mieszkańcy mają podejrzenia, że plamy na klatkach, korytarzach czy holach różnych instytucji to ślady krwi z czasów II wojny światowej. Te miałyby należeć do osób, które w tym czasie były albo opatrywane, albo w tych konkretnych miejscach leżały ich ciała – mówi nam Andrzej Zawistowski, kierownik działu historycznego Muzeum Powstania Warszawskiego.

Najczęściej do Muzeum zgłaszają się mieszkańcy czy zatroskani o pamięć powstańców Polacy. Chcą, by sprawdzić, czy aby zachowane plamy nie są śladami krwi walczących przed 75 laty w Powstaniu Warszawskim.

– Takich zgłoszeń było kilkadziesiąt – niektóre łatwo było odrzucić, bo dotyczyły budynków zbudowanych już po wojnie. Zawsze pierwszym krokiem są poszukiwania w dokumentach archiwalnych i publikacjach historycznych. Jeśli się potwierdzi, że w danym miejscu prowadzone były walki, potrzebujemy różnego rodzaju zgód – opowiada nam Andrzej Zawistowski.



Profesor Jarosław Berent, specjalista medycyny i toksykologii sądowej, podkreśla, że plamy krwi z okresu Powstania Warszawskiego mogły się zachować.

– Krew wnika w pory czy szczeliny materiału, gdzie jest zabezpieczona przed szkodliwymi czynnikami z otoczenia. Zatem jeżeli plamy były np. na schodach, krew wyschła, a miejsce dalej było przewiewne i nie dochodziło tam słońce, to jest szansa na stwierdzenie śladów – tłumaczy nam prof. Berent.

Kolejny etap to przeprowadzenie specjalistycznych badań. Muzeum zleca ich wykonanie zewnętrznej firmie. Ta starannie zeszlifowuje bardzo niewielki fragment zewnętrznej warstwy zabrudzenia, zeskrobuje ją skalpelem, pobiera wymazy. Następnie materiał poddawany jest oględzinom i badaniom w kierunku identyfikacji krwi ludzkiej.

Jeśli uda się potwierdzić, że na posadzce znajduje się krew człowieka, można przejść do kolejnego, najtrudniejszego etapu.

– Wówczas podejmujemy próbę uzyskania DNA. Najtrudniejszym zadaniem jest przypisanie otrzymanego wyniku do konkretnej osoby. W takim wypadku niezbędny będzie materiał porównawczy. Takie działania to jednak przyszłość. Obecnie ważne jest, aby próbować precyzyjnie określić czas powstania śladu – odpowiada Zawistowski.

Badania nie zawsze jednak przynoszą odpowiedź. Tak było w przypadku Centrum Onkologii Instytut Marii Skłodowskiej-Curie przy Wawelskiej.

– Ślady te znajdowały się w szpitalnym korytarzu, który dwa razy dziennie sprzątano detergentami przez ponad 70 lat. W tym miejscu akurat nie było walk, tam mordowano cywilów – mówi nam Zawistowski.

I szacuje, że spośród zgłoszeń, które wpłynęły do Muzeum, do tej chwili aż z 90 proc. pobrano próbki. Na wyniki trzeba czekać kilka miesięcy.

Oleandrów

Kamienice przy małej śródmiejskiej ulicy Oleandrów w Warszawie wzniesiono między 1936 a 1938 rokiem. Przetrwały wojnę, zachowały się elementy ich oryginalnego wystroju. Oprócz wmurowanych ławek, które umiejscowiono pomiędzy biegami schodów, ostała się także posadzka.

A na niej ślady przypominające rozlewiska krwi. Rudoróżowe plamy. Niektóre wyglądają tak, jakby gęsta ciecz zastygła, leniwie płynąc po twardej powierzchni. Najczęściej widoczne są przy drzwiach wejściowych do mieszkań.

– Wiem, że Niemcy mieszkali tu podczas okupacji. To była jedna z ostatnich miejscówek, które zostały przez nich spalone. Do drugiego albo trzeciego piętra – mówi nam młoda mieszkanka kamienicy przy Oleandrów 3.

Z niecierpliwością czeka na wyniki badań – chce się dowiedzieć, czy pierwsi mieszkańcy tych kamienic byli rozstrzelani przed wejściem do domów.

– Myślę, że duchów pamięci jest tu trochę. Kiedyś sąsiad zapytał mnie, czy nocą nie słyszę dziwnych dźwięków. Słyszałam – przyznaje, przekładając siatki z zakupami.

Staruszka, która mogłaby być jej babcią, zastanawia się, czy plamy, które ogląda od kilkadziesiątu lat, to faktycznie ludzka krew: – Czy miałaby szansę przetrwać tyle lat?

Niespodziewanie mozolnie wspina się na ostatnie piętro budynku. Na niewielkiej klatce też są ślady, ale inne – ciemniejsze, gęściej usiane.

– Sąsiadka tutaj przed świętami zabijała ryby. I te ślady krwi zostały. Nie zmyły się przez tyle lat. Ale to inne plamy niż te przed moimi drzwiami... A może krwi nie da się zmyć, jeśli wejdzie w reakcję z kamieniem – dodaje.

Jej już dawno te plamy w oczy nie kłują, nie omija ich, wchodząc do mieszkania. – Przez tyle lat zdążyłam się przyzwyczaić – rzuca i znika w drzwiach.

Historyk Andrzej Ziółkowski przed laty odwiedzał znajomego, który mieszkał właśnie przy Oleandrów 3. Od razu zauważył charakterystyczne ślady. Później okazało się, że podobne są także przy Oleandrów 5 i 7.

– Jak człowiek coś takiego widzi na schodach i wie, co się działo w tym rejonie, to od razu zwraca to jego uwagę. Atak na Gestapo i inne miejsca w okolicy zakończył się niepowodzeniem. Po kilku godzinach oddziały powstańcze wycofały się na drugą stronę placu, zostawiając ten teren do dyspozycji



Niemców. A oni nie byli delikatni. Ja też bym pewnie został w mieszkaniu... – dodaje.

Ziółkowski zdążył porozmawiać z ludźmi, którzy po wojnie zamieszkali w kamienicach przy Oleandrów 3.

– Dozorca i powstańcy ani nie widzieli, ani nie słyszeli, żeby ktoś, kogo znali przed wojną, wrócił do swojego domu przy Oleandrów – mówi Ziółkowski.

Willa Pniewskiego

Plamy krwi ciągną się przez marmurowe schody klatki schodowej i podest Willi Pniewskiego. Cezary Krawczyński, dyrektor Muzeum Ziemi PAN, które od 1966 jest właścicielem budynku, odsłania chodnik i pokazuje nam ścieżkę brunatnych plam. Najpierw drobne stróżki, później większe kałuże.

– To mogła być droga ewakuacji rannego na niższą kondygnację, niknąca w wyniku powojennego remontu schodów i podłóg – uważa historyk Andrzej Ziółkowski.

Jak dotąd Willa Pniewskiego – obecnie siedziba Muzeum Ziemi – jest jedynym miejscem, gdzie udało się potwierdzić, że brunatne plamy to ślady krwi nieznanego z nazwiska powstańca. I godnie je upamiętnić.

Pierwsze badania prowadzono w latach 1979-1980.

– Władze podjęły wówczas decyzję, żeby w sposób szczególny uczcić rocznicę Powstania Warszawskiego. Niewątpliwie ułatwiło to przeprowadzenie badań – opowiada nam Andrzej Zawistowski z Muzeum Powstania Warszawskiego

Badania Instytutu Kryminalistyki i Kryminologii Akademii MSW potwierdziły, że pozostałe na marmurowej posadzce ślady to ludzka krew.

– A w 2015 roku Muzeum Powstania Warszawskiego zainicjowało badania genetyczne. Uzyskano profile DNA pochodzące od kilku osób, ale ich analiza nie pozwoliła na jednoznaczne wyodrębnienie czystego materiału genetycznego, umożliwiającego badania porównawcze – dopowiada Cezary Krawczyński, dyrektor Muzeum Ziemi.

W okresie okupacji zabytkową willę architekta Bogdana Pniewskiego zajmowali Niemcy. Opuścili ją na tydzień przed wybuchem Powstania Warszawskiego. A rodzina Pniewskich mogła powrócić do domu.

Ale zaraz na początku powstania budynek zajęli żołnierze z kompanii kpt. Franciszka Miszczaka „Redy” z batalionu „Miłosz”. Był to ważny punkt

– zapewniał łączność Śródmieścia Południowego z Czerniakowem.

Niemcy ostrzeliwali willę od strony sejmu. 11 września obronę budynku przejął pluton ppor. Kazimierza Jackowskiego „Torpedy” z batalionu „Miotła”.

– To na nich przypadły najcięższe walki. 12 września został ranny Jan Romańczyk „Łukasz Łata”, który był dowódcą placówki w domu Pniewskiego. Ale nie tylko. Raniono też nieznanego powstańca – opowiada Cezary Krawczyński.

Ten miał z budynku Pniewskiego ostrzeliwać pociskami Piata niemieckie czołgi, które nadciągały od strony sejmu.

Uczestniczący w walkach Roman Staniewski (pluton „Torpeda”) zapamiętał, że od strzału artyleryjskiego jednego z czołgów ranny został jeden z piacistów. „Pocisk trafił w gruzy, a odłamek trafił w celowniczego w okolicę nerek” – zapisał we wspomnieniach.

– Nie wiadomo, czy przeżył – stwierdza Cezary Krawczyński.

A Andrzej Zawistowski dodaje: – Nie mamy relacji, że ktoś, kto został ranny konkretnie w tym miejscu, później o tym opowiadał. To może świadczyć o tym, że mógł jednak nie przeżyć.

Pałac Staszica

Pałac Staszica – mocno ostrzeliwany przez Niemców – to kolejne miejsce, gdzie być może zachowały się krwawe ślady walk z czasów II wojny światowej.

Powstańcy z Grupy Bojowej „Krybar” do pałacu położonego w strategicznym miejscu weszli 9 sierpnia. Później wspomagali ich żołnierze Zgrupowania „Harnaś”.

– Wśród nich był m.in. Wiesław Chrzanowski, pseudonim „Poraj”, późniejszy marszałek Sejmu. Właśnie tu został ranny – opowiada Andrzej Zawistowski.

Pałac Staszica był punktem strategicznym na powstańczej mapie.

– Można było z miejsca przy oknach kontrolować znaczną część Krakowskiego Przedmieścia. Tu też

mamy ulicę Traugutta i to była linia demarkacyjna, dzieląca powstańców od Niemców – wskazuje Zawistowski.

Na głównej klatce schodowej z lewej strony wysokiego półpiętra widoczne są jasnobrązowe plamy, na schodach ślady po kulach.

– Właściwie to wszystko mogło się tu dziać. Ktoś mógł być tu opatrywany. Mogły być tu składane ciała. Ktoś mógł się tu ukrywać albo być ranny – odpowiada mój rozmówca.

Andrzej Ziółkowski uzupełnia: – Przypuszczam, że tam znajdowały się jakieś materace, kołdry, na których kładziono rannych, a później zapewne odnieszono ich w głąb budynku. Myślę, że takich śladów mogło tu być więcej.

Ziółkowski przypomina sobie, że przez bardzo długi czas rudobrunatne ślady były ukrywane przed pracownikami PAN. – Kiedyś na ich miejscu stał kiosk, później ławki – dodaje.

W 2015 roku prawicowe media były na alarm, że podczas remontu Pałacu Staszica mogło dojść do uszkodzenia pamiątek. wPoliście: „Doszło do dewastacji szalenie ważnej pamiątki – śladów krwi i odcisku rąk żołnierza Powstania Warszawskiego”.

Dariusz Walaszczyk, dyrektor budynku, przekonuje: – Konserwator zabytków Piotr Grzegorz Mądrach stwierdził, że niektóre elementy – nawet historyczne – muszą być wymienione, ponieważ uległy całkowitej degradacji i nie nadają się do użytkowania. I tak się stało.

Płytki trafiły do kosza.

Ale później konserwator uspokajał w oficjalnej notatce: „Pozostałe ślady po postrzałach, rykoszetach, krwi z ran powstańców w innych miejscach klatki schodowej staramy się zachować, ucztylnić i zabezpieczyć konserwatorsko”.

Teraz Walaszczyk zarzeka się, że jeśli potwierdzą się badania, że rudobrązowe plamy to ślady krwi, to zostaną one odpowiednio zabezpieczone. A pamięć powstańców odpowiednio uczczona.

Nic nie wyłącza już na śmietniku.



Harówka od bladego świtu do późnej nocy i tylko pół godziny przerwy. Tak żyły polskie białe niewolnice

Tekst: Aleksandra Gersz | **Zdjęcia:** materiały prasowe wydawcy

Służące w przedwojennej Polsce miały smutne i ciężkie życie. Były paniami do wszystkiego, pracownicami bez praw pracowniczych, meblami bez głosu, ofiarami brutalnych morderstw. Nazywano je tłumokami, tumanami, głupimi dziewczuchami. Jednak niektórym się poszczęściło, jak chociażby prababci Angeli Merkel. Tym zapomnianym kobietom głos przywraca Joanna Kuciel-Frydryszak, autorka książki „Służące do wszystkiego”.

Dotąd w Polsce o służących się nie mówiło, nikt o nich nie pamiętał. Pani jest pierwsza.

Chciałam przywrócić tym kobietom imiona i nazwiska, opowiedzieć ich historie. Trudność polegała na tym, że materiałów o nich jest bardzo mało. Najważniejsze dla mnie było poszukiwanie relacji służących lub rodzin, które je posiadały, nawet w poprzednich pokoleniach. Takich rodzin było przecież bardzo dużo – to były bardzo tanie usługi, więc każda rodzina o stałych dochodach mogła sobie pozwolić na służącą. Wiele osób pamięta jeszcze służące z opowieści rodzinnych, na przykład, że babcia opowiadała im o swojej pomocy domowej.

Biografie tych kobiet były chyba dość podobne.

Tak. Kiedy opisałam kilka, miałam już ogólny obraz życia służącej. Ich praca polegała głównie na sprzątaniu, praniu, gotowaniu, prowadzeniu domu. To był żywot smutny i monotony. Służące nazywano tłumokami, tumanami, garkotłukami – dlatego to nie tylko książka o tych zapomnianych służących, ale również o klasie średniej.

Dlaczego w ogóle właśnie zawód służącej był taki popularny?

To była dla tych dziewcząt najszybsza droga do usamodzielnienia się, awans, przepustka do lepszego świata. Dla ubogiej dziewczyny ze wsi było to wyjątkowo atrakcyjne. Jeśli jej się poszczęściło, to już następnego dnia po przyjeździe do miasta mogła mieć nie tylko pracę, ale również mieszkanie i wyżywienie. Służące mieszkaly bowiem w domach swoich pracodawców. Nie stawały się jednak częścią rodziny, ale gospodarstwa domowego. Bliżej im było do sprzętu AGD niż do domowników.

Bo one głównie pochodziły ze wsi, tak?

Często wychowywały się w skrajnej nędzy.

To były córki chłopów. Wyjazd do miasta był dla tych starszych już dziewcząt odmianą ich losu. Trzeba pamiętać o tym, że praca służącej – choć ciężka – była dla tych młodych kobiet zawsze lepsza niż ta nędza, którą miały w domu.

Zacznijmy od początku: do miasta przyjeżdża młoda dziewczyna ze wsi, nikogo nie zna.

Jak ona sobie radziła?

Mogła iść na targ, giełdę pracy. W Krakowie wszystkie chętne do pracy w domach i „panie kapeluszone”, które szukały swoich służących do wszystkiego, gromadziły się pod pomnikiem Adama Mickiewicza. Były też biura pośrednictwa, czyli w rzeczywi-

stości działające na granicy prawa kantory stręczeń. Trzecia droga to prasa. Jeśli służąca umiała pisać lub czytać, mogła albo dać ogłoszenie do prasy, albo znaleźć interesującą ją ofertę. A czwarta droga to pomoc znajomej służącej, bardzo często siostry.

Wróćmy do tych targów w Krakowie. Ich opisy były dla mnie szczególnie przygnębiające.

Tak, przypominały mi one relacje z targu niewolników w Stanach Zjednoczonych czy targów zwierząt. Patrzone, czy kandydatki są zdrowe, schludne...

...nie za ładne, żeby nie kusić panów domu.

I przede wszystkim silne. Największe wrażenie robi na mnie to oglądanie rąk przez panie, które sprawdzają, czy dziewczyna podoła, czy da radę przynieść węgiel na opał. W 1930 roku Maria Ankiewiczowa napisała w poradniku dla gospodyń „Służba domowa”, że mają one prawo wymagać, by ich służąca nie miała zeza, nie pachniała brzydko, nie miała żadnych skaz...

Czyli po prostu, żeby to był ładny „mebel”. Jak na meble przystało, one w ogóle nie miały głosu. Zawsze – czy to przy czytaniu pani książki, czy podczas oglądania serialu „Downton Abbey” – fascynowało mnie to, że państwo nie bało się rozmawiać przy swoich służących o sekretach, wstydliwych sprawach, problemach. Czyli nie było oporów, tak jakby gospodarze tych kobiet obok siebie w ogóle nie dostrzegali.

Dokładnie tak, polskie domy i mieszkania nie zawsze były duże, więc służąca była zawsze bardzo blisko. Ale była niema i niemal zupełnie niewidzialna.

Były wyjątki?

Było ich sporo. Istotą relacji na linii pomoc domowa-państwo było to, co pewna służąca wyraziła w ankiecie z 1919 roku: „Jeśli pani dobra, to i służba”. Jeśli tym dziewczynom udawało się trafić do dobrej rodziny, która traktowała je po ludzku, to one się odwdzięczały i wrastały w nią. Podczas poszukiwania materiałów do książki natknęłam się na opis nagrobków, które państwo stawiało służącym, czy na przypadek, kiedy gosposia odziedziczyła po swojej pani apartament w Nowym Jorku. Była też Agnieszka Kokoszanka, która służyła pracodawcom kilkadziesiąt lat i została pochowana w ich rodzinnym grobowcu.

I ratowanie Żydów podczas II wojny światowej.

Polskie służące, które służyły u Żydów, doświadczały z tego powodu nieprzyjemności i ostracyzmu. Ale



często wiązały się one ze swoimi żydowskimi rodzinami. I pomagały im potem właśnie w czasie okupacji niemieckiej. Praca nad rozdziałem, w którym piszę o kobietach, tych heroicznych analfabekach, które ratowały dzieci z gett, ukrywały je, ryzykując życie, była dla mnie najbardziej poruszająca.

One miały zresztą często już tylko pracodawców, prawda?

Były bardzo wyizolowane. W wielu przypadkach te kobiety nie miały już kontaktu ze swoimi rodzinami, bo te mieszały daleko. Ani nie miały za co ich odwiedzić, ani kiedy – wychodne w niedzielę trwało kilka godzin. Ale były też służące, które przez lata wspomagały swoje rodziny. Wysyłały im pieniądze, żeby ojciec mógł na przykład kupić konia. Najczęściej łożyły one jednak na swoje nieślubne dzieci, które wychowywali ich krewni. Nie było bowiem możliwości, żeby służąca miała ze sobą dziecko.

Bardzo często były to dzieci panów.

Ten niewygodny „problem” bardzo często załatwiano pieniędzmi – dla rodziny niewielkimi, dla służących dużymi. Służące w ciąży miały wybór: zachować dziecko i stracić pracę, a więc również utrzymanie, albo oddać dziecko na wychowanie i na nie płacić. Często przeznaczaly na nie swoją całą pensję – niedużą, warto dodać.

Była jeszcze inna droga?

Trzecia droga, którą wiele kobiet wybierało, to było dzieciobójstwo. Noworodki wyrzucano na śmietnik, porzucano w polu, a bardzo często topiono je w sławojkach. W prasie powtarza się motyw, że usłyszano płacz dziecka i znaleziono je w wychodku. Te młode kobiety radziły sobie z tym problemem w tak drastyczny sposób, bo nie miały znikąd pomocy.

Częstym przypadkiem było też znęcanie się nad służącymi.

Problem polegał na tym, że one nie miały żadnych prawnych zabezpieczeń. W II RP powstał – nowoczesny jak na tamten czas – kodeks pracy. Nie objął on jednak służących. Były to więc pracownice bez żadnych praw pracowniczych. Prawo z okresu zaborów, które zostanie w pełni uchylone dopiero w PRL-u, zezwalało na – niezbyt mocne – bicie służących. Była m.in. możliwość karania służącej chłostą, kiedy ta porzuci służbę. W latach 30. było to już znacznie rzadsze, ale częste było pogardliwe traktowanie służących czy racjonowanie jedzenia.

Inne jedzenie dla państwa, inne dla służby?

Służąca wypiekała ciasto, jednak sama nie mogła go jeść. Sama czasem dostawała podłe jedzenie, bo była gorszą kategorią człowieka. Służąca nie siedziała też z państwem – jadła zawsze osobno w kuchni. Z relacji, do których dotarłam, wynika, że nawet jeśli gospodarze zapraszali służącą, by dołączyła do nich podczas posiłku, ona tego nie chciała.

Dlaczego?

Myszę, że dla nich było to po prostu zbyt trudne – dystans kulturowy był tak ogromny, że one nie wiedziały, jak się zachować przy pańskim stole. Te światy się nie przenikały – nawet jak gazownie organizowały kursy gotowania na kuchenkach gazowych, to oddzielnie dla pań, a oddzielnie dla pomocy domowych.

Służące zresztą często stawały się ofiarami nieumiejętnego korzystania z nowości, jaką były

kuchenki gazowe. Co jeszcze im zagrażało?

Na przykład wypadły przez okno, bo okna otwierały się na zewnątrz. W latach 20. pojawiły się nawet pasy zabezpieczające dla służby, bo te „okienne” wypadki były aż tak częste.

W ogóle sam fakt, że te służące pracowały od rana do późnej nocy, praktycznie bez chwili przerwy, dziś nie mieści się w głowie.

Tak, ten model dziś się już przeżył. Ale wtedy służące w ogóle nie załapały się na zmiany emancypacyjne i obyczajowe. Cały czas trwały w tej postfeudalnej rzeczywistości, w której biedni musieli służyć bogatym. Z planu dnia służącej, który znalazłam w jednej z gazet, wynika, że pomoc domowa może mieć tylko pół godziny przerwy! A na Zachodzie służąca stała się już przecież profesją.

Ktoś w końcu zainteresował się koszmarnym losem służących?

Stopniowo o ich prawa zaczęły upominać się feministki i socjaliści, alarmowali publicyści czy duchowni. W 1904 roku pogadankę wygłosiła jedna z socjalistycznych działaczek, która zaapelowała, aby służącym udzielić w ciągu dnia czasu wolnego. Panie jednak tego nie rozumiały – co te służące miałyby niby robić, gdzie chodzić? A przecież były kina, restauracje, kawiarnie. Paniom nie mieściło się jednak w głowie, aby ich pomoce chciały tam przebywać.

Bo to nie byli ludzie?

Zdaniem państwa to były maszyny, które w ogóle powinny się cieszyć, że mogą mieszkać w mieście.

Jakieś największe skandale z udziałem służących?

Najbardziej podobała mi się notatka, w której przeczytałam, że niejaka służąca Petronela sprowadziła sobie do domu ulicznych grajków. Pod nieobecność państwa ona sobie z tymi dwoma mężczyznami barszkowała. Najpierw się we trójkę upili, a potem przenieśli się do łóżka pracodawców Petroneli. (śmiech) Jeden z chłopców śpiewał „Petronelo, kocham cię”, wszyscy się śmiali, była zabawa po pachy. Oczywiście przyszli gospodarze, Petronela straciła pracę i pewnie dostała koszarne rekomendacje, ale to było coś niewiarygodnie uroczego! Taki moment lekkości, pójdzie na całość.

Zdarzało się też okradanie państwa.

W starej prasie czytałam o służącej, która okradła panią i znaleziono ją w hotelu w zupełnie innym mie-



ście. Kupiła sobie futro, sukienki i poszła do opery. Te dziewczyny miały często pragnienie, aby być jak pani. To zresztą panie bardzo denerwowało. Punktem zapalnym były m.in. cieliste rajstopy, które nosiło coraz więcej służących, a w mniemaniu pań z klasy średniej one były zarezerwowane dla nich.

Czyli dla wyższej sfery.

Znalazłam też inną świetną historię. W Łodzi u bogatego przemysłowca służąca została wysłana do kina. Kiedy wróciła, wszyscy spali. To ją trochę zaniepokoiło, bo był wczesny wieczór, ale sama poszła spać. Rano dalej była cisza, służąca poszła więc

do pokoju państwa, gdzie zastała ich martwych. Okazało się, że przemysłowiec i jego żona popełnili samobójstwo z powodu problemów finansowych, otruli też dziecko. Państwo zostawili kilka listów, w tym jeden dla ich pomocy domowej. Zostawili jej w nim wynagrodzenie i zegarek pani. To zupełnie bezprecedensowy przypadek.

Zdarzały się też morderstwa?

Oczywiście, służące, które służyły w bogatych rodzinach, były bardzo na nie narażone. Takie historie kryminalne często zaczynały się od tego, że pomoc domowa dostawała w głowę i padała trupem, a następnie plądrowano mieszkanie.

Ale była też inna droga.

Tak, przez rozkochiwanie w sobie tych panien. Często takie napady planowały szajki, co zdarzyło się służącej z warszawskiej ulicy Foksal, France Anczewskiej. Przedstawiciel gangu, Bolek Frelek, oświadczył się jej, a w dzień zaręczyn tę zakochaną dziewczynę wraz z koleżkami z zamordował, bo wiedzieli, że gospodarz Franki ma w domu pieniądze ze sprzedaży nieruchomości. To rozpaczliwe poszukiwanie miłości przez służące było bardzo smutne.

Dlaczego służące były aż tak łatwym łupem?

Pamiętajmy, że te dziewczyny marzyły o tym, żeby wyjść za mąż i mieć własny dom. Dlatego Ignęły do mężczyzn, którzy okazywali im zainteresowanie. Panie bardzo się tych napadów obawiały. Twierdziły, że służące są łatwowierne, a pracodawczyniom wtórowała prasa, która wprost nazywała te dziewczyny głupimi.

Nie mogę nie wspomnieć o prababci Angeli Merkel. To była niesamowita historia.

To już jakiś czas temu ujawnił biograf Angeli Merkel – nie powiedział jednak wprost, że jej prababcia była służącą. Dotarli do tego polscy archiwiści i okazało się, że była to biedna pomoc domowa z Poznania, która udała się na służbę pod Gniezno i wróciła z dzieckiem. Wybrnęła z tej sytuacji w ten sposób, że wyszła za mąż. Jej syn Ludwik po I wojnie światowej wyjechał do Berlina i tam urodził się jego syn, a ojciec kanclerz Niemiec – Horst Kasner.

Czy ma pani swoją ulubioną postać służącej?

Czuję się ich adwokatką, więc prawie wszystkie lubię. (śmiej) Ale moją ulubioną jest Wikta

Boguszówna, służąca Seweryna Udzieli, znanego etnografa z Krakowa. Była nie tylko niesamowicie przywiązana do rodziny, ale również pomagała Udzieli w pracy.

W jaki sposób?

Wikta długo nie rozumiała, dlaczego jej ukochany „pan starszy” wydaje tak dużo pieniędzy na szpargały, które u niej na wsi walają się po izbach. Pewnego dnia Udziela wziął ją jednak ze sobą do muzeum i pokazał wszystkie etnograficzne eksponaty. Wikta dostrzegła wtedy piękno tych przedmiotów: sukien, chustek, gorsetów, kaftanów. I potem któregoś dnia ujrzała na rynku kobietę w najpiękniejszym gorsecie, jaki kiedykolwiek widziała, i pomyślała, że świetnie nadawałby się do muzeum. Powiedziała o tym rodzinie i Udzielowie byli zachwyceni, że i Wikta stała się etnografem.

Wikta dla rodziny Udzielów poświęciła najlepsze lata życia.

Przyszedł taki moment, że w życiu służącej pojawił się adorator. Pani Udzielowa już nie żyła, pan Udziela był sędziwego wieku, a Wikta opiekowała się domem. Kiedy ten mężczyzna jej się oświadczył, ona się nie zgodziła. – Dopóki pana starszego do trumny nie włożę, za mąż nie wyjdę – odpowiedziała. I rzeczywiście, wyszła za mąż dopiero po śmierci pana, w wieku 38 lat, nie miała już dzieci.

A najmniej ulubiona służąca?

Służąca Zofii Nałkowskiej, która omotała pisarkę i zdobyła pozycję i przyjaciółki, i partnerki jak w związku miłosnym, chociaż nie ma dowodów, że taki ta relacja miała charakter. Adorowała Nałkowską i stopniowo ją zawłaszczała, potrafiła zrobić jej publicznie awanturę albo pisała karteczki: „Bierz się do roboty, bo z czego ja będę żyła?”. W czasie Powstania Warszawskiego wywiozła archiwum Nałkowskiej, tak że z pewnością zasłużyła się naszej kulturze, ale nie budziła sympatii.

Mrocznie.

Tak, to było dla mnie mało zrozumiałe. Nie wiemy, dlaczego Zofia Nałkowska godziła się na takie traktowanie. Prawdopodobnie wynikało to z niezaspokojonej potrzeby posiadania kogoś bliskiego, emocjonalnego deficytu.



Co w ogóle sytuacja służących mówi o klasowości w przedwojennej Polsce?

Przede wszystkim to, że było to społeczeństwo konserwatywne i patriarchalne, nieskore do demokratyzowania się i mocno przywiązane do swoich ról społecznych i statusu majątkowego. Jest to obraz raczej czarny. Kiedy Antoni Słonimski pojechał do Ameryki, dziwił się, że jego kuzyn siedział przy jednym stole ze służącą. To było w Polsce wręcz nieprawdopodobne!

Czyli XX-lecie międzywojenne nie jest takie wspaniałe, jak nam się wydaje.

Ten smutny obraz klasowej Polski był dla mnie swego rodzaju rozczarowaniem. Mitologizujemy XX-lecie, wydaje się nam, że dominowała wtedy klasa inteligentów na wysokim poziomie kultury. A tymczasem było to społeczeństwo na poziomie bardzo niskim, w którym „człowiek dla człowieka był zły” – jak grzmiała endecka posłanka Gabriela Balicka z trybuny sejmowej.

104-letni powstaniec: „Polacy w powstaniu butelką wody się dzielili. A jak się skończyło, Targowica...”

Tekst: Daria Różańska | **Zdjęcia:** Stefan Ronisz

– Powiedziałem im, że na wojnie się ginie, a oni do mnie: „Niech pan powie, jak się zabija, ja jeszcze w życiu nikogo nie zabiłem” – opowiada 104-letni pułkownik Kazimierz Klimczak, najstarszy żyjący uczestnik Powstania Warszawskiego. 1 sierpnia '44 miał 30 lat, dowodził nawet o połowę młodszymi chłopcami. – Oni stale powtarzali: „Wywalczymy wolność, wywalczymy wolność”. Wielu z nich zginęło, ten najmłodszy, 12-letni chłopaczek też...

– Pani nie prowadzi? To niech się pani napije mojej naleweczki. Ma smak porzeczki. Dodałem czarnej i czerwonej – zachęca Kazimierz Klimczak „Szron”.

– Jest za słodka, tato – odpowiada jego córka, właśnie przyjechała z Berlina.

– Słodka, ale bardzo dobra – chwałę. I zaraz piję na drugą nóżkę. Moje tłumaczenia, że jestem w pracy, że mam słabą głowę, na nic się zdają. – Z żołnierzem trzeba się napić i nie można się upić – słyszę. W powstaniu o alkoholu nie było mowy, problem był nawet z wodą. I odwieczny dylemat: umyć się czy ją wypić.

Siedzimy w mieszkaniu Klimczaka na warszawskiej Pradze. Za kilka dni miną 74 lata od wybuchu Powstania Warszawskiego. 1 sierpnia 1944 roku sierżant Kazimierz Klimczak miał 30 lat, najpierw walczył na Ochocie, póź-

niej na Woli (oddział IV Obwód „Grzymała” i III Obwód „Wąligóra”). Był doświadczonym żołnierzem, ale do dziś pamięta strach w oczach chłopców, którymi kierował. Najmłodszy miał 12 lat, najstarszy 23 lata. Pytali go, jak strzelać, jak zabijać. Bali się. Ale na zbiórkę na warszawskiej Woli „zlatywali się jak ptaki”. Stale powtarzali: „Wywalczymy wolność, wywalczymy wolność”.

– Jak tylko wpadli, to powtarzali „W”, „W”. Nie znałem ich, to byli ochotnicy – mówi Klimczak. Pytał, czy wiedzą, co ich może spotkać. – Jeden podniósł rękę do góry i mówi: „Proszę pana, pojechał Bierut do Lublina i powiedział, że nasz wielki ojciec będzie rządził Polską, a Polska będzie 17. Republiką (Radziecką – red.). I pana nie będzie, i mnie nie będzie. Nas wszystkich wywiozą na nieznaną ziemię. Niech pan nami dowodzi – mówi z dumą. Wszyscy podnieśli ręce, gdy zapytał, czy będą mu wierni.



– Powiedzieli: „Poszlibyśmy za panem w ogień”
– dodaje poruszony pułkownik. I szli za nim w ogień i na śmierć. Ten mały chłopczek („strasznie bystry i sprawny, przeciskał się i przynosił wiadomości”) nie przeżył. – Bolało, kiedy odchodzili. Czasami nie spałem. A jeszcze jak się ich chowało. Wszędzie się ich chowało, na skwerkach... – urywa.

3 dni, które zamieniły się w 63 dni

Tego dnia w Warszawie było bezwietrznie i bardzo słonecznie. Lato w pełni. Mocno dojrzałe mirabelki z lekkością rozjeżdżały się pod ciężkimi butami. Wielu młodych ludzi wyszło z domów, nie mówiąc rodzicom, dokąd idą i kiedy wrócą. Choć byli pewni, że wrócą. Przecież ten zryw, wybuch zbiorowego gniewu im wszystkim miał przynieść tylko upragnioną wolność.

– Ta młodzież była pewna, że wszystko się uda. Niektórzy opowiadali: „Trzy dni, my wiemy, gdzie są siedziby niemieckie” – powtarza pułkownik. Młodzi nie chcieli patrzeć, jak na ich oczach są bestialsko mordowani niewinni ludzie. Mieli dość niemieckiej okupacji.

– Przez pięć lat 12 godzin w domu! Każde wyjście do miasta było ryzykiem. Nigdy nie wiedziałeś, czy

wrócisz. Co rusz łapanki, kula w łeb albo więzienie – wspominał na łamach „Polska The Times” profesor Witold Kieżun, który sam walczył w powstaniu.

Wzięli sprawy w swoje ręce. Ale tak naprawdę większość z nich nigdy wcześniej w tych samych dłoniach nie trzymała pistoletu, karabinu, a nawet granatu. Nie umieli zabijać. Skąd 9-latek czy ciut starszy 12-latek miałby wiedzieć, jak to się robi.

Żołnierz z krwi i kości

Kazimierz był od nich o połowę straszny. Od niektórych jeszcze więcej. Urodził się parę miesięcy przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Jego bracia walczyli w wojnie polsko-bolszewickiej, wiedział wszystko o najważniejszych polskich powstaniach. W '44 był już prawdziwym żołnierzem, po szkole podchorążych w Koninie. Potrafił strzelać, i to celnie. Zabijał już wcześniej Niemców. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 roku. Został wtedy ciężko ranny.

Ale po pięciu latach zdążył dojść do siebie, choć aż dwa spędził w Szpitalu Ujazdowskim. Już tam z innymi rannymi żołnierzami utworzyli konspiracyjną organizację, „Służbę Polsce”. Najpierw zaczęli

werbować żołnierzy, którzy walczyli w '39. Przypominali im, że choć noszą cywilne ubranie, to przecież przysięgę złożyli. Szykowali się do buntu.

Tym bardziej że w szpitalu coraz częściej były rewizje. Podczas jednej z nich aresztowano pielęgniarkę – Prusównę. W kieszeni białego fartucha miała ulotki. Już nigdy nie wróciła. Okupacyjnym władzom zależało na tym, żeby jak najszybciej zlikwidować szpital. A powracających do zdrowia żołnierzy wysłać do jenieckich obozów wojskowych.

Po dwóch latach Klimczak wyszedł ze szpitala, plątał się po Warszawie, pomieszkował to tu, to tam. Z okna mieszkania przy Złotej (siódme piętro) widział i czuł, co się dzieje w getcie. Spaliny leciały prosto na jego dom, „zapach był brzydki”. – Strzelali tych Żydów, pakowali na wozy, kupy wywozili wozami gdzieś. Widziałem, jak policja żydowska pomagała Niemcom – wspominał. Sam zresztą ukrywał jedną Żydówkę – Marysię. Już w Polsce Ludowej chciała mu się za to odwdziżyć posadą dyrektora UB. Nie skorzystał.

Jesienią '43 roku zatrzymano go na ulicy. Miał pecha. W kieszeni trzymał metalowy znaczek z godłem Państwa Polskiego i symbolem ZWZ. Od razu trafił do siedziby gestapo. Na ścianach widział narzędzia tortur, na podłogach plamy krwi. I jęki, ciągle jęki. Myślał, że stamtąd już nie wyjdzie. Skłamał, że znaczki wziął od jakiegoś inwalidy bez nogi.

Zawieźli go na plac Kercelego, miał go odnaleźć. Handlarze mu pomogli. Powiedzieli, że przecież takich inwalidów to jest na pęczki. „Ja jestem inwalidą. Walczyłem w 1939 roku, jestem niegroźny dla państwa niemieckiego” – zaczął wymijająco. „Podpiszecie tę kartę, że jak wyjdziecie jako inwalida wojenny, nie będziecie szkodzić Niemcom i nie będziecie nosić żadnych znaczków i żadnych gazet” – rozkazano. Podpisał.

Skierowali go do pracy w Monopolu Tytoniowym przy Kaliskiej. Nalepiał naklejki na papierosy

„Weichsel” (Wisła). Pracował tam do czasu wybuchu Powstania Warszawskiego. Najpierw walczył na Ochocie. – Zaprowadzili mnie do szkoły. A tu przyszło pięciu czy sześciu chłopców. I mówią, że są z konspiracji. Zapytałem, jaką mają broń. Oni odpowiedzieli, że jeden granat. I to jeszcze nie obronny, ale zaczepny – wspomina dziś 104-letni powstaniec. Ale po kilku dniach z Ochoty przeniósł się na Wolę.

Szukał oddziału, w którym dowodził Romuald Podwysocki „Ostoja”. Znali się jeszcze ze szpitala. – Tam zaprowadziła mnie moja łączniczka Luśka. „Bóg z Tobą, Luśko” – mówi pułkownik. Rozerwało ją na dwie części na Dworcu Południowym. – Powiedziałem, żeby ją pochowali i dopasowali jej nogę, bo jednej nie miała. Luśka... – tłumii łzy. – Nie chcę o tym mówić, bo później mnie się to w nocy śni. Czasami nie śpię, bo mi się te obrazy przedstawiają.

9 ton ważyły ich prochy

Nad Wolą w pierwszych dniach sierpnia unosiły się kłęby kurzu i swąd palonych ludzkich ciał. Rzucano je – niektóre jeszcze żywe – na stosy. Te oblewano benzyną. Przymocowywano do nich deski, żeby lepiej i dłużej się paliły. Krzyki, jęki, płacz. Eksplozje, ruiny, kurz, dym. Strzały na oślep, krew i upadek. „Zdziczenie wojsk” i wyczerpanie obrońców Warszawy. Właśnie na Woli Kazimierz został dowódcą plutonu liczącego 60 żołnierzy (później było ich dwa razy tyle).

Prawie dziewięć ton ważyły ludzkie prochy – podał Jakub Szczepański na łamach magazynu „Polska The Times”.

– Na Woli wymordowali 50 tysięcy Polaków – powtarza pułkownik. Zabijali nie tylko Niemcy, ale i Ukraińcy, osoby o „azjatyckich rysach twarzy”. Ale to tylko mobilizowało młodych żołnierzy. – Działali z premedytacją – dodaje Klimczak. Widzieli, jak niemieccy żołnierze gwałcą, rabują, zabijają, strzelając na oślep.

Kiedy odchodzili (żołnierze – red.), to bolało. Czasami nie spałem. A jeszcze jak się ich chowało. Wszędzie się ich chowało, na skwerkach.

Pułkownik Kazimierz Klimczak

Jeden Polak przyszedł do Kazimierza i poprosił, żeby go zabił. „Dlaczego mamy pana zabić?” – zapytał. „Bo nie chcę żyć” – odpowiedział. „Co to za przyczyna?” – ciągnął dalej Kazimierz. „Bo w tym domu przyszło takich dwóch pijanych, zabrali zegarki, pierścionki, wszystko zabrali i teraz gwałcą moją żonę i córkę, bo nie chciała naszyjnika oddać”. – Zapytałem, który ze mną pójdzie. Zgłosili się wszyscy – opowiada pułkownik. Wziął dwóch.

– „Słuchajcie, jak ja powiem: Rurki w wierch!, a oni złapią za pistolet, to pamiętajcie, macie na pierwszym spuście sięgnąć po pistolet i bez mojego rozkazu strzelać”. No i wszedłem – wspomina Kazimierz. Żonę zdążyli zgwałcić, córce się udało. – Oni tam ściągają pistolet, ale nasi posiali. Oddałem te pierścionki, to wszystko. Taka była rola moja... – mówi.

Zabił pan wielu Polaków?

Kazimierz był „ostrym dowódcą”. Zresztą wciąż tak o sobie mówi. Chociaż to człowiek o dobrym sercu. O tym mógł się przekonać chociażby Janeczko, pół Polak, pół Niemiec. Polscy żołnierze schwytali go i przyprowadzili do Klimczaka. Szybko okazało się, że pochodzi z Wrocławia. Przysięgał, że nie należy do żadnej hitlerowskiej organizacji. Ale nie miał większej nadziei: – Powiedział: „Niemcy zrobili tyle krzywdy, że pan mnie zabije” – opowiada Kazimierz.

„Panie szefie, zabił pan wielu Polaków?” – zapytał porucznik. Janeczko przysięgał na Boga, że ani jednego. I jeszcze pokazał zdjęcie żony i córek. Klimczak uległ: – Odpowiedziałem mu: „Panie szefie, nie zabiję, tylko proszę oddać pistolet, jesteśmy na wojnie”. Potem zastanawiałem się, co z nim zrobić – wspomina. Wysłał go do kuchni, gotował żołnierzom „dobre obiady”. – Ale niewiele wtedy było w Warszawie do jedzenia i niemal wszystko smakowało – odnotował we wspomnieniach. Po wojnie próbował go znaleźć, ale nie było po nim śladu.

Polacy pili wodę z jednej butelki

„Jak kule nieprzyjaciela świszczą w powietrzu, to nie są groźne, ale naprawdę niebezpieczne stają się dopiero wtedy, kiedy wydają taki przeciągły dźwięk, jakby przeciągłe tsssyyt. Oznacza to, że koło uszu przelatują” – mówił w rozmowie z dziennikarzem „Kombatanta”.

Kazimierz bronił barykady przy Działdowskiej. – Poszedłem po chałupach i mówię do lokatorów: „Słuchajcie, musimy zbudować tę barykadę, to dla was

i dla mnie ochrona”. I jak ci ludzie się rzucili, przynosili lodówki, pralki, ze skwerków ściągali piasek – opowiada.

Była tak bezpieczna, że można było przy niej spać. Ludzie sobie pomagali, jak tylko mogli: przynosili jedzenie, zupy, placki z otrębów. Ktoś przyniósł kiedyś „na diabła hitlerowskiego” butelkę z benzyną. – Ludność była tak zjednoczona w powstaniu. Polacy to się jedną butelką wody dzielili w dziesięć osób, żeby każdy mógł zamoczyć usta. A jak się skończyło, to tak każdy taki... teraz Targowica. W nieszczęściu Polacy są zjednoczeni – mówi Klimczak. Barykada wytrzymała wiele, ale wreszcie 6 sierpnia polscy żołnierze musieli się wycofać, gdy Niemcy rozpoczęli ostrzał artyleryjski.

Po upadku powstania wywieziono go pociągiem towarowym z ludnością cywilną. Uciekł z tego transportu. Chciał nadal walczyć o wolność. Więc jak tylko pociąg zwolnił, wyskoczył z wagonu. W lesie przetrwał zimę i wrócił do Warszawy. Poznał żonę Celinę. Pobrali się po wojnie, w '48. Rok wcześniej Kazimierz jako inwalida wojenny został zwolniony ze służby wojskowej. I zatrudnił się w Gospodarce Wodnej. Niedługo potem na świat przyszła dwójka ich dzieci.

Kazimierz od 38 lat jest na emeryturze. I ciągle stara się robić, co nakazał mu jego dowódca. – „Hal” (Wacław Stykowski – red.) wezwał mnie do siebie przed śmiercią i powiedział: „Kolego, jak przeżyjecie, to idźcie do szkół”. I chodzę do tych szkół i z młodzieżą się wyklócam – przyznaje.

– Jak tak z nimi rozmawiam, z młodzieżą, to myślę, że poszłaby walczyć. Pytają mnie: „A pan myśli, że jakby była mobilizacja, tobyśmy nie poszli?”. Myślę, że by poszli, bo w nieszczęściu to się łączą. Polska w nieszczęściu się łączy, a po nieszczęściu to każdy sobie rzepkę skrobie. A wolność nie jest dana raz na zawsze, trzeba ją pielęgnować – zaznacza pułkownik.

Bohaterem się nie czuje, „inni zrobili więcej”. Ale przynajmniej już nie musi słuchać, że był „bandytą” czy „karłem zasmarkanym rządu londyńskiego”. Kiedy pan poczuł, że Polska jest naprawdę wolna? – dopytuje. – Poczułem, wtedy (podczas Powstania Warszawskiego – red.), gdy ta młodzież była zjednoczona – odpowiada niby twardo, ale głos mu się łamie.

* Przygotowując tekst, korzystałam ze wspomnień pułkownika Kazimierza Klimczaka, a także z materiałów Muzeum Powstania Warszawskiego.



„Chciałabym umrzeć. Nie bać się”. Ona pamięta żołnierza wyklętego „Ognia”

Tekst: Włodzimierz Szczepański | **Zdjęcia:** Maciej Stanik

Syn Józefa Kurasia „Ognia” domaga się miliona za prześladowania. Rozmawialiśmy z ofiarami żołnierza wyklętego. Jeden z potomków wyznaje: – Mój teść do końca życia żałował, że w imieniu AK nie wykonał wyroku śmierci na „Ogniu”.

– To oni są źródłem dzisiejszego Wojska Polskiego. To ich tradycja, ich dokonania i ich męstwo są wartościami Wojska Polskiego. Są wartościami, na których będziemy budowali siłę armii i siłę Polski. Z tym przesłaniem chcemy wyjechać z Waksmundu – Antoni Macierewicz mówił o żołnierzach wyklętych na uroczystościach, które odbyły się na cmentarzu w 2016 roku w rodzinnej wsi Józefa Kurasia na Podhalu. Ówczesny minister obrony narodowej potwierdził też stopień majora dla „Ognia”.

Waksmund leży 70 kilometrów od Nowego Sącza, gdzie ruszył proces. Syn Józefa Kurasia domaga się miliona złotych za prześladowania rodziny w czasach PRL-u. – Przecież to oburzające. Kpiny z jego ofiar – komentuje jeden z mężczyzn napotkanych przed domem Marii Mroszczak. Z waksmundzkiego cmentarza znacznie bliżej do jej domu niż do sądu. Będzie z kilkaset metrów. Niechętnie otwiera obcym. „Pochwalony” trzeba mówić w jej domu na powitanie. Maria jest drobna i szczupła. Zdejmuje chustkę z głowy. Siada na brzegu krzesła.

Bohater pijany w sztos

Od tej nocy minęło ponad 70 lat, ale nie może jej zapomnieć. – Chciałabym umrzeć. Zapomnieć już. Nie bać się. Nie mieć przed oczyma widoku pistoletu – niespodziewanie wyznaje, a do jej oczu napływają łzy. Nie byłam przygotowany na takie wyznanie. Zapada milczenie.

Miała wtedy 13 lat. W zimową noc 1947 ze snu wyrwało ją walenie do drzwi. Wkrótce nie wytrzymała naporu. – Do izby wpadł „Ogień”. Byłam w domu tylko z młodszym bratem. Zaczął go strasznie bić. Ja siedziałam na łóżku i płakałam. Bałam się – opowiada Mroszczak. Józef Kuraś wyciągnął pistolet. Wymierzył pistolet w głowę dziewczyny. – Nie zapomnę twarzy „Ognia”. Z trudem trzymał pistolet w dłoniach. Był kompletnie pijany. Wycelował w moją głowę. Po chwili przewrócił się na sąsiednie łóżko i zasnął – dodaje. Nad ranem podwładni wyweleki pijanego Kurasia. – Po podłodze ciągnęli, po podłodze i takiego nieprzytomnego rzucili do sań – wspomina.

„Ogień” wpadł do ich mieszkania, bo szukał matki Marii. Padło na nią podejrzenie, że doniosła do Urzędu Bezpieczeństwa na jednego z podwładnych Kurasia. Chwilę wcześniej „Ogień” był kilka domów dalej. Tam strzelił do jej kuzynki Rózi, którą również podejrzewano o doniesienie.

Pokaż mu, że żyjesz

– Kula przeszła na wylot. Rózia zdołała wybiec z domu. Zemdlna padła w śnieg. Długo nikt jej nie chciał zawieźć do szpitala – wspomina Maria. Rózia Waksmundzka była narzeczoną jednego z ogniówców. To nie przeszkadzało jego dowódcy, żeby ją napastować. – To było rok przed najściem nas w ’46. Rzucił ją na łóżko i zaczął rozpinąć spodnie. Rózia dopadła drzwi, gdyby były zamknięte na skobel, nie uciekłyby – opowiada Maria.

Losy jej kuzynki i legendarnego żołnierza wyklętego splotły się w jego ostatnich chwilach. Po postrzeleniu przebywała w szpitalu w Nowym Targu. Tam trafił też ranny Józef Kuraś po tym, jak jego oddział wpadł w zasadzkę. „Ogień”, widząc, że nie wyrwie się, usiłował popełnić samobójstwo. – Jedna z pielęgniarek mówiła Rózi: – „Idź, pokaż mu się. Pokaż, że żyjesz” – opowiada Maria.

Pęcherz zaschłej krwi

Dla niej „Ogień” to nie bohater. Dla jej męża, Władysława, też nie był. Opowiedział żonie to, co ujrział, gdy jako chłopiec szedł z mlekiem do Nowego Targu. Jedziemy na to miejsce. Niczym się nie wyróżnia. Zatokczka przystankowa, przeszklona wiata, za nią metalowe ogrodzenie i rząd tui. – To było gdzieś tutaj. Rzędem leżeli pomordowani Żydzi. Moja mama też widziała ich ciała. Wspominała, że wśród nich była bardzo otyła kobieta. W pamięci utkwiał widok pęcherzyka krwi z ust zamordowanej – opowiada Tadeusz Morawa, lokalny historyk. Jest synem Tadeusza Morawy





partyzanta AK i WiN, którego władze komunistyczne skazały na 10 lat niewoli. Przesiedział cały wyrok w najcięższych więzieniach.

– Żydzi jechali na ciężarówce od Nowego Targu. Byli w drodze do Palestyny. Ciężarówkę prowadził funkcjonariusz UB. Według relacji ogniowców podczas próby zatrzymania kierowca otworzył do nich ogień. Strzelać mieli też pasażerowie. Tylko że ciężarówka nie miała śladów po pociskach. Ci Żydzi ocaleli z Holocaustu, a śmierć ponieśli w sumie niedaleko swoich dawnych domów z rąk ogniowców – dodaje Morawa.

A u niej jeden znicz

Czasem ponoszą go emocje, gdy wspomina ustalenia Instytutu Pamięci Narodowej na temat Józefa Kurasia. Na waxmundzkim cmentarzu pokazuje groby jego podkomendnych. Obok jednego z nich zasłanego wieńcami jest niepozorna mogiła. Szara, a na niej jeden znicz. To Zofii Czubiak. Przed wojną była sympatią Kurasia. Później wyszła za mąż. Jej wybranek był konfidentem, został zlikwidowany. Ona zaś była przetrzymywana w obozie „Ognia” w Gorcach, po kilku miesiącach zastrzelono ją.

– Wiadomo, co się działo z nią w tym obozie. Podobny los spotkał Marię Kopeć. Została wprowadzona przez funkcjonariusza NKWD do UB w Ostrowsku. W tym czasie szefem tego urzędu był Józef Kuraś. Wkrótce po wyjściu z więzienia zmarła, na skutek infekcji dróg rodnych – dodaje Marek Zapała, mieszkaniec wsi po drugiej stronie Gorców.

Chciał pozwać ministra

Razem z Tadeuszem Morawą pracuje nad książką o „Ogniu”. Jego postać przedstawiają w zupełnie innym świetle niż Instytut Pamięci Narodowej. Stryjem Zapały był Julian Zapała, czyli kpt. „Lampart”, dowódca IV batalionu 1 Pułku Strzelców Podhalańskich AK. Spoczywa w Niedźwiedziu. Z cmentarzyka roztacza się widok na Gorce.

– Z powodu działalności „Lamparta” jego brat trafił do Auschwitz i Dachau. Natomiast ich ojciec został rozstrzelany – Zapała opowiada przy grobie kapitana. Śmierć bliskich w tych okolicach nie spotkała tylko Józefa Kurasia. Zapała nie może się pogodzić, że ten żołnierz wyklęty otrzymał stopień majora. – Chciałem nawet pozwać Antoniego Macierewicza za tę decyzję. Przecież wcześniejsze nominacje są wątpliwe, a kolejna pochodziła z rąk komunistycznych, gdy Kuraś kierował Powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa – przekonuje.

Ma też osobiste powody, aby nie lubić „Ognia”. – On zabił mojego wujka, brata „Lamparta” Franciszka. Kuraś chciał od niego blankiety nadania stopni. Franek nie chciał wydać, dlatego został zabity. Mam relacje świadków. Oczywiście IPN twierdzi co innego – komentuje potomek partyzantów AK.

Nie tylko Morawa i Zapała nie mogą znieść gloryfikacji Józefa Kurasia przez IPN. Franciszek Brodowski ściska w dłoni książeczkę wojskową swojego ojca niczym największą relikwię. Przed laty zabrał ją na spotkanie zorganizowane przez Instytut.

Ani harnaś, ani Janosik

– Gdy usłyszałem, jak chwalą „Ognia”... Jaki to był harnaś i Janosik, to się zagotowałem – Franciszek zaciska dłonie i trzęsie się z emocji. Trzeba uważnie się wsłuchiwać w jego słowa. Mówi gwarą spiską. Jest jednym z nielicznych Słowaków, którzy zostali w Nowej Białej.

– Wstałem wtedy, na tym zebraniu i powiedziałem prawdę. Że to był złodziej i morderca – mówi głośno. Siedzimy w Centrum Kultury Słowackiej w Nowej Białej. Z okna widać kościół, a kawałek dalej niewielki obelisk czterech pomordowanych Słowaków. Zginęli, bo byli Słowakami. – My byli rolnikami, nie należeli do żadnej partii. Mój ojciec wiernie służył Polsce. W 1939 roku był zmobilizowany do polskiego wojska. Trafił do niewoli. Wyszedł po kilku miesiącach. Tu w książeczce wojskowej jest potwierdzone. A ja na tym spotkaniu usłyszałem od jednego IPN-owca, że co to za książeczka, na której orzeł jest bez korony – komentuje poruszony.

Dobrze pamięta, gdy do wsi weszli ogniowcy. – Była dwunasto godzina, my spali – opowiada. Najpierw poszli do Hałupki, zabrali bydło i świnię. A potem do Szczurka zabrali inwentarz i jego. U Kalaty weszli, zabrali bydło. Jego baba ukryła w jamie, co w domu mieli. U Łapczańskich zabrali inwentarz i jego. To był mądry człowiek. Uczony. On był plutonowym w Wojsku Polskim na wojnie w '39 – wspomina. Ogniowcy przyszli też i do Brodowskich. Rodzinę ze snu wyrwało wściekłe walenie do okien. Ojciec Franciszka wyczekał moment i uciekł drzwiami.

– Jak zobaczyli, że ucieka, to wojacy wpadli do nas przez okna. Zaczęli nas okładać. Strasznie bili. Miałem wtedy dziewięć lat. Ja wiem, kto bił. Poznałem go – mówi. Mimo upływu tylu lat od wojny nie chce powiedzieć, jak się nazywa. – Mniejsza o to – wzrusza ramionami. Ogniowcy i tu chcieli zabrać inwentarz, ale ktoś krzyknął, że tu sieroty mieszkają i zabrali tylko płótna oraz ubrania. Tego płótna nie może odżałować. Razem z matką napracowali się, aby natkać. – Ja przez trzy lata ojca nie miałem.





Był na Słowacji. Razem z matką i braćmi robiliśmy wszystko w polu. I za co zostałem sierotą? – pyta.

Głowę strasznie pobitą

Ogniówcy pognali bydło na Gronków. Natomiast gorszy los spotkał uprowadzonych. Słowackie rodziny rok szukały wieści o zaginionych. W końcu zwłoki pokazał jeden z podkomendnych Kurasia. Ich ciała leżały płytko w błocie przy dawnym obozie „Ognia” w Gorcach. – Przywieźli ich w maju wozami. Chciałem iść po nich. Krak to przecież rodzina była. Nie dali iść. Szczurek na szyi miał zaciśnięty rzemień. Łapczański głowę strasznie pobitą – opowiada.

Na rogu za kapliczką migocze wąski wysoki budynek, w którym mieszkał Łapczański. Po tych przeżyciach Franciszek chciał wyjechać z Polski na Słowację. – Ojciec nie pozwolił. Mówił, że tu nasze miejsce – dodaje.

Ubowiec Kuraś

Stanisława Rokickiego boli gloryfikowanie Józefa Kurasia. Boli podwójnie, bo jest zwolennikiem

Prawa i Sprawiedliwości. – Poszedłem na spotkanie zorganizowane przez IPN. Nie sądziłem, że będą tam ogniówcy. Wywiązała się kłótnia. Zostaliśmy nazwani potomkami czerwonej hołoty – zaśmiewa się. Jest zięciem Władysława Zagardowicza „Kukułki”. – Teść w AK był człowiekiem od specjalnych zadań. Znał las jak nikt. Zresztą po wojnie został strażnikiem lasu. Wykonywał wyroki śmierci. Miał też wykonać na Kurasiu. Wyrok wydany przez dowódcę AK. Ulitował się jednak nad nim, bo Kuraś przeżył tragedię. Zabito mu żonę, synka i ojca spalono dom – opowiada Rokicki.

„Kukułka” cieszył się wyjątkowym szacunkiem Adama Stobrawy, dowódcy 1 Pułku Strzelców Podhalańskich AK, w czasie okupacji największej na Podhalu organizacji podziemnej. W testamencie Stobrawa nakazał, aby jego prochy sprowadzone do Polski w ostatniej drodze niósł „Kukułka”. Podwładny w 1991 spełnił prośbę dowódcy. Stobrawie udało się w 1945 roku uciec z kraju. Chciał nawet ściągnąć „Kukułkę”. – Tylko matka teścia ubłagała, aby nie jechał. To był jej jedyny syn. Wkrótce

i tak pojechał, ale na Sybir – opowiada. Władysław Zagardowicz został aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Trafił do Nowego Targu. – Był przesłuchiwany między innymi przez Kurasia, który był wtedy szefem nowotarskiego UB. Teść był tam bity, ale dopiero w Sanoku został poddany torturom. Wybito mu wszystkie zęby – opowiada.

Tak został zesłany do gułagu w Bułamaku. Tam dostał wyrok śmierci. – W dniu, gdy miał być wykonany wyrok, oddał koledze swoje buty pochodzące ze zrzutów. Boso poszedł na miejsce egzekucji – relacjonuje Rokicki. Tylko jeden ze strażników prowadził dwóch więźniów. Obezwładnili niedoszłego egzekutora i zbili. Kilka dni w obawie przed psami pościgowymi przesiedzieli na drzewach. Jego towarzysz zgubił się w lasach. „Kukułce” udało się dotrzeć do torów, a potem ukrył się w węglarce. – Noga przymarzła mu do ściany węglarki. I o dziwo pomogli mu Rosjanie. Pociągiem jechali żołnierze, którzy go schowali – opowiada. I po powrocie do kraju jego losy znów się splotły z Józefem Kurasiem.

Nie wykonał wyroku

Po powrocie do domu Zagardowicz ważył 36 kilogramów. – Nikt nie chciał podjąć się leczenia. Nie dawano mu szans, no i był strach – wyjaśnia zięć „Kukułki”. Dopiero miejscowy znachor mu pomógł. Ukrywał go w nadrzecznych krzakach. Przeżył. Wracając z lasu, natknął się na „Ognia”.

– Złożył teściowi propozycję przystąpienia do oddziału. Teść się tylko uśmiechnął i poszedł dalej. Gdy się trochę oddalił za plecami, usłyszał wystrzał. Przeżył, bo kula odbiła się od łopaty, którą teść niósł na plecach – opowiada. Przed laty, gdy na Podhalu w tajemniczych okolicznościach zaczęły płonąć domy, powstał reportaż. Władysław Zagardowicz jako jeden z nielicznych wystąpił, pokazując twarz, i powiedział, co myśli o słynnym żołnierzu wyklętym. – Jedyną rzeczą, której mój teść żałował w swoim życiu, to powtarzał: „Żałuję, że nie wykonałem wyroku. Nie zabiłem tego sk***” – Stanisław Rokicki wyjawia rodziną tajemnicę.





best of
na:Temat